

||

Zbliżenia Interkulturowe

POLSKA • NIEMCY • EUROPA

Interkulturelle Annäherungen

POLEN • DEUTSCHLAND • EUROPA

POLITYKA • KULTURA • SPOŁECZEŃSTWO

PISMO
WYŻSZEJ SZKOŁY STUDIÓW MIĘDZYNARODOWYCH
W ŁODZI

1 / 2007



Łódź 2007

||

Kolegium redakcyjne • Herausgeber:

Norbert Honsza, Helmut Skowronek (Bielefeld), Marian Wilk,
Przemysław Sznurkowski (sekretarz redakcji)

Rada Redakcyjna • Redaktionsbeirat:

Bernd Balzer (Berlin), Karol Fiedor, Hans-Adolf Jacobsen (Bonn),
Alois Wierlacher (Bayreuth), Lucjan Meissner

Redakcja:

Adres redakcji • Redaktionsanschrift:

Zbliżenia Interkulturowe
PL – 93-101 Łódź, ul. Brzozowa 3/9
interkulturowezblizenia@wssm.edu.pl

ISSN XXXXX-XXXX
ISBN XX-XXXX-XXX-X

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.
Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

•
Die Redaktion behält sich das Recht auf Kürzungen vor.
Für unverlangt eingesandte Manuskripte wird keine Haftung übernommen.

Realizacja wydawnicza: Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo
Oświatowe, 50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

Spis treści

Artykuły

NORBERT HONSA, STEPHAN WOLTING
Naznaczony piętnem zagłady. Marcel Reich-Ranicki 9

ANDRZEJ LAM
Joseph von Eichendorff (1788-1857) 20

Polityka

JANUSZ RUSZKOWSKI
Wspólnota w stosunkach międzynarodowych 30

Refleksje

JAN PAPIÓR
Zwei Bücher über Deutschland und Polen 40

ANNA SZYNDLER
Janusowe oblicze wojny na przykładzie
zmiennych kolei losu włości Courasche 50

BERND BALZER
O Sancta Euphemia! 57

Rozważania literackie

KLAUS SCHUHMAN
Spuren der Zeitgeschichte in Gedichten von Paul Celan,
Peter Huchel und Bertolt Brecht 61

| | |
|--|----|
| PAWEŁ STRÓZIK Głośne „Nie!” Hitlerowi | 66 |
|--|----|

Sylwetki

| | |
|--|----|
| RENATA SCHUMANN Vom ewigen Sonntag im Gemüte. Betrachtungen zum Werk Joseph von Eichendorffs | 80 |
| JOLANTA SZAFARZ Wrocławski epizod z życia Gerharta Hauptmanna | 96 |

Opinie

| | |
|---|-----|
| HELMUT SKOWRONEK Joachim Fest: „Ich nicht“ | 100 |
| DANIEL VOGEL Język a rozumienie historii | 105 |

Dossier

| | |
|----------------------------------|-----|
| JERZY ŁUKOSZ Kulturzeit | 116 |
|----------------------------------|-----|

Felieton

| | |
|---|-----|
| GÜNTER FRANZEN Der Idiot der Familie | 120 |
|---|-----|

Komunikacja interkulturowa

| | |
|--|-----|
| HELMUT HOFBAUER Über Werner Wintersteiners. Konzept einer interkulturellen Literaturdidaktik | 126 |
|--|-----|

Podróże i spotkania

| | |
|---|-----|
| MATTHIAS KNEIP Eine alte Fabrik in neuen Kleidern – Łódź | 137 |
|---|-----|

Regiony

MONIKA UND STEPHAN WOLTING

Dies ist Pommern 141

Silesiaca

ANDREAS WITKO

Hedwig von Andechs – eine deutsch-polnische Heilige 144

Teksty

WOLFGANG BITTNER

Grubenlicht 150

WOLFGANG BITTNER

Der Imperator und die Macht des Bösen. 154

Sprawozdania

HELMUT SKOWRONEK

Die Spinnerei Mysłakowice (Erdmannsdorf/Zillertal)
als „Zwilling“ der Ravensberger Spinnerei in
Bielefeld – eine wenig bekannte Verwandtschaft? 156

BARBARA SAPAŁA, MAREK PODLASKI

Sprawozdanie z Międzynarodowej Konferencji
Stowarzyszenia Germanistów Polskich 159

Recenzje

JAN PAPIÓR

Über den vertrackten und mühevollen
polnisch-deutschen Diskurs 165

STEPHAN WOLTING

„Wie kann man einem die Welt erklären, der nicht fernsieht?“ 171

RENATA CZECH

Niemiecko-Polskie Towarzystwo Uniwersytetu Wrocławskiego 173

PAWEŁ STRÓZIK

Most „Berlin–Wrocław” ma już 200 lat! 176

| | |
|---|-----|
| KATARZYNA GRZYWKA | |
| O życiu codziennym na średniowiecznym zamku | 180 |
| PAWEŁ STRÓZIK | |
| Metropolia przemysłowa kolebką kultury | 181 |
| LECH KOLAGO | |
| Literarische Porträts | 183 |
| PIOTR CHMIEL | |
| „SILESIA. Schlesien im europäischen Bezugsfeld”. Seria wydawnicza opolskiej germanistyki | 184 |
| PRZEMYSŁAW SZNURKOWSKI | |
| Książka o nieśmiałym pisarzu | 187 |
| LIDIA BURAKOWSKA | |
| Lata wyjątkowe | 189 |
| ZBIGNIEW WILKIEWICZ | |
| Witold Gombrowicz – neu gelesen und interpretiert | 191 |
| IRENA ŠEBESTOVÁ | |
| Moderne österreichische Literatur | 198 |
| SONIA CIUPKE | |
| Historia wielkiej przyjaźni | 200 |
| LIDIA BURAKOWSKA | |
| Literacka przestrzeń mentalna | 204 |
| ALEKSANDRA MAZUREK | |
| Czy Europa może być? – Być może... .. | 206 |
| Vorankündigung | 209 |
| Redakcja poleca | 211 |



Zbliżenia Interkulturowe

Do rąk czytelników oddajemy pierwszy numer czasopisma wydawanego przez Wyższą Szkołę Studiów Międzynarodowych w Łodzi. Inicjatywa nasza zyskała szerokie poparcie środowisk naukowych, kulturalnych i opiniotwórczych w Polsce. W Kolegium Redakcyjnym i Radzie Naukowej zasiadają zagraniczni politolodzy, socjolodzy, kulturoznawcy i germaniści. Zgromadziliśmy również wokół pisma grono wybitnych autorów, którzy wyrazili chęć stałej współpracy.

Dialog z czytelnikami poprowadzimy poprzez zróżnicowane formy – eseje, artykuły, refleksje, wywiady, opinie i recenzje. Europa i świat, polityka, przemiany cywilizacyjne i szeroko pojęta komunikacja społeczna będą naszymi tematami przewodnimi, przy czym szczególną uwagę chcemy poświęcić stosunkom polsko-niemieckim we wszystkich jej złożonych aspektach. Naszymi imperatywami kategorycznymi będą: tolerancja oraz polityczna, kulturowa i światopoglądowa niezależność, zaś naszym najwyższym autorytetem – krytyczny czytelnik.

Wszystkich zainteresowanych zapraszamy do współpracy.

Redakcja





Artykuły

Norbert Honsza, Stephan Wolting Naznaczony piętnem zagłady Marcel Reich-Ranicki

Młody Marcel

Historia dramatycznego życia Marcela Reicha-Ranickiego jest od chwili opublikowania autobiografii *Moje życie* dostatecznie dobrze znana, tym bardziej że ten światowy bestseller nieźle sprzedawał się również w Polsce. Jednak pewna egzegeza biograficzna w niniejszej pracy jest konieczna, aby ogarnąć i właściwie zinterpretować dokonania nietuzinkowego polemisty i „wichrzyciela”, któremu udało się rozszerzyć niejednego wybitnego pisarza na świecie.

Urodził się 2 czerwca 1920 r. jako Marcel Reich we Włocławku, wówczas 60-tysięcznym mieście, należącym do 1918 r. do tzw. „kongresówki”. „W mieście, w którym osiedlili się moi rodzice, we Włocławku nad Wisłą, mama poczuła się niemal jak niegdyś E.T.A. Hoffmann w niedalekim Płocku – czyli jak na wygnaniu. Polska była i pozostała obca. Podobnie

jak Irina Sergiejewna z *Trzech siostr* Czecho-wa tęskni do Moskwy i marzy o Moskwie, tak moja matka tęskniła do owej metropolii, która w jej oczach symbolizowała szczęście i postęp i w której wszyscy oni mieszkali, jej już stary ojciec, jej siostra, czterech braci i oczywiście kilka przyjaciółek ze szkoły: marzyła o Berlinie”.

Był najmłodszym dzieckiem Davida Reicha (ur. 1880) i Heleny, z domu Auerbach (ur. 1884). Siostra Gerda była starsza od Marcela o 13 lat, a brat Aleksander o 9. Ród ojca należał do średnio zamożnych kupców. Matka pochodziła z ubogiej, ale bogatej w tradycje rodziny rabinackiej. Z tej linii wywodził się interesujący, swego czasu dosyć popularny, a dzisiaj nawet w kręgach germanistycznych zapomniany – szwabski pisarz Berthold Auerbach (1812-1882). Jest rzeczą nieco dziwną i niezrozumiałą, że krytyk skąpo lub wręcz niechętnie informuje o swym dzieciństwie, zasłaniając się przewrotnie

brakiem pamięci. Niektóre z przedstawianych wydarzeń brzmią nieco groteskowo, zdają się wydumane, a przy tym niemożliwe do zweryfikowania. „Miałem mniej więcej pięć lub sześć lat, kiedy moja mama podczas krótkiej wizyty u swej berlińskiej rodziny zauważyła w jednym z domów towarowych garderobę dziecięcą z napisem »Jestem grzeczny«. Nie zastanawiając się nad możliwymi następstwami, poleciła – znowu odrobinę nieprzytomnie – wyhaftować na moich bluzkach i kielkach ten właśnie napis po polsku. Wnet stałem się pośmiewiskiem dzieci – na co zareagowałem wściekłością i przekorą: wrzeszcząc i tłukąc starałem się wszystkim, którzy naśmiewali się ze mnie, udowodnić, że jestem nadzwyczajnie niegrzeczny. Zyskałem dzięki temu przydomek »bolszewik«. Moja wieczna skłonność do przekory – czyżby wtedy się narodziła?»

Marcel ubóstwiał wprost matkę, co Thomas Anz w biografii *Marcel Reich-Ranicki* (2004) określa mianem pramiłości, którą później obdarzył literaturę niemiecką. Krytyk zawsze dostrzegał miłość i erotykę jako dynamiczny i komplementarny czynnik, aktywizujący naszą recepcję literacką, co niejednokrotnie udowadniał na przykładach z poezji Goethego, Heinego i Brechta. Stąd wszelkie, w gruncie rzeczy nieśmiałe i trochę nieporadne, dywagacje erotyczne na kartach jego autobiografii mają prawie zawsze związek z literaturą, chociażby uwiedzenie pewnej aktorki, przebiegające w aurze melancholijnych wierszy Hofmannsthal.

Zaskakujący jest w autobiografii pragmatyczny i „lodowaty” portret ojca: „Pilność i energia nie były jego cnotami. Drogę jego życia wyznaczyły – niestety – sła-

bość charakteru i bierność”, ale – jak pisze w innym miejscu – „był solidny i skromny, dobrotliwy i miły”. Refleksja nastolatka w stosunku do ojca jest odczuciem i psychoanalityczną konstrukcją dojrzałego Reicha-Ranickiego i nie ma nic wspólnego ze stanem ducha dziecka. Słaby ojciec i już wówczas silny syn – to projekcja, której nie musimy do końca ufać. David Reich należał do tych licznych Żydów, którzy wbrew obiegowym stereotypom nie odnosili sukcesów ekonomicznych. Matka miała nawet kiedyś powiedzieć złośliwie, że jeśli mąż produkowałby trumny, ludzie przestaliby umierać. Krótko mówiąc – ojciec Marcela, który uważał się za „przemysłowca”, po prostu zbankrutował. „Matka bardzo wtedy cierpiała. Wstydziła się wychodzić na ulicę w obawie przed drwiącymi bądź pogardliwymi spojrzeniami sąsiadów i znajomych. Z pewnością były to obawy przesadzone, zwłaszcza że mamę bardzo lubiano w mieście: ceniono jej spokojny, nawet wytworny sposób bycia, wiążąc go z jej pochodzeniem ze świata niemieckiej kultury. Możliwe więc, że bardziej niż pogardy obawiała się współczucia znajomych”.

Przypisanie ojcu odpowiedzialności za późniejszą katastrofę rodzinną jest efektowną figurą retoryczną, którą – czego nie wykluczamy – Reich-Ranicki przejął *à rebours* od Franza Kafki. Materialne bankructwo ojca trzeba bowiem wpisać w ówczesny wielki kryzys gospodarczy i krach na giełdzie w 1929 r., ale jest ono również związane z jego mentalnością, skłonnością do indyferentyzmu życiowego. Ojciec Reicha-Ranickiego znakomicie mówił po polsku i niemiecku, znał rosyjski i jidysz, a całe jego rodzeństwo było

wykształcone. Sam grał w młodości na skrzypcach i interesował się muzyką, próbując zaszcześcić ją synowi, który wcześniej poznał arie z *Otella*, *Cyganerii* i *Madame Butterfly*. „Siostra moja grała na fortepianie, często słyszałem w naszym mieszkaniu Bacha, a jeszcze częściej Chopina. Równocześnie zachwylił mnie instrument innego rodzaju: gramofon. Mieliśmy wiele płyt, które wyszukiwał znacznie bardziej od matki muzykalny ojciec. Obok popularnych dzieł symfonicznych, nowoczesnych za jego młodości – od suit Griega przez *Peer Gynta* po *Szeherazadę* Rimskiego-Korsakowa – były to przede wszystkim opery: *Aida*, *Rigoletto* i *Traviata*, *Cyganeria*, *Tosca* i *Madame Butterfly*, *Pajace* i *Cavalleria Rusticana*. Była też płyta Wagnera, jedna jedyna: opowieść Lohengrina o Świętym Graalu. Bez śladu zmęczenia słuchałem wciąż tych samych arii, duetów i uwertur. Od tamtego czasu datuje się moja lekka niechęć do Griega i Rimskiego-Korsakowa oraz moja niezniszczalna miłość do opery włoskiej, szczególnie do Verdiego, ale również do Pucciniego, któremu dochowałem wierności do dziś”.

Rodzina Reichów nie grzeszyła nadmiarem religijności. Ojciec wprawdzie przestrzegał szabatu i odwiedzał synagogę, ale czynił to bardziej z rytualnego przyzwyczajenia niż wewnętrznej potrzeby. Marcela właściwie ze sobą nie zabierał, bo szybko dostrzegł, że dziecko czuje się tam zagubione i znudzone. Swą wiedzę o Żydach wyniósł więc Marcel raczej z pruskiego gimnazjum w Berlinie niż rodzinnego Włocławka, mimo że matka kultywująca kulturę niemiecką sprowadzała książki klasyków i abonowała liberalny „Berliner Tageblatt”.

Żyjąc we Włocławku trudno było nie otrzeć się o antysemityzm polski, bojkotujący mniejszość żydowską w szkołach, na uniwersytetach i w urzędach. Zabójstwo pierwszego prezydenta wolnej Polski – Gabriela Narutowicza wpisuje się w ten antysemicki trend, kładąc się cieniem na naszej odzyskanej państwowości. Reichowie postanawiają przenieść się z niezbyt przyjaznej Polski do Berlina, w którym mieszkają już liczni krewni. Najpierw pojechał Marcel do wuja Jakuba, adwokata, prowadzącego dosyć wytworny dom. „Naturalnie nie miałem pojęcia, co się za tym kryje. Jednak dość szybko wyczułem, że wyszukany, kreowany styl tego domu nie jest autentyczny. Panowała w nim wyraźna sztuczność, chłodna i uroczysta. Wuj Jakub, który wywodził się przecież z biednego środowiska, był uznanym, niemalże prominentnym adwokatem i notariuszem, bardzo ambitnym dorobkiewiczem, dumnym ze swych istotnie poważnych sukcesów. Jego braciom również powodziło się dobrze, żyli zamożnie. Jednak tylko jemu zależało na demonstracyjnym manifestowaniu swego awansu społecznego. Potrzebował symboli statusu, wprost ich łaknął i skazywał się na nie. Jego gustom odpowiadał blask epoki grynderskiej, imponowała pompacyjność przełomu wieków”.

Młody Marcel dosyć wcześniej wyczuł, iż rodzice znaleźli się w Berlinie w nieciekawej sytuacji psychicznej i materialnej, będąc prawie całkowicie uzależnieni od rodziny. Reichowie zamieszkali u ojca Heleny, emerytowanego rabina, utrzymywanego przez braci, którzy wspierali także przybyłą z Polski rodzinę. Związek Marcela z dziadkiem – jak wynika z autobiografii – był bardzo luźny. Dzia-

dek namawiał go, aby został rabinem, stwierdzając z autoironią, iż w tym zawodzie można porządnie poleniuchować. „Jak widać, był to człowiek trzeźwy, nie bez poczucia humoru. A ponieważ rabin winien w pierwszym rzędzie funkcjonować jako nauczyciel, nie jest wykluczone, że dziadek wcale nieźle mnie ocenił. Albowiem w zawodzie, na który zdecydowałem się po kilku rozmaitych próbach, czyli w zawodzie krytyka, dominuje czynnik pedagogiczny – a przynajmniej powinien dominować”. Marcel dziedziczy po śmierci dziadka złoty zegarek. „Przyjąłem go nie bez dumy i zachowałem go aż do warszawskiego getta. I tam właśnie, choć sprawiało mi to ból, zmuszony byłem sprzedać ów piękny, staroświecki zegarek. Potrzebowałem jednak pilnie pieniędzy – na opłacenie aborcji”. Wspomnienia o tym są niejako antycypacją późniejszych wydarzeń w getcie, gdzie życie w pewnych fragmentach zdawało się jednak toczyć normalnie.

W wieku trzynastu lat został Marcel, zgodnie z żydowskim zwyczajem, przyjęty w synagodze przy Lüzowplatz do wspólnoty wierzących, chociaż – jak wspomina – nigdy nie żył z Bogiem czy przeciwko Bogu. „Nie pamiętam ani jednej chwili w moim życiu, kiedy wierzyłbym w Boga. Rebelia Prometeusza z Goethego »Jak ciebie czcić? Za co?« – jest mi całkowicie obca. W latach szkolnych od czasu do czasu daremnie starałem się pojąć sens słowa »Bóg«, aż pewnego razu natknąłem się na aforyzm Lichtenberga, który mnie wprost oświecił – skąpa uwaga, że Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo, znaczy w rzeczywistości, że człowiek stworzył boga na swoje podobieństwo... Dzięki błyskotliwie sformuło-

wanemu pogładowi Lichtenberga tym łatwiej przyszło mi żyć bez Boga”. Zdziawiająco dużo miejsca poświęca Reich-Ranicki w swej autobiografii sprawom religii mozaistycznej, polemizując z jej bezsensownymi nakazami i przepisami.

Bystry i inteligentny Marcel nie miał w szkole żadnych kłopotów. Już we Włocławku poszedł od razu do drugiej klasy, bo umiał płynnie czytać. Jego ówczesne lektury nie były zbyt oryginalne: czytał to, co większość dzieci: *Olivera Twiasta* i *Robinsona Crusoe*. Do szkoły podstawowej uczęszczał w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg, a do realnego gimnazjum w Schöneberg. Przybysz z polskiej prowincji czuł wszakże pewien dystans ze strony swych kolegów, co skłoniło go do specyficznej czujności. Potencjalną dyskryminację niwelował znakomitymi wynikami – najpierw w matematyce, a później również w przedmiotach humanistycznych. Jego namiętnością stały się literatura i teatr. Po obejrzeniu, pod koniec 1932 roku, *Wilhelma Tella* w teatrze przy Gendarmenmarkt zanurzył się bez opamiętania w lekturze dzieł Schillera, m.in. *Zbójców*, w których odnalazł postać przypominającą mu bezradnego ojca. Podziwem darzył natomiast, wykorzystanego przez nazistów przeciwko awangardzie i tzw. sztuce zdeprawowanej, aktora i reżysera Gustafa Gründgensa.

Teatr był dla młodziutkiego Marcela niejako najpiękniejszym schronieniem – „właśnie dlatego, że w Niemczech panowali barbarzyńcy, pilnie potrzebowałem takiego azylu... Tak więc w środku Trzeciej Rzeszy literatura niemiecka wraz z berlińskim teatrem sprawdziły się jako wieża z kości słoniowej dla żydowskiego wyrostka”. Zarobione u wuja kieszonko-

we wydawał na dwa lub trzy przedstawienia w miesiącu. Oczywiście wielu znakomitych dramaturgów, takich jak Hofmannsthal, Schnitzler, Sternheim, Hasenclever czy Toller, nie wolno było wystawiać z racji ich żydowskiego pochodzenia. Podobnie zresztą ukarano przeciwników Trzeciej Rzeszy (Brechta, Kaisera) oraz pisarzy „wynaturzonych”, takich jak Wedekind czy Barlach. Młody Marcel ogląda więc przede wszystkim klasykę – Szekspira, Shawa, Gogola, Lessinga i Hauptmanna. Aż dziw bierze, że cenzura nazistowska dopuściła na scenę również sztuki Oscara Wilde’a. Barwnie i szczegółowo snuje Reich-Ranicki na stronach autobiografii swą przygodę z teatrem, który go podniecał i dostarczał głębokich wrażeń. Niektóre sztuki wywarły na młodym człowieku szczególnie silne wrażenie, np. *Romeo i Julia* Szekspira. „Dopiero w ów wieczór pojąłem, czym jest miłość. Może dlatego, że teatr jest bardziej zmysłowy i obrazowy od najpiękniejszych nawet nowel i ballad?... Po raz pierwszy pojąłem, a możliwe jedynie wyczułem, że miłość jest chorobą, która nie zna granic, że egzaltacja dotkniętych nią i uszczęśliwionych prowadzi do szaleństwa, które przeciwstawia się, a co najmniej usiłuje przeciwstawić się całemu światu. Zrozumiałem, że miłość jest błogosławieństwem i klątwą, że jest łaską i katastrofą. Jak uderzenie pioruna poraziło mnie odkrycie, że miłość i śmierć należą do siebie, że kochamy, ponieważ musimy umrzeć”. Krytyk przytacza dziesiątki inscenizacji, nazwiska reżyserów i aktorów oraz różne wydarzenia. Należy szczerze podziwiać ową wręcz genialną pamięciową rekonstrukcję, choć zapewne nie bez wsparcia materiałami archiwalnymi.

Agresywny reżim hitlerowski wpędza młodego i opuszczonego przez aryjskich kolegów Marcela w coraz większą izolację. Wzmaga się jego nadwrażliwość i specyficzna przekora, które później tak bardzo zdominowały jego warsztat krytyczny, ale to panująca w pruskiej szkole dyscyplina, pedantyczność, pracowitość i porządek określiły w dużej mierze drogę życiową Reicha-Ranickiego. Kilku nauczycieli – wśród nich Reinhold Knick i Carl Beck – doceniło wczesną dojrzałość intelektualną swojego ucznia, przepowiadając mu nawet – *nomen omen* – karierę krytyka. Naturalnie było niemożliwością, żeby w hitlerowskiej szkole obeszło się bez aktów nadgorliwości i faszystowskiej lojalności, jak w przypadku dyrektora i funkcjonariusza partyjnego Heiningera czy Fritza Steinecka, proponującego skomponowanie nowej melodii do tekstu hymnu Hoffmanna von Fallersleben, ponieważ umundurowanym członkom NSDAP i S.A. nie wypadało wykonywać kompozycji Żyda Felixa Mendelssohna Bartholdy’ego.

Starszy brat Marcela – Aleksander, który ukończył studia stomatologiczne, otwiera w 1935 r. praktykę w Warszawie. Niepokojące ekscesy nazistów wobec Żydów nie mogły być niezauważone przez rodzinę Reichów, lecz nie myślała ona – jak tysiące współziomków w Berlinie – o emigracji, bowiem skromne środki finansowe nie wróżyły za granicą sukcesów. Niemniej jednak siostra Marcela – Gerda wyjeżdża z mężem krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej do Londynu. Najłatwiej było udać się do Polski, ponieważ Reichowie mieli polskie paszporty, a po 1933 r. nie było żadnych szans uzyskania obywatelstwa niemieckiego.

Mimo to wahano się, ponieważ po śmierci Piłsudskiego znacznie wzrósł w Polsce i wcześniej dostatecznie silny antysemityzm.

W 1938 r. przystępuje Marcel do egzaminu dojrzałości. Niemiecki, w którym zawsze brylował, zdaje jedynie dobrze. Hitlerowska polityka dyskryminacji wobec Żydów funkcjonowała w szkolnictwie perfekcyjnie, nic zatem dziwnego, że na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Berlińskiego nie znalazło się miejsce dla świeżo upieczzonego absolwenta, mimo osobistej interwencji u rektora. Wydaje się, że Reich-Ranicki do dziś – mimo późniejszych wielorakich wyróżnień uniwersyteckich w postaci doktoratów honorowych i profesur gościnnych – nie może pogodzić się z tym, że nigdy nie zasiadł w audytorium w charakterze studenta.

Warszawskie piekło

Tymczasem do Warszawy wyemigrowali ojciec i, już wcześniej, brat Aleksander, a wkrótce potem podążyła za nimi matka. Marcel niechętnie myśli o Polsce. Pracuje więc w żydowskiej firmie eksportowej w Berlinie, licząc raczej na ewentualny wyjazd do siostry w Londynie. Ale 18 października 1938 r. budzi go policjant i odstawia na „Schlesischer Bahnhof”, skąd zostaje deportowany do Polski. Tak oto z powieścią Balzaka i pięcioma markami w kieszeni znalazł się w kraju jakże odległym od kultury niemieckiej. „Co też miałbym porabiać w kraju, który był mi całkiem obcy, którego język rozumiałem wprawdzie, choć nie tak, bym mógł się nim posługiwać? Co miałbym począć w Polsce, ja, który nie miałem żadnego zawodu ani nie dostrzegałem szans wyucze-

nia się jakiegokolwiek?... A jednak zabrałem na drogę coś jeszcze, coś co prawda niewidzialnego. Nie myślałem o tym w zimnym pociągu, który deportował mnie z Niemiec. Nie mógłbym też wówczas przeczuć, jaka rola w moim przyszłym życiu przypadnie owemu niewidzialnemu bagażowi, o którym wtedy sądziłem, że jest niepotrzebny i zbędny. Albowiem z kraju, z którego mnie wygnano, zabrałem na drogę język niemiecki, oraz literaturę, też niemiecką”.

Wcześniej, bardzo wcześniej, poczuł gorycz outsidera, człowieka bez zawodu i bez perspektyw w polskiej społeczności, gdzie mocno pobrzmiwały tony antysemickie. Paradoksalnie kraj urodzenia stał się krajem wygnania. Próbuje jednak jakoś sobie radzić. Udziela korepetycji, chodzi do teatru i na koncerty, które – podobnie jak w okresie berlińskim – dosyć szczegółowo opisuje. Ale najchętniej penetruje warszawskie biblioteki w poszukiwaniu literatury niemieckiej, mającej uzupełnić luki w wiedzy o takich pisarzach emigracyjnych jak Tomasz i Henryk Mann, Stefan Zweig, Alfred Döblin, także Franz Werfel i Bertolt Brecht. W wielu prywatnych bibliotekach znajduje dzieła w oryginale, a przy okazji zapoznaje się z obcą mu prawie literaturą polską. Pomocny okazuje się tutaj przyjaciel brata, który niejako w rewanżu za lekcje konwersacji w języku niemieckim zapoznaje go z dziejami literatury polskiej. „Wnet byłem też w stanie dokonać odkrycia, na które wcale nie liczyłem, a które nieco później miało odegrać w moim życiu wcale niebanalną rolę. W pierwszych miesiącach roku 1939 odkryłem polską poezję, zwłaszcza nowoczesną, współczesną... W rzeczy samej: obok dzieł Chopina liryka

jest najpiękniejszym wkładem Polaków do sztuki europejskiej”. Tak więc literatura niemiecka i polska poezja chronią Reicha-Ranickiego przed depresją, szczególnie w okresie kiedy Hitler triumfalnie zdobywa Europę. Wszyscy liczyli na aliantów, Ranicki też, czemu dał później wyraz w pocztówce do przebywającej w Londynie siostry. „Przez cały czas trwania wojny byłem pewny zwycięstwa aliantów, nawet przez chwilę nie wątpiłem. Nawet podczas nieustannie słonecznych, a dla nas mrocznych dni po zdobyciu Paryża moje przekonanie nie zachwiało się nawet na chwilę. Byłoby to myślenie życzeniowe? Nie, chyba nie. Skąd zatem czerpałem pewność? Zawiniło zapewne pruskie gimnazjum, które stale, również na lekcjach niemieckiego, wpajało nam przekonanie, iż w dziejach ludzkości ostatecznie zawsze zwyciężała sprawiedliwość”.

Armia niemiecka zbliża się do Warszawy ogarniętej chaosem ewakuacji. Również Ranicki wraz z bratem uciekają na wschód, gdzie napotykają zniszczone wioski i zburzone miasta. Niedaleko Brześcia przekraczają Bug i po dalszej wędrówce zatrzymują się w małej wiosce na Polesiu. „Nie było tam bomb, były jedynie łąki, lasy i pastwiska, jeziora i mokradła oraz nędzne chłopskie chaty. W każdym razie można w nich było zanoć. Tyle że łóżek nie było; wieśniacy sypiali na ławach, rozstawionych wzdłuż ścian. Ławy, zydle i stoły – oto całe umeblowanie. Żadnych szaf, żadnych komód? Nie, najwyraźniej nie były one potrzebne mieszkańcom wsi. Nie posiadali nic takiego, co można by umieścić w szafach lub komodach. Przepaść cywilizacyjna pomiędzy zachodnią a wschodnią częścią Polski była bardzo duża – to się wiedzia-

ło. Że jednak jest tak ogromna, że istniały w Polsce okolice, gdzie ludzie żyli nie inaczej niż w średniowieczu – tego dowiedziałem się dopiero we wrześniu 1939 roku”. Mieszkańcy tej wsi – dodaje Ranicki – „byli, podobnie jak spora część polskiej ludności, analfabetami”. Nie pozostali tu długo. Wynędzniali i skrajnie wyczerpani wrócili do Warszawy, która okazała się jednym wielkim rumowiskiem. W zniszczonym przez bomby mieszkaniu zastali wystraszonych rodziców, a w zajętej przez Niemców stolicy polskiej, gdzie w ówczesnej Europie mieszkało wówczas bodaj najwięcej Żydów, pejzaż prawdziwie tragiczny w swej wymowie. Ulicami snuły się dziwne i dla okupantów dotąd nieznanne postaci: ortodoksyjni Żydzi, używający częściowo zrozumiałego dla Niemców języka jidysz, owi przez „Stürmerra” opluwani podludzie, „owe straszliwe azjatyckie hordy, które zagrażają Europejczykom, a Aryjczyków, szczególnie Niemców, zamierzają pozbawić życia”. Ortodoksyjnych Żydów poniżano obcinaniem brody, w czym niestety brała udział również miejscowa ludność. „Kto wyłapywał? Niemieccy żołnierze? Oczywiście oni również, ale częściej ci, którzy natychmiast oddali się na usługi nowym panom: polscy chuligani i nieroby wszelkiej maści, często wyrostki, szczęśliwe, że znalazły zajęcie zabawne i obfite w najróżniejsze sytuacje”. Wkrótce zabrano się również do Żydów asymilowanych, napadano na dobrze sytuowane domy mieszczkańskie, gdzie rabowano złoto i biżuterię, ale też dawano upust najniższym instynktom: „Żołnierze napadający co rusz na żydowskie mieszkania – wspomina Reich-Ranicki – chcieli się wzbogacić. Lecz nie można nie doceniać także inne-

go motywu: robili coś, co najwyraźniej sprawiało im przyjemność. Do owego pragnienia rozrywki dołączył często sadyzm, który wypadało skrywać w ojczyźnie, natomiast w nieprzyjacielskiej Polsce, o czym przekonani byli niezliczeni Niemcy w mundurach, tłumienie go nie było potrzebne: z nikim i z niczym nie musieli się liczyć, nie podlegali żadnemu nadzorowi i żadnej kontroli. Inaczej niż nad Renem lub Menem, nareszcie mogli czynić to, o czym od dawna marzyli: ześwińnić się”. Nie wszyscy dzielnie znosili te upokorzenia, czego przykładem mógł być ojciec przyszłej żony Ranickiego – przemysłowiec z Łodzi, który popełnił samobójstwo. To właśnie w tych przykrych okolicznościach poznaje Marcel 19-letnią Teofilę Langnas, którą poślubi w getcie 22 lipca 1942 roku.

Wiosną 1940 roku, z powodu rzekomej groźby wybuchu epidemii, zamknięto dzielnicę, w której mieszkali Żydzi, i oddzielono ją trzymetrowym murem z drutem kolczastym na szczycie, co uzasadniano ochroną Żydów przed napaściami. Ranicki komentuje to wydarzenie jednoznacznie: „Szesnastego listopada 1940 roku zamknięto dwadzieścia dwie bramy (później było ich już tylko piętnaście) i odtąd pilnowało każdej w dzień i w nocy sześć posterunków: dwóch niemieckich żandarmów, dwóch polskich policjantów i dwóch członków żydowskiej milicji, nazywanej Żydowską Służbą Porządkową. Milicja nie była umundurowana, lecz łatwo rozpoznawalna: milicjanci poza obowiązującą wszystkim opaską nosili jeszcze drugą w kolorze żółtym, ponadto mundurową czapkę, a na piersi metalowy szyld z numerem. Uzbrojeni byli w pałki. I tak »Strefa zagrożenia epidemią«,

tak dzielnica miasta oficjalnie zwana »żydowską dzielnicą mieszkaniową«, przekształciła się w gigantyczny obóz koncentracyjny: w warszawskie getto”.

Po utworzeniu Rady Żydowskiej szukano do pracy biuralistów ze znajomością języków niemieckiego i polskiego. Marcel, choć najmłodszy, zostaje szefem czteroosobowej grupy „Biura tłumaczeń i korespondencji”, do której należą prawnik, zawodowy tłumacz i pisarka Gustawa Jarecka. Na marginesie tych wydarzeń snuje Ranicki taką refleksję: „Zaczynałem więc jako samouk – i pozostałem samoukiem. Po maturze nikt już nie zatroszczył się o nauczenie mnie czegokolwiek. To, co umiem, zdobyłem sam. Nie jestem z tego powodu dumny i nikomu nie zalecam naśladownictwa. Stałem się samoukiem nie z własnego wyboru, lecz z konieczności. Zapewne łatwiej by mi się żyło, gdybym postudiował kilka lat na jakimś uniwersytecie. Nie jest wykluczone, że niektóre bądź godne pożałowania, bądź też cenne właściwości moich prac krytycznoliterackich wiążą się z owym samouctwem”.

Chociaż literatura o getcie jest dziś na świecie obfita, opis owej tragedii w *Moim życiu* jest wręcz niepowtarzalny, noszący ów specyficzny „stygmata bliskości” i pozostawiający wewnątrz owych wydarzeń: „Sławni uczeni i prymitywni tragarze, znakomici lekarze i żałośni żebracy, popularni artyści i zwykli domokrażcy, bogaci bankierzy i mali oszuści, dzielni kupcy i poczciwi rzemieślnicy, ortodoksi, którzy ani przez chwilę nie kwestionowali wiary swych przodków, i konwertyści, którzy o żydostwie nic nie chcieli wiedzieć i na ogół istotnie nic nie wiedzieli – wszyscy oni, trapieni tysiącem obaw,

znaleźli się w getcie, skazani na cierpienie i nędzę, znoszący głód i mróz, bród i odchody. Na nich wszystkich, młodych i starych, sprytnych czy głupawych, położył się mroczny, straszliwy cień, od którego nie sposób było się uwolnić: cień śmiertelnego strachu [...] Zubożenie mieszkańców getta postępowało błyskawicznie – a władze niemieckie starały się proces ten dodatkowo przyspieszać. I tak w 1941 roku zarekwirowano wszystkie futra będące w posiadaniu Żydów, nie tylko futrzane płaszcze, bo także kołnierze i czapki. W getcie występowało naturalnie również złodziejstwo, natomiast nie było ani jednego przypadku morderstwa – za to jeden przypadek kanibalizmu: trzydziestoletnia kobieta, która oszalała z głodu, usiłowała spożyć posiłek wycięty ze zwłok dwunastoletniego syna. Kiedy tłumaczyłem stosowny raport na niemiecki, pouczono mnie, że tę sprawę powinno się zachować w tajemnicy [...] W getcie kręcono również filmy: wielu niemieckich żołnierzy i oficerów sporządzało pamiątki przed wyjazdem do domu. Pracowali również zawodowi filmowcy, zapewne członkowie Kompanii Propagandowych. Preferowanymi motywami byli żebracy i kaleki, których widok miał świadczyć o żydowskim brudzie i wywoływać obrzydzenie. Kręcono również sytuacje inscenizowane: filmowcy prowadzili żałośnie, a nawet odpychająco wyglądających Żydów do restauracji w getcie. Właścicielowi nakazywano, aby możliwie bogato zastawił stół niedobrowolnych gości. Reżyser bądź kamerzysta aranżowali hulankę: miało to pokazać, jak dobrze Żydom się żyje [...] Kręcono także sceny seksualne: niemieccy dokumentaliści z pistoletem w ręku zmuszali

młodych mężczyzn do kopulowania ze starymi i niezbyt atrakcyjnymi kobietami, a młode dziewczęta ze starymi mężczyznami. Filmów tych, które częściowo odnaleziono po wojnie w berlińskich archiwach, nigdy publicznie nie pokazano: podobno ministerstwo propagandy oraz inne instancje niemieckie obawiały się, że miast odrazy mogłyby wzbudzić litość”.

Reich-Ranicki relacjonuje również swoje kontakty z twórcą tajnego archiwum w getcie – historykiem Manuelem Ringelblumem oraz opisuje bez tragicznego patosu ostatnie chwile Adama Czerniakowa. Na początku ten, jak go określa – męczennik i bohater, próbował sprostać swej misji. Usiłował łagodzić bezmiar zbrodni, a mimo to pogardzano nim i okrutnie znienawidzono. Naturalnie – czego autobiografia nie ukrywa – nie był wolny od ludzkich słabości: był trochę naiwny i próżny. Próbowano go też obarczyć winą za barbarzyństwo Niemców, czemu Reich-Ranicki ostro się sprzeciwia. Upokarzany, bity i torturowany trwał na posterunku. Jest natomiast prawdą, że otaczali go agenci gestapo, o czym nie miał najmniejszego pojęcia. Kiedy nastąpiła gwałtowna eksterminacja i pewnego dnia zażądano od niego dostarczenia na Umschlagplatz 10 000 Żydów, a każdego następnego dnia 7000 – zażył cyjanek. Do żony napisał: „Żądają ode mnie, abym własnymi rękoma zabijał dzieci mego narodu. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć”. Krytyk zamyka ten rozdział wspomnieniem znamienną refleksją: „Kiedy usłyszałem o samotnej śmierci Adama Czerniakowa, pomyślałem oszołomiony i wstrząśnięty o tych poetach, których nie tylko lubił i chętnie cytował, lecz także brał na serio. Pomyślałem o wielkich pol-

skich romantyków oraz o wielkich niemieckich klasykach”.

Między 23 lipca a wrześniem 1942 roku większość Żydów wywieziono z getta i zamordowano w Treblince. Marcel i Tosia przetrwali kolejne selekcje. „Tosia i ja, byłem bowiem jeszcze potrzebny jako tłumacz, otrzymaliśmy »numerki życia« – lecz nie mieliśmy pewności, czy Niemcy istotnie zechcą owe numerki honorować”. Tego szczęścia nie mieli jego rodzice, którzy zresztą poddali się psychicznie. „Powiedziałem im, gdzie mają się ustawić. Ojciec patrzył na mnie nieco bezradnie, matka zdumiewająco spokojnie. Była starannie ubrana: miała na sobie jasny prochowiec, przywieziony z Berlina. Wiedziałem, że widzę ich ostatni raz [...] Ostatnie słowa, jakie Tosia usłyszała od mojej matki, brzmiały: »Dbaj o Marcela«. Ale Tosia i Marcel i tak byli naznaczeni piętnem zagłady. Do aryjskiej części miasta nie chcieli uciekać, bo szerzyło się tam okrutne donosicielstwo. 18 stycznia 1943 roku, po oblławie w domu, włączono ich do kolumny śmierci, z której udało im się krótko przed Umschlagplatzen uciec, i 3 lutego opuścili getto, lecz nie czekało ich nic dobrego: zostali bowiem zatrzymani przez policję granatową, którą musieli przekupić, nie wiodło im się również u pewnej rodziny, która dla korzyści finansowych ukrywała wprawdzie Żydów, ale przy okazji też ich szantażowała. „Tysiące Polaków, przeważnie wyrostków, którzy dorastali bez szkoły i bez uniwersytetu, a często i bez ojców, bo wielu znajdowało się w obozach jenieckich, którzy niczego się nie nauczyli i nic nie mieli do roboty, spędzali czas na podejrzliwym taksowaniu przechodniów: wszędzie, a szczególnie w pobliżu granic getta

szukali, a właściwie polowali na Żydów. Owo polowanie było ich zawodem, a chyba i namiętnością. Rozpoznawali Żydów nieomylnie. Jakimi kierowali się znakami? Jeśli nie było innych, wówczas – powiadano – wystarczyły smutne oczy, po jakich ich poznawano”.

Pewien bezrobotny mechanik precyzyjny zaproponował mu wywiezienie w przebraniu kolejarskim do brata poza Warszawę, co też perfekcyjnie zrealizował. „Nie upłynął jeszcze kwadrans rozmowy” – wspomina Ranicki już na miejscu – „gdy Bolek zaskoczył mnie bardzo prostym i całkiem naturalnie wygłoszonym zdaniem: »Byłoby pięknie, gdyby pan mógł przeżyć tu u nas tę straszną wojnę«”. Wkrótce dotarła tu również Tosia, pracująca w Warszawie jako pomoc domowa, którą kiedyś zaskoczyła jej chlebodawczyni przy grze walca Chopina i „nie miała wątpliwości, że nowa służąca jest Żydówką, ba, że musi być Żydówką. I tak zakończyła się zawodowa kariera Tosi w okupowanej Warszawie. Jej fałszywe papiery stały się bezużyteczne. Nie wahała się ani chwili i po wielu godzinach dotarła do domu Bolka [...] W jego żalonym domku przetrwalibyśmy niemiecką okupację; nasze życie zostało uratowane – przez zecera Bolka i jego żonę Genię”.

Tu właśnie w najprymitywniejszych warunkach przeżyli okupację. Wieczorami, kiedy często wyłączano prąd, Reich-Ranicki przy lampie naftowej lub karbidowej na prośbę Bolka opowiadał miesiącami zręcznie skonstruowane fabuły z powieści i dramatów, nowel i oper od Goethego, Schillera i Kleista poprzez Storma, Fontanego i Szekspira aż po *Aidę*, *Traviatę* i *Rigoletto*. Jak przyznaje, bezwstydnie przekręcał i redukował treść, aby za-

spokoić oczekiwania swoich słuchaczy. Na życie zarabiali produkcją papierosów i odrabianiem lekcji. Bolek przynosił do domu zeszyty z tzw. tajnych kompletów i Tosia pisała wypracowania, a Marcel rozwiązywał arytmetyczne zadania. Ze strachem, ale i z wielką nadzieją oczekiwano żołnierzy Armii Radzieckiej. „Potem ktoś zastukał gwałtownie do drzwi wejściowych, najpewniej kolbą od karabinu. Drzwi otworzył Bolek, drżący, lecz z podniesioną głową. Przed nim ukazał się zmęczony rosyjski żołnierz i zapytał głośno: »Njemcow njet?«. Gdzie przez piętnaście miesięcy nieustannie drżeliśmy, że ktoś zastuka do drzwi i zapyta: »Żydów tu nie ma?«, gdzie jeszcze przed godziną podobne pytanie oznaczało naszą śmierć, tam nagle zaczęto szukać Niemców. Bolek zaprzeczył i przywołał mnie. Założył, że mnie będzie łatwiej porozumieć się z rosyjskim żołnierzem. Ten bystro na mnie spojrział i zapytał: »Amchu?« Nie miałem pojęcia, że było to słowo używane w Rosji (a znaczące mniej więcej: »Czy należysz do narodu?«), z pomocą którego Żydzi upewniali się, czy ich rozmówca również

jest Żydem. Ponieważ dostrzegł mą bezradność, sformułował pytanie wprost: Czy jestem »jewrejem? Jest to rosyjskie oznaczenie »Hebrajczyka«. Odpowiedziałem szybko: »Tak, ja jewrej«. Odparł ze śmiechem: »Ja tożę jewrej. Moje nazwisko Fischmann«. Uścisnął mi mocno rękę i zapewnił, że wnet wróci, teraz jednak śpieszy się: pilno mu do Berlina”.

Marcel i Tosia opuścili wkrótce miejsce swego uciążliwego azylu. Kiedy po wielu miesiącach Reich-Ranicki odwiedził Bolka w mundurze oficerskim, ten stwierdził lakonicznie: „Zatem podarowałem armii polskiej oficera”. Pełni wdzięczności Raniccy długo utrzymywali kontakty z Bolkiem i Genią, a później również z ich córką. Ich wybawcy nigdy nie myśleli o pieniądzach. „Motywy były inne” – stwierdza Marcel – „a mogę je opisać używając jedynie wyświechtanych od dawna słów: współczucie, dobroć, człowieczeństwo”^{*}.

* Fragment książki „Marcel Reich-Ranicki: »Moją ojczyzną jest literatura«, Wyd. Ossolineum, Wrocław 2007.

Andrzej Lam

Joseph von Eichendorff (1788-1857)

Eichendorffowie byli starym rodem szlacheckim, wywodzącym się z Bawarii, a od XIII w. osiadłym w księstwie magdeburskim i w elektoracie Brandenburgii. W pierwszej połowie XVII w. grasująca tam zaraza zdziesiątkowała rodzinę. Jeden z nich, Jakob von E., pozyskał przez ożenek dobra na habsburskim wtedy Śląsku w powiecie raciborskim. Jego bratanek Hartwig Erdmann (zm. 1682) zbył posiadłości rodowe i objął schedę po stryju, którą pomnożył o dobra Sedlnitz na Morawach. Mianowany przez cesarza Leopolda I Landeshauptmannem, otrzymał w 1679 r. tytuł barona (Freiherr), przeszedł z protestantyzmu na katolicyzm i stał się protoplastą śląskich Eichendorffów. W rodzinie często pojawiają się kobiety o polskich nazwiskach: baronówna Orlik z Łazisk, grafini Praschma (Praschka), Anna Hedwig Matuschka (Matuszka) z Topolczan, Anna Margaretha Smerowski z Lidkowic. Adolf, ojciec pisarza, sprzedał dziedziczne dobra i nabył w 1783 r. majątek Radoszowy w powiecie kozielskim, poślubił w 1784 r. Karolinę von Kloch, której rodzice posiadali dobra Łubowice (Lubowitz) ok. 10 km na północ od Raciborza, i porzuciwszy służbę

wojskową, osiadł jeszcze za życia teściów na tamtejszym zamku. Tu urodził się 10 marca 1788 Joseph Karl Benedikt von Eichendorff jako drugi syn; ze starszym o półtora roku Wilhelmem łączył go potem serdeczny związek. W 1791 r. ojciec nabył zamek w Toszku, a w roku następnym odsprzedał Radoszowy swojemu bratu.

Śląsk należał od 1742 r. do Prus, odebrany Marii Teresie po śmierci jej ojca Karola VI przez Fryderyka II, ale wpływy kulturalne Wiednia utrzymywały się tu jeszcze długo, zwłaszcza wśród konserwatywnie usposobionej, katolickiej szlachty, trwającej w kulturze habsburskiego baroku i odpornej na wpływy zarówno wieku Oświecenia, jak rewolucji francuskiej (przyszły pisarz urodził się w roku poprzedzającym jej wybuch). Życie płynęło w tym środowisku spokojnym trybem, urozmaiconym przez sąsiedzkie spotkania z towarzyszeniem muzyki i śpiewu, huczne polowania, wyprawy na jarmarki do sąsiednich miasteczek, wycieczki konne. Utrzymywano też nadal stosunki ze szlacheckimi rodzinami austriackimi i z towarzystwem wiedeńskim. Kultura ta stanowiła jakby archipelag wysp w otocze-

niu ludności wiejskiej i rzemieślniczej, w znacznej części słowiańskiej, polsko-śląskiej. W twórczości Eichendorffa zachowały się liczne ślady zapamiętanej z dzieciństwa obyczajowości i okolicznego pejzażu, chociaż pisarz nie wprowadzał do swoich utworów toponimicznych realiów śląskich – może dlatego, że przejęte wartości stały się dla niego symbolami innego, szlachetniejszego życia, rodzinnym archetypem, dalekim od regionalizmu i pretendującym do rangi uniwersalnej jako wyraz trwałej formacji kulturowej i moralne zobowiązanie dla Niemiec jako całości. Wznoszący się nad Odrą zamek z rozległym ogrodem i widokiem na okoliczne, pokryte lasami wzgórza, na płynące rzeką statki, które zachęcały do żeglugi w nieznaną dal, powraca wielokrotnie w jego poezji jako świat utracony, ale ciągle obecny we wspomnieniu i godny przechowania w pamięci zbiorowej. Miała temu służyć poetycka sublimacja o wielkiej sile oddziaływania; z czasem też zyskał Eichendorff pozycję jednego z najbardziej ulubionych i popularnych w Niemczech poetów, a stworzone przez niego wzorce marzycielskiego, nadającego rzeczywistości cechy baśniowe odczuwania świata stały się trwałym składnikiem romantyzmu o zasięgu ogólnoeuropejskim.

Wychowaniem chłopców zajmował się ksiądz Bernhard Heinke, a najbliższym towarzyszem zabaw był wikary Paul Ciupke, o usposobieniu pogodnego dziwaka, majsterkowicza i marzyciela. Do ulubionych lektur należały stare romanse, popularne także wśród ludu: *Magiellona*, *Genowefa*, *Dzieci Heimona*, przekłady powieści angielskich i francuskich, opisy podróży, poezje Matthiasa Claudiusa.

Józef czytał je najchętniej ukryty wśród konarów starej gruszy na zboczu ogrodu (motyw chłopca siedzącego na drzewie i patrzącego na okolicę często występuje w jego poezji), a talent literacki objawił wcześniej, próbując w wieku dziesięciu lat swych sił w dramacie o tematyce rzymskiej. Prowadził też od 1800 roku zapiski w dzienniku, który zachował się z wyjątkiem partii zniszczonych potem przez syna Hermanna.

Eichendorff znał język polski w jego śląskiej odmianie. W gimnazjum wrocławskim poświadczono, że „jako utrakwista zna ten język dosyć dobrze”; ocena wypadła umiarkowanie zapewne właśnie dlatego, że słyszał w otoczeniu język ludowy, a nie literacki. Dziennik zawiera nieco polskich realiów, wymienia np. służącego Iskrę, myśliwego Chrobaka, kościółek „Mageboze” (Matki Boskiej) w pobliżu Lubowic, nazwy miejscowe, np. „ostra gura”, a siostrzyczka Luise, która przyszła na świat w 1804 roku, nazwana jest pieśczośliwie Luiska. Nierzadko przedostają się do zapisów polskie zniemczone słowa, takie jak „Kischka” (zsiadłe mleko), „Wildschur” (wilczura, okrycie futrzane), „Minkę” (zalatne minki dziewcząt) i wzmianki o miejscowych obyczajach, np. o polewaniu się wodą w drugi dzień Wielkijnocy czy o „Ruten-Schmagostern”, czyli o smaganiu witkami wierzbowymi śpiochów niewstających dość wcześnie z łóżek. Przysłuchiwał się też śląskim pieśniom ludowym, gawędom i podaniom, które jeszcze w jednym z ostatnich swoich listów nazywał „Boiken” (bajkami). W dzienniku nie ma mowy o żadnych konfliktach narodowościowych, jeśli nie liczyć awantury przy faraonie, podczas której dwóch oficerów,

Polak Kordikowski i niemiecki graf Pinto, okładało się po głowie świecznikami. Są natomiast wzmianki o prowadzonych z bratem po polsku rozmowach i o śpiewaniu polskich pieśni przy gitarze i fortepianie, np. „Od Krakowa jadę, ściele mi się droga, daj mi, dziewczę, buzi, bój się Pana Boga). Również w niedatowanym brulionie listu do Klemensa Brentano wymienione są polskie pieśni – przykładowo „von Andreaschek”, jak można się domyślać, o andraszku. Nie oznaczało to nic więcej, jak sympatię do miejscowego folkloru (dochodzącą też do głosu w żartobliwym wierszu *Polak*), ale nie pozostał on bez wpływu na charakter i niektóre motywy poezji Eichendorffa.

Beztróskie życie zakłócały tarapaty finansowe ojca, który musiał okresowo ukrywać się przed swoimi wierzycielami. Naukę szkolną rozpoczęli obaj bracia w 1801 roku w katolickim gimnazjum wrocławskim (z siedzibą w gmachu uniwersyteckim), mieszkając w stowarzyszonym konwikcie św. Józefa. Po rozwiązaniu zakonu jezuitów wprowadzono w całym szkolnictwie wzory protestanckie, w gimnazjum pozostała jednak szkoła muzyczna na użytek codziennych nabożeństw i teatr szkolny. Z tego czasu pochodzą pierwsze próby poetyckie i artykuły do „Wochenzeitung”. W mieście grywano sztuki Goethego i Schillera, wystawiano opery Mozarta, i na wszystkie te przedstawienia Eichendorff pilnie uczęszczał. Po ukończeniu gimnazjum w 1804 r. bracia przebywali jeszcze przez rok we Wrocławiu w towarzystwie dawnego wychowawcy Heinkego, słuchając wykładów akademickich. Na dalsze studia udali się do Halle, silnego już wtedy ośrodka mło-

dych romantyków. Podatni na nowe prądy studenci skupiali się wokół urodzonego w Norwegii filozofa natury Steffensa, którego wykłady przemieniały się w poetyckie improwizacje, młodzi teologowie wokół Schleiermachera. Eichendorff słuchał też wykładów filologa F.A. Wolffa, ale głównym celem obu braci było studium prawa, które miało im zapewnić zawodową karierę. Poza nauką życie studenckie wypełniały wycieczki konne i piesze, nastrojowe wieczory na Gibichenstein, ruinie zamku wznoszącego się nad Saalą, serenady śpiewane pod oknami prawdziwych lub wymyślonych kochanek. Latem często odwiedzano teatr w Bad Lauchstädt, gdzie występowała Weimarska Scena Goethego, i była to okazja, aby zobaczyć mistrza, który zjawiał się zresztą i w Halle, zainteresowany wykładami Gallego z nauki o czaszce. Po spędzonych w Lubowicach wakacjach w 1806 roku bracia nie wrócili już do Halle; uniwersytet został zamknięty po zwycięstwie Napoleona pod Jeną, a niebawem jego wojska zajęły Śląsk.

Wiosną 1807 nierozłączni bracia wyruszyli na dalsze studia do Heidelbergu, gdzie myśl i obyczajowość romantyczna były w pełnym rozkwicie; niedawno ukazał się opracowany przez Achima von Arnim i Klemensa Brentano zbiór pieśni staroniemieckich *Des Knaben Wunderhorn* (1805), który miał wywrzeć silny wpływ na lirykę Eichendorffa. Zwłaszcza wykłady Görresa z zakresu filozofii i estetyki odbierane były jako proroczy manifest nowej wrażliwości, a atmosfera miasta nad Neckarem przydawała życiu studenckiemu osobliwego uroku. Tu opublikował Eichendorff po raz pierwszy swoje wiersze w „Zeitschrift für Wissenschaft und

Kunst” pod pseudonimem Florens, który przybrał w przyjacielskim Związku Eleuzyńskim. Był wtedy pod urokiem sonetów zaprzyjaźnionego grafa Ottona Heinricha von Loeben. Poezja Eichendorffa szybko uwalniała się od sentymentalnej maniery, osiągając właściwą pieśni ludowej czułość i prostotę, tak w sposobie obrazowania, jak w melodyjności brzmienia. Charakterystyczny dla środowiska heidelberskiego zwrot ku dawności, rozbudzenie wyobraźni i idealizacja wypróbowanych cnót były formą protestu przeciw radykalizmowi i okrucieństwu rewolucji francuskiej (Görres przeszedł drogę od entuzjazmu dla rewolucji do głębokiego rozczarowania), ale także przeciw ograniczeniu, trywialności i tępcie filistrów. Zbieraniu w bibliotece cesarskiej materiałów rękopiśmiennych odnoszących się do staroniemieckiej przeszłości – na użytek prac Görresa – służyła też podróż braci do Paryża w 1808 roku, kończąca zarazem epizod heidelberski. Okrężną drogą przez Wiedeń wrócili do Łubowic z myślą, aby zająć się gospodarstwem.

Niedługo to jednak trwało. Eichendorff był pełen pomysłów twórczych, a mając teraz głębszą motywację i wykształconą już metodę, tym gorliwiej zbierał śląskie legendy i baśnie. W 1809 roku zaręczył się z młodzieńką Luizą von Larisch (według metryki kościoła parafialnego w Rybniku Aloysia Anna Viktoria, ur. 1792 w Niewiadomiu), córką sąsiada na dobrach w Pogrzebieniu. Zimą 1809-10 spędzili bracia w Berlinie, gdzie mogli bliżej poznać Arnima, Brentana, Adelberta von Chamisso (być może także Kleista) i słuchali wykładów Fichtego. Plany prowadzenia gospodarstwa trzeba było po-

rzucić, bo nierozważne spekulacje ojca spowodowały w tym ogólnie ciężkim czasie zadłużenie dóbr, grożące upadkiem. Bracia udali się więc jesienią 1810 do Wiednia, aby dokończyć studia prawnicze i złożyć egzaminy państwowe. Zamieszkali u kuzyna grafa Wilczka (w Stadtpalais przy Herrengasse 5) i zostali wprowadzeni w świetne towarzystwo z kręgu Fryderyka Schlegla, ale prowadzili życie bardzo skromne. Wśród osób, z którymi zawarli znajomość, wyróżniał się wpływowy wówczas kaznodzieja, redemptorysta Klemens Maria Hoffbauer, świeżo tu osiadły młody dramatopisarz Theodor Körner (wkrótce miał zginąć na wojnie) i serdecznie zaprzyjaźniony malarz Filip Veit. Odwiedziny w pobliskim Seebarn utrwaliły w pamięci widok Wiednia, który odezwie się potem w noweli *Z życia nicponia*. Spotkania z Schleglem i jego żoną Dorotą (córką filozofa Mosesa Mendelssohna) sprzyjały ukończeniu w 1812 roku pierwszej powieści, która prawdopodobnie za radą Doroty przybrała tytuł *Abnung und Gegenwart* (Przecucie i terażniejszość). Jest tu przedstawiony czas oczekiwania, cierpień wewnętrznych i potrzeby regeneracji duchowej po rozpadzie dawnych wartości, ale także urok rzadkich chwil, kiedy możliwe stają się związki bratnich dusz i zapładniające uczuciowo kontakty z naturą. W narrację wplecione zostały utwory poetyckie, i ten zwyczaj łączenia nastrojowej prozy z liryką okazał się trwałą cechą warsztatu pisarza.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego Eichendorff od razu zareagował na apel króla pruskiego, wzywającego w marcu 1813 z Wrocławia ochotników do walki z Napoleonem: widział w tym zaczyn wielkie-

go porywu wolnościowego. Rozstanie się z bratem oznaczało też koniec „lat wędrówki”. Mimo że został oficerem Landwehry, nie brał udziału w znaczących potyczkach, ważniejsze konsekwencje miało natomiast zaprzyjaźnienie się z Friedrichem de la Motte-Fouqué, który też uczestniczył w tych walkach (z jego przedmową ukazała się w 1815 roku pierwsza powieść Eichendorffa, nie wywołując zresztą żywszego oddźwięku). W kwietniu 1815 poślubił we Wrocławiu narzeczoną Luizę i udał się z nią do Berlina, gdzie otrzymał skromne stanowisko przy nadkomisarzu wojennym. Marzył jednak o Wiedniu, czego świadectwem jest list do Veita: „Nie wiem, na czym polega ten czar, ale nigdy nie pozbędę się tęsknoty za Wiedniem i ciągle jeszcze nie umiem się tu w Berlinie znaleźć [...] Tu wszystko jest mi obce i takim pozostanie: religia, usposobienie polityczne, a nawet ogólna gotowość, aby wyrokować o sztuce i nauce, przeraża mnie i bardziej drażni, niż cieszy, bo wydaje mi się, że mało jest w tym miłości”. Chciał skorzystać z pośrednictwa Schlegla, aby uzyskać jakieś stanowisko w Wiedniu, jednak bezskutecznie.

Po wznowieniu kampanii wojennej, zakończonej wkroczeniem z armią Blüchera do Paryża, znów był w służbie czynnej. W pierwszej połowie 1816 roku przebywał z rodziną, która powiększyła się tymczasem o syna Hermanna, w Pogrzebieniu. Złożył państwowy egzamin prawniczy i został referendarzem rządowym we Wrocławiu. Tymczasem po śmierci ojca w 1818 roku zadłużone dobra śląskie trzeba było sprzedać, a rodzinne Łubowice podzieliły niebawem ten sam los, kiedy w 1822 roku zmarła matka. Odtąd czas młodości stał się już tylko nostalgicznym

wspomnieniem utraconego raj. Los rzucał też go w zupełnie obce mu strony. W 1820 roku berliński minister kultury powierzył mu zarząd sprawami Kościoła i szkolnictwa katolickiego w prowincji Prusy Zachodnie, i w styczniu 1821 pisarz przeniósł się z rodziną do Gdańska, gdzie zamieszkał przy ul. Długiej 78 (potem przy Długim Targu 11). W zajęcia służbowe wprowadzony został w Kwidzynie i otrzymał nominację na stanowisko radcy rządowego w Gdańsku. Spotkania służbowe z dostojnikami kościelnymi odbywał m.in. w klasztorze oliwskim. Można się domyślać, że praca nad nowelą *Aus dem Leben eines Taugenichts* (Z życia nicponia), rozpoczęta we Wrocławiu i kontynuowana w Gdańsku, miała znaczenie terapeutyczne. Bohaterem i zarazem narratorem uczynił pisarz wiejskiego chłopca, syna młynarza, który wyrusza w nieznaną świat, mając jako jedyny kapitał umiejętność gry na skrzypcach i przepięknego śpiewu. Lekceważony przez otoczenie, ironicznie nazwany w tytule nicponiem, doświadcza w różnych środowiskach niezwykłych przygód, aby przebić się w końcu dzięki swojej naiwnej prostocie i zdolności autentycznego przeżywania świata ku darowanemu przez los szczęściu, co znamienne – w majątku położonym niedaleko Wiednia. Nowela wykorzystuje różne konwencje gatunkowe, często parodystycznie nawiązując do romansu przygodowego, rycerskiego i zbójckiego, powieści grozy i niespodzianek (liczne nieporozumienia z perspektywy bohatera, przebieranki i zawikłania akcji, które dopiero w zakończeniu znajdują rozwiązanie), ale przede wszystkim jest wyrazem wrażliwości pisarza, zgodnie z definicją F. Schlegla, który określał powieść jako

„bardziej lub mniej zamaskowane wyznaczenie wiary autora, wynik jego doświadczeń, kwintesencję jego właściwości”. Pełna liryzmu, humoru i dobrotliwej ironii, nowela nie bez zacięcia satyrycznego przedstawia życie w feudalnych zamkach i pałacach, obyczaje ludowe, trudy i niezwykłości podróży, mizериę artystów na tle wyimaginowanego Rzymu, humor studenckich wagabundów, mieszając realizm obserwacji z baśniową poetyzacją.

Eichendorff był jak najdalszy od idealizacji zmierzającego świata, pozwalał sobie nawet na uszczypliwość zarówno wobec pustych już form życia i egoizmu stanowego arystokracji, jak wobec powierzchniowego i snobistycznego przemowienia nowinek romantycznych, ale widział też możliwość odświeżenia dawnych cnót, prostoty obyczajów i spontanicznej wrażliwości, które w większym stopniu przetrwały wśród ludzi nisko urodzonych niż wśród puszących się swoim dostatkiem i pozycją. Był to zapewne rezultat obcowania z ludem w rodzinnym środowisku, utwierdzonej romantyczną wrażliwością na wartości kultury ludowej i przesłonięte mgiełką dawności piękno, a końcowy awans bohatera, któremu zgodnie z konwencją baśni przypadł w udziale wraz z ukochaną dziewczyną zameczek nad Dunajem, oznaczał, że wysublimowana przez sztukę szczerłość uczuć może się harmonijnie godzić z urokami czasów rycerskich. Spełnienie marzeń dane jest chłopcu, który nie umie planować swojego życia i zdaje się na los przynagody, pozostając wierny artystycznemu powołaniu i głosowi miłości. Wszystko to zaś w zgodzie z naturą, której głębokie odczucie wyraża się w licznych opisowych inkrustacjach. Prowadzona żywo narracja

stylizowana jest na język naiwnej, czulej opowieści, z licznymi refrenami, nadającymi całości charakter poetycki. Ukończona w letniej siedzibie pisarza, Srebrzysku koło Wrzeszcza, wydana w 1826 roku, nowela ta uznana została za arcydzieło romantycznej prozy.

W Gdańsku Eichendorff, reprezentujący interesy Kościoła katolickiego, zyskał uznanie nadprezydenta Teodora von Schön, protestanta, i zaprzyjaźnił się z nim; obaj działali przy restauracji zrujnowanego zamku malborskiego, a wraz z połączeniem prowincji Prus Wschodnich i Zachodnich w 1824 roku przenieśli się do nowej siedziby rządowej w Królewcu. Z gdańskim towarzystwem „Liedertafel” rozstawał się poeta wierszem *Na pożegnaniu*. Rok wcześniej ukazała się baśń dramatyczna *Krieg den Philistern* (Wojna filistrom), będąca wyrazem rozczarowania pisarza do płaskości życia – wbrew żywionym uprzednio nadziejom – i satyrą na powszechną trywializację ideałów; ten nurt satyryczny odezwał się również w poezji. Na urlop letni w 1828 r. pisarz wyjechał do Pogrzebienia, skąd odbył wyprawę do Cieplic i zwiedził Góry Olbrymie.

W Królewcu powstała tragedia *Der letzte Held von Marienburg* (Ostatni bohater Malborka), wydana w 1830 i wystawiona w 1831 roku w tamtejszym teatrze – dramat bardziej książkowy niż sceniczny. Bohaterem jest Heinrich von Plauen, wielki mistrz zakonu, który aby ocalić Malbork przed hufcami Jagielly, pragnie wskrzesić ducha waleczności i ofiarności, nie bez oporu ze strony rycerzy pogrążonych w gnuśności i egoizmie. Obalony zdradzieckim podstępem, przebywa samotnie na zamku Lochstädt i wszyscy są przekonani, że tam umarł, ale w krytycznym dla

losów bitwy momencie ukazuje się w pełnej zbroi na blankach muru. Wśród wkraczających wojsk polskich znajduje się księżęca córka Rominta w stroju rycerskim. Komtur Georg von Wirsberg, przebrany w polski płaszcz, usiłuje ją posiąść; Rominta składa mu obietnicę pod warunkiem, że otrzyma wiadomość o śmierci Plauena. Kiedy jednak ujrzała wspaniałego męża podczas bitwy, olśniona jego widokiem nie zdobywa się na strzał z kuszy. W stanie wewnętrznego rozdarcia udaje się do Plauena i – nierozpoznana – ostrzega go przed zdradzieckim Wirsbergiem. Potem z opuszczoną przyłbicą wda się z nim w pojedynek w obronie Plauena, a padając gubi hełm i odsłania swoje oblicze. Eichendorff wykorzystał tu motyw miłości silniejszej niż różnice polityczne czy religijne, znany z tragedii Schillera o Dziewicy Orleańskiej i dramatu Zachariasza Wernera o Marcynie Lutrze. Szlachetny Plauen miał stać się nieśmiertelnym wzorcem dla potomnych, wcieleniem średniowiecznych cnót rycerskich, które są bliskie także dumnej polskiej księżniczce. Znamienne jednak, że wartości te ponoszą klęskę, stłumione przez małość i przyziemność. Tak widział Eichendorff współczesne Niemcy, tragedia miała więc też swój wymiar alegoryczny.

Pisarz nie czuł się dobrze w służbie pruskiej, zwłaszcza wobec nieprzyjaznej Kościołowi katolickiemu polityki nadprezydenta, i czynił starania, aby znaleźć posadę w Bawarii. Stało się inaczej, uzyskał w 1831 roku urlop, przedłużony potem na czas nieograniczony, i pracował dorywczo w Berlinie w różnych ministerstwach. Urzędnicza praca przysparzała mu wielu zgryzot, ale był to też okres intensywnej pracy twórczej, kontaktów inte-

lektualnych i artystycznych, głównie z filozofem prawa Friedrichem von Savigny, Adelbertem von Chamisso, Feliksem Mendelssohmem. Powstają opowiadania *Viel Lärmen um nichts* (Wiele hałasu o nic), *Dichter und ihre Gesellen* (Poeci i ich towarzysze) i *Das Schloß Dürande*. W 1837 roku ukazuje się pierwsze samodzielne wydanie poezji, które choć potem uzupełniane, ustaliło podstawowy kanon ogłoszonych przez poetę wierszy. Czterotomowe wydanie dzieł w 1841 roku utwierdziło pozycję Eichendorffa jako pisarza. Był też czynny na innych polach: powierzono mu udział w pracach nad ukończeniem katedry w Kolonii. W urzędzie mnożyły się jednak konflikty, wystąpił więc w 1844 roku o emeryturę, która wystarczała na skromne utrzymanie. Rok wcześniej na polecenie króla Fryderyka Wilhelma IV opisał dzieje restauracji zamku malborskiego; zbierając materiały, przebywał w Gdańsku i przez pewien czas jeszcze tam pozostał. Na Morawach widział się ostatni raz z bratem, odwiedził przyjaciół w Wiedniu, gdzie poznał Franza Grillparzera, Adalberta Stiftera, Roberta Schumann, kompozytora Josepha Dessauera, i spotkał się z uroczystym przyjęciem jako uznany już pisarz; potem znów mieszkał w Berlinie.

Poświęcił się w tym czasie pracom literackim: przekładał literaturę hiszpańską (m.in. Calderona), pisał wierszowane poematy i obszerne rozprawy historycznoliterackie w duchu religijno-moralnym, dając w nich też portrety pisarzy romantycznych, którzy byli mu bliscy. Po zamieszkach rewolucyjnych 1848 roku schronił się w Dreźnie, a gdy i tu wybuchło powstanie, w Köthen (koło Halle), po czym wrócił do Berlina. Przebywał

wtedy częściej w dobrach rodzinnych na Morawach. W 1855 roku przeniósł się do Nysy, gdzie w domu córki Teresy von Beserer zmarła jego żona. Pisarz zaprzyjaźnił się z biskupem wrocławskim Heinrichem Försterem i chętnie przebywał w jego letniej rezydencji na zamku Johannesberg. Zmarł na zapalenie płuc 26 listopada 1857 w Nysie, pogrzeb odbył się na miejscowym cmentarzu Jerozolimskim.

Poezja Eichendorffa odznacza się tak wielką prostotą, że zdaje się nie wymagać komentarza. Jest to jednak prostota nieco zwodnicza, ponieważ wybrane świadomie przez pisarza artystyczne środki wyrazu ukryte są głębiej i nie narzucają się czytelnikowi wprost. Na zewnątrz miała to być poezja jak najbardziej naturalna w takim znaczeniu, w jakim odnosi się to do łatwo wpadającej w ucho i swobodnie śpiewanej pieśni: bez nadmiaru odkrywczych i kunsztownych metafor i z tą szczególną dyspozycją, która polega na wydobywaniu poetyckości ze zjawisk i sposobów mówienia pozornie zupełnie zwyczajnych i narażonych wręcz na banalność. A jednak Eichendorff zawsze potrafi nadać im taką świeżość uczucia, autentyczność i czułość, że czytelnik łatwo ulega magicznej sugestii tych strof. Jest to muzyczność absolutna, bez jednego fałszywego tonu, a ujawnia się ona w różnych uprawianych przez Eichendorffa gatunkach lirycznych, nawiązujących do pieśni ludowej i szlacheckiej, wędrowniej i żeglarskiej, krajobrazowej, ojczyznianej i miłosnej, do hejnału i pieśni myśliwskiej, do żartobliwej piosenki studenckiej i burszowskiej, do serenady, elegii, hymnu i epickiej ballady. Odczuwali to wybitni kompozytorzy (Mendelssohn, Schumann, Brahms, Wolf, R. Strauss i

długi szereg innych), którzy przyoblekali te pieśni w formę muzyczną. Dominującą tonacją poezji Eichendorffa jest marzycielska nostalgia, tęsknota do zagrożonych przez przyziemność egzystencji wartości czystych i szlachetnych, podziw dla zmiennej i ciągle tej samej natury, której postrzeganie wiąże człowieka z siłami kosmosu, odnawianie się sił żywotnych i olśnienie chwilą, utwierdzanie się w nadziei pomimo wszystko i zachęta wobec innych, aby wyrwali się z gnuśności. Często jednak dochodzi też do głosu rozdarcie wewnętrzne, świadomość zmierzchu i pustki, przemijania i obecności w naturze sił budzących niepokój, lęk i grozę. Znaki natury nie są czytelne od razu, domagają się klucza, czarodziejskiej różdżki, która otwiera do nich dostęp. Zawiera się w tych znakach zarówno sens pradawnych legend, jak obietnica przyszłości, będąca ostrzeżeniem przed kultem przeżytych form. Jest to więc skala bardzo szeroka i daleka od jednoznaczności, a życie zgodne z naturą staje się nie tylko naśladowaniem naturalności śpiewu słowika czy skowronka, ale aktem po ludzku heroicznym, który trzeba z trudem wypracować. Nawet gdy, wydawałoby się, nic nie zdradza tego wysiłku na powierzchni, wrażliwe ucho zawsze, także w chwilach lirycznego uniesienia, usłyszy głos: „pomimo wszystko”. Pogodna religijność Eichendorffa była pomocna w neutralizacji narastającego lęku, służyła obronie przed nieobliczalnymi porywami namiętności, które łatwo mogą prowadzić do rozpacz, nihilizmu i rezygnacji.

Od tłumacza wymaga ta poezja przede wszystkim zachowania w możliwie nienaruszonym stanie dykcji poetyckiej, natu-

ralnego sposobu mówienia i melodyjnej rytmiczności, zróżnicowanej przez grę znaczenia i brzmienia nawet wtedy, gdy przybiera regularny kostium sylabotoniczny, a tym bardziej przy pieśniowych wariacjach rytmu. Wydaje się to ważniejsze niż występujące w oryginale dokładne rymy, ponieważ ich poszukiwanie w polszczyźnie musiałoby w istotny sposób naruszyć albo zasób motywów, albo tok mowy poetyckiej, grożąc wrażeniem sztuczności i wysilenia, co byłoby dla tej poezji zabójcze. Jakie rymy przybliżone (współczesny odbiór poezji znosi je na ogół doskonale) brzmią wdzięcznie dla ucha, a jakie wnoszą dysonans, tłumacz musi każdorazowo sam rozstrzygnąć, odwołując się – jak zawsze – do sądu czytelnika.

Poza germanistami i czytelnikami literatury niemieckiej w oryginale poezja Eichendorffa była dotychczas w Polsce słabo znana, i nie mogą tego sądu zmienić okazjonalne przekłady (Miriamy, S. Napierskiego, K. Hłakowiczówny, R. Krynickiego, B. Lubosza), które wraz z własnymi pomieścił J. Koprowski w książeczce *Józef Eichendorff – ostatni rycerz romantyzmu* (1995); garść przekładów Renaty Schumann została dołączona do dwujęzycznie wydanego zarysu biograficznego Volkmara Steina *Joseph von Eichendorff*, Würzburg 1993; są także tłumaczenia kaszubskie. Brak szczegółowych bibliografii utrudnia orientację w jej odbiorze XIX-wiecznym. Do niedawna jedynym książkowym wydaniem była nowela *Z życia nicponia*, która w przekładzie Walerii Kędzierskiej ukazała się w 1924 roku w Księgarni św. Wojciecha; tłumaczka dokonała jednak licznych skrótów i uproszczeń. Warto wspomnieć, że nowela ta wydawana była też w Polsce po niemiecku, z polskimi objaśnie-

niami na użytek szkół (opracowanie Johanna Piątka 1912 i Juliusza Ippoldta 1930). Z prozą Eichendorffa zapoznał polskich czytelników G. Koziłek, zamieszczając w antologiach nowele *Z życia nicponia* (w przekładzie Kazimierza Karkowskiego), *Posąg z marmuru* i *Zamek Diirande*. Ukazały się też *Górnosląskie baśnie i podania* w tłumaczeniu Ryszarda Kincla (1991).

Rezonans 100-lecia śmierci pisarza w 1957 roku był nikły, ale notatki w śląskich „Przemianach” i w „Przewodniku Katolickim”, upominające się o opiekę nad jego grobem w Nysie, świadczyły o rosnącym zainteresowaniu. Wyraźniej ujawnił je artykuł Ireny Sławińskiej w „Przemianach” (1957, nr 31), która odbyła wędrówkę śladami Eichendorffa na Śląsku. Odtąd był poeta postrzegany na przemian w kontekście niemieckiego romantyzmu (studium M. Urbanowicza z 1960 r., wyd. książkowe pt. *Z dziejów literatury niemieckiej na Śląsku w pierwszej połowie XIX wieku*, 1964) bądź w aspekcie politycznym, w związku z wykorzystywaniem postaci i twórczości pisarza do podsycania niemiecko-polskich antagonizmów (omawiał to m.in. W. Szewczyk). Zapewne, Eichendorff patrzył na dzieje Zakonu Krzyżowego inaczej niż historycy polscy, krytycznie oceniał entuzjazm *Polenlieder* po powstaniu listopadowym jako budzący wrogość wobec Rosji, ale wydobywanie tych wątków jako naczelnych oznaczało po obu stronach zwicnięcie proporcji w ocenie tego, co w tej poezji jest ważne i ujmujące zarówno dla Niemców, jak dla Polaków, nie mówiąc już o czytelnikach czujących się Ślązakami. Spory o stosunek Eichendorffa do śląskiej ojczyzny też przybierały czasem małostkowy charakter, czy to przez regionalistyczne

Andrzej Lam: Joseph von Eichendorff

wyolbrzymienie w obcym poecie duchu
nacjonalistycznym, czy przez przywią-
zywanie zbyt dużej wagi do późnych wy-
znań poety w rodzaju: „Górny Śląsk stał
mi się bardziej obcy niż jakakolwiek inna
prowincja” (z listu do Theodora von

Schön, 1856), bo można je wytłumaczyć
bolesnością wspomnień i ruiną mło-
dzieńczych ideałów. Dalsze studia – E.M.
Szaroty, J. Goczola, N. Kracherowej –
przywracały stopniowo właściwe, wolne
od uprzedzeń akcenty.

Polityka

Janusz Ruszkowski

Wspólnota w stosunkach międzynarodowych

Specyfika zagadnienia i próba typologii

1. Próba definicji

Termin „wspólnota” w odniesieniu do zjawisk społecznych zawiera kilka elementów składowych, przez pryzmat których można pokusić się o naszkicowanie istoty tego zjawiska. Wśród tych elementów powinny znaleźć się: podzielenie wspólnych wartości, posiadanie wspólnych cech lub określonych walorów charakterystycznych dających się uogólnić, wspólne działanie nacechowane poszukiwaniem kompromisu i konsensusu i ukierunkowane na realizację wspólnych interesów. W końcu na wyższym szczeblu takim komponentem składowym jest poczucie wspólnoty (oraz – czego nie można wykluczyć – związane z tym przejawy identyfikacji z daną wspólnotą).

Wspólnota o charakterze międzynarodowym powstaje wówczas, gdy jeden naród potrafi wciągnąć do wspólnych interesów i działań inne narody i prowadzi je

do unifikacji¹. Tak Amitai Etzioni wytłumaczył epigenezę wspólnot międzynaro-

¹ W stosunkach międzynarodowych przyjęło się za bardziej uprawnione używanie pojęcia „społeczność międzynarodowa” (*international society*) niż „wspólnota międzynarodowa” (*international community*), trudno bowiem mówić o wspólnocie, która przecież powinna się cechować wspólnymi zasadami, podobnymi wartościami, współpracą, pokojowym współlistnieniem itd., a w systemie międzynarodowym tego typu cechy nie są wiodące (chyba że we wspólnotach regionalnych, np. europejskich). System międzynarodowy posiada cechy raczej anarchizujące (dominacja interesów narodowych, liczne spory, rywalizacja, egoizm itd.), a próby ich złagodzenia poprzez tendencje globalizacyjne wywołują z kolei konflikty innego typu (umownie mówiąc, biedne południe kontra bogata północ, lub reakcja w postaci ruchu anty- lub alterglobalistycznego). Wydaje się zatem, że pojęcie „społeczność międzynarodowa” (państwa, organizacje międzynarodowe, narody oraz inni aktorzy stosunków międzynarodowych) bardziej adekwatnie oddaje zależności między jednostkami do niej należącymi niż termin „wspólnota międzynaro-

dowych. Epigeneza to termin zapożyczony świadomie przez Etziona z nauk biologicznych i zastosowany w teorii wspólnot międzynarodowych. Wspólne interesy i unifikacja to nowe stany, które wcześniej nie występowały, prowadzące do rozwoju wspólnoty międzynarodowej. Kluczowym aspektem epigenezy Etziona jest pojawienie się tzw. *core area* (obszaru lub narodu rdzeniowego), który będzie zdolny odgrywać główną rolę we wspólnotach².

Wspólnota międzynarodowa to wspólna przestrzeń działania oraz porządkowania wspólnych problemów przez państwa członkowskie za pomocą struktury instytucjonalnej i wypracowanych w jej ramach mechanizmów podejmowania decyzji. Wspólnota posiada zdolność do interwencji w kolektywne procedury podejmowania decyzji niezależnie od państw członkowskich. A. Etzioni postawił hipotezę, że bardziej zintegrowana wspólnota toleruje większą autonomię instytucji. Z kolei silna unifikacja jest determinowana przez funkcję dominującą, spełnianą przez kolektywność. Jest to także funkcja, zgodnie z którą jednoczące się wspólnoty inwestują więcej zasobów, siły roboczej, energii i która przywiązuje do nich większą wagę niż w innych wspólnotach³.

Wspólnoty winny być definiowane przez pryzmat interesu wspólnotowego

oraz poczucia wspólnoty wśród ich członków⁴ przy założeniu wystąpienia interakcji między aktorami tworzącymi wspólnotę. Innymi elementami kreatywnymi dla wspólnoty międzynarodowej mogą być: utożsamianie się ze wspólnymi wartościami, ekskluzywny charakter, wzajemne korzyści oraz konsensus. Siła systemu wspólnotowego nie wywodzi się z siły wielkich państw będących w większości i narzucających dostosowanie i zgodę państwom mniej chętnym na taką współpracę. Pochodzi ona raczej z cierpliwego godzenia potrzeb i interesów wszystkich ludzi i państw dumnych ze swojej różnorodności⁵. Kwintesencją systemu wspólnotowego jest to, że państwa i ludzie uczą się od siebie wzajemnie, poznają doświadczenia innych także z zakresu funkcjonowania oraz doskonalenia demokracji.

Ponadto obok terminu „wspólnota” (*community*) o wiele rzadziej w użyciu jest termin „sieć” (*network*). Chociaż już w latach 40. i 50. XX wieku wielu badaczy uważało, że z przyczyn funkcjonalnych państwa wyrażają potrzebę przyłączania się do sieci wielopństwowych (*multi-state networks*) lub międzypaństwowych (*inter-state networks*). W procesach integracyjnych, które z reguły mają charakter regionalny, pojęcie wspólnoty najbardziej oddaje charakter więzów łączących jej człon-

dowa”. W społeczności przecież zdarzają się spory, konflikty, egoizm itd., a we wspólnotach dominują raczej tendencje odwrotne.

² A. Etzioni, *The Epigenesis of Political Communities at the International Level*, [w:] J.N. Rosenau (red.), *International Politics and Foreign Policy*, New York 1969, s. 348.

³ A. Etzioni, *Political Unification. A Comparative Study of Leaders and Forces*, New York 1965, s. 62.

⁴ Katolicka nauka społeczna posługuje się pojęciem „dobra wspólnego”, które powinny posiadać wspólnoty ludzkie znajdujące najpełniejsze urzeczywistnienie we wspólnotach politycznych. Zob. *Katechizm Kościoła Katolickiego*, Poznań 1994, pkt. 1910.

⁵ D.H. Price, *Schuman or Monnet? The Real Architect of Europe. Robert Schuman Speeches and texts on the origin, purpose and future of Europe*, Brussels 2004, s. 23.

ków. *Network* jest instrumentem analitycznym pomagającym w podejściu do wspólnoty. *Network* w naukach społecznych to forma społecznej organizacji, choć w politologii występuje jako sieć pośrednictwa interesów (np. między interesem państwa a interesem społecznym) lub jako specyficzna forma zarządzania.

W odniesieniu do wspólnot regionalnych, jakimi są Wspólnoty Europejskie, należy zaakcentować ich solidarną odpowiedzialność z jednej strony w ramach systemu prawa wspólnotowego, a z drugiej strony w ramach uniwersalnego systemu prawa opartego na prawie międzynarodowym publicznym. Skoro możemy potwierdzić, że motorami napędowymi w ich genezie i rozwoju były Francja i RFN (wystarczy wspomnieć dla przykładu pierwotne propozycje francuskie R. Schumana, J. Monneta i R. Plevna skierowane do RFN, czy też późniejsze propozycje H. Schmidta i V. Giscard d'Estainga dotyczące Europejskiego Systemu Walutowego oraz ecu, a także wiele innych wspólnie inicjowanych rozwiązań). Oba państwa stworzyły później także podstawy pod pojęcie „twardego rdzenia” Unii Europejskiej. Zatem scenariusz powstania Wspólnot Europejskich odpowiada epigenecie Etzioniego. Można pokusić się o stwierdzenie, że R. Schuman w latach 1949-1950 nakreślił długoterminową strategię kreacji ponadnarodowej organizacji zachodnioeuropejskich demokracji, czyli pierwszej wspólnoty w Europie, jaką była Europejska Wspólnota Węgla i Stali⁶. Była ona zaplanowana jako

⁶ Jej mało znanym branżowym prekursorem mogła być Międzynarodowa Wspólnota Stali Surowej założona 30 września 1926 r. przez Niemcy, Francję, Belgię i Luksemburg, której

początek budowania federacji europejskiej. To wraz z jej powstaniem zaczął powoli tworzyć się ponadnarodowy, czyli wspólnotowy system w Europie. Zresztą o Europejskiej Wspólnocie Węgla i Stali mówiono i pisano jako o pierwszej „organizacji ponadnarodowej”⁷. Schuman wyjaśniał, że Wspólnota jako organizacja międzynarodowa o charakterze ponadnarodowym powinna być realną demokracją opartą na trzech poziomach odniesienia: (1) pomiędzy państwami, (2) pomiędzy interesami korporacyjnymi (firmami, związkami zawodowymi itd.), (3) pomiędzy jednostkami⁸.

Według Williama Wallace’a Wspólnoty Europejskie były czymś więcej niż międzynarodowym reżimem (*international regime*), ale też czymś mniej niż w pełni rozwiniętym systemem politycznym⁹. Z kolei Jean Monnet postrzegał Wspólnoty jako „nowy oraz indywidualny system ani międzynarodowy, ani narodowy, ale ponadnarodowy i rozwijał neofunkcjonalny model służący do wyjaśniania charak-

celem było wspólne uzgadnianie rozmiarów produkcji, ceny na koks i stal oraz dopasowanie produkcji do zapotrzebowania na rynku. Por. P. Łosowski, *Tradycja jedności międzywojennej Europy*, [w:] M. Koźmiński (red.), *Cywilizacja europejska. Wykłady i eseje*, Warszawa 2004, s. 389.

⁷ Por. *True Foundation for Europe*, April 1951. Dokument zwany też nieoficjalnie „deklaracją zasad” podpisali: K. Adenauer (RFN), Paul van Zeeland (Belgia), R. Schuman (Francja), hrabia Sforza (Włochy), J. Bech (Luksemburg) i D. Stikker (Holandia).

⁸ D.-H. Price, *Letter to the Dutch Presidency*, [w:] D.-H. Price, *op. cit.*, s. 2.

⁹ W. Wallace, *Less than a Federation, More than a Regime: the Community as a Political System*, [w:] H. Wallace, W. Wallace, C. Webb, *Policy Making in the European Community*, Chichester, New York, Brisbane, Toronto, Singapore 1990, s. 409.

terystycznych wzorów uprawiania polityki w tym systemie”¹⁰.

Hans Peter Ipsen określił trzy Wspólnoty Europejskie mianem celowych stowarzyszeń integracji funkcjonalnej (*Zweckverbände funktionaler Integration*). Jego koncepcja „stowarzyszenia celowego” (ukierunkowanego na określony wspólny pakiet spraw) otworzyła prawo wspólnotowe na zadania, które nie są spotykane w liberalnym porządku współczesnego świata. Jako „stowarzyszenia celowe” Wspólnoty miały do czynienia z problemami technicznej realizacji, z zadaniami administracyjnymi, które mogłyby zostać przeniesione na ponadnarodową biurokrację. Wspólnoty ograniczały się do administracyjnych problemów „wiedzy”, ale polityczne kwestie pozostawiły gremiom demokratycznym oraz posiadającym legitymizację¹¹. Wraz z teorią „stowarzyszeń celowych” Ipsen odrzucał zarówno nieco dalej idące pojęcie integracji federalnej, jak i wcześniejsze interpretacje wspólnoty jako zwykłej organizacji międzynarodowej.

2. Typologia wspólnot

Wspólnoty międzynarodowe, określane w nauce także jako sieci (*networks*), cechują się różnymi wewnętrznymi powiązaniem, które są bardzo ważne przy każdej próbie systematyzowania tego zjawiska.

Paolo Pombeni wyróżnia dwa typy wspólnot jako takich: elementarną (rodzina, klan, plemię) oraz elekcyjną (kościół,

¹⁰ W. Wallace, *op. cit.*, s. 404.

¹¹ H.P. Ipsen, *Europäische Gemeinschaftsrecht*, Tübingen 1972, s. 176-179.

grupa polityczna)¹². Z kolei Karl W. Deutsch stosuje podział na: wspólnotę polityczną oraz wspólnotę bezpieczeństwa.

Ze względu na wiodący charakter powiązań oraz wynikający z niego rodzaj więzi łączących członków, wspólnoty można podzielić na: wspólnoty polityczne (oraz ich sektorowe odmiany, takie jak: wspólnota bezpieczeństwa oraz wspólnota wartości), wspólnoty ekonomiczne, wspólnoty prawa oraz wspólnoty wiedzy.

W końcu w odniesieniu do poziomu i zasięgu więzi wspólnotowych pojawiają się takie typy wspólnot jak: wspólnota narodowa, wspólnota regionalna czy też wspólnota ponadnarodowa.

Wspólnota polityczna

Wspólnota polityczna występuje w typologii Karla W. Deutscha oraz Ernsta B. Haasa¹³. O wspólnocie politycznej jako efekcie integracji pisał także A. Etzioni, podkreślając centralny charakter takiej wspólnoty przede wszystkim dla procesu podejmowania decyzji i dysponowania aparatem przymusu¹⁴. Ten ostatni element (dysponowanie aparatem przymusu) odróżnia zresztą wspólnotę polityczną od innych typów wspólnot. Ponadto wspólnota polityczna charakteryzuje się z reguły stabilnymi interakcjami z grupami interesu, które mogą być nawet angażowane do procesów decyzyjnych¹⁵.

¹² P. Pombeni, *The European Identity*, „The International Spectator”, 2003, nr 1, s. 3.

¹³ U Haasa występuje w postaci zinstytucjonalizowanego supranacjonalizmu.

¹⁴ A. Etzioni, *Political Unification...*, *op. cit.*, s. 4.

¹⁵ W bliskiej mutacji wspólnoty politycznej, jaką jest korporacyjna wspólnota polityczna, grupy interesu mogą wręcz uczestniczyć we władzy państwowej. Pewne uprzywilejowane grupy

Elementarną wspólnotą polityczną jest państwo, chociaż – co oczywiste – pochodną wspólnoty elementarnej może być wspólnota międzynarodowa złożona z grupy państw. Wspólnota polityczna to specjalny typ sieci (*network*) o stabilnych stosunkach wewnętrznych i stabilnej partycypacji aktorów (z bardzo restryktywnym członkostwem), z wertykalną współzależnością opartą na współodpowiedzialności, której zaletą jest pobudzanie negocjacji służących do politycznych rozwiązań. Tego typu sieć polityczna jest zarazem potwierdzeniem faktu, że w problemach politycznych można podzielać wspólne interesy. Wspólnota polityczna pojawia się zatem tam, gdzie istnieje efektywne zogniskowanie poglądów w danej kwestii politycznej. Jest ona siłą rzeczy wyizolowana od innych sieci¹⁶. Peter M. Haas uważa, że polityczna koordynacja na szczeblu międzynarodowym może odbywać się poprzez wspólnoty wiedzy (*epistemic communities*). Takie wspólnoty są możliwymi dostarczycielami informacji i opinii. Gdy pojawia się potrzeba takiej informacji, wówczas powstają i rozszerzają się sieci lub wspólnoty specjalistów zdolnych do wytworzenia i dostarczenia takiej informacji. Członkowie istniejących już wspólnot stają się silnymi akto-

mogą współdecydować w zakresie niektórych polityk publicznych pod kontrolą aktorów publicznych. B. Kohler-Koch, *Catching up with change: the transformation of governance in the European Union*, „Journal of European Public Policy”, 1996, nr 3, s. 372.

¹⁶ Jest to definicja połączona z cech definicji wspólnoty politycznej przedstawionych przez Jeremy Richardsona oparta na próbach wyjaśnienia terminu podjętych przez G. Jordana i D. Judge’a. Por. J. Richardson (red.) *European Union. Power and Policy Making*, London, New York, 1998, s. 7.

rami na poziomie narodowym i transnarodowym, gdy podejmujący decyzję zwracają się do nich z prośbą o informację i delegują na nie odpowiedzialność¹⁷.

Wspólnota wiedzy

Interinstytucjonalne procedury kolektywnego podejmowania decyzji we Wspólnotach Europejskich różnią je od innych międzynarodowych organizacji. Często Wspólnoty Europejskie posilkują się wiedzą ekspertów, wspierane są komitetami naukowymi, bazują na technicznych ekspertyzach, co znajduje swoje późniejsze zastosowanie w procedurach decyzyjnych. Powoływane *ad hoc* komitety ekspertów odgrywały ważną rolę w implementacji zasad polityk sektorowych. Potwierdza ten stan wewnątrzwspólnotowa komitologia (*comitology*), grupy mędrców¹⁸, raporty specjalistów itd. Tego typu grupy ekspertów, komitety doradcze, zespoły raportujące traktujące relacje przyczynowo-skutkowe oraz wspólne wartości jako jeden system Peter M. Haas określa właśnie jako *epistemic communities*¹⁹ (wspólnoty wiedzy lub wspólnoty oparte na wiedzy)²⁰.

¹⁷ Cyt. za: J. Richardson, *op. cit.*, s. 15.

¹⁸ Por. np. raport trzech mędrców (*Three Wise Men Report*) z 1978 r. nt. stanu procesu przystosowania instytucji Wspólnot Europejskich do utworzenia Unii Europejskiej lub ustanowienie w 2000 r. przez Radę Unii Europejskiej Komitetu Mędrców (*Committee of Wise Men*) pod przewodnictwem Alexandre’a Lamfalussy’ego, który miał przygotować propozycje reform instytucjonalnych w zakresie zwiększenia bezpieczeństwa prawnego w UE.

¹⁹ A. Verdun, *The Role of the Delors Committee in the Creation of EMU: An Epistemic Community?*, EUI Working Papers, nr 98/44, s. 8. Por. też: P.M. Haas, *Epistemic Communities and International Policy Coordination*, „International Organization”, 1992, vol. 46, nr 1. *Epistemic community* to sieć lub wła-

Silny merytoryczny wkład wiedzy ekspertów i naukowców widać w szczególności w pierwszych fazach procedur podejmowania decyzji, w tym przede wszystkim na etapie konstrukcji inicjatywy ustawodawczej przez Komisję Europejską. Komisja często jest wręcz zależna od zewnętrznych zasobów informacyjnych w celu uzyskania niezbędnej ekspertyzy. Fakt, że Wspólnoty Europejskie silnie bazowały na wiedzy, potwierdza się w Unii Europejskiej (por. Strategia Lizbońska, budowa społeczeństwa informacyjnego, kontynuowanie tradycji wspólnotowej, opieranie się na raportach²¹ itd.). Słynne okresowe Raporty Komisji Euro-

śnie wspólnota ekspertów podzielających przekonanie co do istnienia interakcji przyczynowych oraz wartości, wokół których powinno się podejmować działania publiczne. Zatem *epistemic community* jest jak pomost między światem nauki a światem społecznym. O *epistemic communities* por. też: I. Manners, *Substance And Symbolism: An Anatomy of Cooperation in the New Europe*, Ashgate 2000. Po raz pierwszy koncepcję *epistemic communities* zastosował w 1975 r. John Gerald Ruggie. *Epistemic communities* są bliskie rozumieniu szerzej pojętej epistemologii jako nauki zajmującej się daną dziedziną wiedzy. Przecież wspólnoty bazują na wiedzy, która wyjaśnia ich istnienie i istotę oraz pomaga im funkcjonować w systemie wewnątrz-wspólnotowym i międzynarodowym. Zob. J.G. Ruggie, *International Responses to Technology: Concept and Trends*, „International Organization”, 1975, nr 29, s. 557.

²⁰ P. Haas, *Do Regime Matter? Epistemic Communities and Mediterranean Pollution Control*, „International Organization”, 1989, nr 43, s. 377 i nast.

²¹ Por. opublikowany w grudniu 1995 r. przez grupę refleksyjną składającą się z ekspertów ministerstw spraw zagranicznych państw członkowskich Unii Europejskiej tzw. raport Westendorpa, dotyczący merytorycznych i organizacyjnych ram kolejnej Konferencji Międzyrządowej (przed szczytem szefów państw i rządów w Amsterdamie).

pejskiej stawały się źródłem decyzji politycznych. Ciekawym przykładem jest tutaj powołana w 1998 r. przez Komisję Europejską w celu doradztwa specjalistycznego dwunastoosobowa Europejska Grupa ds. Etyki w Nauce i Nowych Technologiach (*European Group on Ethics and New Technologies* – EGE). Nie można zapomnieć także o Komitecie Niezależnych Ekspertów (*Committee of Independent Experts*), który w 1999 r. opublikował drugi raport nt. Reformy Komisji Europejskiej, który w marcu 2000 r. stał się podstawą do opracowania Białej Księgi o Reformie Komisji (*White Paper Reforming the Commission*). Także grupy ekspertów, które od lat 60. opracowywały założenia późniejszej Unii Gospodarczej i Walutowej, tworzyły *de facto epistemic communities* (np. Komitet Walutowy – *Monetary Committee*, Komitet Przewodniczących Banków Centralnych – *Committee of Central Bank Governors*, Komitet Delorsa itd.). Techniczna i polityczna rola, jaką odgrywały tego typu transnarodowe *epistemic communities*, była często wykorzystywana we Wspólnotach i potem w Unii Europejskiej.

Wspólnoty Europejskie i Unia Europejska kładą nacisk na wiedzę, kreują wspólnoty wiedzy i politycznie korzystają z wiedzy (np. w procedurach podejmowania decyzji). Zatem *epistemic communities* wywierają wpływ na politykę międzynarodową, wykorzystując oparty na wiedzy model interakcji międzynarodowych. Wpływ ten jest tym większy, im mniejsza jest zdolność do identyfikacji interesów narodowych przez rządy państw, wynikająca albo z braku odpowiednich informacji, albo też z niedostatecznego przewidywania implikacji różnorodnych scenariuszy na osiągnięcie wyznaczonych przez rząd celów. Roz-

wój międzynarodowych *epistemic communities* może mieć kluczową rolę w tworzeniu nowych form koordynacji i współpracy na arenie międzynarodowej.

Rzeczywistość wspólnotowa w Europie urządzana była i jest na podstawie wiedzy, wiedza bowiem jest podstawą organizacji i zarządzania strukturami wspólnotowymi i całym mechanizmem integracyjnym²². Tendencje te potwierdza lansowanie przez Unię Europejską idei społeczeństwa informacyjnego i programów wspierających jego rozwój. Wiedza jest motorem napędowym każdej cywilizacji, a tym samym jest antropologiczną cechą grup ludzkich i każdego człowieka z osobna.

Wspólnota bezpieczeństwa

Jedną z sektorowych wspólnot politycznych jest wspólnota bezpieczeństwa. Wspólnoty polityczne mogą dobrowolnie powstać np. w wyniku integracji federalistycznej. Istotnym warunkiem wystąpienia integracji politycznej jest wspólnota bezpieczeństwa (*security community*), która jest prekursorem integracji federalistycznej czy też neofunkcjonalistycznej. Z kolei bez poczucia wspólnej przynależności wśród ludzi na określonym terenie, zarówno na poziomie mas, jak i elit, niemożliwe jest wyobrażenie sobie jakiegokolwiek transferu politycznych funkcji, co jest centralnym elementem politycznego *spill-over* w neofunkcjonalizmie. Wspólnota polityczna powinna zawierać

²² Wspólnoty Europejskie były na tyle atrakcyjnym tworem, że przyciągały uwagę państw socjalistycznych z Europy Środkowo-Wschodniej, a przede wszystkim ich obywateli. Siła przyciągania Wspólnot była dość duża. Na tyle duża, że mogła osłabić wewnętrzną zwartość bloku wschodniego.

legitymizację powstających instytucji centralnych, a to jest możliwe w efekcie przekazania im pewnych funkcji ze szczebla narodowego na poziom ponadnarodowy. Wspólnota bezpieczeństwa powinna dawać nadzieję na pokojową współpracę i jej utrzymanie, zatem wymaga ona integracji politycznej oraz charakteryzuje się wysokim poziomem komunikacji, dzięki czemu konflikty są rozwiązywane drogą pokojową.

Powstanie wspólnoty państw, wspólnoty bezpieczeństwa wiąże się z istnieniem polityki zagranicznej i działań dyplomatycznych, których celem byłoby utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa oraz zachowanie autonomii każdego z krajów członkowskich. [...] W systemie 'wspólnoty bezpieczeństwa' narodowa różnorodność, autonomia i suwerenność działają na rzecz stabilizacji międzynarodowej²³.

Wspólnota bezpieczeństwa pojawia się zarówno w typologii K.W. Deutscha, jak i R. van Wagenena²⁴. Według Deutscha wspólnota bezpieczeństwa to grupa ludzi, którzy są na tyle zintegrowani, że kierują się w ramach jednego terytorium poczuciem wspólnoty (*sense of community*) oraz wykorzystują silne instytucje na rzecz pokojowych przemian w dłuższym czasie. Wydzielając wspólnotę bezpieczeństwa, K.W. Deutsch przyjął za kryterium roz-

²³ S. Konopacki, *Integracja Europy w dobie postmodernizmu*, Poznań 1998, s. 14.

²⁴ Pierwsze zdefiniowanie terminu „wspólnota bezpieczeństwa” nastąpiło w pracy R. van Wagenena pt. *Research in the International Organization Field: Some Notes and a Possible Focus*, Princeton 1952, chociaż podwaliny terminologiczne położył Karl W. Deutsch w pracy: *Political Community at the International Level: Problems of Measurement and Definition*, New York 1954.

wój wspólnotowych instytucji politycznych i w konsekwencji wyróżnił trzy typy „wspólnoty bezpieczeństwa”:

(1) pierwszy to *no war community*, która zadawała się minimalnymi żądaniami przewidzianych zmian pokojowych, choć zapobieżenie wojnie jest jej głównym celem;

(2) drugi typ to *pluralistic community*, w której funkcjonuje kilka centralnych instytucji politycznych;

(3) trzeci typ to *amalgamated community*, w której centralne instytucje są utworzone w poprzek obszaru wspólnoty²⁵.

Wspólnoty bezpieczeństwa zawierają w sobie element wspólnoty pokoju, unikającej konfliktów, o dużym ładunku komunikacji wzajemnej oraz wysokiej współzależności między aktorami.

Inną sektorową wspólnotą polityczną jest wspólnota wartości (*community of the values*), która eksponuje szczególne więzi, jakie mogą pojawiać się wraz z podzieleniem wspólnych wartości (takich jak np.: demokracja, wolność, państwo prawa, sprawiedliwość społeczna, solidarność, ochrona praw człowieka itd.).

Wspólnota ekonomiczna

Wspólnota ekonomiczna opiera swój rozwój na wzajemnych korzyściach ekonomicznych swoich członków, dlatego też

²⁵ K.W. Deutsch, *op. cit.*, s. 34-44. Deutsch twierdził, że „*pluralistic security community*” występuje między państwami obszaru Północnego Atlantyku, przede wszystkim USA, Kanadą, Wielką Brytanią oraz Irlandią i ma charakter rdzeniowej „*amalgamated North Atlantic community*”. D. Mutimer, *Theories of Political Integration*, [w:] H.J. Michelmann, P. Soldatos (red.) *European Integration Theories and Approaches*, Lanham, New York, London 1994, s. 35-36.

inicjuje ona i następnie wzmacnia głębsze więzi gospodarcze między państwami. Właśnie integracja europejska rozpoczęła się przede wszystkim od współpracy gospodarczej (Europejska Wspólnota Węgla i Stali), a ówczesne regulacje prawne z zakresu ekonomii EWWiS oraz potem EWG potwierdzały jako bazowy porządek prawny gwarantujący wolności ekonomiczne, co oczywiście ograniczało siłę polityczną obu tych Wspólnot.

Jednakże Wspólnoty Europejskie były budowane odwrotnie, niż zakłada to model federacyjny. Otóż federacje na początek ogniskują swoje więzi wokół wspólnej polityki zagranicznej, obronnej oraz monetarnej, zastrzegając sobie kompetencje przynajmniej w tych trzech sektorach. Przecież w całej fazie integracji wspólnotowej (nie tylko na samym początku²⁶) wymienione trzy sektory praktycznie nie stanowiły przedmiotu wspólnotowych działań.

Wspólnota prawa

Walter Hallstein definiował Wspólnoty Europejskie jako wspólnoty prawa (*Rechtsgemeinschaften*), które są kreatorem i źródłem prawa wspólnotowego oraz które podlegają jego kontroli²⁷. Poprawną nazwą dla prawa wygenerowanego przez Wspólnoty Europejskie, a potem UE i obowiązującego w ich wnętrzu jest prawo wspólnotowe (lub europejskie prawo wspólnotowe, albo też prawo UE), a nie

²⁶ Wówczas ideą pierwotną było utrzymanie pokoju oraz zapobieżenie kolejnej wojnie.

²⁷ Zob. szerzej: W. Hallstein, *Der unvollendete Bundesstaat*, Düsseldorf 1969. To właśnie K.W. Deutsch używał pojęcia „pokojowe przemiany” (*peaceful change*), które są niezmiernie ważne dla kreacji „wspólnoty bezpieczeństwa”.

prawo europejskie. Ten drugi termin ma o wiele szersze (kontynentalne) znaczenie i obejmuje nie tylko prawo wewnątrz UE, ale także inne systemy prawne obowiązujące w Europie (w tym dorobek traktatowy Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ, Rady Europy oraz inne konwencje i traktaty multilateralne i bilateralne)²⁸. Z kolei prawo wspólnotowe jest partykularnym subsystemem obejmującym kraje członkowskie UE występującym autonomicznie w ramach prawa europejskiego. Jeżeli UE jest wspólnotą prawa, to jest także wspólnotą konstytucyjną, wymagającą uznania i zastosowania *acquis communautaire* we wszystkich krajach członkowskich.

Peter Häberle potwierdza, że Europa jest także wspólnotą konstytucyjną (*Verfassungsgemeinschaft*), bowiem nawet abstrahując od idei konstytucji europejskiej w ramach Wspólnot Europejskich, czy obecnie w ramach UE, także w konstytucjach narodowych zawarte są „klausule europejskie”, czyli zapisy odnoszące się do spraw europejskich, w tym np. dotyczące wspólnych wartości, praw człowieka czy też podstaw prawnych do transferu niektórych kompetencji państw narodowych na szczebel ponadnarodowy²⁹.

Christian Joerges uważa, że pierwsza faza integracji w Europie stała pod zna-

²⁸ Por. R. Szafarz, *Rozwój prawa międzynarodowego Europy. Z problematyki „europejskiej przestrzeni prawnej”*, Warszawa 1994. Podobne rozróżnienie można spotkać w Niemczech: z jednej strony *europäisches Gemeinschaftsrecht* (lub po prostu *EG/EU-Recht*), a z drugiej strony *europäisches Recht*, w obszarze anglosaskim występuje: z jednej strony *community law*, *EC law* lub *Union law*, a z drugiej strony *European law*.

²⁹ Por. szerzej: P. Häberle, *Europäische Verfassungslehre*, Baden Baden 2005, s. 26 i nast.

kiem „integracji przez prawo” (*Integration through law*). Wertykalny konstytucjonalizm interpretował Europę jako wspólnotę prawa, zatem jako wspólnotę, która konstytuuje się w pierwszym rzędzie przez prawo i przede wszystkim ma działać w środowisku prawnym. Druga faza integracji cechuje się przesunięciem punktu ciężkości na urzeczywistnienie Rynku Wewnętrznego. Tym samym nastąpiło przejście od samego stosowania regulacji prawnych do organizowania rozwiązań określonych problemów w licznych politykach sektorowych UE³⁰.

Wspólnota narodowa

Wspólnota narodowa (należy do rodzaju wspólnot społecznych) często określana jest jako wspólnota etyczna, albowiem z reguły kieruje się wartościami etycznymi. Uważa się zatem, że może nią być naród. Wspólnota narodowa może tworzyć także wspólnotę etniczną oraz (choć niekoniecznie) wspólnotę religijną. Wspólnota etyczna służy aktywizacji elit i instrumentów w ich posiadaniu na rzecz osiągnięcia celów zbiorowych (wspólnych).

Wspólnota narodowa korzysta także z faktu, iż jej członkowie podzielają wspólne wartości, stanowiące tutaj istotne spoiwo wewnętrzne. Zatem wśród innych wspólnot sektorowych są: wspólnota wartości (*community of the values*), która zresztą może występować jako sektorowa wspólnota również w pozostałych typach wspólnot (np. w ramach wspólnot politycznych), oraz wspólnota terytorialna, która odnosi się do konkretnego obsza-

³⁰ Ch. Joerges, *Das Recht im Prozeß der Konstitutionalisierung Europas*, EUI Working Papers, 2001, nr 6, s. 37.

ru geograficznego objętego wspólnymi i tradycyjnymi więzami w ramach danego narodu.

Wspólnota regionalna

Wspólnota regionalna pojawia się z kolei u Ernsta Haasa w rozumieniu ponadnarodowego bytu lub podmiotu, o cechach niemal państwa regionalnego. W regionalnym ujęciu wspólnot E. Haasa istotnie wspiera L. Lindberg, choć czyni to bardziej w aspekcie politycznym oraz w odniesieniu do rozwiązywania sporów regionalnych. W takim ujęciu wspólnotą regionalną jest też Unia Europejska. „Wspólnota regionalna pozostaje w ścisłej relacji z kulturą, która jest wynikiem jej życia i działania, jak i z terytorium, które jest nieodzowną przestrzenią jej życia”³¹.

Regionalny charakter wspólnoty sprzyja wydobyciu jej specyfiki i określonej odmienności, co często staje się wartością samą w sobie.

Wspólnota ponadnarodowa

Istotnym typem wspólnoty jest wspólnota ponadnarodowa (*supranational community*). Termin ten zastosował Robert Schuman już 5 maja 1949 r., w przemówieniu wygłoszonym podczas uroczystości podpisywania Statutu Rady Europy (*Council of Europe*), która odbyła się w St. Jame's Palace w Londynie, choć wówczas jeszcze mówił o „ponadnarodowej unii” (*supranational union*) cechującej się współpracą duchową oraz polityczną³². Po czym 18

grudnia 1949 r. w tekście *The German Question (And the European Experiment)* wspominał już wprost o ponadnarodowej wspólnocie³³. Jakość systemu wspólnoty ponadnarodowej zależy od stałego doskonalenia demokracji koncyliacyjnej oraz sprawiedliwości społecznej. Uznał tam, że taka wspólnota nie tylko czyni wojnę niewyobrażalną, ale także materialnie niemożliwą. Ponadto Schuman uważał, że wspólnota ponadnarodowa jest trzecią strukturą w rozwoju świata ułożoną pomiędzy federacją a stowarzyszeniem lub konfederacją państw, tak jak ONZ, NATO lub OECD. Zdobył się on nawet na odwagę, aby w 1949 r. ogłosić nową erę w historii świata, jaką miał być wiek ponadnarodowości, który następuje po wieku nacjonalizmów³⁴.

* * *

Wspólnota w stosunkach międzynarodowych może być zarówno „stowarzyszeniem” celowym, organizacją międzynarodową, jak i załączkiem integracji federalnej. Nie ulega jednak wątpliwości, że niezależnie od tych interpretacji stanowi ona swoiste antidotum na zaanarchizowane otoczenie międzynarodowe, gdyż opiera się na silnych wewnętrznych więziach oraz zależnościach i pozwala w efekcie zrealizować takie zadania i osiągnąć takie cele, których państwo w pojedynkę nie byłoby w stanie osiągnąć.

rope, St. Jame's Palace, London, 5 May 1949, [w:] D.H. Price, *op. cit.*, s. 42.

³³ R. Schuman, *The German Question (And the European Experiment)*, [w:] D.H. Price, *op. cit.*, s. 64.

³⁴ R. Schuman, *Nos Taches européennes*, [w:] D.H. Price, *op. cit.*, s. 30, 31, 53.

³¹ H. Skorowski, *Europa regionu. Regionalizm jako kategoria aksjologiczna*, Warszawa 1999, s. 59.

³² R. Schuman, *The Supranational Principle for Europe, Speech at Signature of Statutes of Council of Eu-*

Refleksje

Jan Papiór

Zwei Bücher über Deutschland und Polen

Die seit der Völkerwanderung datierende europäische Nachbarschaft der Slawen und Germanen und seit dem 10. Jahrhundert der Polen und Deutschen inspiriert Autoren aus beiden Kulturkreisen immer wieder zu neuen wissenschaftlichen Veröffentlichungen, die einerseits die lebendige und alltägliche Praxis der Kultur Nachbarschaft erfassen und deuten, andererseits diese aber auch inspirieren und interpretieren wollen. Die in den letzten Jahren veröffentlichten Bibliographien ermöglichen einen Einblick in die ungeheure Menge der Publikationen zu den polnisch-deutschen Wechselseitigkeiten. Die bibliographischen Belege ergeben, dass die Phrasen «Deutschland und Polen» und «Deutsche und Polen» auch in wissenschaftlichen Publikationen sehr oft strapaziert (ein Paradebeispiel wissenschaftlicher Manipulation ist der 1933 von Albert Brackmann herausgegebene Sammelband *Deutschland und Polen – Beiträge zu ihren geschichtlichen Beziehungen*) wer-

den und für einen eingehenderen, präziseren und explannativen Titel hinhalten müssen. Nicht selten wurde der Inhalt dieser so überschriebenen Bücher und Beiträge als „wissenschaftliche Untersuchung“ ausgelegt, obwohl oft eher von Fehldeutungen, mangelhafter Objektivität, Geschichtsklitterung, und nach 1945 auch von einer neuen Geschichtsdeutung zu sprechen wäre. Eine Einsicht in diese Veröffentlichungen zwingt zur Feststellung, dass nicht selten von einer einseitigen Dokumentationsgrundlage ausgegangen wird, die in deutschen Bearbeitungen inzidentell auch durch die Feststellung belegt wird, man kenne das Polnische nicht, konkret und präzise jedoch vor allem durch das Verzeichnis der ausgewerteten Literatur dokumentiert wird. Wissenschaftliche Untersuchungen sollten sowohl den wissenschaftstheoretischen, als auch den methodologischen Fundamenten, und nicht zuletzt den langzeitigen Kulturprozessen entspre-

chend, die polnisch-deutschen Wechselseitigkeiten im Kontext der europäischen Kultur zu erfassen versuchen. Aber auch in Darstellungen, die als «wissenschaftliche» deklariert oder als solche gelesen werden sollten (sei es wegen der Form des bearbeiteten Problems, oder des Verfassers), wird oft mit nichtverbalisierten Voraussetzungen gearbeitet, oder gar Modeerscheinungen gehuldigt. Prekär wird die Situation, wenn der/die Verfasser weltanschauliche Positionen als wissenschaftliche setzen und diese zudem in der Untersuchung nicht verbalisieren. Es wäre also in diesem Zusammenhang dringend eine «Verwissenschaftlichung» der Untersuchungen zu polnisch-deutschen Beziehungen zu postulieren, um eine kulturwissenschaftlich fundierte Untersuchung zu erreichen. Dieses Postulat wäre aus zwei Gründen relevant: Einerseits würde man sich hierdurch von einem reinen Darstellungs- und/oder Beschreibungsmodus – der «Kinderkrankheit» dieser Untersuchungen – entfernen; zum anderen würden sich diese – den langzeitigen Realien der zweiseitigen Beziehungen entsprechend – dem europäischen Kulturprozess integrieren, und nicht als autonomes, selbständiges Phänomen aufgefasst. Die polnisch-deutschen und deutsch-polnischen Beziehungen sind ein Teil des gesamteuropäischen Kulturprozess und sind nur als solcher wissenschaftlich zu erfassen und zu erkennen. In diesem europäischen Kontext sind die Beziehungen sowohl ein bedeutender Teil der polnischen, als auch der deutschen Kultur (wenn auch diese in deutschen Forschungen sehr oft auf die Relation Polen-Ordensstaat und Polen-Preußen reduziert wird). Von einem aus-

föhrlichen Beleg dieser Situation soll hier Abstand genommen werden, weil doch die Bibliographien einen problemlosen Zugang zu den Veröffentlichungen und ihre Einschätzung ermöglichen. Es soll aber auf vier Paradebeispiele verwiesen werden, die das angerissene Problem exemplarisch herausstellen.

Das erste Beispiel. Im Jahre 1900 veröffentlichte der Wiener Germanist Robert Franz Arnold seine *Geschichte der deutschen Polenliteratur*, die zudem noch 1966 als Neudruck erschien, womit die Bedeutung des Buches wohl hervorgehoben werden sollte und auch als Verweis gelesen werden kann, dass eine synthetische Monographie der polnisch-deutschen Beziehungen (auch in der Literatur) immer noch aussteht. Die kurze Darstellung des polnischen Deutschlehrers und Germanisten Kazimierz Missona aus dem Jahre 1910 ist auch heute völlig unbekannt und ist ohne Resonanz geblieben. Aber R. F. Arnolds Darstellung, die erste und auch bekanntgewordene Untersuchung, war schon im Druckjahr veraltet, denn – obwohl er im Anhang eine bedeutende Quellensammlung bringt und sich auf viele literarische Texte bezieht – er berücksichtigt den Forschungsstand seiner Zeit nicht und auch die polnischen Forschungsergebnisse nicht.

Das zweite Beispiel. Manfred Häckel, ein Germanist aus der ehemaligen DDR, veröffentlichte 1952 die Anthologie *Für Polens Freiheit - Achthundert Jahre deutsch-polnische Freundschaft in der deutschen Literatur* und dissertiert zwei Jahre später in Jena mit seiner *Skizze zu einer Geschichte der deutschen Polenliteratur unter besonderer Berücksichtigung der Lyrik aus den Jahren 1830-1834 - Ein Beitrag zur Widerspiegelung nationaler und*

sozialer Kämpfe des Auslandes in der deutschen Literatur. Beide Veröffentlichungen sind nicht wissenschaftsgeschichtlich, sondern marxistisch, also ideologisch fundiert, was eventuell für die Anthologie noch akzeptabel sein könnte. Aber zugleich werden beide Publikationen aus der Voraussetzung der „achthundert Jahre deutsch-polnische[r] Freundschaft in der deutschen Literatur“ verfasst, ohne diese offensichtlich falsche These auch nur andeutungsweise zu belegen. Der indirekte Beleg ergibt sich aus den aufgenommenen Texten seiner Anthologie: er übernimmt nur Dokumente mit einem positiven, polenfreundlichen Sinne und übergeht all die kulturgeschichtlichen und literarischen Texte, die sich negativ über Polen äußern. Diese Haltung ist für eine sehr große Zahl der Untersuchungen und Anthologien symptomatisch: es werden nur positive Kulturdokumente zusammengetragen und untersucht, dagegen die negativen Beispiele (es wäre nur auf die über Jahrhunderte dauernde Ostkolonisation und Ost-Expansion – aus welchen Gründen auch immer – und die in ihrem Kontext verfaßten literarischen Texte zu verweisen) beiseite gelassen. Es müßte gefragt werden, wie es zu dieser konfliktreichen, tausendjährigen Nachbarschaft kommen konnte, wenn über achthundert Jahre die Literatur – nach M. Häckel – nur ein freundschaftliches Bild der nachbarlichen Beziehungen kennt?

Das dritte Beispiel. Sowohl Hasso v. Zitzewitz (in seinem Buch *Das deutsche Polenbild in der Geschichte* 1991, ein Einblick in die Anmerkungen und das Personenregister überzeugt, dass der Verfasser in seiner Darstellung der deutsch-polnischen Wechselbeziehungen wissenschaft-

lich extrem Einseitigkeit ist, weil er keine polnischen Quellen berücksichtigt, zudem fehlt ein Literaturverzeichnis), als auch Martin Broszat (*Zweihundert Jahre deutsche Polenpolitik*, 1972) geben zu, dass sie die polnische Sprache nicht beherrschen, obwohl der letztere in sein Literaturverzeichnis auch polnischsprachige Werke aufnimmt. Es werden von polnischen Veröffentlichungen sehr oft nur die Untersuchungen berücksichtigt, die ins Deutsche, oder eine der Kongresssprachen übersetzt wurde. Am Rande dieses Beispiels wäre der Grundsatz anzunehmen, dass sich mit Wechselbeziehungen nur Autoren beschäftigen sollten, die die Sprache des Bezugspartners mindestens passiv nutzen können. Ein interessantes Beispiel legte seinerzeit der deutsche Kulturhistoriker Anton Hilckmann zutage, der – um das Werk des polnischen Kulturwissenschaftlers Feliks Koneczny studieren zu können – die polnische Sprache erlernte. Das Problem ist aber nicht nur in der Unkenntnis einer Sprache zu suchen oder zu sehen, sondern in einer stereotypen oder vorurteilsbeladenen Grundhaltung, die sich nicht problemlos beschreiben und definieren lässt.

Das vierte Beispiel. Es muss zugegeben werden, dass sich die Situation seit den späten sechziger Jahren des 20. Jahrhunderts zwar sehr langsam, aber doch ändert. Dies belegen Veröffentlichungen deutscher Historiker und deutscher Germanisten (z. B. Werner Rieck) sowohl der älteren, als auch der jüngeren Generation. An dieser Stelle soll auf zwei deutsche Historiker der älteren Generation verwiesen werden. Es soll auf das Werk des schon zitierten M. Broszat hingewiesen werden, dessen Untersuchungen in den siebziger

Jahren des 20. Jahrhunderts ein relevantes Symbol dieses Wandels der Einstellung der deutschen Historikergunft zur osteuropäischen Geschichte und der Beziehungen zum östlichen Nachbarn war. Insbesondere soll auf die zahlreichen Veröffentlichungen des schon betagten Klaus Zernack hingewiesen werden, der über Jahrzehnte einen ausführlichen Diskurs, manchmal auch Dialog mit polnischen Historikern führte. Erst vor einigen Monaten (2006) erschien in Polen ein Sammelband mit Übersetzungen wichtiger Texte des deutschen Historikers, leider ohne eine Bibliographie seiner Untersuchungen, die einen tieferen Einblick in das sich wandelnde Verhältnis des deutschen Historikers ermöglichen könnte. Der Sammelband belegt, dass K. Zernack (zumindest passiv) das Polnische beherrscht, dass er mit Veröffentlichungen polnischer Historiker – die er aus erster Hand, und nicht nur über Übersetzungen kennt – dialogisiert und diskutiert, diese aber vor allem in seinen Untersuchungen auswertet und würdigt (z. B. Benedykt Zientara).

Wie schon eingehend festgestellt, die Phrase «Deutschland und Polen» wurde als Buchtitel von Verfassern und Herausgebern allzu oft strapaziert, oft auch manipuliert. Aber selten kann man auf Bücher hinweisen, die – in einer kurzen Zeitspanne veröffentlicht – einen identischen Haupttitel tragen, nämlich *Deutschland und Polen* (1992 im Münchener Piper-Verlag, 581 S.) und das umfangreichere *Deutschland und Polen* (2003 im Münchener C. H. Beck-Verlag, 630 S.). Beide Büchertitel wurden mit unterschiedlichen Subtiteln erweitert und wollen so etwas wie eine kulturhistorische Gesamtdarstellung der

Beziehungen, sowohl dem deutschen, als dem polnischen Leser bieten. Aber wer könnte bestreiten, dass die Erweiterung des ersten Titels „100 Schlüsselbegriffe“ sich sachlich und historisch nicht mit der des zweiten durch die Wortreihe „Geschichte – Kultur – Politik“ deckt? Aus den Texten geht zudem hervor, dass beide Bücher vom Deutschen Polen-Institut in Darmstadt sachlich und editorisch betreut und von der Robert-Bosch-Stiftung gefördert wurde. In der ersten Veröffentlichung wird diese Angabe in schlichter Weise an das Ende der Einführung gestellt (1992, S. 12), in der zweiten stellte man sie kühn auf die Titelseite (2003, S. 3). Zudem werden beide Ausgaben durch Andreas Lawaty, die erste Edition in Mitarbeit von Ewa Kobylinska und Rüdiger Stephan, zweite Edition auch von Hubert Orłowski herausgegeben. Der letzte war auch an der ersten Ausgabe als Verfasser beteiligt. Es wäre noch anzuführen, dass der erste Titel auch von einem Didaktisierungsmaterial begleitet wurde: *Materialien zur Landeskunde – Didaktisierungsideen zu «Deutsche und Polen 1000 Schlüsselbegriffe»*, womit also auch eine Anwendung im Unterricht angestrebt wurde.

Es ist nicht übertrieben, wenn man die Frage stellt, was den Beck-Verlag dazu bewegte, ein sehr ähnliches Buch – vom Titel gesehen – herauszugeben? Die Frage lässt sich aus der Perspektive einer konfrontativen Lektüre beider Werke nur indirekt erklären. Im allgemeinsten Sinne wäre festzuhalten, dass die erste Edition wesentlich auf die konkreten Beziehungen eingeht, die zweite liberal-kosmopolitisch vorgeht. Hiermit kommt aber dann die Frage auf, ob mit einer liberal-kosmo-

politischen Orientierung der Beziehungsgeschichte die europäische Einheit begünstigt, oder beschleunigt werden kann? Diese Grundhaltungen haben dann einen bedeutenden und determinierenden Einfluss auf die sprachliche Realisierung beider Werke. Auch wenn einige Verfasser von den 82 (1992, hier paritätisch von polnischen und deutschen Autoren besetzt) und 66 Personen (2003, hier sind die polnischen Verfasser doppelt so stark besetzt worden) in beiden Werken auftreten (z. B. T. Namowicz, H. Orłowski, A. Lawaty, R. Jaworski, u.a.), so haben wir doch – im Gegensatz zu den unifizierenden Titeln – in Wirklichkeit zwei unterschiedliche Werke vor uns. Auch die Anordnung der Teile, Kapitel und ihre sprachliche Ausformulierung unterscheidet beide Werke: „I. Geschichte und Geschichtsbewusstsein“, „II. Kultur und Gedächtnis“, „III. Gesellschaft und Lebenswelt“, „IV. Politik und Antipolitik“, „V. Der Krieg und seine Folgen“, „VI. Mit- und gegeneinander“ (1992); dagegen enthält das zweite Werk die Teile: „1. Zur Geschichte einer Nachbarschaft“, „2. Erinnerungsorte“, „3. Kultur und Identität: Räume des Nicht-Übersetzbaren“, „4. Gesellschaft und Lebenswelt“, „5. Politik und Wirtschaft“ (2003). Eine eingehende und sachliche Wertung der nachbarlichen Beziehungen beider Völker und Staaten, die dem Leser in den insgesamt 150 Beiträgen vorgestellt werden, kann nicht in einer summarischen Betrachtung beider Bücher erfolgen, denn der kulturhistorische Sachbereich beider Werke soll die Beziehungen vom Mittelalter bis zur Gegenwart erfassen.

Es scheint jedoch – um den Haupttiteln beider Publikationen gerecht zu

werden – keinem Zweifel zu unterliegen, dass im Vordergrund nicht Einzelphänomene der polnischen und deutschen Geschichte (inklusive ihrer Vorgeschichte) stehen sollten, sondern wie sich auf dem Hintergrunde des europäischen und nationalen (polnischen und deutschen) Kulturprozesses das Mit- und Nebeneinander beider Völker, Königreiche und Staaten entwickelte. Denn dieses Mit- und Nebeneinander beider Völker, Königreiche und Staaten, der Kulturprozess der Beziehungen sollte doch den Lesern beider Werke explannativ erklärt und erläutert werden. Um solche komplexe Darstellungen optimal lesen und dem Kulturprozess einordnen zu können, sollten diese Bücher mit ausführlichen Registern ausgestattet werden. Ein Personen- und Sachregister wird zwar dem Bande des Jahres 1992 beigelegt in dem jedoch leider sowohl Personennamen, wie auch Sachbegriffe fehlen, die diese Beziehungen besonders symbolisieren: z. B. Thietmar, Otto III. Silvester II., Bruno von Querfurth, Adaloz, Ligurinus, Johannes Falkenberg, «dagome judes», «Politische Testamente der Hohenzollern», Albrecht Hohenzollern, und viele, viele mehr. Martin Broszat hat schon in den siebziger Jahren darauf verwiesen, dass die Ostverschiebung des deutschen Siedlungsbereiches im 18. Jahrhundert zum preußischen Staatsprogramm erhoben wurde. Aber schon Albrecht Hohenzollern hat nach 1525 in seinem bis heute nicht ausgewerteten Briefwechsel (von Z. Lanckorońska in etlichen Bänden ediert) mit öffentlichen und geheimen (im Klartext: bezahlter) Informanten über die Lage in Polen, diese staatspolitische Doktrin schon sehr früh fundiert

und realisiert. Wie jedoch deutsche und ordensstaatliche politische Dokumente aus früheren Jahrhunderten belegen, wurde dieses Problem schon früher zum Staatsprogramm erhoben und oft als Auftrag von regionalen Herrschern, Markgrafen, Fürsten und Kurfürsten realisiert. Dies kann nicht verwundern, wenn im Rahmen der Staatspolitik der Ottonen das Zentrum des Reiches an die östliche Peripherie (Magdeburg) verlegt wird und die Expansion zum ersten Mal in der Geschichte des Reiches auf nichtgermanische Siedlungsgebiete übergreift und auch in literarischen Texten der Zeit (z. B. Otton aus Freising, Rahewin, Gunther von Pairis) dokumentiert wird. Diese fehlenden Namen, aber auch Tatsachen und Orte, lassen nicht nur auf eine lückenhafte Darstellung, aber doch auch eine bewusste – im Sinne einer neuen deutschen Geschichtsschreibung unter überwiegendem polnischen Anteil in der Edition des Jahres 2003 – schließen. In beiden Editionen fehlen auch ausführliche Ortregister, die eine schnelle geographische Ortierung der Kontakt- und Grenzbereiche erlauben könnten. Der Edition des Jahres 2003 wurde nur ein Personenregister beigelegt, was im Verhältnis zur früheren Edition schon eine Reduktion ist. Aber auch hier finden wir leider eine Reihe von Namen nicht (z. B. Bruno von Querfurt, Johannes Falkenberg, Albrecht Hohenzollern, u.s.w.; n. b. es erübrigt sich die angeführten Namen zu wiederholen), die den Prozess der Nachbarschaft bedeutend mitbestimmten und auch für die literarische Stereotypenbildung mitverantwortlich sind. Weil nun beide Bücher keine Lesebücher, sondern Studienbücher sind, und – wie schon angedeutet – auch

für die Didaktik vorgesehen waren, wird hierdurch eine parallele und vergleichende Rezeption bedeutend erschwert. Der Leser wird gezwungen eine lineare Rezeption zu realisieren und dadurch wird ihm der Vergleich zumindest erschwert, im Grenzfall sogar versperrt. Es wird z. B. auf die Anfänge des deutschen und polnischen Staates (2003, S 16ff.) verwiesen, aber das für die Beziehungen um die Jahrtausendwende fundamentale Dokument des polnischen Königs Boleslaw Chrobry «dagome judes» (wohl aus dem Jahre 992), wie auch das Vorhaben Silvesters II., das von Otto III. (siehe hierzu J. Fried 2000) mit der Pilgerfahrt nach Gniezno (1000) und der Gründung der Erzbistümer für Polen und Ungarn realisiert werden sollte, werden völlig übergangen. Es drängt sich die Frage auf, warum werden fundamentale Kulturprozesse und Dokumente übergangen? Eine parallele und vergleichende Lektüre der Kapitel eines der Werke, wie auch beider Werke, erlaubt die Feststellung, dass die Reduktion der Ostkolonisation und Expansion zur „Floskel“ und „irrationalen Schein-Erklärung“ (1992, S. 27), oder zum „Stereotyp“ (2003, S. 33) nur möglich ist, wenn die historiographische Darstellung nicht im Kulturprozess verankert ist und dem kulturgeschichtlichen Explinationsprozess die Bezugsbasis genommen wird. Es ist auch darauf zu verweisen, dass das publizistische Schlagwort „Drang nach Osten“ nicht nach seiner demographischen, historischen und politischen, und allgemeiner seiner kulturellen Bedeutung befragt wird (wie dies z. B. Wolfgang Wippermann versuchte aufzuzeigen), sondern nur als Produkt des 19. Jahrhunderts gewertet wird. In den allermeisten

Fällen entstehen Begriffe erst, wenn die Sinngehalte seit langer Zeit vorliegen und im Umlauf sind, so wie es sich mit diesem Phänomen verhält (siehe hierzu die Aufforderung des Magdeburgischen Bischofs Adalgoz aus dem Jahre 1108).

Eine Bezugsebene für die polnisch-deutschen Beziehungen und die Ostverschiebung des deutschen Kultur- und Sprachgebietes, im Klartext des deutschen Siedlungsbereiches, können nur die Ergebnisse der Völkerwanderung sein. Es ist allgemein bekannt, dass die Grenze zwischen dem slawischen und germanischen Siedlungsbereich nach der Völkerwanderung über Jahrhunderte die Elbe-Saale-Nab-Linie war. Erst unter Berücksichtigung dieser Tatsache (die auch durch die ono- und toponomastischen Forschungen der BRD- und ehemaligen DDR-Sprachwissenschaftler belegt wird), erhält die von der deutschen Geschichtsschreibung so vehement beanstandete publizistische These vom „Drang nach Osten“ einen völlig neuen Gehalt, die auch als Ostverschiebung des deutschen Kultur- und Sprachraums umschrieben werden kann. An der Eigentümlichkeit dieses Kulturprozesses ändert sich dadurch jedoch nichts.

Die textliche Realisierung vieler Beiträge ist auf eine sprachliche und kulturpolitische Reduktion ausgerichtet, die als Element einer neuen Geschichtsschreibung gewertet werden müssen. Dies lässt sich schon anhand des Sachregisters der Edition des Jahres 1992 feststellen, indem einige Tatsachen überbewertet, andere entweder unterbewertet, oder nicht berücksichtigt werden. Wenn z. B. beansprucht wird, dass die „historischen Schicksale“ (1992, S. 53) beider Nationen

„nicht wenige Parallelen“ aufweisen, und dass das „Heilige Römische Reich zu den großen alteuropäischen Republiken“ zählt, dann werden viele Entwicklungen vielleicht auf oberflächliche Ähnlichkeiten reduziert um die fundamentalen Unterschiede zu überspielen. Als erstes wäre anzuführen, dass das Deutsche Reich (dies war der rechtliche Titel) nicht «römisch» und auch nicht «heilig» war, denn der christliche Universalismus geht mit Otto III. seinem jähen Ende zu. Zweitens wäre darauf zu verweisen, dass der polnische König – im Grunde – keinen Erlass ohne Genehmigung des Parlaments verlautbaren konnte (er war nämlich die erste Person in einer «Rzeczpospolita», auch wenn das Volk ein Mitbestimmungsrecht hatte), der deutsche König/Kaiser konnte und hat sich oft den Parlamentsbeschlüssen widersetzt. Zudem ist das König-, ev. Kaiserreich seit 1256 keine einheitliche Monarchie und seit 1356 auch rechtlich eher eine Föderation von autonomen Kurfürstentümern. Die Macht und das Recht liegt nicht bei den Ständen oder beim Parlament, sondern bei den Kurfürsten und es wäre schwerlich festzustellen, dass die von ihnen regierten Kurfürstentümer „Republiken“, oder republikanisch waren, so wie das Reich keine Republik oder republikanisch war. Wie die „ständische Machtbeteiligung und Rechtssicherung“ (1992, S. 54) in Polen (hier waren die preußischen Stände an der Macht – obwohl oft nur nominell – beteiligt) und z. B. in Preußen realisiert wurde, dokumentiert der Kampf der Hohenzollern mit den preußischen Ständen. Diese Entwicklung kann sich bis zu den Teilungen bewähren, denn bis ins 18. Jahrhundert ist auch in

Europa von einem republikanischen Geiste nicht zu sprechen. Es wäre in diesem Zusammenhang zu fragen, was soll mit einer solchen Reduzierung erreicht werden soll und kann?

Es wäre nicht nur wünschenswert, aber dringend notwendig, dass in solchen Publikationen, viele der Probleme paritätisch, von deutschen und polnischen Autoren – wie auf den Schulbuchkonferenzen – angegangen würden. In der ersten Edition (1992) wurden einige Probleme so behandelt (z. B. *Soziale Schichtung* S. 221 und 229; oder *Flucht, Vertreibung, Zwangsaussiedlung*, S. 413 und 420). Wenn z. B. ein Beitrag *Das deutsche Kulturerbe in Polen* (2003, S. 144) aufgenommen wird, dann wäre auch ein Beitrag zur Bedeutung der polnischen Teilungsgebiete für Preußen, zum polnischen Beitrag im Aufbau des Ruhrgebiets oder Berlins, die Bedeutung der polnischen Minderheit im deutschen Kulturleben, z. B. in der Zwischenkriegszeit (siehe B. Drewniak 2005) eine dringende Notwendigkeit.

Dies bezieht sich aber insbesondere auf *Preußen* (2003, S. 159). Für Preußen und seine „Keimzelle“, ist ein „Primat der Ostpolitik“ zu erkennen, obwohl „nicht erneut der Doktrin vom «deutschen Drang nach Osten» geredet werden soll“ (S. 160). Der geschichtliche Prozess ist aber doch so verlaufen, dass seit den Ottonen die Ausdehnung des deutschen Sprach- und Kulturgebietes nur in östliche Richtung und auf Gebiete übertragen wurde, die ursprünglich nicht germanisches Siedlungsgebiet waren. Diese wird zu Kosten der Slawen, später auch Polen erfolgen. Und es war doch auch so, dass Preußen nur durch eine Expansion nur in östliche Richtung auf früher nicht-

germanische Gebiete seine Bedeutung erreichen konnte. Es ist auch nicht so, dass „Preußen seinen Platz als Staat zwischen zwei Nationen, zwischen Deutschland und Polen“ (ebda) hatte, denn seit der Säkularisierung 1525 und Albrecht Hohenzollern bekannte sich Preußen (auch schon früher als Ordensstaat, dann als Fürstentum, später in Personalunion mit Brandenburg und als Kurfürstentum Preußen, wie auch der bedeutendste Teil der Bevölkerung) zur deutschen Nation und wollte ein Teil des Reiches sein, obwohl das rechtlich nicht möglich war. In der Rivalisierung zwischen den Hauptakteuren im Reich, kommt es zu einem Sieg Preußens und zu einer «Verpreußung» Deutschlands, nicht aber zu einer «Verdeutschung» Preußens. Alles in allem ist die Formulierung nur eine Kaschierung des tatsächlichen Zustandes. Zudem war doch Preußen nicht wie Polen oder Frankreich ein vollständig autonomer Staat, sondern seit dem 17. Jahrhundert immer Teil des Deutschen Reiches, auch wenn es gegen die Länder des Reiches und nicht selten gegen das Reich selbst gekämpft hat. Es ergibt sich also, dass die Formulierung „Preußen [...] als Staat zwischen zwei Nationen“ nur einen Teil des wirklichen Zustandes wiedergibt und so eine Verschönerung und Bedeutungsverminderung erreichen soll.

Das 18. Jahrhundert ist eines der folgenschwersten und traurigsten Jahrhunderte in der tausendjährigen Nachbarschaft Polens und Deutschlands, u. a. auch deswegen, weil die europäischen, insbesondere die französischen Aufklärer anfänglich Friedrich II. in seinen Plänen unterstützten. Es überrascht also nicht, wenn dem Jahrhundert der Aufklärung

in beiden Editionen (1992, S. 133ff.; 2003, S. 296ff.) ein Beitrag gewidmet wird. Beide Fassungen sind kosmopolitisch und unterscheiden sich nicht grundsätzlich, wenn auch ihre formelle Konstruktion von unterschiedlichen Ausgangspunkten und die sprachliche Realisation nicht von vergleichenden Blickpunkten ausgeht und variiert. Es überrascht jedoch, dass in diesen Artikeln die fundamentale Wertung des kulturhistorischen Prozesses – vom heutigen Standpunkt gesehen – in dem Sinne eine extrem liberale und kosmopolitische zu sein scheint, indem von einer „konservativen Revolution“ (1992, S. 134) des Adels gesprochen wird, und so in den Kulturprozess des 18. Jahrhunderts Wertungskriterien hineingetragen werden, die nicht der Zeit, und auch nicht den Verhältnissen in Polen entsprechen. Zumal eine Gleichberechtigung aller Teile der Bevölkerung angestrebt wurde (siehe hierzu das polnische Grundgesetz vom 3. Mai 1791), die Teilungen widerrechtlich waren und die zwei letzten Teilungen Polens auch als Reaktion auf die Sanierungsbemühungen der polnischen Aufklärer zu werten sind. Diese sind ja nicht so pauschal dem „Adel“ zuzuschreiben. Es wird in beiden Texten zu «synthetisch», zu «allgemein» und kosmopolitisch (wie in vielen Beiträgen beider Bände) argumentiert, die Situation wird ohne Berücksichtigung der kulturpolitischen Kontexte, der Staatsdoktrin der Hohenzollern (des öfteren formuliert in ihren «Politischen Testamenten») abgehandelt. Seit dem Anfang des 18. Jahrhunderts waren die Nachbarmächte übereingekommen, in Polen keine Änderungen zuzulassen. Zu verweisen wäre vor allem auf preußische, aber auch auf russische

und österreichische staatspolitische Dokumente, auch auf Briefe und Gespräche Friedrich II. und sein Epos *La guerre des confédérés* [Der Konföderatenkrieg]. Die pure historiographische Faktographie nähert sich ohne einer Kontextualisierung und Bezug auf kulturhistorische Dokumente einer Kaschierung der Kulturprozesse.

Wie schon angedeutet, sollte auf gewisse Tendenzen in der Darstellung des Verhältnisses zwischen Polen und Deutschen, Deutschen und Polen, dem Deutschen Reich und dem Königtum Polen hingewiesen werden. Aus dem zeitgenössischen Stand der wissenschaftlichen Erkenntnisse ist eine pure faktographische Darstellung der polnisch-deutschen Beziehungen unter kosmopolitischen Voraussetzungen doch eher ein Missverständnis. Die Fülle der Beiträge soll den Leser nicht täuschen und er soll sich nicht irreführen lassen. Auch die sprachlichen Formulierungen der Titel, wie *Sachsen, Napoleon, Aufklärung, Der politische Alltag* (u.s.w., alle aus der Edition des Jahres 1992), *Bismarck, Preußen, Frankreich, Amerika, Kultur und Zivilisation*, (u.s.w., alle aus der Edition des Jahres 2003) sind so allgemein gehalten, dass damit auch andere Darstellungen und Beschreibungen benannt werden könnten. Aus diesem Grunde ist auch die Anwendung im didaktischen Prozess eher unter Kontrolle zu halten und eine bedachte Lektüre zu empfehlen. Gegen die Theoreme des Liberalismus, Kosmopolitismus und auch Dekonstruktivismus ist immer wieder festzustellen, dass auch heute kultursprachliche Phänomene und Entwicklungen weiterhin den europäischen Kulturprozess prägen und bestimmen.

Jan Papiór: Zwei Bücher über Deutschland und Polen

Seine Einheit wird sich nur – wenn überhaupt – nur auf einem langen und schwierigen Edukationsprozess erreichen lassen. Es wäre also diesem Prozess einer nationalen Fundierung auch in der Darstellung der Beziehungsgeschichte Rechnung zu tragen. Es unterliegt immerhin keinem Zweifel, dass eine explannative, sachgerechte und dem langzeitigen Kulturprozess entsprechende Monographie der

polnisch-deutschen und deutsch-polnischen Beziehungen, die nicht einem dekonstruktivistischen und kosmopolitischen Denk- und Schreibmodus ausgeliefert sein werden, aber zugleich die Multiperspektivität und Vielseitigkeit der sich begegnender Kulturen erfassen wird, dennoch weiterhin ein dringendes Postulat bleiben wird.

Anna Szyndler

Janusowe oblicze wojny na przykładzie zmiennych kolei losu włóczęgi Courasche

Obraz kobiety epoki baroku na tle wojny trzydziestoletniej

Swego czasu bestsellerowa powieść niemieckiego pisarza Hansa Jakoba Christopha Grimmelshausena *Opis życia arcyoszustki i włóczęgi Courasche* (*Lebensbeschreibung der Ertzbetrügerin und Landstörtzerin Courasche*) ukazała się drukiem w 1670 roku, powołując tym samym do życia pierwszą kobietą bohaterkę nowożytnej literatury niemieckiej¹.

Powieść ta jest siódmą z dziesięciu ksiąg symplijciańskich, utworów wydanych na przestrzeni zaledwie kilku lat, formalnie i merytorycznie w dużej mierze niezależnych od siebie. Ich wzajemną relację można by porównać raczej do pereł nawleczonych na wspólny sznur niż do ogniw jednego łańcucha; w cykl łączą je wspólni bohaterowie, miejsce akcji i pytanie o stosunek człowieka do Boga i świata. Wspólna jest też charakterystyczna dla powieści pikarejskiej forma fikcyjnej autobiografii cieszącego się złą opinią bohatera z nizin społecznych oraz poza skruchy relacjonującego i komentującego protagonisty.

¹ Por. *Kindlers Neues Literatur Lexikon*, München 1988, t. 6, s. 925.

Pisma symplijciańskie są drastycznym w swym realizmie obrazem życia obyczajowego w XVII wieku, głosem *memento mori* przestrzegającym przed pułapkami doczesności i nawołującym do pobożności. Wyjątkową czyni tę przestrożę jej pełen ciepłego humoru satyryczny ton. Autor zdaje się nie surowym sędzią, lecz mędrcom, który z pobłażliwym, pełnym wyrozumiałości uśmiechem podchodzi do moralnych ułomności swoich bohaterów.

Krytyka literacka jest zgodna co do moralno-dydaktycznej wymowy *Courasche* oraz negatywnej oceny postaci tytułowej bohaterki. Mathias Feldges upatruje w postaci bohaterki nawiązania do popularnego w średniowieczu toposu personifikacji świata w osobie kobiety – „*frau welt*”². Topos ten przedstawiał kobietę, z przodu młodą i powabną, od tyłu zaś w stanie rozkładu, będącą siedliskiem robactwa, płazów i gadów. Siegfried Streller interpretuje postać tytułowej bohaterki jako symbol ziemskiej rozkoszy, alego-

² Por. M. Feldges, *Grimmelshausens „Landstörtzerin Courasche*”, Bern 1969, s. 92-95.

rię nicości świata, a jej koleje losu odczytuje jako stopniową moralną i socjalną degradację, skutek bezgranicznego oddania się ziemskim rozkoszom, zwłaszcza rozpucie³. Andreas Solbach jest zdania, że autor celowo demonizuje postać Courasche, czyniąc z niej czarownicę, czego dowodem jest wyeksponowanie jej perwersyjnej seksualności, przez współczesnych uważanej za symbol paktu z diabłem⁴. Z kolei Hansjörg Büchler porównuje Courasche do biblijnej babilońskiej nierządnicy, diabolicznej, której dotknięcie uśmierca duszę⁵.

Z punktu widzenia badań etnohistorycznych utwór jest ciekawym studium obyczajowym na temat społecznej roli kobiety w XVII wieku. Niemiecki literaturoznawca Michael Harbsmeier uważa, że badania nad mentalnością odległych epok historycznych należy oprzeć na rozszyfrowaniu oczywistości kulturowych, które właśnie ze względu na ich powszechną znajomość nie były przedmiotem świadomych rozważań czy dociekań ówczesnych pisarzy. Kulturowe oczywistości są czymś więcej niż tylko sumą banałów, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać; są one elementami mozaiki, którą jest obraz kulturowego samookreślenia danej epoki⁶.

³ Por. S. Steller, *Grimmelshausens Simplicianische Schriften*, Berlin 1957.

⁴ Por. A. Solbach, *Macht und Sexualität der Hexenfigur in Grimmelshausens Courasche*, „Simpliciana” 1986, s. 71-87.

⁵ Por. H. Büchler, *Studien zu Grimmelshausens „Landstörtzerin Courasche”*, Bern/Frankfurt a.M. 1971, s. 47.

⁶ Por. M. Harbsmeier, *Reisebeschreibungen als mentalitätsgeschichtliche Quellen*, [w:] *Reisebericht als Quelle europäischer Kulturgeschichte*, red. A. Mączak i H. Teuteberg, „Wolfenbütteler Forschung” 1982, s. 8.

Niewielka ilość tekstów źródłowych o charakterze socjokulturowym z wczesnego okresu nowożytności sprawia, że wiedzy tego rodzaju należy szukać w tekstach literackich i paraliterackich. Zatem powieść Grimmelshausena jest z punktu widzenia badań etnohistorycznych kopalnią wiadomości o mentalności ludzi epoki baroku.

Analizując płaszczyznę akcji i jej interpretację dokonaną przez autora, można odtworzyć funkcjonujący w dobie baroku stereotyp kobiety i ustalić jej ówczesny status społeczny. Uwagę zwraca fakt, że tytułowa postać kobieca jest przykładem typowego antybohatera, kimś na kształt żerującego na padlinie wojennej ludzkiego sępa.

Chcąc odtworzyć obraz pozytywny, czytelnik jest zmuszony konfrontować czyny i zachowania bohaterki z ich oceną dokonywaną przez autora, który wypowiada poglądy ówczesnej opinii społecznej. Wniknięcie w opinię autora komplikuje jednak duża powściągliwość Grimmelshausena w ferowaniu wyroków i wygłaszaniu sądów. Pisarz pozostawia scenę wydarzeń do wyłącznej dyspozycji swoich postaci, konsekwentnie używając retrospektywnej narracji w pierwszej osobie liczby pojedynczej. To nie on, lecz Courasche przedstawia bieg wypadków ze swojego punktu widzenia. Ten zabieg formalny sprawia, że czytelnik widzi świat jej oczami. W całej powieści autor ani razu nie usiłuje zmienić tej perspektywy i wkroczyć między postać Courasche a czytelnika⁷.

⁷ H. Joldersmann, E. Wickert, *Autorintention in Grimmelshausens „Landstörtzerin Courasche”*, „Germanic Review”, 64, 1989, s. 165.

Na płaszczyźnie akcji powieść Grimelshausena jest historią życia wyrastającej ponad przeciętność kobiety, która zarówno u obcujących z nią męskich postaci, jak i u samego autora budzi ambiwalentne odczucia. Z jednej strony jest to podziw przemieszany ze strachem, z drugiej odraza. W swoim dążeniu do niezależności materialnej i wolności osobistej, przywilejów, z których w patriarchalnym społeczeństwie XVII wieku mogli korzystać wyłącznie mężczyźni, Courasche łamie obowiązujące normy społeczne i obyczajowe. Ta próba wkroczenia tytułowej bohaterki w uprzywilejowany męski świat staje się możliwa dzięki usytuowaniu przez autora miejsca akcji w cesarstwie niemieckim ogarniętym pożogą wojny trzydziestoletniej.

I tu wojna jawi się czytelnikowi nie tylko jako stan zagrożenia, lecz również jako szansa, zwłaszcza dla tych grup społecznych czy jednostek, które w pokojowych warunkach są dyskryminowane i traktowane jak obywatele drugiej kategorii.

Wojna jest zjawiskiem, które normalny świat „stawia na głowie”, wywraca je na nice i sprawia, że obowiązujące normy obyczajowe tracą aktualność, a rozmaite zachowania, które w czasie pokoju są obłożone społecznymi restrykcjami, są nie tylko tolerowane, lecz stają się wręcz pożądane. Najlepszym tego przykładem jest mord, rabunek, okrucieństwo czy oszustwo, które w czasie wojny często są poczytywane za przejawy męstwa i nagradzane. Dla Courasche wojna jest wielkim zagrożeniem wolności, czci, a nawet życia, jednak dla jej silnej, niezależnej osobowości właśnie te okoliczności stwarzają szansę na przełamanie społecznego

tabu i wystąpienie w typowo męskiej roli żołnierza czy przedsiębiorcy.

Autor wielokrotnie ukazuje Courasche w bitewnym zgiełku, wprawdzie nie jako bezpośredniego uczestnika działań wojennych, gdyż kobieta walcząca ramię w ramię z mężczyznami nie mieściła się w ówczesnych wyobrażeniach, lecz jako nieustraszonego, niezwykle skutecznego łowcę łupów i jeńców. Ryzyko, jakie w tej roli ponosi Courasche, jest nieporównanie większe niż niebezpieczeństwo zagrażające w tych samych warunkach innym żołnierzom. Jako jednostka łamiąca obowiązujące normy obyczajowe, bohaterka wykracza poza chroniące ją prawo zwyczajowe i zaczyna stąpać po grząskim gruncie bezprawia i samowoli. Dramatyczne tego konsekwencje ilustruje jeden z epizodów wojennych, który rzuca światło na oczekiwania, jakie społeczeństwo XVII wieku miało względem kobiety, i na sankcje, jakie nakładało na osoby, które te oczekiwania zawiodły.

W bitwie pod Höchst 20 czerwca 1622 roku Courasche, wykazując się bezprzykładną odwagą, bierze do niewoli duńskiego majora. Ten dowiedziawszy się, że został pojmany przez kobietę, poczytuje to sobie za wielki dyshonor. Męstwo Courasche w bitwie pod Höchst sprawia, że jest ona powszechnie poczytywana za diabła. Nic dziwnego, „męstwo”, jak sama nazwa wskazuje, jest przymiotem męskim. „Mężna” kobieta była zatem zaprzeczeniem boskiego porządku, a więc budzącym zgrozę kuriozum, istotą z piekła rodem. Negatywna reakcja otoczenia sprawia, że w bohaterce rodzi się pragnienie zmiany płci. Courasche rozważa nawet możliwość podania się za hermafrodytę, gdyż tylko taki status dałby jej pra-

wo bezkarnie nosić spodnie i uchodzić tym samym za mężczyznę.

12 grudnia 1626 roku kapitułuje przed duńskim wojskiem twierdza Hoya, gdzie razem ze swoim czwartym mężem, kapitanem, stacjonuje Courasche. W trakcie oblężenia kapitan ginie, a Courasche wpada w ręce majora, pojmanego przez nią cztery lata wcześniej pod Höchst. Kiedy ten dowiaduje się o jej wdowieństwie, uznaje ją za swoją, wyjętą spod prawa zdobycy i postanawia zemścić się za doznaną przed laty zniewagę. Z punktu widzenia majora akt zemsty jest moralnie uzasadniony, gdyż ma oduczyć Courasche niestosownego wobec „dzentelmenów”⁸ – a za takiego uważa się urażony w swej dumie oficer – zachowania. Major „dzentelmen” wielokrotnie gwałci, maltretuje i upokarza Courasche, po czym oddaje ją swoim towarzyszom, a następnie pachółkom. W ten sposób Courasche staje się ofiarą zbiorowego gwałtu. Przed wydaniem w ręce ciur obozowych lub postawieniem przed sądem pod zarzutem czarów, bo taki los rozważa dla Courasche jej oprawca, ratuje bohaterkę zakochany w niej duński szlachcic.

Z powszechnej akceptacji dla postępowania majora wynika, że kobieta doby baroku mogła liczyć na szacunek i prawą ochronę tylko wówczas, gdy znała i respektowała wyznaczone jej przez społeczeństwo „miejsce w szeregu”, w przeciwnym wypadku traciła przysługujące jej prawa i przywileje. Bezpieczeństwo i poważanie mogły jej również zapewnić obecność i opieka mężczyzny – męża, ojca lub brata. Samotna kobieta, zwłaszcza w cza-

se wojny, była niczym innym jak łupem, którego wartość określano w zależności od wieku i urody, czego Courasche niejednokrotnie doświadczyła. Podróżując po kraju ogarniętym pożogą wojenną, bohaterka jest wielokrotnie napadana, okradana i gwałcona. Dwa razy udaje jej się uniknąć zbiorowego gwałtu jedynie dzięki wyborowi jednego z napastników na prawowitego męża.

Zgiełk bitewny i życie obozowe zdają się magicznie przyciągać bohaterkę. Jej żywa, niezależna i żądna wrażeń natura stale domaga się nowych bodźców, a nade wszystko swobody działania. Tę ostatnią mogły zapewnić jej tylko warunki ekstremalne, jakie stwarzała wojna. W XVII wieku obecność kobiety w armii była tolerowana wyłącznie w roli żony żołnierza. Courasche wielokrotnie opuszcza szeregi armii, a następnie do nich powraca; za każdym razem jej odejście wiąże się z wdowieństwem, a każda chęć powrotu stawia ją przed dylematem znalezienia odpowiedniego kandydata na męża. W miarę upływu czasu powrót stanowi więc dla starzejącej się kobiety coraz większy problem, aż w końcu doprowadza do decyzji ostatecznego wycofania z żołnierskiej profesji.

Obecność mężczyzny u boku kobiety nie tylko podnosiła jej społeczny prestiż czy zapewniała bezpieczeństwo. Ta obecność była również nieodzowną przepustką do elitarnego świata „biznesu”, który był wyłącznie męską domeną. Courasche jest swego rodzaju *homo economicus*, osobnikiem obdarzonym nieprawdopodobnym wręcz wyczuciem panującej koniunktury i zmysłem do robienia interesów, a wojna dla przedsiębiorczych jednostek jest prawdziwą żyłą złota, oka-

⁸ Por. H.J.Ch. Grimmelshausen, *Simplificianische Schriften*, München 1958, s. 49.

zją do szybkiego wzbogacenia się. Ta świadomość skłania bohaterkę do przekwalifikowania się z żołnierza na markietankę i zajęcia handlem i wyszynkiem, co z kolei stawia ją, młodą wdowę, przed koniecznością ponownego zamążpójścia; obowiązujące prawo przewiduje bowiem, że tylko mężczyzna może prowadzić ten typ „działalności gospodarczej”. Zasady tej nie jest w stanie zmienić nawet wojna z jej liberalnym wpływem na niektóre sfery życia społecznego. Courasche chwytą się więc fortelu i wiąże z pewnym społecznym muszkietierem, który jako podstawiony figurant ma umożliwić jej zaistnienie w roli „podmiotu gospodarczego”. Rzutka, skłonna do ryzyka bohaterka wkrótce pokonuje konkurencję i staje się w dziedzinie świadczonych usług monopolistką. Jej receptą na sukces jest wszechstronność prowadzonej działalności, co pozwala zminimalizować ryzyko fiaska, oraz zasada, że cel uświęca środki. Zajmując się wyszynkiem, Courasche jest jednocześnie bankierem, kupcem, dostawcą wojskowym, a nawet lichwiarzem i paserem w jednej osobie. Ciągły obrót kapitałem sprawia, że nieustannie pomnaża ona swój majątek. Mówiąc językiem współczesnej ekonomii, Courasche jest nie tylko wytrawnym strategiem gospodarczym, ale i troskliwym, dbałym o środki produkcji pracodawcą. Postępując w myśl zasady, że dobry pracownik to zadowolony pracownik, Courasche stawia potrzeby podwładnych zawsze na pierwszym miejscu, zapewnia im troskliwą opiekę i godziwy udział w zyskach, oczekując w zamian lojalności i zaangażowania w wykonywaną pracę. Herbert Arnold określił bohaterkę Grimmelshausena jako znakomitą, aczkolwiek niedo-

cenioną przez autora i jemu współczesnych „prekursorkę wczesnokapitalistycznego świata biznesu”⁹. W pierwszej połowie XVII wieku feudalna forma własności ziemskiej coraz częściej była zastępowana przez własność kapitałową. Wojna trzydziestoletnia przyspieszyła jeszcze ten proces. Kapitał szybko wymknął się spod kontroli posiadaczy, uniezależnił od ich woli i nabrał własnej dynamiki rozwoju, stając się tym samym dla ówczesnych ludzi abstrakcyjnym, niezrozumiałym, nierzadko budzącym lęk zjawiskiem. Będąc świadkiem zachodzących zmian społeczno-gospodarczych, których mechanizmu i znaczenia nie pojmował, Grimmelshausen posłużył się przy próbie wyjaśnienia ekonomicznego fenomenu tradycyjnym, ludowo-religijnym szablonem. *Prosperity* bohaterki przypisał działaniu nieczystych mocy, a jej przedsiębiorczość napiętnował jako nienasyconą, a więc grzeszną żądzę zysku¹⁰.

Arnold zwraca uwagę na nieprzypadkowe podobieństwo protagonistki do takich wielkich spekulantów z okresu wojny trzydziestoletniej, jak choćby hawerski kupiec Johann Duve, który prowadząc bardzo rozległe interesy z obiema stronami konfliktu, stworzył imponujące, choć bardzo krótkotrwałe, imperium finansowe¹¹. Podobny los staje się udziałem bohaterki powieści. Ta ulotność materialnego dobrobytu bohaterki ma u Grimmelshausena moralny podtekst: jest ona z jednej strony wskazaniem na

⁹ H. Arnold, *Die Rollen der Courasche: Bemerkungen zur wirtschaftlichen und sozialen Stellung der Frau im 17. Jahrhundert*, [w:] *Die Frau von der Reformation*, red. B. Becker-Cantarino, Bonn 1987, s. 102.

¹⁰ *Ibidem*, s. 102-104.

¹¹ *Ibidem*, s. 101.

zmiennie koleje fortuny, która raz daje, raz zabiera; z drugiej strony jest pouczeniem, że osiągnięty w moralnie wątpliwy sposób dobrobyt szybko przemija.

Wojna, która pod wieloma względami otworzyła protagonistce drzwi do uprzywilejowanego męskiego świata, nie jest w stanie zmienić wszystkich, obowiązujących w dobie pokoju norm. Czas ten, jako stan wynaturzenia i deprawacji, nie potrafi przysporzyć szacunku jednostce, która z takiej sytuacji czerpie korzyści. Sama bohaterka jest postrzegana przez otoczenie jako symbol tego odwróconego porządku rzeczy. Będąc kobietą, usurpuje sobie prawa i przywileje mężczyzny, a nawet zewnętrznie się do niego upodabnia – chodzi uzbrojona i ubrana w męski strój. W utworze wielokrotnie jest mowa o niechęci, nienawiści czy strachu, jaki mężczyźni odczuwają w obecności Courasche. Nawet jej szalona odwaga, rycerskie maniery, hojność czy chęć niesienia pomocy nie są w stanie zjednać jej ogólnej sympatii i szacunku. Przy pierwszej nadarzającej się okazji otoczenie jawnie okazuje bohaterce swoją dezaprobatę i zmusza ją do rezygnacji z wybranej roli. Następuje to wówczas, kiedy trzeci mąż Courasche każe jej publicznie stanąć do „walki o spodnie”, które są symbolem prymatu w związku, i haniebnie ten pojedynek przegrywa. W ucieczce przed sztyrsem kompanów kapitan przechodzi na stronę wroga. Kiedy wkrótce potem zostaje pojmany i za zdradę powieszony, winą za jego życiową tragedię otoczenie obarcza Courasche. Od tej pory fama czarownicy na stałe przylgnie do bohaterki, a wszystkie jej sukcesy będą interpretowane jako działanie nieczystych mocy. Stygmat czarownicy i podej-

zenie o konszachty z diabłem stanowią śmiertelne zagrożenie dla życia bohaterki i są ceną, jaką musi ona zapłacić za wtargnięcie do męskiego świata i zburzenie społecznych oczekiwań wobec roli kobiety.

Z punktu widzenia współczesnego czytelnika Courasche może być postrzegana jako bohaterka tragiczna, wyrastająca swoją osobowością i ambicjami poza czasy, w których przyszło jej żyć. W patriarchalnym społeczeństwie XVII wieku nie było miejsca dla niezależnej, przedsiębiorczej i ambitnej kobiety, jaką była Courasche. Szansą na jej samorealizację stała się dopiero wojna, tylko bowiem w wojennym świecie „na opak” mogła funkcjonować jednostka, której dążenia były sprzeczne z rolą, jaką wyznaczyło jej społeczeństwo. Ceną, jaką trzeba było za to zapłacić, była alienacja, a nawet zagrożenie życia.

Literatura

- Arnold, Herbert A.: *Die Rollen der Courasche: Bemerkungen zur wirtschaftlichen und sozialen Stellung der Frau im 17. Jahrhundert*, [w:] *Die Frau von der Reformation*, red. Barbara Becker-Cantarino, Bonn 1987, s. 86-111.
- Büchler, Hansjörg: *Studien zu Grimms Hausens „Landstörtzerin Courasche“ (Vorlagen/ Struktur/ Sprache/ Moral)*, Bern–Frankfurt a.M. 1971.
- Feldges, Mathias: *Grimms Hausens „Landstörtzerin Courasche“: Eine Interpretation nach der Methode des vierfachen Schriftsinnes*, Bern 1969.
- Grimms Hausen, Hans Jakob Christoph: *Simplicianische Schriften*, Winkler-Verlag, München 1958.
- Harbsmeier, Michael: *Reisebeschreibungen als mentalitätsgeschichtliche Quellen: Überlegungen zu einer historisch-anthropologischen Untersuchung frühneuzeitlicher deutscher Reisebeschreibungen*, [w:] *Reisebericht als Quelle europäischer Kulturgeschichte*,

Refleksje

- red. Antoni Mączak i Hans Jürgen Teutenberg, „Wolfenbütteler Forschung”, 21, 1982, s. 1-33.
- Joldersmann, Hermina, Wickert, Elke: *Author-intention in Grimms Hausens Landstörtzerin Courasche*, [w:] „Germanic Review”, 64, 1989, s. 158-166.
- Kindlers Neues Literatur Lexikon*, München 1988.
- Solbach, Andreas: *Macht und Sexualität der Hexenfigur in Grimms Hausens Courasche*, [w:] „Simpliciana”, 8, 1986, s. 71-87.
- Streller, Siegfried: *Grimms Hausens Simplicianische Schriften. Allegorie, Zahl und Wirklichkeitsdarstellung*, Berlin 1957.

Bernd Balzer

O Sancta Euphemia!

Die letzte meiner Glossen erschien im 1. Heft der Zblizenia des letzten Jahres. Sie war dem „Unwort des Jahres“ und ihrer unseligen Jury gewidmet. Als ich sie der Redaktion sandte, war die Entscheidung über das „Unwort des Jahres 2005“ noch nicht gefallen. Ich referierte nur die Gerüchte, die „Gammelfleisch“ favorisierten. Das hat sich als falsch erwiesen – und ich hätte es wissen müssen: „Gammelfleisch“ sprach einen scheußlichen Sachverhalt – den Vertrieb von verdorbenem Fleisch als Nahrungsmittel – direkt und kritisch *an* (das hätte es für die Jury schon attraktiv machen können), aber es sprach ihn auch klar und eindeutig *aus* – damit passte es überhaupt nicht in den Katalog bisheriger Unwörter. „Frischfleisch“ dagegen hätte sich bestens geeignet: Im Jargon von Zuhältern und Mädchenhändlern werden neu angeworbene, entführte, zur Prostitution gezwungene Mädchen zynisch als „Frischfleisch“ bezeichnet und Zynismus ist das in den Begründungen der Frankfurter am häufigsten genannte Argument. Zynismus akzeptieren die Herren niemals, auch nicht, wenn er die Richtigen trifft: Mit der Formulierung „Sozialverträgliches Frühableben“ („Unwort des Jahres 1998“) reagierte der damalige Präsident der Bundes-Ärztekammer Karsten Vilmar auf Vorschläge zur Kostenreduzierung im Gesundheitswesen, die die Verlängerung der durch-

schnittlichen Lebenszeit quasi als Unglück und nur als Belastungsfaktor der Krankenversicherung darstellten. Vilmars Charakterisierung führte in satirischer Übertreibung den Gedanken zur logischen Konsequenz: Früherer Tod müsste demnach als positives Sozialverhalten angesehen werden. Die Absicht erkannte die Jury wohl, allein sie goutierte das nicht. Die Begründung auf der Website der Jury kritisiert: „Dabei hat er in mindestens zweifacher Hinsicht die Seriosität einer offiziellen Stellungnahme verfehlt: zum einen in der Umschreibung eines vorzeitigen Todes durch ‚Frühableben‘, zum anderen in der Verbindung mit dem Wort ‚sozialverträglich‘, das schon durch seinen Missbrauch in anderen Fällen eigentlich unbenutzbar erscheinen müsste. Kommt hinzu, dass Vilmar – wenn auch in ironischer Absicht – formuliert hat, Ärzte müssten sich überlegen, ob sie den vorzeitigen Tod von Patienten ‚fördern‘ müssten. Hier schlägt Ironie und Satire endgültig in blanken Zynismus um, der eines Sprechers der Ärzteschaft unwürdig ist, zumal deutsche Ärzte bereits am Ende des 2. Weltkriegs vorzeitiges Sterben nach Therapie- und Medikamentenentzug als ‚Frühableben‘ umschrieben hatten.“ Das ist – wie stets – unübersehbar gut gemeint, schlecht formuliert und sachlich – was Ironie und Satire anbetrifft – wenig überzeugend.

Immerhin kann man sich vorstellen, wie ein eventuelles Unwort „Gammelfleisch“ als Bezeichnung für die physisch nicht immer ganz so ansehnlichen Zuhälter und Mädchenhändler oder aber für „verbrauchte“ Prostituierte eben doch akzeptiert und dann begründet worden wäre, (nehmen Sie es als Vorschlag für 1907, wertere Herren von der Jury!).

Das fiktive Beispiel macht ein Problem deutlich: Die jeweiligen „Unworte“ sind an sich zumeist „unschuldig“ – erst der Kontext des jeweiligen Gebrauchs skandalisiert sie gegebenenfalls. „Gammelfleisch“ für ausgebeutete Frauen wäre in der Tat blanker Zynismus; der „Frischfleisch“-Brutalität eines Zuhälters ein sarkastisches „Gammelfleisch“ entgegenzusetzen dagegen eine legitime und treffende Replik.

Das Unwort des Jahres 2005 war „Entlassungsproduktivität“ – das für 2006 ist auch schon veröffentlicht; es heißt „freiwillige Ausreise“.

Die Verkündigung des ersteren hat nur mühsam öffentliche Beachtung zu gewinnen vermocht und kaum jemand vermag sich gut ein Jahr noch auf das Wort zu besinnen. Der Verdacht drängt sich auf, dass sich sein Gebrauch auf einen sehr kleinen Kreis von Verwendern beschränkt – vielleicht sogar auf den der Jury selbst. Seinem aktuellen Nachfolger kann man gefahrlos eine ähnlich blamable Resonanz vorhersagen.

„Entlassungsproduktivität“ bezeichnet nach den Worten des Unwort-Papstes Rolf Schlösser „eine gleichbleibende, wenn nicht gar gesteigerte Arbeits- und Produktionsleistung, nachdem zuvor zahlreiche für ‚überflüssig‘ gehaltene Mitarbeiter entlassen wurden. Es ver-

schleiert damit die meist übermäßige Belastung derjenigen, die ihren Arbeitsplatz noch behalten konnten, was oft auch mit dem ebenfalls beschönigenden Wort von der ‚Arbeitsverdichtung‘ umschrieben wird. Aber auch die volkswirtschaftlich schädlichen Folgen der personellen Einsparung, die Finanzierung der Arbeitslosigkeit, werden mit diesem Terminus schamhaft verschwiegen.“

Verschleiern, beschönigen, schamhaft verschweigen – die Signalwörter dieser Begründung weisen die Richtung: Auf den Euphemismus, der (laut „Wikipedia“) Wörter oder Formulierungen, die einen Sachverhalt beschönigend, verhüllend oder verschleiern“ darstellt. Man erkennt unschwer die Quelle für Schlössers Begründung, und es kommt nicht von ungefähr, dass unter den Querverweisen zum Stichwort „Euphemismus“ auch das „Unwort des Jahres“ auftaucht.

Als Euphemismus also wurde „Entlassungsproduktivität“ auf die Anklagebank gesetzt, und das scheint seit jeher das zentrale *sprachliche* Kriterium der Jury zu sein, zumindest ist dies das tertium comparationis der langen Liste von inzwischen 16 Unwörtern: Ausländerfrei, Ethnische Säuberung, Überfremdung, Peanuts, Diätenanpassung, Rentnerschwemme, Wohlstandsmüll, sozialverträgliches Frühableben, Kolalateral-schaden national befreite Zone, Gotteskrieger, Ich-AG, Tätervolk, Humankapital, Entlassungsproduktivität und freiwillige Ausreise. Bis auf „Tätervolk“ handelt es sich ausschließlich um Euphemismen, bzw. hat die euphemistische Verwendung den Zorn der Jury erregt. Bei den 32 auf Platz 2 und 3 genannten Unwort-Anwärtern herrschen ähnlich

Verhältnisse. Immerhin gibt es also wenigstens ein sprachliches Kriterium für die Auswahl, was bei der Kür eines *Unwortes* (nicht der *Untat*) des Jahres auch wohl füglich erwartet werden darf. Bei der bislang einzigen Ausnahme hat sich die Jury auch nicht weit von ihrem Kriterium entfernt: „Tätervolk“ ist als Dysphemismus anzusehen – dem Gegensatz zum Euphemismus.

Euphemismen pflegen, wie sprachwissenschaftliche Kollegen der Frankfurter Jury längst herausgefunden haben in ihr Gegenteil umzuschlagen: Die Beschönigung kann letztlich die negativen Elemente des angesprochenen Sachverhalts nicht auf Dauer zu verdrängen und nimmt schließlich selbst die – oder einen Teil der – negativen Konnotationen an: Als „Neger“ politisch unkorrekt wurde, sagte man „Schwarzer“ – auch das bekam einen Hautgout, also musste man „Farbiger“ sagen. Das ist die Euphemismus-Tretmühle, wie Linguisten das nennen.

Was ist aber so fürchterlich am Euphemismus – dass die Frankfurter Jury sie geradezu als Symptom einer Sprachdämmerung ansieht und jedes Jahr ein Beispiel rituell verdammt? Verschleiern, beschönigen, schamhaft verschweigen sind aus Rolf Schlössers Sicht die Kardinalssünden dieser rhetorischen Figur die man auch Gebotsform fassen könnte:

1. Sprachliches Gebot: Du sollst nicht verschleiern.
2. Du sollst nichts verbergen.
3. Du sollst nichts beschönigen. – nichts als die Wahrheit, die reine Wahrheit“, sagt der Sprachrichter und der messianische Gutmensch sekundiert „Eure Rede sei ja, ja, nein, nein; was drüber ist, das ist vom Übel“. Nun beruft sich

die Frankfurter Jury nicht auf so ehrwürdige Texte wie die Bergpredigt, (auch wenn da mit Sicherheit untergründige intertextuelle Beziehungen am Werk sind). Da es sich fast ausnahmslos um Sprachwissenschaftler handelt, wird man sich vielmehr an einen von deren Säulenheiligen halten, an Paul Grice und seine Konversationsmaximen

– Mache deinen Gesprächsbeitrag so informativ, wie es für den anerkannten Zweck des Gesprächs nötig ist.

– Mache deinen Beitrag nicht informativer, als es für den anerkannten Zweck des Gesprächs nötig ist.

– Versuche einen Gesprächsbeitrag zu liefern, der wahr ist.

– Sage nichts, wovon du glaubst, dass es falsch ist

– Sage nichts, wofür du keine hinreichenden Gründe hast.

– Sage nur Relevantes.

– Vermeide Unklarheit.

– Vermeide Mehrdeutigkeit.

– Vermeide unnötige Weitschweifigkeit.

– Vermeide Ungeordnetheit.

Ominöserweise sind es gerade 10 Gebote – es sind aber vor allem die Nummer 3, 4, 6, 7, 8, welche den Euphemismus verbieten, aber nicht nur den: Sämtliche Formen uneigentlichen oder bildhaften Sprechens sind ausgeschlossen. Damit wären diese Regeln ein erstklassiges Literatur-Verhinderungsprogramm – wenn denn irgend ein Autor so töricht wäre, es anzuwenden.

Die Frankfurter Jury kümmert sich ja auch gar nicht um Literatur (der Himmel möge uns bewahren!), sondern um den öffentlichen politischen Diskurs – und da wäre die Befolgung vieler dieser Regeln

doch ein wahrer Segen. Man stelle sich vor: Eine Politiker-Rede, die nur Relevantes enthält, nicht weitschweifig ist und zudem noch offenkundig wahrhaftig, vielleicht sogar wohlgeordnet! Beschränkung auf den eigentlichen Gegenstand, Eindeutigkeit, gute Begründung – alles erstrebenswerte Eigenschaften einer öffentlichen Rede.

Aber: Fehlt da nicht etwas? Das Ergebnis einer solch strikten Anwendung der Griceschen Regeln wären korrekte, wahrhaftige (allerdings gelegentlich unhöfliche und Tabu-verletzende) – aber ansonsten völlig sterile Einheitstexte, ideal für computergenerierte Texte: Man gäbe Thema, Begründungen und Länge ein, den Rest besorgte der PC. Nichts wäre in einem entsprechenden Text, was eine schöne Rede ausmachte – weder Eleganz noch Bildhaftigkeit der Sprache; absolut regelgerechte, jedoch keine gelungenen, überraschenden, *sprachlich* überzeugenden Formulierungen. Man könnte auch sagen: Es fehlte der Stil! Aber der ist ja bekanntlich

ohnehin keine sprachwissenschaftliche Kategorie. Kein Wunder, dass sich die linguistische Zeitschrift, die sich seit kurzem um einige Wertungsfragen wenigstens bemüht, „Aptum“ nennt: Von den virtutes elucutionis, den Tugenden sprachlicher Darstellung, konnte neben latinitas (Sprachrichtigkeit) und perspicuitas (Klarheit) allein aptum (Angemessenheit) in das linguistische Blickfeld geraten. Wenn man aber schon den Blick wagt zur antiken Rhetorik, dann sollte man die übrigen Kategorien nicht unter den Tisch fallen lassen: ornatus (Schmuck), tropi, figurae – zu letzteren gehört auch der Euphemismus, die Metapher, die Ironie, etc. etc. – aber das sind freilich alles Verstöße gegen den heiligen Grice, und so wird uns wohl weiterhin in der dritten Woche jedes neuen Januar das Ritual ins Haus stehen, mit dem ein sprachasketischer Zirkel Wörter mit dem Bann belegt. Da diese sich aber den Teufel darum kehren, habe ich mir vorgenommen, künftig ein gleiches zu tun.

Rozważania literackie

Klaus Schuhmann

Spuren der Zeitgeschichte in Gedichten von Paul Celan, Peter Huchel und Bertolt Brecht

Daß der französische Lyriker Paul Eluard nach den Jahren der Résistance auch in Deutschland bekannt wurde, ist vor allem seinem Übersetzer Stephan Hermlin, der wie Eluard am antifaschistischen Widerstand in Frankreich beteiligt war, zu danken. Bereits 1947 erschien eine Auswahl „Gedichte“, der eine weitere mit dem Titel „Politische Gedichte“ folgte, 1974 eine dritte, „Trauer schönes Antlitz“ in der „Weißen Reihe“ des Verlags Volk und Welt. Im Nachwort dazu hatte Hermlin geschrieben:

„Eluard hat seine Existenz in einer großen Öffentlichkeit und nicht abseits verbracht, er ist als ein junger Mensch sehr bekannt geworden, in seinem letzten Lebensjahren war er weltberühmt; dennoch ist das Geheimnis in seinem Werk geblieben. An allen Kreuzwegen künstlerischer

und politischer Auseinandersetzungen hatte er sich vierzig Jahre hindurch zu entscheiden.“

Auch in Polen war Paul Eluard von Adam Ważyk ein poetisches Denkmal gesetzt worden, das Ansehen und Anerkennung dieses Dichters im Nachkriegspolen bezeugte und ein Jahrzehnt später Brecht zu seinem Gedicht „An Paul Eluard“ anregte, bei dem er von einer Rohübersetzung von Ważyks Text „Pamięci Pawła Eluarda“ ausging, nachdem er mit dessen „Poem für Erwachsene“ bekannt gemacht worden war und eine Nachdichtung in die deutsche Sprache begann, die in seiner Werkausgabe (Gedichte 5) nachgelesen werden kann.

Ins Bewusstsein einer „großen Öffentlichkeit“ wurde Eluard noch einmal ge-

bracht, als in den Novembertagen des Jahres 1952 sein Tod in der Presse vermeldet und in Nachrufen von Kollegen seiner gedacht wurde. Zu ihnen zählte an erster Stelle der in Paris lebende, in deutscher Sprache schreibende Lyriker Paul Celan, der mit Eluard persönlich bekannt war und am 21.11. das „In Memoriam Paul Eluard“ überschriebene Gedicht verfasste. In den Anmerkungen der „Kommentierten Werkausgabe“ heißt es dazu:

„Das Gedicht entstand vor der Beerdigung von Paul Eluard und nach einem Besuch vor dem aufgebahrten Leichnam am 20. 11. 1952.“

Im Gedichtband „Von Schwelle zu Schwelle“ stellte es Celan neben das Gedicht „Schibboleth“ und brachte es damit in einen erst aus dem „Kommentar“ der „Gesamtausgabe“ ablesbaren politischen Zusammenhang, durch den das Gedenkgedicht einen jüdischen Schriftsteller tschechischer Sprache – Zavis Kalandra – involvierte, der 1950 in Prag verurteilt und hingerichtet worden war. Celans Memorial auf den Verfasser des berühmten Gedichts „Liberté“ hat folgenden Wortlaut:

Lege dem Toten die Worte ins Grab,
die er sprach, um zu leben.
Bette sein Haupt zwischen sie,
laß ihn fühlen
die Zungen der Sehnsucht,
die Zangen.

Leg auf die Lider des Toten das Wort,
das er jenem verweigert,
der du zu ihm sagte,
das Wort,
an dem das Blut seines Herzens
vorbeisprang,
als eine Hand, so nackt wie die seine,
jenen, der du zu ihm sagte,

in die Bäume der Zukunft knüpfte.

Leg ihm dies Wort auf die Lider:
vielleicht
tritt in sein Aug, das noch blau ist,
eine zweite, fremdere Bläue,
und jeder, der du zu ihm sagte,
träumt mit ihm: Wir.

Von herkömmlichen Totengedenken oder Erinnern an eine Person, in der auf den ersten Blick Eluard zu erkennen ist, ist dieses Gedicht weit entfernt. Sein in allen drei Strophenanfängen herausgestellter Gestus ist der einer auffordernden Anrede an eine lebende Person, die aufgefordert wird, „Worte“, bzw. „das Wort“ ins Grab mitzugeben, auf diese Weise den Toten gleichsam zur letzten Ruhe bettend. Es ist, auch wenn es sich nur um ein „Fühlen“ handelt, ein Akt der Kommunikation, den der Autor initiiert. Daß es sich um einen solchen Vorgang handelt, wird durch das in allen Strophen wiederkehrende Leitmotiv „Wort“ unterstrichen, noch einmal genauer bestimmt durch das Verb „sprechen“ und das Nomen „Zunge“. Der Tote wird gleichsam mit Worten körperlich (dafür stehen die Worte „Haupt“, „Lider“ und „Herz“) vom Gedichtschreiber aufgebahrt.

Ist es in der ersten Strophe das gesprochene Wort zu Lebzeiten des nun toten Dichters, das bezeugen soll, dass ein Mensch auf der Bahre liegt, der mit Sprache umging, wird in der zweiten Strophe das von ihm einen Menschen verweiger-te thematisiert, eines Menschen, der ihm nahe stand und „du zu ihm sagte“. Bei Celan handelt es sich dabei meist um Menschen jüdischer Herkunft, ihm vor allem durch deren Leidensweg verwandt,

der meist in den Vernichtungstod führte. Dieses „Wort“ ist beladen mit dem unausgesprochenem Vorwurf, das erhoffte Wort (hier wohl ein Wort des Einspruchs) verweigert zu haben, wie der Kommentar zu diesem Text nahe legt, der auf das Ereignis von 1950 in Prag rekurriert, als Eluard verbale Solidarität verweigerte. „Blut“ und „Bäume“, die auch als Galgenbäume deutbar sind, legen eine solche Lesart nahe.

Die dritte Strophe wird vom Adverb „vielleicht“ regiert und übernimmt von der zweiten Strophe das Nomen „Zukunft“ im Sinne einer Wunschwirklichkeit, gleichsam eines Fortlebens, wobei in einem „Wir“ zusammengeführt wird, wofür im nachfolgenden Gedicht „Schibboleth“ das antifaschistische Losungswort „No parsaran“ steht, flankiert von der „Zwillingsröte in Wien und Madrid“ in den Jahren 1934 und 1936.

Huchels Gedicht folgt mit dem Titel „In memoriam Paul Eluard“ zwar Celans Gedichtüberschrift nach, ist aber anderen geschichtlichen Daten und Ereignissen verpflichtet, wie sie einem einstigen Soldaten der Hitler-Wehrmacht moralisch gut zu Gesicht stehen. Sein Memorial folgt im Gedichtband „Chausseen Chausseen“ der „Warschauer Gedenktafel“, worauf ebenfalls die jüdischen Opfer wie bei Celan in Erinnerung gerufen werden. Im II. Teil heißt es da:

O heilig Blut,
Es brannte
In allen Adern der Stadt.
Ein Wall
Wunden Fleisches
War der Mund.
Am Schweigen
Hinter den Zähnen
Zerbrach das Eisen.

Das Gedenkgedicht für Eluard aber lässt das Erinnern an vergleichbare Massaker in Frankreich – man denkt dabei an Oradour – auf bezeichnende Weise aus und bezieht sich allein auf das Titel- und Grundnomen des Gedichts von Eluard, indem es die dort genannte Freiheit zum Himmelsstern erhebt und auf ihn Zukunftshoffnungen überträgt, die noch verwirklicht werden müssen:

Freiheit, mein Stern,
Nicht auf den Himmelsgrund gezeichnet,
Über den Schmerzen der Welt
Noch unsichtbar
Ziehst du die Bahn
Am Wendekreis der Zeit.
Ich weiß, mein Stern,
Dein Licht unterwegs.

Wird bei Celan eine als das eigene Ich oder als Du angesprochene Person zur Totenzeremonie aufgefordert, beginnt Huchel mit einer Anrede, die einem Abstraktum gilt, das, um poetischen Glanz ausstrahlen zu können, auf ein fassbares Konkretum bezogen ist, um im dichterischen Bild sinnfällig zu machen, worauf sich das Hoffen gründet: dass der Freiheitsstern hell am Horizont aufgehen wird. Da er schon sein „Licht“ vorausschickt, also Freiheit auf dem Weg ist, ist sich der Autor der Ankunft des Sterns gewiss.

Diese Erwartungshaltung ist jedoch mehr und mehr enttäuscht worden, wie Huchels Gedichte aus den sechziger Jahren bezeugen, die er in der DDR schrieb. „Traum im Tellereisen“ beginnt nun mit den Worten:

Gefangen bist du, Traum.
Dein Knöchel brennt,
Zerschlagen im Tellereisen.

Und das „Licht“ von einst wird nun zum „Zeugen“, der erkennen muss:

Wohin du stürzt, o Seele,
Nicht weiß es die Nacht. Denn da ist
nichts
als vieler Wesen stumme Angst.
Der Zeuge tritt hervor. Es ist das Licht.

Dass es sich bei Brechts Gedicht „An Eluard“ nicht um einen Epitaph handeln kann, geht schon aus dem Datum seiner Entstehung hervor: August 1956, also wenige Tage vor Brechts eigenem Tod geschrieben. In der Werkausgabe (Gedichte 5) folgt es, ohne die Nummerierung der vorher stehenden Textteile von „Poem für Erwachsene“ fortzusetzen, als selbständiges Gedicht mit eigener Überschrift: „An Paul Eluard“. Die Überschrift weist es als Anrede an einen noch lebenden Schriftsteller aus, mittels derer ein in Polen lebender Autor einen Weltvergleich anstellt und sich mit Paul Eluard eine paradiesische Zukunft erhofft und erträumt, für die der französische Dichter als Gewährsmann und Freund apostrophiert wird:

Freund der Kinder, der Früchte
des sanften Klimas
Da ist ein Land, das das Innere
der Früchte verändert
Da ist ein Land, das den Menschen
Ein Land, das das Klima verändert.

Freund der Heiterkeit, es breite sich der
Garten aus
Wo Wohlstand auf Erden, wo Brot
umsonst ist
Was einst Europas Sorge und Asiens
Traum war
Wird nun bestimmt von Plan und
Bewußtsein
Was einst der Mensch dem Gott gab
Wird jetzt zur Menschenmacht.

Diese Strophen könnten ebenso in Johannes R. Bechers letztem Gedichtband „Schritt der Jahrhundertmitte“ stehen, denn auch Brecht huldigt hier einem Zukunftsglauben, der von einem für ihn untypischen platten Optimus sowjetischer Prägung gespeist wird, wie er auch in den „Buckower Elegien“, „Bei der Lektüre eines sowjetischen Buches“ anklingt:

Die Wolga, lese ich, zu bezwingen
Wird keine leichte Aufgabe sein.
(...)
aber, lese ich, die Sowjetmenschen
Die sie lieben, die sie besingen, haben sie
Neuerdings studiert und werden sie
Noch vor dem Jahre 1958
Bezwingen.

Solcher Überschwang findet in den ersten Strophen seine Legitimation beim Verfasser der „Politischen Gedichte“, der darin „Freund im Hoffen“, „Freund im Schwärmen“ genannt wird und in seinem polnischen Bewunderer Ważyk ein Pendant hat, dessen Strophe Brecht mit folgenden Worten überträgt:

Die Stunde des schmerzlichen und
freudigen Vergleichs
Genosse Eluard, Freund im Schwärmen
In meinen Worten glänzt Kohle und
Metall aus Schlesien
Die Bergleute übertreffen den Plan
Schon bereitet meine Partei den Plan
für morgen.

Keine Frage: in diesem Text schäumt Aufbaupathos auf, das in den von Brecht übertragenen Gedichtteil aus Ważyks Poem und mehr noch in den „Buckower Elegien“ gesellschaftskritischer Beobachtung gewichen ist und eine Stufe der Ernüchterung erreichte, die nach dem ungarischen Herbst von 1956 mehr und

Klaus Schulmann: Spuren der Zeitgeschichte in Gedichten...

mehr zur Herausbildung einer nonkonformistischen sozialistischen Literaturbeitrag.

Im letzten Teilstück von Ważyks „Poem für Erwachsene“ sind diese neuen Töne schon zu hören:

15

Es gibt Überarbeitete, die an Herzschlag sterben

Es gibt Verleumdete, angespuckte Menschen

Es gibt Überfälle durch Landstreicher
Für die man eine juristische Definition sucht

Es warten Menschen auf ein Papierchen
Es warten Menschen.

Her, ihr abgearbeiteten Menschen!
Her mit Schlüsseln, die zur Tür passen
Her mit einem Raum mit Fenstern
Her mit Wänden ohne Feuchtigkeit
Her mit Haß gegen Papierchen
Her mit menschlichen Zeiten
dem gefahrlosen Nachhauseweg

Fort mit dem Unterschied von Wort und Tat.

Wir nämlich fordern für diese Erde
Die wir nicht bei Würfelspiel gewonnen haben

Um die eine Million in den Schlachten fielen
Jetzt die helle Wahrheit, das Getreide der Freiheit

Den feurigen Verstand
Nach feurigen Verstand
Wir fordern ihn täglich
Wir fordern ihn durch die Partei.

In einem vergleichbaren Geist hatte Brecht 1953 an die deutsche Adresse das Gedicht „Die Wahrheit einigt“ geschrieben.

Eluards Gedicht „Liberté“ erwies auch post mortem noch, dass es nicht an Überlebenskraft eingebüßt hatte. Vielleicht ist auch dies ein „Geheimnis“ von der Art, das Hermlin in seinem Nachwort meinte.

Paweł Strózik

Głośne „Nie!” Hitlerowi

Walka Eryki Mann z nazizmem w latach 1933-1940

Kiedy nad Niemcami zawisły flagi ze swastyką i zaczął obowiązywać dekret „O ochronie narodu” umożliwiający terroryzowanie obywateli i znaczne ograniczenie ich praw, Eryka Mann zajmowała się organizacją występów kabaretowych. „Pfeffermühle” – kabaret literacki z zacięciem politycznym – nie milczał wobec agresji nazistów. Aktorzy założonego 1 stycznia 1933 roku „Młynka” przygotowali program występu, odbywały się próby i dekorowanie sceny. Premiera miała miejsce w monachijskim lokalu „Bonbonniere”, sąsiadującym z Hofbräuhaus. „W czasie, gdy Hitler »wykrzykiwał« przemówienie po raz pierwszy jako kanclerz III Rzeszy, w przepelnionej sali podczas naszego występu siedział Frick [minister spraw wewnętrznych] i gorliwie notował” – relacjonowała Eryka w jednym z wywiadów.

Głośne „nie” w stronę Hitlera *ergo* zaangażowanie polityczne najstarszej córki Tomasza Manna rozpoczęło się w grudniu 1932 roku, kiedy to – nikczemnie zaatakowana w nazistowskim „Völkischer Beobachter” – „na własnej skórze” odczuła agresję nowej niemieckiej władzy. Od tego czasu determinacja Eryki Mann pchała ją do różnych inicjatyw antynazistowskich, a jej inteligencja i spryt umożliwiały ich realizację. Do współpracy z „Młynkiem” udało się pozyskać utalen-

owaną aktorkę, gwiazdę monachijskich scen, Therese Giehse. Była starsza, bardziej rutynowana, dlatego prowadziła reżyserię i występowała w „numerach popisowych” kabaretu. Pisaniem tekstów, przygotowaniem, prowadzeniem konferansjerki oraz organizacją występów zajmowała się Eryka Mann. W styczniu z kabaretem współpracowali także: aktorzy Sybille Schloss, Albert Fischer, Dr. Karl Theodor Glock oraz tancerze Claire Eckstein i Edwin Demby.

W pierwszym programie wystawionym w Monachium nie prezentowano jeszcze utworów radykalnych. „Pfeffermühle” podejmował tematy z zakresu dnia codziennego zwykłego mieszkańca, jego emocji i trosk, marzeń, pragnień i uczuć (skecze „Fundbüro”, „Mischu”, „Pessimismus”). W „Liebesbrief”, pióra Klaus Manna, ujawnia się komiczny charakter tej twórczości:

Mein lieber Franz,
In meinem Brief vom zweiten
War sicher vieles unklar ausgedrückt.
Jetzt kommt es mir so blöd vor, sich zu
streiten,-
Als ich ihn schrieb, war ich total verrückt.
Gewiss, Du hast Dich wie ein Lump
benommen,-
Die Sache mit dem Geld war auch nicht
fein,
Ich hab das alles viel zu ernst genommen,-

Man fällt halt immer wieder auf Dich
rein.
Und wenn ich da im ersten Zorn
geschrieben,
Du solltest Dich zum Teufel scheren,-
Franz!
So war das doch natürlich übertrieben,
Ich wollts ein bisschen, aber doch nicht
ganz¹.

W tekstach nie brakowało czytelnych aluzji, ironii, krytyki, ale także wskazówek, rad, propozycji. Bohaterami skeczy byli ludzie nękani pospolitymi problemami: w pracy, w domu, w kraju. Były także akcenty polityczne („Hofsänger”):

Und jedenfalls, wie schon gesagt:
Mehr Takt, mehr Takt
Mehr Takt, mehr Takt!
Mehr Takt, mehr Takt, mehr Takt, mehr
Takt!

[...]
Was willst Du? Butter?! Freche Bohne!
Die Butter macht Dich faul und fett!
Weit wichtiger ist die Kanone
Und die Granate überm Bett.

Jak słusznie zauważa Helga Keiser-Hayne, sukces osiągnięto dzięki nowatorskiemu połączeniu elementów literackich z politycznymi, unikając „jak ognia” polaryzacji partyjno-politycznej. Opowiadało bajki, ballady, historie dla dzieci, relacjonowano pozornie niewinne wydarzenia dnia codziennego – wszystko było dla publiczności interesujące. „Bonbonniere” – wyprzedana do ostatniego miejsca, „Münchener Chronik” czy „Neue Zürcher Zeitung” chwaliły słowami: „wdzięk” i „nowa jakość” w historii niemieckich

¹ Wszystkie teksty kabaretu cytuję za: Helga Keiser-Hayne, *Erika Mann und ihr politisches Kabarett „Die Pfeffermühle” 1933-1937*.

kabaretów i witały z otwartymi ramionami przedsięwzięcie wzbogacające monachijskie życie kulturalne. Nawet „Völkischer Beobachter”, który już przed miesiącem wpisał Erykę Mann na listę swoich wrogów, musiał powstrzymać się przed szkalowaniem Therese Giehse, będącej ulubienicą Hitlera, i ograniczył się do krytykowania tylko konferansjerki.

1 lutego 1933 roku odbyła się premiera całkowicie nowego programu „Młynka”. Do współpracy przy pisaniu tekstów zaproszono (obok Eryki i Klause) także Wolfganga Koeppena, który napisał monolog „Komplexe”, mistrzowsko wygłaszany przez Sybillę Schloss. Do grupy dołączyli: Max Schreck oraz Herbert Franz, aktorzy „Münchener Kammer-spiele”, obaj bardzo utalentowani i inteligentni. Drugi program różnił się od pierwszego wyrazistością polityczną i ostrością tekstów. Składał się z dwóch części. Pierwsza z nich prezentowała teksty niezwiązane z konkretnym motywem treściowym. Część druga, po przerwie, była podporządkowana jednemu tematowi, w programie lutowym mottem była hala hotelowa. Akcenty polityczne dochodzą do głosu w kilku tekstach. W skeczu „Koch”: Kucharz, postrzegający siebie jako wszystko mogącego i wiedzącego dyktatora, mającego władzę nad gośćmi restauracji, ponieważ to on decyduje, w jaki sposób przyrządzi potrawę i co do niej doda, wprost rozkoszuje się swoją potęgą i szydzi z manipulowanych, niepodejrzewających gości:

Als ich die Katze totgeschlagen,
Weil sie so naschhaft war und dreist,
Hab ich sie gar nicht lang begraben –
Sie war verspeist.
[...]

Ich klopfte sie und salzte sie
und würzte sie und walzte sie –
Die Küchenkatze ward serviert
Als feines Côte d’agneau –
Der Gast, der nach dem Braten giert,
Genoß sie so!

Er schmatzte froh:
„Wie heißt er doch,
Der Küchenchef, der Meisterkoch?“
Ich bin der Koch!

W podobnym tonie utrzymane są monologi: „Harlekin”, „Skilehrerin” i „Die Vertreter”.

Po intensywnych występach w styczniu i lutym planowano przerwę trwającą przez cały marzec, by od kwietnia wznowić działalność na scenie z nowym programem. Znalaziono nawet większy lokal – „Serenissimus” w monachijskim Schwabingu – i podpisano kontrakt, ale do występu nie doszło. Na początku marca przez Monachium przetoczyła się pierwsza fala aresztowań. Dla Eryki było jasne, że kontynuacja występów była za bardzo ryzykowna. 13 marca 1933 roku opuściła Niemcy, udając się do Arosy, i od razu czyniła starania, by wznowić przedstawienia „Pfeffermühle” na emigracji. Po latach wspominała:

Najważniejsi członkowie kabaretu, Therese Giehse, Magnus Henning i Sybille Schloss, wyjechali z nami, dołączyli krótko po tym, jak Klaus i ja opuściliśmy Niemcy. Pozostali wierni „Pfeffermühle”. Wtedy postanowiliśmy: „na zewnątrz będziemy kontynuować”.

Pracy było co niemiara: należało poszukać odpowiedniego lokalu, przekonać *Fremdenpolizei*, aby udzieliła zezwoleń na pracę pozostałym członkom kabaretu, wypełnić wszelkiego rodzaju dokumenty,

stworzyć możliwości pobytu aktorów i znaleźć nowych, chętnych do współpracy z „Młynkiem” oraz sfinansować całe to przedsięwzięcie.

Było nam trudno z tak zwanym odpowiednim doborem programu. Wszystko, co chcieliśmy powiedzieć, musiało być powiedziane w sposób ogólnie zrozumiały, dostępny dla każdego. Nie mogliśmy zakładać, że publiczność ma już jakąkolwiek wiedzę literacką czy polityczną i jakieś sympatie. Miało być to tak samo czytelne w Zurychu, jak i w Bratysławie czy Amsterdamie. [...] Nasze zadanie polegało na tym, aby za pomocą najmniejszych środków, prawie że bez dekoracji (bo na nią nie mieliśmy ani pieniędzy, ani miejsca), w siedmioro lub ośmioro, bo tylu nas było, stworzyć coś, co wyrażało nasze przekonania, nasze bolączki, nasze nadzieje, wyrażało w sposób niebezpośredni, przełożony na język sztuki².

Na szczęście wszystko udało się, do grupy kabaretowej dołączyli (zaangażowani dzięki pomocy przyjaciółki Annetarie Schwarzenbach) szwajcarscy aktorzy Valeska Hirsch i Robert Trösch, kolega Giehse z „Schauspielhaus”. Po półrocznych staraniach i poszukiwaniach znaleziono w Zurychu mały lokal w hotelu „Hirschen”, w którym w dniu 30 września 1933 roku kabaret wystawia swój pierwszy program emigracyjny. „Pieprzniejszy niż kiedykolwiek – chwalił Klaus Mann – zabawniejszy niż kiedykolwiek, ze wspaniałą Therese Giehse, pomysłowym Magnusen Henningiem” szybko „podbija” serca widzów. Tomasz Mann notuje jesienią 1933 roku: „Sukces »Pfeff-

² Erika Mann, *Blitze überm Ozean. Aufsätze, Reden, Reportagen*, s. 114-115.

fermühle« jest doskonały, prasa Zurychu jednogłośnie w zachwycie, a publiczność każdego wieczoru zapełnia salę. Jest to dla mnie szczerą radość”. Po latach w swojej autobiografii *Punkt zwrotny* Klaus wspominał: „»Młynek« miał oddźwięk: podobał się. Mieszkańcy Zurychu okazali się jeszcze bardziej podatni i wdzięczni niż rok wcześniej monachijczycy. Odbyło się *tournée* po Szwajcarii”. Naziści bardzo uważnie obserwowali występy kabaretowe córki Tomasza Manna i reakcje publiczności. Z wściekłością musieli dostrzec, że Szwajcarzy wcale nie chcieli wysłać „Pfeffermühle”, „gdzie pieprz rośnie”, wręcz przeciwnie, jak relacjonuje Ute Kröger, uważano, że program jest „potulny”, chociaż sensacja, jaką wzbudzał kabaret, „niebezpieczna”. Szwajcaria była poddawana coraz silniejszym naciskom ze strony swojego sąsiada – Rzeszy i coraz mniej chętnie widziała u siebie wyraźnie antynazistowski kabaret. W kantonie Zurychu doszło do szeregu akcji protestacyjnych zorganizowanych przez szwajcarskich „frontystów”, które miały na celu uchwalenie „Lex Pfeffermühle”, ustawy zakazującej występów „kabaretom zagranicznym z tendencją polityczną”. „Pfeffermühle” podejmuje działalność poza granicami Szwajcarii, w Europie. Wyjeżdża na *tournée* do Holandii, nazywanej przez Erykę „najlepszym terenem łowieckim”, planuje występy w innych europejskich państwach. W Europie działalność trupy kabaretowej trwa prawie trzy lata. Różne programy są pokazywane w Austrii, Holandii, Belgii, Luksemburgu i Czechosłowacji – łącznie ponad tysiąc (1034) przedstawień, podczas których według zasady „zawsze niebezpośrednio i czysto literacko”, nie wymieniając żad-

nych nazwisk, nie nazywając miejsc i konkretnych zdarzeń, odnoszono się do życia świata polityki i sztuki, reagowano na aresztowania i egzekucje ludzi literatury i sztuki, ostrzegano przed konformizmem i społeczno-politycznym indyferentyzmem. Cała Europa słyszała „sztandarowy” monolog „Die Dummheit”, w którym rozsądek pokonuje głupotę, przynosząc nadzieję:

Ich bin die Dummheit, hört mein Lied
und nehmt es nicht zu leicht.
Nichts gibt’s, soweit das Auge sieht,
das mir an Dummheit gleicht. [...]

Der Leute Hirn verklebe ich,
ich nag’ an der Substanz.
Von ihrem Stumpfsinn lebe ich,
es ist ein toller Tanz.
Besonders bin ich eingestellt,
auf Herren, die regier’n.

„Pfeffermühle” działał na emigracji zgodnie z radykalnym i wzruszającym hasłem: „Wir wollen uns lieber mit Hyänen duzen/ Als drüben mit den Volksgenossen heuln! [...] Die ganze Heimat und ein bisschen Vaterland/ Die trägt der Emigrant von Mensch zu Mensch – landauf, landab/ Und wenn sein Lebensvisum abläuft/ mit ins Grab”. W ten postulat wpisuje się jeden z najbardziej znanych tekstów Eryki Mann, „Die Kälte”. Zimno, będące motywem przewodnim utworu, panuje nie tylko w czasie zimy, ale przez cały rok – chłód obojętności, z której Eryka próbuje wyrwać pogrążonych w letargu, uśpionych w bierności i znieczulicy, okłamywanych i pełnych obaw obywateli:

Wer faselt da von Ungerechtigkeiten?
Von Mord und Marter, die zum
Himmel schrein?

Was kümmert's mich, wenn andre Leute
streiten?
Lasst mich in Ruh,- ich mische mich
nicht ein!

Warum sind wir so kalt?
Warum,- das tut doch weh!
Warum? Wir werden bald
Wie lauter Eis und Schnee!

Beteiligt Euch,- es geht um Eure Erde!
Und Ihr allein, Ihr habt die ganze Macht!
Seht zu, dass ein wenig wärmer werde,
In unserer schlimmen, kalten
Winternacht!

Die ist erfüllt von lauter kaltem Grauen,-
Solange wir ihm nicht zuleibe gehen;
Wehrt Euch und kämpft,- und dann lasst
uns doch schauen,
Ob die Gespenster diesen Kampf
bestehen!

Bestehn? Ich glaub' es nicht!
Die Sonne siegt zum Schluss!
Warum? Weil solches Licht
am Ende siegen muss!

Mimo wielkich trudności Eryka wytrwale pracowała w „Pfeffermühle”, protestując, pod „przykrywką literacką”, przeciw Hitlerowi i jego reżimowi. „Pani robi dziesięć razy więcej przeciw temu barbarzyństwu niż my wszyscy pisarze razem wzięci” – napisał Joseph Roth do najstarszej córki Tomasza Manna wiosną 1935 roku. Działalnością w kabarecie „zasłużyła” sobie również na umieszczenie jej nazwiska na czwartej liście pozbawionych obywatelstwa z dnia 11 czerwca 1935 roku. Prawie 100 stron akt dowodowych w tej sprawie jest wyraźnym dokumentem świadczącym o tym, z jaką biurokratyczną i polityczną gorliwością niemieckie

instytucje śledziły wystąpienia „Młynka do pieprzu” za granicą. Eryka rozwiązała problem braku obywatelstwa niemieckiego na swój pragmatyczny sposób. Bez cienia wątpliwości czy wahania, raczej z konsekwencją i bez sentymentów udała się do Londynu i wyszła za mąż za angielskiego poetę Wystana H. Audena. Ślub odbył się 15 czerwca, cztery dni po ukazaniu się „czwartej listy”, dlatego „świeżo upieczona” pani Auden, już jako obywatelka Wielkiej Brytanii, ironizowała: „Jak Niemcy mogą odebrać niemieckie obywatelstwo Angielce? Taka sztuka udaje się tylko Hitlerowi, który nie zawaha się przed niczym, a następnie ekskomunikuje samego papieża!” Małżeństwo to miało wprawdzie jedynie charakter formalny, ponieważ Auden był nieskrywanym homoseksualistą, niemniej Eryka osiągnęła niezależność państwową, a posiadanie brytyjskiego paszportu znacznie ułatwiło podróżowanie. Z „Wystim” spotykała się zresztą później wielokrotnie – stali się szczerymi przyjaciółmi.

„Jesienią 1936 roku »Młynek do pieprzu« grał wciąż jeszcze przy pełnych widowniach w Holandii, Belgii, Luksemburgu i Czechosłowacji” – wspominał Klaus w *Punkcie zwrotnym*, a jednak Eryka podjęła decyzję o przeniesieniu występów za ocean. Dzięki znakomitej intuicji przeczuwała, że sytuacja w Europie zaczynała być niebezpieczna, „stąpało się po gruncie niepewnym jak powierzchnia wulkanu”, coraz bardziej problematyczna stawała się pozycja zdeklarowanych wrogów faszystowskiej hybrydy. Miesiąc od ostatniego przedstawienia „Młynka do pieprzu” na zamku Leopoldskron w Salzburgu Klaus wsiadł na parowiec holendersko-amerykańskich linii „Statens-

dam” w Rotterdamie, a Eryka dołączyła do niego w Southampton. Przed wyjazdem do Ameryki była jeden dzień w Londynie, gdzie ze swoim mężem, Wystanem Audenem, omawiała sprawy tłumaczenia tekstów „Pfeffermühle” na język angielski. Jako poeta Anglik umiał znajdować odpowiedni ton dla tych utworów. Pod koniec września rodzeństwo przybywa do Nowego Jorku i wpisuje się na listę gości popularnego wśród emigrantów hotelu Bedford. Pierwsze dwa miesiące upłynęły w szaleńczym tempie. Już po dwudniowej aklimatyzacji Eryka wyruszyła do Waszyngtonu w celu zorganizowania występów kabaretu – w Europie czekali przecież gotowi do drogi i narażeni na ataki faszystów współpracownicy – a lista zadań była długa. Należało poszukać odpowiedniego lokalu, drugiego muzyka, tłumacza oraz sponsorów, gotowych na sfinansowanie przedsięwzięcia. Po wielu staraniach znaleziono odpowiedni lokal – była to sala teatralna, położona na 17 piętrze Chanin-Building na rogu Lexington Avenue i 42 ulicy. Do finansowania występu kabaretu udało się przekonać sponsorów, do których należeli: Vicki Baum, Fanny Hurst, amerykański wydawca Tomasz Manna Alfred A. Knopf, Emil Ludwig, Max Reinhardt i bankier Marice Wertheim, którego Eryka określała jako „żywośnie zainteresowanego pana” z wielką ochotą nie tylko „na wydawanie, ale wręcz pozbycie się części pieniędzy”. Postawiono na poważną reklamę. Sam Tomasz Mann zachęcał publiczność, wpisując w program kabaretu: „Nie popełniłoby się błędu nazywając »Pfeffermühle« łabędzim śpiewem niemieckiej Republiki. Był to jej ostatni znak życia – i to bardzo wdzięcz-

ny”. Córkę Erykę rekomendował jako „kobietę z tak pięknymi oczami i do tego mądrą – I think, she will be a success”. 5 stycznia 1937 roku odbyło się premirowe przedstawienie „peppermill”.

Wbrew przeczuciom ojca nie było sukcesu. Kariera „Młynka do pieprzu” skończyła się po tygodniu! Kabaret, który w Europie dał 1034 przedstawienia przy pełnych salach, ponosi w Ameryce całkowitą porażkę. Lotte Goslar, jedna z aktorek trupy „Młynka”, wymienia trzy powody „klapy”. Po pierwsze aktorzy mieli spore kłopoty z językiem angielskim, nawet wspaniała Teresa Giehse była w ekspresji językowej niezrozumiała dla publiczności. Przekład całkowicie pozbawił teksty językowych dwuznaczności, niemożliwe stały się małe uszczypliwości czy aluzje. Po drugie tematyka poruszana przez „Młynek” była Amerykanom całkowicie obca, postaci z bajek dziecięcych, poddane persyflażowi i nabierające dzięki temu nowego wyrazu, były niezrozumiałym szyfrem, ponieważ nie znano tu ich pierwowzorów. Po trzecie wreszcie nie bardzo chciano wiedzieć o sprawach poruszanych przez „Pfeffermühle”. Ameryka, zajęta wprowadzaniem reformatorskich założeń *New Dealu*, izolowała się od problemów związanych z Europą, nie dostrzegając „rozlewającego się” nazizmu. „Młynek” był ponadto nieznaną w Ameryce formą kabaretu literackiego, brakowało tu efektów *show*, tańczących dziewcząt czy rozbawiających dowcipów. „Próżno czekaliśmy na wielkie salwy śmiechu, pełne przejęcia milczenie, zachryple niemal z zachwyty okrzyki aplauzu, gwałtowne oklaski” – wspominał Klaus w autobiografii. „Skąd ten chłód?” – pytał retorycznie. Recenzje z premiery

opublikowane w „Times” i „New York Post” były bardzo krytyczne. W „Neue Volkszeitung New York” ukazał się wprawdzie artykuł pióra Gerharta Segera „biorący w obronę” dokonania „Młynka”, sam Klaus także podjął się wyjaśnienia intencji kabaretu, pisząc tekst pt.: *Was will „die Pfeffermühle”*, ale porażka kabaretu była już przesądzona. Therese Giehse i Magnus Henning wrócili do Europy, Sybille Schloss i Lotte Goslar postanowiły poszukać szczęścia na amerykańskiej ziemi. W liście do Katii Mann Eryka dzielnie i rzeczowo relacjonowała o niepowodzeniu kabaretu i o powodach tej porażki, ale bliższy obserwator jej nastroju, brat Klaus widział, jak silne emocje wzbudzało w siostrze fiasko „Pfeffermühle”. Cztery lata po założeniu „Młynka” kontynuacja przedstawień stała się niemożliwa. Eryka Mann, aktorka, autor tekstów i konferansjer kabaretowy, musiała poszukać w potencjale swoich uzdolnień nowych pokładów, nowych emocji i środków wyrazu. Gdy ostatecznie zrozumiała, że pomimo usilnych starań czasy jej kabaretu „Pfeffermühle” („peppermill”) bezpowrotnie minęły, postanowiła uderzyć w Hitlera nową bronią: podjęła działalność w ramach wykładów, które wygłaszała jako mówca i publicysta (*lecturer*) od roku 1937.

Profesja zwana *lecturer* (wyjaśniał Klaus w *Punkcie zwirotnym*) – w innych częściach świata praktycznie nie znana – należy do osobliwości życia amerykańskiego. Powieściopisarze, badacze stref polarnych, politycy, książęta na wygnaniu, mistrzowie tenisa, twórcy nowych religii, kucharze, media, hodowcy kwiatów [...] – mają drugi zawód jako *lecturers* [...]: jeżdżą po kraju i gawędzą.

Był to rodzaj przedłużenia kariery „peppermill” prowadzonej innymi środkami artystycznymi.

Początki występów Eryki jako mówczyni nie były tak łatwe, jak można by sądzić. Miała wprawdzie predyspozycje, pomagało jej aktorskie wykształcenie, nieocenione było doświadczenie kabaretowe oraz nabyte umiejętności scenicznej autoprezentacji przed publicznością zagraniczną, jednak sporym kłopotem był język. Znała wprawdzie „szkolny angielski” i nieustannie nabywała nowych umiejętności w tym zakresie, ale brakowało ćwiczeń. Dlatego pierwsze wystąpienia odbywały się w... kościele.

Zaczęłam – za darmo – występować w kościołach – Amerykanie udostępniają swoje kościoły w wielu zbożnych celach i z ambony można wygłaszać kazania, na jakie tylko się chce tematy, jeżeli jest się zaproszonym przez Kościół. Tak więc zaczęłam – oczywiście bez wynagrodzenia – szerzyć oświecenie w kościołach, jako pierwszy spróbowałam poruszyć temat aktualnego wychowania dzieci.

– czytamy w jednym z listów Eryki.

Już jej pierwsze oficjalne przemówienie zwiastowało początek kariery pełnej sukcesów. Występowała w Madison Square Garden w Nowym Jorku, na imprezie masowej organizowanej przez „American Jewish Congress” w dniu 17 marca 1937 roku. Sam fakt, że na liście mówców znajdowali się między innymi: burmistrz Nowego Jorku La Guardia, generał Hugh Johnson i przewodniczący związków zawodowych John L. Lewis, był najlepszym dowodem poważnego traktowania wystąpienia Eryki. Miała ona zaprezentować telegram z pozdrowieniami od Tomasza Manna oraz wygłosić wykład na temat:

„Kobieta w III Rzeszy”. Mimo początku rodem z najgorszego koszmaru sennego³ występ podobał się. Eryka informowała jasno i zrozumiale, głosem o sympatycznej, przyjemnej dla ucha barwie, w formie, której od tygodni nauczyła się na pamięć. Całemu wystąpieniu przyświecał jeden cel:

Należy uczynić wszystko, aby pomóc ludzkości w poznaniu prawdy, aby jednoznacznie dostrzegła swojego wroga, zaciętego wroga cywilizacji, postępu i wszelkiej ludzkiej godności – faszyzmu Hitlera⁴.

Przedstawiała obrazowo, opowiadała o autentycznych zdarzeniach, nawiązywała do prostych historii, nieskomplikowanych, ale przekonujących przemyśleń. Podkreślając kilkakrotnie sformułowanie: „przypuszczalnie nie powiem państwu nic nowego”, podawała przykłady ludzkich losów, opowiadała anegdoty, cytowała całe pasáže z aktów prawnych (ustaw norymberskich), obnażając ich absurdalność, a czasem nawet komizm, który – stając się rzeczywistością – przestawał wywoływać śmiech. Występ ukazywał także nastroje panujące w III Rzeszy: ogólny brak zaufania, strach przed donosicielstwem i poniżeniem, poczucie bycia

³ Eryka oczekiwała w hotelu na organizatorów, którzy mieli ją zabrać i przeprowadzić do mównicy, ponieważ spodziewano się takiej ilości osób, że tylko dobra znajomość topografii terenu umożliwiłaby osiągnięcie punktu przy mikrofonie. Niestety o umówionej godzinie nikt się nie pojawił i Eryka postanowiła nie czekać dłużej i sama wyruszyła w drogę. „Przebiła się” przez olbrzymi tłum i w ostatniej chwili dotarła do mikrofonu (Irmela von der Lühe, *Erika Mann. Eine Biographie*, s. 172-173).

⁴ Erika Mann, *Blitze überm Ozean, Aufsätze, Reden, Reportagen*, s. 124.

obserwowanym i obawa przed najmniejszym chociażby uchybieniem, które mogłoby skutkować torturami na posterunku policji czy nawet internowaniem w obozie koncentracyjnym. Reakcja publiczności była bardzo pozytywna: nie zabrakło braw i aplauzu, a nazajutrz – obok zdjęcia Eryki w gazetach – można było przeczytać: „Cóż za sympatyczna mówczyni, cóż za poruszający wdźwięk, jakąż przekonująca prostota w argumentacji!” Tomasz Mann pisał w telegramie do córki:

Serdeczne powinszowania w związku z Twoim wystąpieniem na American Jewish Congress. STOP Przemawiasz tam jako samodzielna osoba, zarazem jednak do pewnego stopnia w moim imieniu, jako moja córka i dziecko mego ducha. STOP [...] To piękna okazja opowiedzenia się za dobrem i prawością, za prawdą i godnością ludzką, przeciw przemocy i kłamstwu, które dziś często wydają się brać górę i przyciągać wielu ludzi.

Najstarsza córka noblisty rozpoczyna przemierzanie Ameryki „wzdłuż i wszerz”, od wybrzeża do wybrzeża, żyje w morderczym tempie, uświadamiając amerykańskich uczniów i studentów, członkinie *womenclubs* i zwykłych obywateli o prawdziwej twarzy niemieckiego nazizmu, wygłaszając apele o pomoc dla krajów będących ofiarami nazistowskiej hybrydy, nawołując do bojkotu niemieckich towarów czy podsuwając inne pomysły do walki z Hitlerem. Z nieskrywanym podziwem, a nawet zazdrością konstatował brat Klaus:

Jej specjalnością był bezpośredni apel i ustny komentarz, wykład przyprawiony anegdotami i pozornie improwizowa-

na, w rzeczywistości jednak starannie przygotowana pogadanka, która częściowo wdziękiem mówiącej, częściowo solidnością własnej materii przykuwa uwagę i przekonuje. Eryka mogła stać się najbardziej pożądaną *lecturer* kontynentu, ponieważ ma coś do powiedzenia i osobowość. *She has a message!, She has a personality!*

Osobowość Eryki fascynowała nie tylko publiczność. W tym czasie adorowało ją wielu bogatych i wpływowych mężczyzn, którzy – jak na przykład nowojorski bankier Maurice Wertheim – byli gotowi do natychmiastowego ślubu, ale siostra Klause daleka była od stabilizacji małżeńskiej. Przyzwyczajona do luksusu i przepychu, do drogich restauracji i wygodnych hoteli, futer skórzanych i brylantów „była kierowniczką kabaretu” cieszyła się życiem, jakie oferowała jej Ameryka, angażując się w wiele przedsięwzięć. Nie ominęło jej w tym czasie także prawdziwe uczucie. Przez wiele lat mieszkała z Martinem Gumpertem, lekarzem i pisarzem przybyłym z Berlina, którego (mimo wielu niezgodności charakterologicznych) potrzebowała jako „bratnią duszę”.

Chociaż harmonogram odczytów był „napięty”, a podróże czasochłonne i wyczerpujące, Eryka pisze książkę *School for barbarians. Education under the Nazis*, która ukazała się po angielsku w nowojorskim „Modern Age Books” w październiku 1938 roku. Kilka tygodni później wyszła w amsterdamskim wydawnictwie Querido pod niemieckim tytułem: *Zehn Millionen Kinder. Die Erziehung der Jugend im Dritten Reich*. We wstępie do *Szkoły dla barbarzyńców* pióra samego Tomasza Manna czytamy:

Książka ta ma odrażający temat: opowiada, z dużą wiedzą i dobrym udokumentowaniem, o wychowaniu w nazistowskich Niemczech, o tym, co narodowy socjalizm rozumie pod pojęciem wychowania. Ale, co dziwne, [książka ta] jest przeciwieństwem odrażającej lektury. Wdzięk jej smutku i złości, jej inteligentny zmysł komizmu, delikatna kpina, w którą ubiera się jej pogarda, powodują, że nasze przerażenie rozpuszcza się w pogodności.

Utwór powstał na podstawie prawdziwych dokumentów: fragmentów z *Mein Kampf* Hitlera, zarządzeń dla szkoły i lekcji wydanych przez ministra wychowania Bernharda Rusta, poradników metodycznych dla nauczycieli nauki o rasie i przysposobienia obronnego, narodowo-socjalistycznych książek dla dzieci, gazety „Stürmer” i innych. Po fiasku „Pfefermühle” Eryka znakomicie wyczuła możliwości rynku amerykańskiego i także w takiej formie prowadziła walkę z Hitlerem i jego systemem. W czterech rozdziałach autorka opisuje, co stało się z dzieckiem, rodziną, szkołą w III Rzeszy oraz w jaki sposób wychowuje się „młodzież państwa”. Nawet dzisiaj – z perspektywy ponad siedemdziesięciu lat – robi ogromne wrażenie opis infiltracji młodzieży niemieckiej przez wychowanie ideologiczne w szkole, oznaczające praktycznie utratę dzieciństwa w systemie totalitarnym. „Obiektywizm i prawda, rozsądek i dusza – to wartości, do których nie tylko się nie dąży, ale – jak słusznie konstataje von der Lühe – które uchodzą za wartości nie do przyjęcia”. Na kartach książki czytamy: „Bo wszystko to – dobre wychowanie, prawda, wolność, humanizm, pokój, wykształcenie – wszystko to nie było żadnymi wartościami w oczach

Führera – lecz pomyłkami i zmiękcżającymi głupotami”. Ekstremalne uczucia wywołuje sprawa żydowska, której autorka również poświęca sporo uwagi, analizując problem z perspektywy pół-żydowskiego dziecka, którego ojciec nie należy do pożądanej rasy aryjskiej. Myśli dziecka przebiegają w taki sposób:

Gdybym go tylko mogła ukryć, trzymać w tajemnicy, mojego ojca [...] gdyby go w ogóle nie było – ach, gdyby tak nie żył, ten Żyd. Można by z matką przeprowadzić się do innego miasta – przyjąć inne nazwisko [...] byłoby dużo wyjść, gdyby pozbyć się ojca.

Miejscem rodzinnych spotkań nie jest już domowe zacisze, kuchnia, w której każdy ma swoje miejsce przy stole, życie rodzinne zostało pozbawione troski i wzajemnego dbania o siebie. W państwie *Führera* ważniejsze są zebrania poza domem w ramach poszczególnych organizacji – ojciec uczestniczy w posiedzeniach partyjnych lub ćwiczeniach wojskowych, matka aktywnie działa w „Narodowosocjalistycznym Związku Kobiet”, a dzieci zaangażowane są w różnego typu organizacje dla młodzieży. Rodzinne funkcjonowanie zostało w jednej z anegdot doprowadzone do granic absurdu:

Ojciec wraca do domu, ale nikogo w nim nie znajduje. Na stole leży kartka z napisem: „Jestem na zebraniu Związku Kobiet. Wrócę późno. Mama”. Kładzie obok niej kartkę z informacją: „Idę na zebranie partyjne. Myślę, że potrwa do późna. Tata”. Następnie przychodzi Fritz, syn, i zostawia kartkę z napisem: „Mamy nocne ćwiczenia, które potrwają do jutra. Fritz”. Hilda, córka, jest ostatnia. Na kartce pisze: „Muszę iść na nocne zebranie Związku Dziewcząt. Hilda”.

Gdy około drugiej w nocy rodzina spotyka się w domu, znajduje mieszkanie, z którego złodzieje wynieśli wszystko, co nie było przytwierdzone na stałe. Mieszkanie jest puste i zimne. Na stole leży piąta kartka z napisem: „Za to, że mogliśmy tu kraść, dziękujemy *Führerowi*. *Heil Hitler!* Złodzieje”.

W obecnych Niemczech nie wypada okazywać ludzkich uczuć, być mięczakiem czy bać się czegokolwiek. Bez względu na pogodę i na porę dnia, każde dziecko musi stawić się na ćwiczenia, w przeciwnym razie zostanie okrzyknięte „słabeuszem” i „maminsynkiem”. Dlatego – wnioskuje Eryka – dzieci stają się zimne, wzbraniają się przez matczynym uściskiem czy pocałunkiem, a odmowa ze strony rodziców wyjścia na ćwiczenia może się skończyć zgłoszeniem tego faktu do przewodniczącego *Pimpfów* i poważnymi konsekwencjami. Prowadzi to do oczywistego braku zaufania matki do dzieci i odwrotnie, co z kolei skutkuje poważnym kryzysem rodziny.

Autorka nie komentuje prezentowanych sytuacji. Ich rzeczowy i precyzyjny opis sam w sobie poraża ekspresją. Dokonuje raczej zabiegu przekształcania materiału dokumentalnego oraz suchych aktów prawnych w historię opowiedzianą z własnego doświadczenia. Zdarzenia zostały nakreślone z takim autentyzmem i z tak bliskiej perspektywy, że wnioski są dla czytelnika oczywiste. Owa forma „uświadamiania przez informację” jest nowością w twórczości Eryki Mann. Jej kontynuacja nastąpi w kolejnej książce pod tytułem *The Lights go down*, obejmującej już nie tylko aspekty wychowania i życia młodzieży, ale i środowiska naukowego i zawodowe dorosłych.

School for barbarians odniosła znaczny sukces, już trzy miesiące po jej wydaniu sprzedano 40 000 egzemplarzy. Uznanie, jakim obdarzono najstarszą córkę Tomasa Manna, było duże. Ojciec z dumą odnotował w pamiętniku *cocktail party* wydawane na cześć córki. Krytycy byli pod wrażeniem lekkości stylu i pogodnej intensywności sposobu opowiadania oraz rzetelnego dokumentowania. Jednocześnie szokowało ich i odrażało to, o czym czytali: niemieckie dziecko od pięćdziesięciu do stu pięćdziesięciu razy dziennie (przy każdej okazji powszedniego dnia i bez świadomości) musi wyciągać ramię i wołać „Heil Hitler!” To naprawdę otworzyło Amerykanom oczy. Książka jest ważnym dokumentem dostarczającym do dzisiaj informacji o „reorganizacji” wychowania prowadzącej do psychicznego i mentalnego wyjałowienia psychiki całego pokolenia. „Pozbawiono ich owego uczucia prawości i człowieczeństwa; brakuje im tego zmysłu, według którego my wszyscy żyjemy, który daje nam równowagę i dzięki któremu kroczymy w prawości przez ten świat – zmysłu prawdy” – podsumowuje Eryka.

Rok później Eryka pracuje nad książką przedstawiającą pewne miasto południowych Niemiec w czasie hitlerowskiej dyktatury. Ośrodek uniwersytecko-przemysłowy ze 120 tysiącami mieszkańców, katedrą i szpitalem, komendą policji i więzieniem, fabryką i kamienicą poznajemy z perspektywy amerykańskiego przybysza, który szybko odkrywa, jakie reguły rządzą w III Rzeszy. *The lights go down* (tak brzmiał ostatecznie angielski tytuł utworu)⁵ przedstawia losy mieszkańców

⁵ Książka została napisana w języku niemieckim i przetłumaczona przez przyjaciela Klause i

miasta jako „fragmenty życia” zarejestrowane w dziesięciu luźno ze sobą powiązanych epizodach na temat: dzień powszedni pod flagami ze swastyką i jego terror. Unikając wartościowania i komentowania, Eryka prezentuje życie przeciętnych ludzi, które na podstawie oficjalnych przepisów zostało tak uregulowane, że jednostka całkowicie zatraciła możliwość jakichkolwiek wyborów. Elementarne prawo do wolności i autonomię obywateli zostały poświęcone wyższemu celowi – ślepej wierności linii politycznej. Opisywane sytuacje ukazują wyraźnie absurdalność tego systemu, umieszczając przedstawione zdarzenia między biegunami literackiego eksperymentu i studiów socjologicznych.

Coś w Niemczech absolutnie nie jest w porządku – czytamy w jednej z rozmów osadzonych w więzieniu w rozdziale siódmym zbioru opowiadań. – Nie może przecież tak być, że siedzę tutaj, ponieważ karmiłem kury jęczmieniem, a Breuninger jest więziony, ponieważ opowiadał dowcipy ośmieszające *Führera*. Jego „kwitnący interes” był przecież całkowicie w porządku i nikt nie mógł mu czegokolwiek zarzucić. *To wszystko jest błędne*, błędne i okropne, tak beznadziejnie zepsute – myślał jeden z bohaterów, Xaver Weber.

Zamiarem autorki jest najwyraźniej unaocznienie antytezy: zdrowy ludzki rozsądek – narodowosocjalistyczne barbarzyństwo. W państwie, w którym bra-

Eryki Mann, pisarza Maurice’a Samuela na język angielski. Pierwotnie rozważano tytuł *Our Nazitown*. Manuskrypt powieści uważa się za zaginiony, a utwór ukazał się po niemiecku dopiero w roku 2005 przetłumaczony z angielskiej wersji. (Uwagi edytorskie, w: Erika Mann, *Wenn die Lichter ausgehen*, s. 313).

kuje najbardziej podstawowych produktów spożywczych, przepisy prawa nakazują karmienie drobiu tylko małowartościowymi odpadkami. Xaver Weber, zdając sobie sprawę z konsekwencji nieodpowiedniego żywienia ptaków, karmi je ziarnami jęczmienia. Gdy jeden ze szpicli Ministerstwa Żywności Rzeszy podstępem zdobywa dowody, że kury były karmione jęczmieniem, rozpoczyna się urzędowa procedura przeciw hodowcy, musi on teraz podpisać oświadczenie, że „z premedytacją i świadomie działał przeciw interesom narodowego socjalizmu”.

W jednym z epizodów fabrykant Huber planuje się ożenić i oświadcza się swojej sekretarce. Gdy ta mu wyjawia, że jest pół-Żydówką, „niedoszły mąż” nie tylko rezygnuje z ożenku, ale czuje się zmuszony do zwolnienia jej z pracy.

Nawet teraz jeszcze chciał wziąć ją w ramiona i powiedzieć jej, jak obojętna mu jest rasa jej matki. Ale pan Huber był przecież właścicielem fabryki i miał pełną świadomość swojej odpowiedzialności. To było niemożliwe, aby zaryzykować wszystko dla dziewczyny, która tak długo go okłamywała. Podrapał się tylko po głowie, odchrząknął i powiedział: „No dobrze. Nikomu nic nie powiem. Ale powinnaś wcześniej o tym powiadomić”.

Wykonawcami założeń reżimu nie są jednostki wybitne, wyróżniające się z tłumu, ale zwykli ludzie usytuowani w odpowiednio zdefiniowanej sytuacji państwowej. Nie są to także zdeklarowani przeciwnicy państwa. Kupiec Hannes Schweiger godzinami pracował nad swoimi książkami rachunkowymi i „podwyższał” obrót sklepu, ponieważ zapłcenie niższych, niż określono w dyrektywie,

podatków wiązałyby się z koniecznością zamknięcia interesu. Ze swojego rzeczywistego dochodu rocznego w wysokości 8456 marek „wyczarował” kwotę 10 216 marek. „Czy postradał rozum?” – pyta neutralnie autorka – „Nie!” – odpowiada natychmiast, „to ze strachu, że jego sklep zostanie zakwalifikowany jako przedsięwzięcie nierentowne i przeznaczony do zamknięcia”. W innym opowiadaniu para młodych ludzi, Peter i Marie, zostaje doprowadzona do desperacji i popełnia samobójstwo, ponieważ oskarżono Marię o aborcję dziecka, które w ogóle nie zostało poczęte. Na końcu rozprawy sędzia stwierdza sucho: „W wyniku pożałowania godnej pomyłki państwo narodowosocjalistyczne straciło dwa młode życia, które były pełne nadziei i chętne do działania”.

Cykl opowiadań Eryki Mann pozwala przyrzeć się mentalnej dyspozycji przeciętnych obywateli społeczeństwa III Rzeszy, jego wrogości, zaciętości, zawiści i nieposzanowaniu humanitarnych zasad obywatelskiego współistnienia z jednej strony, a politycznemu indyferentyzmowi i moralnemu wyjąłowieniu z drugiej. Kara pozbawienia wolności, wiążąca się z dużym ryzykiem osadzenia w obozie koncentracyjnym, orzekana była bez obiektywnych powodów. Bodaj wyraźniejszym przykładem wszechwładzy urzędów oraz niepodważalności ich decyzji jest historia redaktora literackiego jednej z najważniejszych gazet porannych – „Anzeigera” – Hansa Gottfrieda Eberhardta. Poznajemy go jako konserwatywnego, oddanego ojczyźnie pisarza, który w nagrodę za wierne usługi narodowemu socjalizmowi otrzymuje posadę. Chwalony za udane opowieści o polowaniach,

urocze opisy świata przyrody, cieszy się życiem w majątku położonym na skraju miasta, przy lesie. W redaktorze jest wprawdzie sporo nienawiści do Żydów (z tego powodu wstąpił do partii), ale nie brak mu także zdrowego rozsądku i umiejętności obiektywnej oceny sytuacji. Dlatego znajduje w tekście *Führera* aż trzydzieści trzy błędy i naraża się tym faktem przełożonemu, który od teraz tylko czeka na okazję, aby się go pozbyć. Atak następuje w sposób niezwykle wyrafinowany, przełożony nie przekazuje informacji o najnowszych dyrektywach politycznych, w wyniku czego zostaje opublikowany artykuł na temat problemu Południowego Tyrolu pióra Eberhardta, który nie znając aktualnie obowiązującego właściwego kierunku politycznego, napisał tekst będący w opozycji do obowiązujących dyrektyw oficjalnych. Zwolniony z pracy staje się ofiarą urzędowej biurokracji i zaborczego państwa, które pozbawia go wszelkiej własności, łącznie z ulokowanymi w Anglii obrazami, wywiezionymi za wcześniejszym zezwoleniem i po opłaceniu zawyżonego cła. Bohaterowi udaje się w „ostatniej chwili” otrzymać paszport i wyjechać za granicę, ale jego przeżycia stanowią prawdziwy horror, a świadomość, że w „swoim kraju” nie ma żadnych praw, wyzwala najniższe uczucia. Mimo katastrofy statku rodzinie Eberhardta i jemu udaje się dotrzeć szczęśliwie do Ameryki, co w utworze stanowi rodzaj *happy endu*, pozwalającego traktować tytuł *Wenn die Lichter ausgehen* jako nieadekwatny do sekwencji opowiadań. W książce bowiem Eryka Mann nawołuje do ludzkiego rozsądku, będącego światłem, niepozwalającym ciemności ogarnąć ludzkiej natury. Mann ostrzega przed cynizmem i poli-

tyczną obojętnością, apatią i (choćby wewnętrznym) eskapizmem, zachęca do zaangażowania i działania, do solidarności i wiary w zwycięstwo. Wyraża wreszcie także nadzieję, że mimo panoszącej się w Niemczech nienawiści i znieczulicy, „światło ludzkiej przyzwoitości – jak formułuje to von der Lühe – i moralnej prawości nie całkiem jeszcze zgasło”.

Tematy, jakie pojawiały się na twórczym horyzoncie autorów emigracji, można podzielić na trzy grupy: motyw autotematyzujący emigrację, jej kształt i przebieg oraz życie wychodźcy (*Exilroman*), powieść historyczna oraz powieść o Niemczech (*Deutschland-roman*)⁶. *Wenn die Lichter ausgehen* wpisuje się generalnie w nurt powieści o Niemczech. Pozbawiona obywatelstwa niemieckiego autorka nie mogła wprawdzie pocuć na „własnej skórze” atmosfery panującej pod czerwonymi flagami ze swastyką, ale podróżując wokół Niemiec, będąc w Szwajcarii, Austrii, Holandii i innych krajach, bacznie obserwowała rozwój sytuacji. Podczas występów „Pfeffermühle” zwracała uwagę na reakcję publiczności, bezpośrednio po nich rozmawiała z emigrantami różnych środowisk społecznych, zbierała informacje, słuchała opowieści o losach prześladowanych przez nazistów obywateli i swoją mądrością połączyła je w całość. W pisarskiej narracji nie stosowała jednak dłuższej formy, bazując raczej na obrazowych epizodach. Kierowała się zasadą autentyzmu, choć nie pominęła fikcji literackiej, tworząc tekst będący „fik-

⁶ Literaturoznawcy wymieniają wśród dzieł prozy emigracyjnej także prozę biograficzną oraz publicystykę i eseistykę historyzoficzną (por. Czesław Karolak, Wojciech Kunicki, Hubert Orłowski, *Dzieje kultury niemieckiej*, s. 456).

cją dokumentalną”, rekonstruowała fakty na podstawie istniejących przekazów, aktów prawno-wykonawczych i relacji prasowych⁷. Rzeczywistość emigracji oraz potrzebę walki politycznej przeciw Hitlerowi odczuwała nie jako wyzwanie do traktatu polityczno-filozoficznego czy eseistycznej spowiedzi, ale jako potrzebę opowiedzenia historii, która zdarzyła się w dniu codziennym, częściowo dowcipnej, częściowo bardzo poważnej. Powstają przy tym historie pisane przez życie: smutne, ale nie rozpaczliwe, poruszające, ale nie deprymujące, moralizujące, ale nie dogmatyczne. Wszystkie odsłaniają jednak gorzką prawdę o Niemczech w czasie dyktatury Hitlera: normalne, codzienne życie obywatela nie jest właściwie możliwe.

W latach 1933-1940 działalność Eryki Mann cechuje niebywała intensywność i determinacja. Rezygnując z życia prywatnego wszelkimi dostępnymi środkami toczy zacięty bój z hitlerowskim reżimem. Wyraźnie zauważalny jest element łączący utwory pisarki: w centrum jej zainteresowania zawsze znajduje się człowiek i przysługujące mu prawa. Zarówno w kabarecie, jak również w odczytach i wykładach czy wreszcie także w tekstach prozatorskich w oczy rzucają się dwie cechy: wysoka komunikatywność i umiejętność zainteresowania odbiorcy. To dzięki nim „Pfeffermühle” zbierał głośne oklaski, Erykę zapraszano na liczne *lectures* i chętnie kupowano jej książki. Temu też Eryka Mann będzie zawdzięczać pro-

⁷ W zbiorze opowiadań *Wenn die Lichter ausgehen* podane są źródła wydanych aktów prawnych: ustaw i rozporządzeń, a także przemówień i autentycznych wydarzeń wraz z datami i relacjonującymi o nich czasopismami (Erika Mann, *Wenn die Lichter ausgehen*, s. 269-272).

wadzoną z powodzeniem pracę w charakterze korespondenta radiowego i dziennikarza wojskowego w czasie wojny.

Bibliografia (wybór)

Publikacje członków rodziny Mann:

- Mann Erika, *Ausgerechnet ich*, Reinbeck bei Hamburg 2005.
Mann Erika, *Blitze überm Ozean*, Reinbeck bei Hamburg 2001.
Mann Erika, *Briefe und Antworten, 1922-1950, 1951-1969*, München 1984/85.
Mann Erika, *Mein Vater, der Zauberer*, Reinbeck bei Hamburg 1996.
Mann Erika, *Wenn die Lichter ausgehen*, Reinbeck bei Hamburg 2005.
Mann Erika, *Zehn Millionen Kinder. Die Erziehung der Jugend im Dritten Reich*, Reinbeck bei Hamburg 2002.
Mann Klaus, *Briefe und Antworten 1922-1949*, Reinbeck bei Hamburg 1991.
Mann Klaus, *Punkt zerothry*, Warszawa 1993.

Literatura przedmiotu:

- Karolak Czesław, Kunicki Wojciech, Orłowski Hubert, *Dzieje kultury niemieckiej*, Warszawa 2007.
Keiser-Hayne Helga, *Erika Mann und ihr politisches Kabarett „Die Pfeffermühle” 1933-1937*, Reinbeck bei Hamburg 1995.
Kröger Ute, *„Wie ich leben soll, weiss ich noch nicht”. Erika Mann zwischen „Pfeffermühle” und „Firma Mann”. Ein Porträt*, Zürich 2005.
Naumann Uwe, *Die Kinder der Mams*, Reinbeck bei Hamburg 2005.
Naumann Uwe, *Ruhe gibt es nicht, bis zum Schluss*, Reinbeck bei Hamburg 2001.
Von der Lühe Irmela, *Erika Mann. Eine Biographie*, Frankfurt am Main 2001.
Wißkirchen Hans, *Die Familie Mann*, Reinbeck bei Hamburg 2004.

Sylwetki

Renata Schumann

Vom ewigen Sonntag im Gemüte. Betrachtungen zum Werk Joseph von Eichendorffs

Ein weißes Schloss auf bewaldeter Höhe, darunter ein sich durchs grüne Tal windender Fluss - das ist ein immer wieder beschworenes Bild in Joseph von Eichendorffs Werk. Eichendorffs Welt ist die Welt der Schlösser. Es ist sowohl die konkret erlebte wie auch eine in den Traum gefallene Welt. Und es ist eine Welt, deren Existenz bereits zu seiner Zeit in Bedrohung geriet und heute nicht nur der Vergangenheit angehört, sondern auch weitgehend dem Vergessen anheim fiel.

Schloss und Garten, der Traum vom verlorenen Paradies der Kindheit dieses Spätromantikers, den er in zahlreichen Gedichten und auch in den Prosawerken beschreibt, sind bei ihm durchaus nicht nur Staffage, wie es die literarische Mode seiner Zeit verlangte, sondern erlebte Wirklichkeit. Eichendorffs heitere und harmonische Kindheit und Jugend, die Geborgenheit in der Familie, das Leben

im herrschaftlichen Ambiente hatten seine Lebenseinstellung und sein Werk dauerhaft geprägt. Der Verlust dieser Situation, verursacht durch die Verarmung der Familie, die für den Dichter ein Leben in weitaus bescheideneren und unruhigen Verhältnissen bedeutete, blieb eine schmerzliche Erfahrung.

Die in diesem Zusammenhang so oft von Eichendorff artikulierte Klage über den Verlust der Heimat, das Heimweh, ist in unseren tragisch bewegten Zeiten, in der Millionen Menschen aus verschiedenen Gründen fern ihrer Heimat leben, aktueller als je.

Doch das Eichendorffsche Heimweh befindet sich stets in einem ambivalenten Gleichgewicht zum Fernweh. Es drückt schlichtweg die Sehnsucht des sensiblen Menschen aus und damit stets auch Heimweh nach Geborgenheit in einem höheren, transzendenten Sinne.

Allerdings bedeutet Eichendorffs Bild einer romantischen Traumlandschaft gleichzeitig auch einen konkreten geografischen Ort, der in althergebrachter Beschaulichkeit auch heute noch besteht, wenngleich das Schloss in Lubowitz bei Ratibor in Schlesien während der Kriegshandlungen zum größten Teil zerstört wurde, das Land heute zu Polen gehört und in Eichendorffs Heimat heute kaum noch deutsch gesprochen wird.

Eichendorffs Gedichte und seine Erzählung „Aus dem Leben eines Taugenichts“ haben die Probe der Zeit bestanden und sich bis heute ihren Platz in der deutschen und in der Welt-Literatur bewahrt. Mehr noch, in den nach der Jahrtausendwende um sich greifenden Diskussionen über einen die strikte Aufklärung ablösenden Paradigmawechsel wird kein anderer Dichter so oft zitiert und werden keine Ansichten so gern herbeigerufen wie die Joseph von Eichendorffs. Dieser Romantiker gilt als Statthalter der anderen Werte, einer anderen uns umgebenden geistigen Wirklichkeit, als poetischer Verkünder einer gottinnigen Apotheose der Welt.

Gleichzeitig gilt er auch als der bekannteste Romantiker. „Von keinem anderen deutschen Lyriker sind so viele Lieder zum Eigentum des Volkes geworden oder durch Vertonungen, wie die von Robert Schumann und Hugo Wolf, weltweit verbreitet worden“, heißt es im populären Handbuch „Geschichte der deutschen Literatur“ von Helmuth Nürnberger. Auch heute gibt es von Eichendorffs Gedichten unzählige Neuauflagen und wohl kaum einen Gesangverein, der nicht Eichendorff-Lieder im Repertoire hätte. Vielleicht ist gerade dies das eigentlich

Besondere am Schaffen dieses bekanntesten Romantikers, dass seine Gedichte dem so genannten einfachen Menschen in einer verständlichen Sprache entgegenkommen und sich gleichzeitig dem anspruchsvollen Leser in tieferen Dimensionen erschließen.

Einige Lieder, wie „O Täler weit o Höhen“, „In einem kühlen Grunde“, „Es war als hätt der Himmel“, „Wem Gott will rechte Gunst erweisen“, „Es schienen so golden die Sterne“, wurden bereits zu seiner Lebzeit als populäre Lieder empfunden, was dem Autor, der sich in seinem Stil von der Sammlung von Volksweisen in „Des Knaben Wunderhorn“ anregen ließ, höchst willkommen war. Auch Goethe und Matthias Claudius hatten Einfluss auf Eichendorffs Schaffen.

Eichendorffs Gedichte wurden in zahlreiche Sprachen übersetzt. Obwohl gerade dazu zu bemerken wäre, dass sie in ihrer scheinbaren Schlichtheit, die mit ihren tiefsten Wurzeln in die Urgründe der Sprache reichen, kaum übertragbar sind. Dabei bereitet vor allem die Musikalität der Sprache dem Übersetzer größte Schwierigkeiten. Auch dass Eichendorff mit dem bereits zu seiner Zeit verbrauchten Vokabular und Gestus der Romantik spielerisch und leicht ironisch umgeht, dürfte eine besondere Erschwerung sein und zu nicht adäquaten Übersetzungen führen.

Bezaubernd klingt auch heute noch Eichendorffs dichterisches Credo:

Schläft ein Lied in allen Dingen,
Die da träumen fort und fort,
Und die Welt hebt an zu singen,
Triffst du nur das Zauberwort.

(Die Wünschelrute)

Unvergessen und gern gelesen bleibt der „Taugenichts“. Über diese Novelle schrieb kein Geringerer als Thomas Mann: „Joseph von Eichendorffs wundersam hoch und frei und lieblich erträumte Novelle, die wir alle in unserer Jugend gelesen haben und von der uns allen all die Zeit her ein feiner Saitenschlag und Glockenklang im Herzen nachgeschwungen hat“. Dies allerdings im Jahre 1916.

Zum hundertsten Todesjahr des Dichters (1957) bescheinigte Theodor W. Adorno Eichendorffs Gedichten Unsterblichkeit. Er stellte unter anderem fest: „Manche Verse Eichendorffs (...) klingen wie Zitate beim ersten Mal, memoriert nach dem Lesebuch Gottes“. Eine bemerkenswerte Feststellung für einen marxistischen Philosophen.

Wolfdietrich Rasch schreibt in seinem einer Auswahl von Eichendorffs Werken beigefügten Essay (1988) zutreffend, dass die schönsten Gedichte und Erzählungen Joseph von Eichendorffs den Sinn des schlichten Lesers beglückend anrühren; aber auch dem Anspruch des Kenners Genüge tun, sie seien sprachliche Gebilde von reinstem Klang und zartester Schönheit. Die große Kunst des großen und gleichzeitig letzten Romantikers sei einfach und gleichzeitig kostbar echt.

Und Hermann Hesse, der eigentliche Sukzessor Eichendorffs in der Moderne, äußerte sich enthusiastisch: „Was in jenen ersten Liedern klang, das geht weiter durch seine ganze Dichtung: eine halb ritterliche, halb idyllische, genügsame, aber reine Welt, in der die Melodie den Gedanken überwiegt und deren Ethos die Pietät ist. (...) und da er in der traumhaften Sicherheit seines Kindes-

herzens gleich in seinen frühen Dichtungen seinen Ton vollkommen rein getroffen hatte, kann man von einer literarischen Entwicklung bei ihm kaum reden. Dass die Lieder Eichendorffs zum unverlierbaren Gut deutscher Dichtung gehören, daran wurde auch früher schon selten gezweifelt.“ Hesse charakterisierte den Dichter wie folgt: „Nie hat Eichendorff eine Mode mitgemacht, nie hatte er sich zu ihm nicht gemäßen Leistungen empor zu schrauben versucht, nie hatte er sich interessant gemacht. Zwischen dem wildem Geniewesen mancher seiner romantischen Kameraden steht er freundlich, still und lächelnd wie ein Gast vom Lande, etwas verwirrt vom Getriebe, aber seines eigenen Wesens und Wertes sicher und seiner angeborenen Liebe treu, der Liebe zum Frieden, zur Natur und zu einem Leben, wie er es in den Heimatjahren auf Schloss Lubowitz kennen gelernt hatte.“

Theodor Fontane, noch Zeitgenosse Eichendorffs, brachte seine Verehrung für den in Berlin kennen gelernten Dichter mit den Worten zum Ausdruck: „Es ist doch etwas Famoses um einen alten Poeten, wenn es ein echter ist!“ Und urteilte später u.a. über den *Taugenichts* – „kein anderes Volk hat solch Buch“.

Dennoch kommt diesem großen Romantiker in unserer hastigen kommerzialisierten Welt zu wenig Beachtung zu. Die akribische und leicht erzählte Biographie von Günther Schiwy (2000) könnte zu einer ihm, besonders in seinem 150. Todesjahr (2007) gebührenden, größeren Aufmerksamkeit beitragen. Eichendorffs Lebensweisheit, das Anrührende seiner tief empfundenen Lyrik und insbesondere die Erzählung vom „ewigen Sonntag

im Gemüte“ des Taugenichts, dieser heitere Traum vom Leben, wie es sein könnte, ist eine Botschaft, die wir gerade in unserer Zeit gut brauchen können.

Allerdings war dieses heitere unbeschwertere Werk auch für den Dichter nur Traumspiegelung und Lebens-Utopie. Denn das Leben Joseph von Eichendorffs war alles andere als eine Idylle, kein Grund zu Optimismus und eigentlich das Gegenteil einer Erfolgsstory. Es war ein Leben gekennzeichnet von schmerzlichem Verlust und Verzicht, pflichtbewusster Beamten-tätigkeit und Besorgtheit um seine Familie, von zahlreichen Enttäuschungen im Bereich der Literatur, der ungebrochen sein Ehrgeiz galt. Gleichzeitig aber auch ein erfülltes, weil verinnerlichtes Leben.

Joseph von Eichendorff, am 10. März 1788 im Schloss Lubowitz in Oberschlesien geboren, in einem Haus, in dem man zu leben verstand und die Kinder innige Geborgenheit erfuhren, erlebte als junger Mann den Bankrott der Familie und ihre Verarmung. Er führte darauf hin ein pflichtbewusstes Leben eines preußischen Ministerialbeamten. Für seine literarische Arbeit blieb ihm wenig Zeit. Nach kurzem Erfolg geriet er bald in Vergessenheit.

Größere Aufmerksamkeit bekam Eichendorff erstmals mit einem Sammelband im Jahre 1826, in dem die Erzählungen „Aus dem Leben eines Taugenichts“ und „Das Marmorbild“ sowie 48 Gedichte enthalten waren. Und es ist kaum zu glauben – dies blieb der Höhepunkt seiner literarischen Karriere. Eichendorff hatte zu Lebzeiten allen Grund, sich nicht bedeutender als all die Größen der romantischen Bewegung zu erachten,

denen er begegnete. Allerdings teilte er damit das Schicksal einiger anderer, die erst in neuerer Zeit wieder entdeckt wurden, wie etwa Friedrich Hölderlin, der Dramatiker Georg Büchner und Heinrich von Kleist. Und auch E.T.A Hoffmann sonnte sich nicht im Ruhm, den er verdiente.

Der damals alles überragende Johann Wolfgang von Goethe, eine Generation älter als Eichendorff, antwortete auf Eichendorffs Zusendung des historischen Trauerspiels „Der letzte Held von Marienburg“ gar nicht und belustigte sich gelegentlich über Zitate aus „Ahnung und Gegenwart“, die dort allerdings als ironische Bemerkungen gemeint waren. Dass Goethe dies nicht bemerkte, lässt auf ein nur flüchtiges Hineinlesen schließen. Und das, obwohl Eichendorff in der Form des Romans „Ahnung und Gegenwart“ (1815) an den großen Entwicklungsroman „Wilhelm Meister“ des Dichtersfürsten anknüpfte, den er, trotz als kränkend empfundener Ablehnung, sein Leben lang zutiefst verehrte.

Eichendorff gilt als konservativer Dichter. Tatsächlich verdient er, der Religiosität, Patriotismus und Familie größten Wert beimaß, diese Bezeichnung wie kaum ein anderer. Dennoch war er auch ein kritischer Beobachter seiner Zeit und sich dessen bewusst, dass seine Kaste, die Adelsgesellschaft ausgedient hatte. Er fürchtete die heraufziehende Revolution, hielt sie aber für unvermeidbar und letztendlich vom Adel selbst verschuldet. Wahren Adel verdanke jeder nur sich selbst – war seine Meinung. Seine Ansichten brachte er deutlich in einer seiner politischen Schriften „Der Adel und die Revolution“ zum Ausdruck.

Eichendorffs unvergessene Landschaft seiner Kindheit, das vorindustrielle Oberschlesien war kulturell ein besonderes Land, in dem ein Netz größerer und kleinerer Schlösser und Gutshäuser zusammen mit den Städten Kristallisationspunkte eines regen deutschen Kulturlebens bildeten. Die mehrheitlich slawische Bevölkerung wurde in kulturelle Aktivitäten, insbesondere ins häufige Musizieren mit einbezogen. Gleichzeitig aber wies diese scheinbare Idylle immer größere Risse auf. Die herkömmlichen Strukturen mit ihren bäuerlichen Abhängigkeiten gerieten nicht nur durch die Parolen der französischen Revolution sondern auch durch die sich anbahnende Industrialisierung ins Wanken.

In der Novelle „Schloss Dürande“ (1836) setzte Eichendorff der Revolution und den mit ihr verbundenen Gefahren ein wichtiges Mahnmal. Er zeichnete eine durch Standesvorurteile tragisch gescheiterte Liebe. Der zutiefst gläubige Dichter hielt das Verhängnisvolle der revolutionären Neuerungen vermeidbar durch guten Willen und überwindbar durch Liebe.

Die Französische Revolution hatte Unruhe in das Gefüge Europas gebracht, insbesondere die darauf folgenden Napoleonischen Kriege stürzten den Kontinent ins Chaos. Die alte Kastengesellschaft wurde gewaltsam aufgehoben und der Eroberungsdrang Napoleons führte zum Krieg. Napoleon wurde von vielen zunächst als Erneuerer der verkrusteten Gesellschaft begrüßt. Bald darauf aber weckte die französische Okkupation Widerstand und das nationale Bewusstsein der unterworfenen Völker. Insbesondere die Deutschen fanden sich im Anbe-

tracht der Fremdherrschaft zusammen. Die nationale Bedrohung hob die Zersplitterung des von Napoleon zerschlagenen Reiches auf. Eine patriotische Stimmung einte Preußen und trug zum Sieg über Napoleon bei. Eine durchgreifende politische Neuordnung Europas war die Folge. Ein geeintes und patriotisch eingestimmtes Deutschland trat auf den Plan, das in der folgenden Zeit einen bedrohlichen Nationalismus entwickelte. Die Polen aber, die sich die Restitution der Staatlichkeit erhofft hatten, wurden von Napoleon enttäuscht, die Teilung Polens blieb erhalten, aber auch im geteilten Polen machte sich zunehmend die erstarkende nationale Bewegung bemerkbar.

Zu den frühen glücklichen Lebensgegebenheiten des großen romantischen Dichters gehörte die enge Verbundenheit mit seinem nur eineinhalb Jahre älteren Bruder Wilhelm, mit dem er nicht nur die Erlebnisse der Kindheit teilte, sondern auch die prägenden Lehr- und Wanderjahre: die Studienzeit in Breslau, danach in Halle, in Heidelberg und in Wien. Dazu zahlreiche Reisen zwischen Breslau, Berlin und Wien, sowie eine Studienreise nach Paris, die ein begüterter Onkel finanzierte. Eine Italienreise blieb Wunschtraum.

Die Brüder führten zunächst ein Leben, wie es in ihrer Gesellschaftsschicht zur damaligen Zeit üblich war. Das Leben auf dem Lubowitzer Schloss war von unbekümmerter Heiterkeit geprägt. Gesellschaftliche Belustigungen wie Jagden und andere Festivitäten, Theaterbesuche in Ratibor waren an der Tagesordnung. Nach den Studien und dem Erkunden der Welt gewidmeten Jugendzeit sollte

später vor allem Verantwortung in den geerbten Gütern übernommen werden. Leider setzte zu der Zeit eine Entwicklung der familiären Vermögensverhältnisse ein, die beide aus der voraussehbaren Situation hinaus stieß und sie in den Staatsdienst zwang.

Die Industrialisierung veränderte besonders Eichendorffs nächste Heimat. Das über reiche Bodenschätze verfügende Oberschlesien begann sich zur führenden Industrieregion Preußens zu entwickeln. Goethe war hierher nach Tarnowitz angereist, um die erste auf dem europäischen Kontinent arbeitende Dampfmaschine zu besichtigen.

Doch während andere durch die aufstrebende Montan-Industrie und damit verbundene Bodenspekulationen Millionäre wurden, verlor Eichendorffs Vater den größten Teil seines Besitzes. Adolph Eichendorff war kein geschickter Verwalter und seine unglücklichen Spekulationen vertieften die Misere. Die Familie sah sich verschuldet und ruiniert. Die Güter mussten eins nach dem andern verkauft werden. Nach dem Tod des Vaters wurde ein gerichtliches Liquidationsverfahren eingeleitet. Nach Mutters Tod veräußerte man den Familiensitz Lubowitz. Später gingen auch Slawikau und Radoschau verloren. Als einziger Besitz blieb den Brüdern das Gut in Sedlnitz bei Freiberg in Mähren, das heißt in Österreich, das von dem preußischen Konkursverfahren unberührt geblieben war.

So war die Studien- und Reisezeit der Brüder Eichendorff von krasser Gegensätzlichkeit geprägt, zum Teil standesgemäß erlebt, teils in bitterer Armut durchstanden. Zunächst bezogen die Brüder mitsamt Hofmeister Heinke und Diener

in Breslau ein feines Quartier. Ihr Leben war von keinerlei Einschränkungen beeinträchtigt. Besonders gern frequentierten sie das damals in Breslau florierende Theater. Eichendorff sah und hörte in Breslau u.a. Mozarts „Zauberflöte“, die sein Schaffen besonders stark beeinflusste.

Die Familie reiste herrschaftlich mit Equipagen mit vier Pferden, die Studenten mit Postkutschen. Aus der späteren Zeit wird in den Tagebüchern von Hunger und Darben berichtet, was man aber mit jugendlichem Humor ertrug. In den Tagebüchern findet sich die Beschreibung einer Reise der Brüder von Breslau nach Berlin, die man bis nach Frankfurt an der Oder auf einem Kohleschiff zu brachte. Das Essen - trockenes Brot und Schnaps. Kein Wunder, dass Joseph danach wochenlang kränkelte. In Wien aßen sich die Brüder meistens erst abends auf den Empfängen ihrer reichen Verwandten satt. Beide sahen sich durch die Verarmung der Familie gezwungen, einen raschen Abschluss ihrer Studien anzustreben, der ihnen eine Zukunft im Staatsdienst ermöglichen würde. Sie hatten zunächst, wie damals üblich, ein breit gefächertes Studium, allerdings mit dem Schwerpunkt der Jurisprudenz, in Breslau, Halle und Heidelberg genossen. Sowohl Vorlesungen u.a. über griechische Literatur wie auch naturwissenschaftliche Erkenntnisse gehörten dazu. Später trat in Wien das ernsthafte Studium der Rechtswissenschaften in den Vordergrund. Beide Brüder wären gern in Wien geblieben, die katholischen Aristokraten fühlten sich mental eher dem katholischen Österreich als dem protestantischen Preußen zugeneigt. Doch nur Wil-

helm gelang es, sich in Wien zu etablieren und auch eine gute Position zu erreichen. Joseph versuchte es vergeblich und fand letztendlich in Berlin sein Lebenszentrum.

Der Raum, in dem sich Eichendorffs Leben abspielte, nachdem er Lubowitz verlassen hatte, dehnte sich weit. Es war vor allem fast der gesamte heute verlorene Osten Deutschlands. Am Anfang und später immer wieder das kulturell sehr lebendige Breslau, wo die Brüder das königlich Katholische Matthias-Gymnasium und anschließend die Universität besuchten. Doch bereits mit den Eltern wurde nicht wenig gereist. Die erste Herrscherresidenz, die der junge Eichendorff sah, war der Prager Hradschin. Man reiste über Prag nach Karlsbad, dem damals berühmtesten Bad, wo auch Goethe oft weilte. Später führte das Berufsleben den Dichter von Berlin aus bis nach Königsberg, mit einem längeren Aufenthalt in Danzig, von wo aus er am Wiederaufbau der Marienburg maßgeblich beteiligt war.

Die zahlreichen Reisen der beiden Studenten waren für sie beeindruckende Erlebnisse. Eine Bildungsreise nach Paris führte sie über Straßburg, Burgund, Lothringen und die Campagne. Besonders das Meer machte einen starken Eindruck auf den für die Natur empfänglichen Poeten. Aufzeichnungen über die ersten Eindrücke von der Küste, aus Hamburg, Lübeck und Travemünde sind erhalten. Die mit dem Meer verbundene Symbolik findet ihren Ausdruck in zahlreichen Gedichten.

Eichendorffs Berufsleben stand unter keinem guten Stern, wie er selbst beklagte. Obwohl er sein Staatsexamen glänzend bestanden und sich zuvor Verdienste im Lützowschen Freikorps im Kampf

gegen Napoleon erworben hatte, gelang es ihm trotz zahlreicher Versuche nicht, eine Stelle zu erlangen, die ihm und seiner Familie ein ausreichendes Einkommen sichern würde.

Eichendorff hatte eine reiche Partie ausgeschlagen, die ihm eine standesgemäße Existenz gesichert und seinen literarischen Neigungen nachzugehen ermöglicht hätte, und stattdessen die wenig begüterte Luise Larisch gegen den Willen seiner Familie geheiratet (1815). Er wählte damit das Leben eines Staatsbeamten, eines auf schnöden Broterwerb angewiesenen Philisters, das er als romantischer Dichter zutiefst verachtete.

Zunächst erhielt er eine Anstellung als Regierungsassessor ohne Gehalt in Breslau, die ihn zwang - er war zu der Zeit bereits verheiratet -, die letzten Reserven seines Erbteils zu verbrauchen. Vergeblich bemühte er sich um das Amt des Landrats in Rybnik und auch in Pless. Danach war er mit Unterbrechungen die längste Zeit in Berlin als „ministerialer Hilfsarbeiter“ beschäftigt. Dazwischen wurden ihm Dienstversetzungen nach Danzig und Königsberg zugemutet. Zu seinem Leidwesen, denn das zog ständigen Orts- und Wohnungswechsel der Familie nach sich, wie auch die Entfernung vom kulturellen Zentrum – Berlin.

Trotz wenig geliebter aber gewissenhaft erfüllter Beamten Tätigkeit schrieb Joseph von Eichendorff besonders anfangs erstaunlich viel. Doch der Zwiespalt zwischen Pflicht und Neigung kennzeichnete sein Leben und hinterließ in seinem Werk nachhaltige Spuren. Der literarische Erfolg Eichendorffs stellte sich zögerlich ein und wäre schwerlich je als durchschlagend zu bezeichnen.

Nach zahlreichen Veröffentlichungen von Gedichten, die gut aufgenommen wurden, erschien Eichendorffs erster Roman „Ahnung und Gegenwart“ (1815). Und wurde wenig beachtet. Sehr zu Unrecht. Diese romantische, weitgehend autobiografische Erzählung, die Jugenderlebnisse und mit ihnen die Leitgedanken des gesamten späteren Schaffens enthält, ist sowohl ein interessanter Spiegel damaligen Lebens wie auch ein Schlüsselwerk für das Verständnis des gesamten Schaffens Eichendorffs. Und wer nach Spuren seiner Heimerlebnisse sucht, wird hier am ehesten fündig. Zudem gibt der Roman den Blick frei auf das geistige Laboratorium des Dichters und ist besonders für das Verständnis des „Taugenichts“ erhellend. Es ist erstaunlich, wie umfassend und klar dieses erste Werk des damals siebenundzwanzigjährigen Dichters sein Denken und Fühlen umreißt, wie es im späteren Schaffen immer wieder zum Ausdruck kommt. Ansätze, die im „Taugenichts“ leicht und losgelöst von den Realitäten einher kommen, sind bereits hier zu finden.

In der Form folgt Eichendorffs Roman Goethes großem Bildungs- und Entwicklungsroman „Wilhelm Meister“, beschreibt aber die Reisen und Abenteuer zweier jugendlicher Freunde auf ganz andere Weise. Beide sind sensibel Erlebende und Erkundende und den Sinn des Lebens Suchende. So wird vor allem immer wieder eine innere Helligkeit und innere Freudigkeit beschworen und beschrieben, eine Lebenseinstellung, die dem schlichten aber begeisterungsfähigen und empfindsamen Gemüte zuteil wird. Ein mystischer Zustand der Einsföhlung mit der Natur wird beschrieben,

ein spirituelles Erlebnis, ein Gotteserlebnis, das – so darf angenommen werden – ein Schlüsselerlebnis des jungen Eichendorff gewesen sein mag. Das spiegelt sich immer wieder in Aussprüchen der Freunde, so heißt es z.B. „wo ein Begeisterter steht, ist der Gipfel der Welt.“ Und auch: „So ist dieses freudige Licht vielmehr die wahre göttliche Gnade, in der alle Tugenden und großen Gedanken gedeihen, und die Welt ist wirklich so bedeutsam, jung und schön, wie sie unser Gemüt in sich selber anschaut.“ Die Aufgabe des Dichters sei es „im Irdischen die Spur des Herrn [zu]deuten.“ Die Voraussetzung dazu sei „sich innerlichst nur recht zusammen zu nehmen zu hohen Entschliefungen und einem tugendhaften Wandel.“ Und es heißt hier auch: „Es ist nichts groß, als was aus einem einfältigen Herzen kommt“.

Der Zustand des begeisterten Hinschauens und sich Umschauens in der Natur und der „wundervollen Sehnsucht“, der die Sinn suchenden Freunde mit dem vagabundierenden Taugenichts verbindet, der allerdings nur das Märchen von der schönen Magelone kennt, hat in diesem autobiografischen Roman aber auch mit Kultur, mit der Inspiration aus der Welt der Bücher, der Märchen und des Lebens Christi zu tun, die Friedrich im Roman erfährt. Die Initiation in die Welt der Bücher findet für Friedrich in einer wie einem Grimmschen Märchen entnommenen Szenerie statt und weist – entsprechend romantischen Ansichten auf das Volk als Inspirationsquelle hin. Friedrich erzählt Rosa, wie er als Knabe eines Abends an einem Häuschen im Wald anlangte, und durch das Fenster sah, wie ein Vater seinen Kindern

aus einem „Büchlein“ vorlas, während die Mutter am Herd hantierte. Er tritt ein und bleibt. Fortab begann er zu lesen und weiß darüber zu berichten: „Es war, als hätten mir diese Bücher die goldenen Schlüssel zu den Wunderschätzen und der verborgenen Welt der Natur gegeben.“

Die von Eichendorff verfochtene poetische Begeisterung für Gottes Natur und die Verankerung in der kulturellen Tradition sowie eine „Gotteskindschaft des schlichten Gemütes“ werden als anzustrebende Konstanten eines rechten Lebens in „hoher Ruhe“ dargestellt. In „Ahnung und Gegenwart“ wird diese Lebenshaltung durch verschiedene agierende Personen verkörpert, durch Friedrich, Leontin und Faber, aber auch durch Julie und Viktor.

Wie gering Eichendorff selbst die Realisierbarkeit dieser Einstellung im wirklichen Leben einschätzte, beweist das Ende dieses Romans. Friedrich begibt sich nach enttäuschter Liebe und aus Weltüberdruß ins Kloster, wo er den inneren Frieden zu bewahren hofft. Er hatte sich sowohl den Versuchungen eines ausschweifenden Lebens, zu dem ihn die Gräfin Romana zu verlocken versucht hatte, wie auch der Liebe zur unbeständigen Rosa entzogen. Leontin heiratet Julie und geht mit ihr nach Amerika, und Faber zieht wie ein ewiger Don Quichotte landeinwärts. Doch bleibt ihnen allen ein Fünkchen des gesuchten Lichtes. Sie bleiben Hoffende, ein Schimmer ihres hohen Strebens ist in ihnen nicht erloschen. Nur der verbitterte Bruder Friedrichs, Rudolf, der weder an die Liebe glaubt, noch die Religion achtet, wendet sich unfroh vom Leben ab.

Eichendorffs Verhältnis zum Volk muss allerdings als ambivalent angesehen werden, es schwankt zwischen romantischer Apotheose und einer unverkennbaren herrschaftlichen Geringschätzung sowie Angst vor revolutionären Umtrieben. Einerseits betrachtet dieser Aristokrat seine Kaste sehr kritisch, er hält sie für nicht überlebenswert, da sie durch Egoismus und Engstirnigkeit ihre führende Rolle verspielt und verwirkt hat. Und immer wieder lässt er die Apotheose des Märchen erzählenden Volkes anklingen, den charakteristischen Topos der Romantik, dessen bekanntester Ausdruck die Sammlung „Des Knaben Wunderhorn“ ist. Eichendorff selbst sammelte in Oberschlesien Märchen der ihren slawisch-schlesischen Idiom sprechenden Bevölkerung. Vor allem aber ist seine Idealgestalt, der Taugenichts, der wie keine andere Figur die Sehnsucht des Dichters nach einem freien ungebundenen Leben ausdrückt, ein einfacher Müllerbursche.

Andererseits aber ist bekannt, dass der Dichter in Anbetracht des blutig niedergeschlagenen Aufstandes der schlesischen Weber 1844 mit Floskeln vom göttlichen Erbarmen reagierte. Damals wurden zwölf der gegen die Ausbeutung und die Hungerlöhne aufbegehrenden Weber standrechtlich erschossen, über andere harte Gefängnisstrafen verhängt. Bettina von Arnim kämpfte empört gegen die Verelendung des Volkes und richtete Petitionen an die Regierung. Eichendorff aber schrieb ein Gedicht, in dem er sich mit dem Elendigen auf der Straße identifiziert, ihn aber auf der steinernen Treppe einer Friedhofskapelle vor Hunger und Kälte sterben lässt - mit Worten der

Dankbarkeit an seinen Schöpfer auf den Lippen.

In „Ahnung und Gegenwart“ gibt es eine einzige Szene, in der das Volk bei der Ernte gezeigt wird, und die hat einen bukolischen und wenig realistischen Charakter, die arbeitenden Bauern werden als „ein fröhliches Gewimmel“ dargestellt. Lange Reihen von Arbeitern, voll beladene Wagen ziehen dem Dorf zu, fröhliches Singen und Wirren begleitet ihr Schaffen, dem von weitem ein Grüppchen feiner Herrschaften zuschaut, die wiederum wie eine Picknick-Gesellschaft wirken. Die Reisenden sind sofort mit den Herrschaften vertraut, man hat gemeinsame Bekannte und Verwandte. Das Volk aber bleibt im Hintergrund und sieht von weitem den Herrschaften zu.

Gesicht und Konturen gewinnen bei Eichendorff allerdings die kleinen Leute, mit denen der Adel in direkte Berührung kommt – der Förster und die Jäger, der Schulmeister und der Pfarrer, die Zofen und Portiers und insbesondere der Müller, beziehungsweise seine Familie. Denn zum einen ist es im wunderschönen Gedicht vom zerbrochenen Ringlein die untreue Müllertochter, zum anderen vor allem das vagabundierende Müllersöhnchen. Aber sogar dem Taugenichts gegenüber lässt sich ein herablassender aristokratischer Ton nicht überhören. Der übergelückliche Bräutigam wird zwar mit einem malerischen weißen Schlöschen bedacht, doch zuvor von seinen Wohltätern einem gutmütigen Gelächter preisgegeben.

In diesem sozialen Zwischenraum ist in „Ahnung und Gegenwart“ Platz für die Gestalt Viktors, eines Sonderlings besonderer Art und dazu eine Gestalt, die

in ihrem Wesen der schlesischen Landschaft eng verbunden scheint. Viktor ist ein Theologe, der sein Studium nicht beendet hatte und seinen Lebensunterhalt als Dorflehrer verdient. Der Freund Friedrichs und Leontins, mit dem sie lange Gespräche führen, lebt abseits in einem verfallenen Häuschen, liest viel und beschäftigt sich mit der Herstellung unzähliger „pickender“ Spieluhren und anderer merkwürdiger Instrumente. Seine Lieblingsidee ist ein Luftschiff. Er zeigt sich bisweilen zutiefst melancholisch, dann wieder von ausgelassener Fröhlichkeit. Als die beiden Adligen in den Befreiungskrieg gegen Napoleon ziehen, meint Viktor, es sei besser Uhren zu machen, als Soldat zu spielen. Viktor vertritt den Topos des Einsiedlers, den Eichendorff später als seine persönliche Leitfigur bezeichnet, und ist eine dem Taugenichts verwandte Gestalt eines naiven und wirklichkeitsfremden Außenseiters.

Bereits in diesem Roman wird die Apotheose des rechten, das heißt romantisch poetischen Lebens mit Spott am Philister verbunden, der Feindesgestalt aller Romantiker. Es heißt da: „Das Leben der meisten ist eine immerwährende Geschäftsreise vom Buttermarkt zum Käsemarkt; das Leben der Poetischen dagegen ein freies, unendliches Reisen nach dem Himmelreich“.

Dieses Feindbild wird in der dramatischen Satire „Krieg den Philistern“ ergiebig thematisiert. Die bizarre Gestalt des Riesen Grobianus in diesem „dramatischen Märchen in fünf Akten“ spiegelt Eichendorffs Angst vor der blinden Unvernunft der aufbegehrenden Massen. Die ersten Fragmente dieses überbordenden Bühnenstücks erschienen 1823,

fast gleichzeitig mit dem ersten Kapitel des „Taugenichts“ und sind mit ihm komplementär verwoben. Es ist die dunkle andere Seite der hellen Utopie vom Leben, wie es sein könnte.

Das Drama weckte große Beachtung in der zeitgenössischen Presse, doch Verständnis fand dieses vielschichtige Werk kaum. Man nahm dem preußischen Beamten die harsche Kritik an der gesellschaftlichen Ordnung übel, der er sich unter Eid verpflichtet hatte zu dienen. Aber auch von Seiten der literarischen Zunft kam Missbilligung. Achim von Arnim äußerte sich: „Nichts lebt und gefällt, was bloß aus dem Ekel an der Welt hervorgeht“, womit er bewies, den Tenor dieses Werkes gründlich verkannt zu haben, denn Ekel oder Abscheu waren es auf keinen Fall, die Eichendorff bewegten, wohl aber Ablehnung des Zeitgeistes und düstere Zukunftsängste. Mild relativierend wirkt in diesem Bühnenwerk das schöne Gedicht „Von Engeln und Bengeln“. In ihm holt der liebe Gott die Träumer, die ihr Leben lang ihre Flügel sehnsüchtig dehnten, zwar freudig zu sich ins Himmelreich, neigt sich aber doch auch mitleidig über die wohlleibig und schwer Gewordenen, die er leider liegen lassen muss.

Die gleichzeitig entstehende Novelle „Aus dem Leben eines Taugenichts“ wurde und blieb Eichendorffs bekanntestes Werk. Es ist unvergleichbar liebenswürdig wie ein hoch in die helle Morgenröte geworfener Blumenstrauß, der sich in Vogelgezwitzscher aufschwingt und mit wunderschönen Liedern herab fällt.

Hermann Hesse war voll des Lobes: „Es gibt ein kleines altes Buch. Das heißt „Aus dem Leben eines Taugenichts“ und

ist von Eichendorff. (...) Junge Leute lesen das Büchlein auch heute noch mit Eifer und tragen es auf Reisen in der Brusttasche. Dass dieser „Taugenichts“ eine von den paar kleinen Vollkommenheiten der Weltliteratur ist, eine von den allerreifsten, allerzartesten, allerköstlichsten Früchten am Baum der bisherigen Menschheit, das hat man noch nirgends gelesen, und doch ist es so.“

Von der ersten bis zur letzten Seite ist dieses schwerlose Märchen eine poetische Apotheose des Seins. Ein dankbares Gebet. Zudem wunderbarer Klang und Melodie. Mozarts Zauberflöte in der Literatur.

Diese heitere romantische Novelle enthält, aller Tiefenpsychologie voraus, was heute in psychotherapeutischen Seminaren und in fernöstlicher Spiritualität gesucht wird, eine Glück spendende heitere Einstellung zum Leben. Aber Eichendorffs heitere Apotheose des Seins entspringt seiner tiefen christlichen Gesinnung und könnte daher durchaus ein hilfreicher Wegweiser für eine Rückbesinnung auf die christlichen Werte in Europa sein und dem am Sinn der menschlichen Existenz zweifelnden modernen Menschen als Orientierungshilfe dienen.

Eichendorff schildert den „ewigen Sonntag im Gemüte“ auf heitere und scheinbar unbekümmerte Weise, obwohl es um ein tiefes mystisches Erlebnis geht, eine unio mystica besonderer Art. Kunst und Natur sind hier mit einem innigen Gotteserlebnis eines schlichten Gemütes verwoben. Die Empfindungen des naiven musisch begabten Müllersohns sind Spiegelungen des göttlichen Seins. Der von der Schönheit der Natur berauschte und

sich ehrfürchtig verneigende Mensch ist das Wesen, dem sich das Universum offenbart. Dieses bescheidene Büchlein bringt eindringlich die Wahrheit zum Ausdruck, dass der Mensch als geistiges Wesen einer höheren, transzendenten Ordnung angehört, in der er Sinn spendende Geborgenheit findet.

Der fröhlich fiedelnde Müllersohn ist den Mühen des Alltags in der väterlichen Mühle entronnen und lebt in den Tag hinein, aber er schwelgt in Begeisterung, die aus dem Innern kommt und gleichzeitig durch die intensive Wahrnehmung der umgebenden Natur inspiriert wird. Der junge Mann setzt seine Begeisterung aufs schönste in künstlerisches Schaffen um, indem er singend und Geige spielend durch die Welt zieht. Der Taugenichts ist ein gottbegnadeter Künstler. Er lebt in einem Zustand der Euphorie und schwelgt in freudiger Hingabe ans Hier und Jetzt. Er ist dankbar für jeden erlebten Augenblick des Seins.

Er hat keinen Sinn für die reale Welt und sagt auch ein wenig albern, wie er eben ist, zu seiner Geige „Komm nur her, du getreues Instrument, unser Reich ist nicht von dieser Welt!“ Der Taugenichts stolpert in der Wirklichkeit herum, aber immer wieder ins Glück. Er erhält von irgendwoher Geld, vom Vater, von den Herrschaften, denen er als Gärtner dient, als Einnehmer und später als unbewusster Fluchtgehilfe eines verliebten Pärchens. Und so wie er das Glück bekommt, verliert er es auch wieder. Zum Schluss wird ihm sogar das weiße Schlösschen aus Eichendorffs wehmütigen Träumen geschenkt. Doch auch das beachtet er kaum. Der Augenblick ist diesem Tagträumer viel zu kostbar, um ihn mit Gedanken an

praktische Dinge zu beschweren. Insbesondere hat es ihm der Sonnenaufgang angetan. Er betrachtet gern die Welt von oben, von einem Baum herab, er klettert auf Bäume und Zäune wie ein Eichhörnchen. Von oben herab ist sein liebster Aussichtspunkt. Im Geäst der Bäume findet er aber auch Zuflucht vor Gefahr und Schwermut, dort ist die Stätte seiner Trosteinsamkeit. Dorthin entzieht er sich der realen, groben Welt. Denn einsam fühlt sich dieses naive Sensibelchen natürlich auch. Er fühlt sich ausgegrenzt, immer überall zu spät kommend, ausgeschlossen von der behaglichen philiströsen Welt der normalen Erdenbürger.

Das Schwelgen in der Schönheit der Natur, in mystischer Trance verbindet diese Figur mit der Tradition der schlesischen Mystik. Bei Eichendorff enthält der mystische Impuls vor allem die romantische Idee einer naiven Gotteskindschaft.

Eichendorff stellt mit seinem „Taugenichts“ Goethes faustischem Ringen um den Sinn des Lebens mit seinem unermüdlichen Streben ein gegensätzliches Prinzip gegenüber - ein spontanes tiefes Sinnerlebnis im Hier und Jetzt, ein Sichfallenlassen im puren Glück des Augenblicks, begleitet von einem Gefühl der Dankbarkeit in tief empfundenem Gottvertrauen. Es liegt etwas Slawisches in dieser unbekümmerten Tagträumerei.

Dieses Empfinden der Weltwirklichkeit gehört aber auch in den Bereich einer Psychoutopie, dem später sowohl Hermann Hesse im „Glasperlenspiel“, wie auch Thomas Mann in seinem Roman „Joseph und seine Brüder“, sowie Robert Musil in seinem unvollendeten Roman „Mann ohne Eigenschaften“ unterschiedlichen Ausdruck verliehen.

Musil sprach von einem „anderen Zustand“ und ordnete ihn der erotischen Liebe zu.

Mit der Figur des Taugenichts greift Eichendorff aber auch den Archetyp des jugendlichen Tölpels auf, dem alles glückt. Denn der Müllersohn ist sowohl ein „linkischer Märchenhans“, wie aus dem Grimmschen Repertoire, wie auch eine dem Parzival verwandte Figur, dem tumben Tor, der schuldlos schuldig wird und erst durch Mitgefühl Würde findet und die Erlösung im christlichen Sinne. Sie verkörpern den reinen schlichten Menschen, der in seinem inneren Wesen einer höheren Wirklichkeit verbunden ist. Im Gegensatz zum Parzival ist aber der Taugenichts keine Figur, die sich entwickelt. Er bleibt wie er war, trotz aller Erfahrungen - naiv, nur aufs Erleben begierig, auf neue Reisen, neue Impulse. Von Eichendorffs vagabundierendem Müllersohn könnte man das gleiche sagen, was Hermann Hesse dem Autor selbst bescheinigte - eine unveränderbare traumhafte Sicherheit seines Kindesherzens. Damit bestätigt sich diese Figur nochmals als Traumbild seines Schöpfers. Der unbekümmerte Vagabund verkörpert eine nur der Kunst gewidmete Lebensweise, von der der Beamte Eichendorff nur allzu gut wusste, dass sie für ihn ein Traum bleiben musste.

Der Taugenichts ist also, wie die biblischen Vögel des Himmels, ein Gotteskind. Allerdings kein frömmelndes. Denn ein Kirchengänger ist der Bursche durchaus nicht. Er lässt den herausgeputzten Bauern am Sonntag zur Kirche ziehen. Er selbst aber legt sich lieber wohligh auf einen Rasen, auf den durch das Geäst der Bäume die Sonne ihre Muster

wirft, so dass er wie mit bunten Teppichen bedeckt scheint. Er schaut ins Tal, hört von weitem dem Glockengeläut zu und fängt an, von seiner schönen Frau zu träumen. In Rom verschlägt es ihm den Atem vor Bewunderung. Er schaut von einem Zaun herab in die morgendlich prächtige Stadt, „da blitzte und funkelte die Morgensonne über die Dächer und langen Straßen, dass ich aufjauchzen musste vor lauter Freude“. Aber die Kirchen frequentiert er auch hier nicht, sondern sucht im Biergarten nach seinem Ideal, der schönen Frau, und singt und fiedelt und lässt Blumen auf sich herabfallen, denn er ist außerdem noch ein hübscher Junge.

Aber hier, in der Fremde, packt ihn das Heimweh. Als er plötzlich von einem jungen Mann deutsch angesprochen wird „war es nicht anders im Herzen, als wenn die Glocke aus meinem Dorfe am stillen Sonntagmorgen plötzlich zu mir herüber klänge.“ Und er grüßt danach seine schöne Heimat in der Ferne noch viel tausendmal. Er verließ sein Dorf, um sein Glück in der Welt zu machen, aber in der fernen Welt träumt er von seinem Dorf.

Der Inhalt ist simpel. Ein Müllersohn zieht aus dem Vaterhaus, von der Mühle im kühlen Grunde hinweg, die wir auch aus dem zerbrochenen Ringlein kennen, mit seiner Geige unterm Arm. Und wie es so im Märchen zu sein hat, weckte der lustig singende und fiedelnde Wanderbursche das Interesse zweier schöner Damen, die in einer Kutsche hinter ihm herfahrend eine Zeit lang seinem Lied gelauscht haben. Aber es war nicht irgendein Liedchen, sondern das später allbekannte:

Renata Schumann: Vom ewigen Sonntag im Gemüte

Wem Gott will rechte Gunst erweisen,
Den schickt er in die weite Welt,
Dem will er seine Wunder weisen
In Berg und Wald und Strom und Feld.

Die Damen nahmen den hübschen Sänger in ihrer Kutsche mit nach Wien, das er als sein Reiseziel genannt hatte. Dort, in einem wunderschönen Schloss angelangt, wird er als Gärtner angestellt, später bekommt er die Stelle eines Einnnehmers mitsamt Häuschen und Schlafrock. Hierbei Szenen wie aus Spitzwegs Bildern. Er verliebt sich in eine der schönen Damen im Schloss und flieht aus unglücklicher Liebe nach Italien.

Schließlich wird doch „alles, alles gut“. Die vermeintlich unzugängliche schöne gnädige Frau erweist sich als Tochter des Portiers und heiratswillig, und dazu bekommt das junge Paar ein weißes Schlösschen geschenkt. Doch kaum daheim im großen Glück angekommen, träumt der Unverbesserliche schon wieder von neuen Reisen nach Italien, diesmal mit seiner jungen Frau und vornehm - in englischem Frack und Strohhut und Pumphosen und Sporen. So halten sich Heimweh und Fernweh bei ihm im Gleichgewicht, denn es geht ja um das den Realitäten enthebende, süße Gefühl der Sehnsüchtigkeit.

Im „Taugenichts“ findet man einige der schönsten Gedichte Eichendorffs, wie „Wohin ich geh und schaue“, oder jenes „Wer in die Fremde will wandern“ mit dem Endruf „Grüß dich Deutschland, aus Herzengrund!“ oder die bezaubernde Strophe, die eine junge Frau zur Zither auf dem Balkon in die warme Sommernacht singt, eine betörende Essenz der Romantik, wie Thomas Mann meinte:

Schweigt der Menschen laute Lust:
Rauscht die Erde wie in Träumen
Wunderbar mit allen Bäumen,
Was dem Herzen kaum bewusst,
Alte Zeiten, linde Trauer,
Und es schweiften leise Schauer
Wetterleuchtend durch die Brust.

(Der Abend)

Eichendorffs weiteres Leben und Schaffen war von der Notwendigkeit der Einschränkungen und von drückender Arbeit überschattet. Erst in späteren Jahren wurde er zum Geheimen Regierungsrat (1841) ernannt.

Längere Zeit verbrachte Eichendorff in Danzig, wo er am Wiederaufbau der Marienburg beteiligt war, deren Geschichte er bearbeitete und das Drama „Der letzte Held von Marienburg“ widmete. Dazwischen lebte er immer wieder in Berlin, wo er in der Berliner Mittwochsgesellschaft wertvolle Bekanntschaften schloss, so u.a. mit E.T.A. Hoffmann und Adelbert von Chamisso. Hier gehörte er auch dem Berliner Verein für den Aufbau des Kölner Doms an.

Nach Königsberg versetzt, fühlte er sich vom kulturellen Leben seiner Zeit abgeschnitten. Als er keine Rückversetzung nach Berlin erreichen konnte, bat er seine Vorgesetzten, sich in den Ruhestand zurückziehen zu dürfen und lebte fortan in Berlin. Hier fand er eine geistig anregende Atmosphäre, eine interessante Gesellschaft und in dieser Anerkennung. Doch obwohl er Freundschaften und auch literarische Verbindungen pflegte, geriet er zunehmend in Vergessenheit.

Bezeichnend dafür: Als Bismarck 1851, damals ein junger preußischer Diplomat, aus Berlin an seine Frau nach

Warzin in Westpreußen schrieb, er habe ihr die gewünschten Werke Eichendorffs besorgen können, fügte er hinzu – „weißt Du, dass der Mann noch lebt? Er wohnt hier... (-). Und lass es Deiner Begeisterung keinen Eintrag tun, dass er Geheimer Regierungsrat ist“. Da hatte Eichendorff noch einige Jahre seines Erdendaseins vor sich.

Seltene Ehrungen erfuhr der Dichter in Wien, wo er sich der Anerkennung Robert Schumanns und seiner Frau Clara erfreute, und auch von der Presse und dem Wiener Männergesangverein und der Künstlergesellschaft „Concordia“ gewürdigt und als letzter Romantiker gefeiert wurde. Allerdings erst im Jahre 1847.

Auch was er als freudigstes Erlebnis seiner literarischen Laufbahn bezeichnete, hatte er spät und wiederum nicht Berlin, sondern München zu verdanken. Im Regierungsblatt für das Königreich Bayern war am 28. November 1853 zu lesen, dass Eichendorff mitsamt anderen verdienstvollen Männern der Maximilian Orden für Leistungen im Gebiete der Wissenschaft und Kunst von seiner Majestät dem König verliehen wurde. Unter den 34 Wissenschaftlern befanden sich der Mathematiker C.F. Gauß, der Germanist und Märchensammler Jacob Grimm und der Naturforscher Alexander von Humboldt, unter den 30 Künstlern außer Eichendorff Ludwig Uhland sowie Franz Grillparzer.

Eichendorff, dem kein ihm gebührender Erfolg beschert war, blieb bis zur Lebensneige ein zufriedener und gottesgebener Mensch. Besonders in der Familie hatte der gemütvoll und genügsame Dichter einen Lebensrahmen gefunden,

der ihm Geborgenheit schenkte. Er, der für sich den Topos des Einsiedlers gewählt hatte, bezeichnete die Familie als schönste Trosteinsamkeit.

Geblieden ist ihm bis zuletzt seine poetische Ausdruckskraft. Er schreibt:

Mein Gott, dir sag ich Dank,
Dass Du die Jugend mir bis über alle
Wipfel

In Morgenrot getaucht und Klang,
Und auf des Lebens Gipfel,
Bevor der Tag geendet,
Vom Herzen unbewacht
Den falschen Glanz gewendet,
Dass ich nicht taumle ruhmgeblendet,
Da nun herein die Nacht
Dunkelt in ernster Pracht.

(Dank)

Dieses vollkommene Gedicht beweist Eichendorffs ungebrochene dichterische Stärke. Seine Lyrik hat sich von der Orientierung am Volkslied gelöst und klingt ungebunden modern. Diesen Ton greifen später sowohl Rainer Maria Rilke wie auch Hermann Hesse auf. Eichendorff ist somit nicht nur der letzte Romantiker, wie man ihn üblicherweise nannte, sondern auch der erste Dichter der Moderne, als welcher er später auch erkannt wurde.

Zum Ende seines Lebens kehrte Eichendorff nach Oberschlesien zurück und lebte in Neiße im Haus seiner Tochter Therese. Doch seine Heimat war ihm fremd geworden, wie er in einem Brief bekennt. Er arbeitete unaufhörlich weiter. Ermuntert durch einen Freund beginnt er die Arbeit an seiner Biographie und gleichzeitig bereitet er sich für eine größere Arbeit über Hedwig von Schlesien vor. Erhalten haben sich lediglich Notizen zu diesem Thema, in ihnen aber

höchst interessante Gedanken. Eichendorff brachte seine kritische Meinung zur Aufklärung zum Ausdruck, indem er schrieb, dem rationell denkenden Menschen werde sich trotz allen Fortschritts immer ein Geheimnis entziehen. Er postuliert, wie nach ihm C.G.Jung und auch Teilhard de Chardin, der die Idee der Noo-Sphäre vertrat, eine geistige Wirklichkeit, die unsere reale umgibt. Heilige und Mystiker verbinden sie beide, so Eichendorff. Fügen wir hinzu: auch ein Poet, „wenn es denn ein echter ist“.

Nach dem Tod seiner Ehefrau, die ihm mit den Kindern das Zentrum seines Lebens gewesen war, verlor der große Dichter seinen Lebensmut. Er starb still, wie er gelebt hatte, in Anwesenheit der Familie seiner Tochter im Jahre 1857.

Nach der historischen Wende 1989 und der Aufhebung des Verbots deutscher Kultur und deutscher Sprache in Oberschlesien wurde Eichendorff zur Identifikationsgestalt für die wenigen in der Heimat verbliebenen Deutschen, die sich auch zuvor um seine Grabstätte gekümmert hatten, und nun dafür sorgen, seine zerstörten Denkmäler wieder zu errichten, sowie versuchen, auf sein Werk aufmerksam zu machen.

Zum Anlass seines 2007 anfallenden 150. Todesjahres wäre diesem universellen Dichter mehr Beachtung in der Öffentlichkeit zu wünschen und uns allen mehr Aufmerksamkeit für die stille und heilsame Schönheit seines Werkes.

Bibliografische Hinweise

- Joseph von Eichendorff – Werke, München 1977
- Joseph von Eichendorff – Werke in einem Band. München 1988. (4. Auflage) Mit einem Essay von Wolfdietrich Rasch Peter
- Joseph von Eichendorff – Werke, München 1977, Nachwort Peter Horst Neumann
- Günther Schiwy – Eichendorff. Eine Biographie, München 2000
- Helmuth Nürnberger – Geschichte der deutschen Literatur, München 1998, (24. Auflage, dritter Nachdruck)
- Theodor W. Adorno – Noten zur Literatur 1/ Suhrkamp Verlag, Frankfurt a/Main 1958
- Thomas Mann – Betrachtungen eines Unpolitischen. Frankfurt/M 2002
- Alois Maria Kosler – Joseph Freiherr von Eichendorff – in: Herbert Hupka Hrg. – Große Deutsche aus Schlesien, München, 1979
- Horst Neumann – Schläft ein Lied in allen Dingen. Eichendorff im technischen Zeitalter, in: „Die Zeit“ 11. März 1988
- Volkmar Stein – Joseph von Eichendorff – Ein Lebensbild. Würzburg 1993

Jolanta Szafarz

Wrocławski epizod z życia Gerharta Hauptmanna

Związki Gerharta Hauptmanna (1862-1946) z Wrocławiem miały charakter przykrych szkolnych epizodów. Podjęta nauka w szkole realnej w roku 1874 skończyła się brakiem promocji i repetowaniem, a w 1879 roku rezygnacją z dalszej edukacji. Okres wrocławski oprócz niechęci do systemu szkolnego przyniósł jednak także pierwsze zetknięcie z teatrem Ludwika Chronegka, którego spektakle cieszyły się ogólnym uznaniem. Sztuki Szekspira, Schillera i Kleista oczarowały Hauptmanna.

Następnym etapem edukacji była praktyka i nauka rolnictwa u wuja Schuberta w Różanej. Sposobem na przetrwanie w bezbarwnej codzienności były wiersze i rysunki. Pogarszający się stan zdrowia był pretekstem do opuszczenia gospodarstwa.

W roku 1879 Hauptmann ponownie przyjechał do Wrocławia, aby przygotować się do rocznej służby wojskowej. Zły stan zdrowia nie pozwolił jednak na zrealizowanie tych planów. Nowe nadzieje łączył zawiedziony pisarz z rozpoczętymi w 1880 roku studiami plastycznymi w Królewskiej Akademii Sztuk i Rzemiosła. Edukacja, którą rozpoczął u sztukatora,

nie odpowiadała mu. Przed skreśleniem z listy studentów w roku 1881 uratował go profesor Haertel, który prywatnie udzielał mu lekcji aż do ponownej immatrykulacji. Jednak Hauptmann zrezygnował ze studiów i za namową starszego brata Carla przeniósł się do Jeny, by w semestrze zimowym rozpocząć studia filozofii i literatury, które nagle przerwał. Wszystkie te niepowodzenia oraz fakty związane z brakiem postępów w nauce były chętnie podkreślane przez biografów, miały bowiem nadawać pikanterii opowieściom o światowym życiu pisarza-noblisty.

Wydawałoby się, że próba wejścia w zamknięte kręgi artystycznej awangardy zakończyła się fiaskiem. Zwłaszcza że rozpoczęte studia w klasie rysunku w Akademii Drezdeńskiej zostały przerwane po sześciu tygodniach. Również podjęte studia historii nie zostały ukończone. Poprzedzający te krótkie studia wyjazd do Rzymu oraz artystyczna włóczęga w południowej Hiszpanii i Włoszech umocniły Hauptmanna w przekonaniu, że pragnie zostać rzeźbiarzem. Własne atelier w Rzymie i monumentalne prace mogły przynieść autorowi upragnioną sławę. Ale stało się inaczej. Pożar zniszczył prace, a

rozgoryczony artysta porzucił Rzym i marzenia o karierze słynnego rzeźbiarza.

Wymarzony sukces, który otworzył drzwi salonów artystycznej bohemy, przyniosła niespodziewanie nowelka pt. *Dróznik Thiel* (1888), napisana w Berlinie-Erkner dla zwykłego czasopisma. Los nieszczęśliwego dróznika, wyobcowanego, nękanego przez wulgarną partnerkę, żyjącego marzeniami o dobroci zmarłej żony, wydaje się banalną historyjką o biedzie, przemocy w rodzinie, o wypadku kolejowym i braku jakiegokolwiek wsparcia społecznego. Bohater opowiadania, bezradny wobec samotności, cierpienia, gniewu i rozpaczony z powodu śmierci syna, który zginął pod kołami pociągu, morduje swoją drugą znienawidzoną żonę i małutkie dziecko. Ostra wymowa społeczna krótkiego utworu szokuje czytelników. Hauptmann wpisuje się w tematykę społeczną naturalizmu, kierunku, który odzwierciedla nastroje przełomu wieku.

Krytyka chwali także inne walory tego krótkiego utworu. „Przyroda została włączona nierozzerwalnie w akcję. Jej opisy są pełne poetyckich obrazów”, które porażają pięknem i siłą. Wymieniane są elementy, których nie można zaliczyć do naturalistycznych, takie jak zdecydowane posługiwanie się symboliką kolorów, opisy przyrody, metafory, symbole i przenośnie, brak komentarza, zwięzła stylistyka, a przede wszystkim niekonwencjonalne posługiwanie się kategorią czasu. *Dróznik Thiel* jest utworem nowatorskim, innym od tradycyjnej prozy realizmu i stanowi „bez wątpienia mistrzowskie osiągnięcie niemieckiej nowelistyki”.

Prawie niezauważony pozostaje fakt, że warsztat pisarza – to przede wszystkim warsztat rysownika i rzeźbiarza. Haupt-

mann posługuje się słowem podobnie jak malarz kolorem lub rzeźbiarz materiałem i dłutem. W przeciwieństwie do klasycznego rozumienia literatury, która powinna korzystać z tworzywa językowego, by przedstawiać zdarzenia, które dzieją się w czasie i przestrzeni, Hauptmann posługuje się trójwymiarową przestrzenią zarezerwowaną dla sztuk plastycznych, nie przestrzegając tym samym reguł Arystotelesa. Ponadto eksperymentuje on z czasem i przestrzenią. Świadczy o tym także podtytuł nowelki: „studium nowelistyczne”. Prawdopodobnie Hauptmann myśli o takim projekcie, który realizuje się poprzez formowanie surowego materiału. Tym samym jest prekursorem poetyki, którą popularyzował Reiner Maria Rilke (1875-1926), tworząc wiersze za pomocą słów, które są jedynie materiałem, podobnie jak farby dla malarza lub marmur dla rzeźbiarza. Estetyczne wrażenie jest sensem sztuki.

Zrywając z klasycznym postulatem Gottholda Ephraima Lessinga (1729-1781), który w *Laokoonie* żąda odmiennych technik artystycznych dla literatury i malarstwa, Hauptmann posługuje się właśnie metodami sztuk plastycznych w tworzeniu obrazów literackich. Zmaganie się, walka z materiałem, czasem i kolorem prowadzą do powstawania plastycznych przedstawień, które charakteryzują stosunek ciała do przestrzeni. Za pomocą słów artysta tworzy wizualizacje fragmentów rzeczywistości, którą określa kolor, perspektywa i przestrzeń. Elementy te są jedynie tłem dla wyeksponowania materii, która jest w ciągłym ruchu. W ten sposób powstają skadrowane obrazy, które ułożone w różnym porządku, często niechronologicznym, wyrażają treści, które z ko-

lei wynikają nie tylko z samego obrazu, ale też ze skojarzeń zmysłowych, takich jak zapach ciała, zmęczona sylwetka w pozycji siedzącej, erotyczny dekolt damski, agresja wyrażająca się zmianą kolorów i mimiki twarzy, rysunek, także szczegółowy rysunek spracowanej dłoni.

W zamkniętej przestrzeni domu mają miejsce codzienne rytuały, związane z posiłkami i snem. W pracy natomiast postać samotnego, uwięzionego w budce kolejowej dróżnika wyraża tęsknoty, potwierdzające jego tożsamość. Obydwa światy oddzielają szyny kolejowe. Dualistyczne przedstawienie rzeczywistości pozwala przeciwstawić własny świat i własne „ja” roli społecznej, która oznacza zniewolenie osobowości. Pisarz tworzy za pomocą słów obrazy, które ułożone symultanicznie tworzą projekcję różnych układów postaci na tle różnych przestrzeni. Technika montażu fotograficznego pozwala na ukazanie człowieka milczącego, który jest symbolem braku kontaktu i braku komunikacji. Wyobcowanie i wykluczenie są charakterystyczną cechą tych postaci.

Hauptmann posługuje się kolorami, stosując technikę kontrastu, np. w przepastną czerń nocy wkomponowuje czerwone niczym ślepią światła lokomotywy. Kolor czerwony jako dominujący wyraża zagrożenie, niebezpieczeństwo, lęk. Powtarza się w wyrażeniach „krwawy koniec”, „czerwona poświata” „deszcz krwi”. Oznakowany na czerwono pędzący pociąg pośpieszny jest symbolem cywilizacji, która może zniszczyć człowieka. Opisy przyrody rozumiane są jako egzystencjalne przestrzenie, które również mogą stanowić zagrożenie. Wreszcie przestrzeń prywatności, dom jest także miej-

scem, w którym kolor czerwony sygnalizuje niebezpieczeństwo. Jeśli Hauptmann zamierzał przedstawić przestrzenie egzystencjalne, które stanowią zagrożenie dla człowieka, to prezentowane przez niego obrazy literackie miałyby funkcję egzystencjalną właśnie. Strach przed zagrożeniem i śmierć jako forma absolutna tego strachu stanowiłyby motyw przewodni utworu. Zatem nie tylko eksponowane przez krytykę naturalistyczne tendencje byłyby ważne dla interpretacji tego utworu, ale także tendencje egzystencjalne. Przemijanie, lęk i rozpacz są bowiem integralnymi elementami utworu.

Egzystencjalizm, negowanie kultury jako zafałszowanej rzeczywistości jest próbą przezwyciężenia kryzysu polityczno-gospodarczego po I wojnie światowej. Pesymizm, załamanie się systemu wartości, brak wiary w sens osiągnięć cywilizacji charakteryzuje sztukę przełomu wieku. Osamotnienie człowieka pozostawionego samemu sobie, osaczonego i bezradnego są motywami wiodącymi sztuki. Dróżnik Thiel z opowiadania Hauptmanna jest przykładem egzystencjalnej postawy wobec otaczającej rzeczywistości.

Powyższe przykłady wskazują na to, że twórczość Hauptmanna, jakże często wykorzystywana w sporach ideologicznych, posiada estetyczne wartości, które nadają jej rangę sztuki europejskiej. Niestety utworom Hauptmanna przypisuje się najczęściej tradycyjne znaczenia i utrwała stereotypy, bowiem akceptowany przez swoje pokolenie, którego postawy i światopogląd ukształtowane zostały przez wspólnotę doświadczeń przełomu wieku, stał się Hauptmann „orędownikiem współczucia w dramaturgii europejskiej”. Odbierając Nagrodę Nobla w roku 1912,

podkreślał, że kieruje się ideą humanitaryzmu. Jego nazwisko było w owym czasie „wyzwaniem, protestem przeciwko nędzy społecznej i moralnej degradacji”. Popularności przysporzyły mu ostre reakcje cenzury i groźba więzienia ze strony parlamentarzystów pruskich. Był „przywódcą młodych”, a także „duchowym przywódcą narodu” w okresie Republiki Weimarskiej. Rezonans jego twórczości obejmował wiele dziedzin kultury. Przenikała ona do innych literatur, otwierając nowe perspektywy i umacniając tendencje europeizacji kultury.

Sytuacja ta zmienia się diametralnie w okresie powojennym. Kontrowersyjna postawa Hauptmanna wobec faszyzmu zaważyła na recepcji jego twórczości po 1945 roku. Świat krytyki literackiej podzielił się na dwa obozy, potępiający oportunistyczny Hauptmann i usprawiedliwiający jego stosunek do faszyzmu biernością mieszczańską.

Konsekwencją politycznego wartościowania był spadek zainteresowania twórczością pisarza. Okazjonalnie posługiwano się jego utworami, by podbudować polityczno-propagandową argumentację okresu powojennego. Wyraźnie można mówić o dwóch tendencjach, restauracyjnej, wpisującej życie i twórczość pisarza w dramatyczne uwikłania skutków II wojny światowej, i socrealistycznej, umacniającej propagowanie i upowszechnianie literatury robotniczej. W obydwu wypadkach znaczenie działalności Hauptmanna zostało umniejszone i zawężone do takich stereotypowych określeń, jak pisarz śląski, zręczny dramaturg, obrońca biednych i uciśnionych, bierny wobec wydarzeń faszyzmu. Zaś wartość dzieła literackiego została sprowadzona do zna-

czenia historyczno-literackiego i opatrzone etykietką – czołowy przedstawiciel naturalizmu.

Uproszczenie i deprecjonowanie estetycznych wartości uniwersalnych dzieła Hauptmanna pozostaje w sprzeczności z zapisem w testamencie Alfreda Nobla, mówiącym o tym, że ufundowana przez niego nagroda ma być przyznana „człowiekowi, który na niwie literatury stworzył najlepsze dzieło o wydźwięku idealistycznym”. Zasługą germanistyki wrocławskiej (Norbert Honsza, Anna Stroka, Wojciech Kunicki, Mirosława Czarnecka, Piotr Kapnik) jest włączenie się do ogólnoeuropejskiej dyskusji na temat kontrowersji dotyczących twórczości Hauptmanna. Ogólne uznanie zyskał pogląd, iż wartością uniwersalną twórczości Hauptmanna jest „rekapitulacja kultury mieszczaństwa”.

Warto podkreślić, że wyjście poza obieguowe opinie i utrwalone stereotypy pozwala odkryć wartości cenne dla rozumienia kultury współczesnej. Pobyt pisarza we Wrocławiu uważam za jeden z ważniejszych etapów rozwoju jego osobowości, ponieważ negatywnie oceniane lata studiów we Wrocławiu zaowocowały modernistycznym sposobem pojmowania literatury i nauczyły Hauptmanna niekonwencjonalnych sposobów opisywania rzeczywistości. Lata rzekomej klęski były w gruncie rzeczy decydujące nie tylko dla błyskotliwej kariery pisarza, ale także zdecydowały o jego zainteresowaniach estetycznych. Ciekawa, niekonwencjonalna kompozycja utworów, a także symboliczne znaczenia zawarte w podtekstach stanowią o niepowtarzalnym modernistycznym klimacie i atrakcyjności prozy Gerharta Hauptmanna.

Opinie

Helmut Skowronek

Joachim Fest: „Ich nicht“

Meine letzten Erwägungen zu Günter Grass, seiner Autobiographie mit der allzu späten Enthüllung einer flüchtigen Waffen-SS-Vergangenheit schlossen mit einem Zitat (von Klaus Harpprecht): „Literaturpapst wird GG bleiben, Politikpapst eher nicht!“

Heute, nachdem ich mich mit dem ‚Gegenbuch‘ auseinandergesetzt habe, von dem gleich die Rede sein wird, möchte ich anfügen: Wer will und kann schon, außer in einem Akt forscher Selbstüberhebung, Politikpapst sein wollen? Für manchen mag Grass, wenigstens zeitweilig, solcher Stimmungen verdächtig gewesen sein. Aber selbst sein zorniger Widerspruch gegen ein vereinigtes „Gross“-Deutschland war wohl nicht ex cathedra gemeint, sondern hier nahm er sein Recht als citoyen, als republikanischer Bürger wahr, seine abweichende Meinung zu sagen. Denn er war besorgt, dass ein Nationalstaat mit alten Exzessen wiedererstanden könnte. Zu seinem und unserem Glück erwiesen sich die alltägli-

chen europäischen Verflechtungen der Deutschen, ihre durchschnittliche politische Urteilsfähigkeit wie die Robustheit der demokratischen Haltungen als ausreichend gefestigt gegen nationalistische Versuchungen. Die deutsche Öffentlichkeit hat sich übrigens auch nicht von der überzogenen Kritik an Grass’ spätem SS-Bekenntnis ins Bockshorn jagen lassen: die von einigen konservativen Politikern geforderte Rückgabe des Nobelpreises lehnten, nach einer vom SPIEGEL publizierten repräsentativen Umfrage, 86% der Deutschen ab.

Kaum hatte sich die Aufregtheit um Grass gelegt, forderte ein ebenso prominenter Generationsgenosse (*1926) und politischer Antipode, Joachim C. Fest, mit seiner Lebensbilanz „Ich nicht!“ unsere ganze Aufmerksamkeit. Wenige Tage vor der Publikation verstarb der Autor, fast achtzigjährig. Man liegt wohl nicht ganz falsch mit der Vermutung, dass der Titel auf das noch frische SS-Bekenntnis von Grass Bezug nimmt: mag der sich mit

den Nazis eingelassen haben, ich, Joachim Fest, jedenfalls nicht! Ohnehin hielt Fest wenig von der Literatur des 20. Jahrhunderts, und in seinen FAZ-Kolumnen schrieb er immer wieder gegen den politischen Linken Grass wie überhaupt die „Großmäuligkeit“ der Linken an. Dass er nun keinen Gebrauchtwagen mehr von Grass kaufen würde, war eine seiner letzten Invektiven gegen Grass, die sogar die TIMES erreichte. Nachdem also das ‚Gegenbuch‘ erschienen war, gab der Kulturchef des SPIEGEL umgehend das Kommando für den fälligen Schwenk: „Sobald sie (die Leser) damit fertig geworden sind, den Grass-SS-Juckreiz zu kratzen - das wichtigere, das wahrhaft große Buch dieses Herbstes ist das von Joachim Fest.“ In diese Tonlage stimmten zahlreiche erste Rezensionen und Nachrufe ein.

Um mein Resümee vorwegzunehmen: ich halte Joachim Fest für einen Anti-Aufklärer, dessen pointierte und stilistisch vorzügliche Schreibweise viele Leser blenden möge. Zu streng? Wir werden sehen! „Der Intellektuelle unter den Konservativen“ titelte eine große liberale Zeitung ihren Nachruf. Dass Fest konservativ dachte, daran ließ er nie einen Zweifel, und diese Denkungsart versah er mit besonderem Adel: „Die Aufklärer mit Verstand und Verantwortungsbewusstsein, hatte ich einmal geschrieben, machten angesichts der Weltverhältnisse das Bewahren zu ihrer Sache.“ Die Zeit der eher „hirnlosen“ Avantgarde, d.h. der linken Intellektuellen, die „neue Horizonte“ aufzutun wollten und auf die „Perfektibilisierung des Menschen wie der gesellschaftlichen Verhältnisse“ setzten, sei vorbei. Dabei scheint ihn nicht zu stören, dass konservative Intellektuelle unter frei-

heitlichen Verhältnissen gegenüber den Linken in der Regel eine Minderheit bilden. Doch an Selbstbewusstsein – zuweilen arrogant bis dünkelhaft – scheint es Fest nie gemangelt zu haben. Der Intellektuelle unter den Konservativen ist natürlich eine Übertreibung, die den besonderen Rang deutlich machen soll. Die Karriere als Rundfunk- und Fernsehjournalist, für die er 1961 eine geplante Dissertation aufsteckte, gipfelte in der Nachfolge von Eugen Kogon als Chef der Abteilung Zeitgeschehen des NDR: zeitweilig moderierte er auch das Politmagazin „Panorama“. Features, die er im Laufe der Rundfunkjahre über Mitglieder der Nazi-Elite verfasst hatte, gab er gesammelt als Buch heraus: „Das Gesicht des Dritten Reiches.“ 1973 schließlich wurde er Mitherausgeber der konservativen „Zeitung für Deutschland“ (FAZ) und blieb es zwanzig Jahre lang. Schon im ersten Jahr holte er Marcel Reich-Ranicki ins Feuilleton. Ich weiß natürlich, dass das alles geläufig ist, aber ich versuche mir selbst noch einmal zu vergegenwärtigen, welchen Stationen und Umständen, neben der gekonnt kühl-eleganten Denke und Schreibe, Joachim Fest seinen bedeutenden Einfluss in der Publizistik der letzten drei bis vier Jahrzehnte verdankt.

Fest hatte ich bereits als Moderator des besagten Fernsehmagazins „Panorama“ kennen gelernt, ehe ich ihm 1971 neuerlich begegnete, diesmal in seiner Funktion als Ghostwriter – in seinen eigenen Worten „vernehmender Lektor“ – für Albert Speers „Erinnerungen“. Zu deren Lektüre hatte mich die Neugier getrieben, was wohl das riesige Publikumsecho – 7 Auflagen in 9 Monaten – erklären könnte. Ich vermute, dass für Fest dieser un-

glaubliche Erfolg seiner literarischen Gestaltung, wenn, auch im Hintergrund agierend, die definitive Weichenstellung zum Nationalsozialismus als Lebens-thema bedeutete. Reichswirtschaftsminister Speer war bekanntlich im Nürnberger Prozess wegen Kriegsverbrechen und Verbrechen gegen die Menschlichkeit zu zwanzig Jahren Haft verurteilt und 1966 entlassen worden. Bewahrt vor dem sicheren Todesurteil hatte ihn wohl nur seine Weigerung, in den letzten Kriegsmonaten Hitlers Taktik der „verbrannten Erde“ auszuführen. „Wenn Hitler überhaupt Freunde gehabt hätte, wäre ich bestimmt einer seiner engeren Freunde gewesen“, so hatte er dem Gericht erklärt. Offenbar verband ihn ein großes Einverständnis mit Hitler. Zuvor schon, in den dreißiger Jahren, hatte er als *der* Architekt Hitlers den gigantomanen Umbau Berlins zur Hauptstadt Germania geplant - was die Deportation von Zehntausenden jüdischer Bürger einschloss. Als Wirtschaftsminister seit 1942 diktierte er in den besetzten Gebieten die massenhafte Rekrutierung von Zwangsarbeitern für die Rüstungsindustrie. Wenn der Publikation dieser „Erinnerungen“ ein wirtschaftliches Kalkül des Verlags zugrunde lag, dann ging es blendend auf. Das Buch wurde, wie schon gesagt, zu einem der größten Erfolge dieses Genres. Meine persönliche Neugier allerdings war bald dahin. Warum? Vor allem seit meiner Studienzeit in den fünfziger Jahren hatte ich, sensibilisiert vom Nachkriegsschicksal meiner niederschlesischen Familie, Aufklärung über Verbrechen und Vorgeschichte des Dritten Reiches gesucht. Die war bis dahin nur spärlich aus deutschen Veröffentli-

chungen, vielmehr überwiegend aus englischsprachigen Quellen zu gewinnen. Speers „Erinnerungen“ waren eine der ersten authentischen und umfassenden Bilanzen, zudem aus der Spitze der Nazi-hierarchie. Doch dem informierten Leser musste bald deutlich werden, dass die Schönfärberei den Gewinn an Aufklärung weit überwog. Im Vorwort schon bekennt Speer eine „unvergessliche Erfahrung: ... Ich werde nie ein Dokument vergessen, das eine jüdische Familie zeigte, die in den Tod geht: der Mann mit seiner Frau und seinen Kindern auf dem Weg zum Sterben. Es steht mir noch heute vor Augen!“ Tatsächlich? Wer sollte einem Reichskriegsminister, verantwortlich für die massenhafte Rekrutierung von Zwangsarbeitern und deren ebenso massenhaften Erschöpfungs- oder Seuchentod, jene melodramatisch zurechtgestutzte Ersterfahrung glauben? Bis zu seinem Tod 1981 hielt Speer übrigens an seiner Behauptung fest, nichts von Auschwitz gewusst zu haben. Wir, die an Aufklärung dieser Vergangenheit Interessierten, konnten also schon früh ahnen, dass wir einem Lügen- und Legendengewebe vom „unwissenden, verführten Künstler“ aufsitzen sollten. Seit 1982 konnten wir es *wissen*; da hatte M. Schmidt in seiner Dissertation „Speers wahre Rolle im Dritten Reich“ enttarnt. Ähnlich wie der Holocaust das öffentliche Bewusstsein erst über eine amerikanische TV-Serie Ende der achtziger Jahre erreichte, so war auch im Falle Speer die große Täuschung erst 2005 mit der TV-Dokumentation (von H. Breloer) „Speer und Er“ erledigt. Konsequenterweise wurde damit der Fall Speer auch zu einem Fall des Ghostwriters Fest. Der hatte inzwischen eine eige-

ne Speer-Biografie (1999) nachgeschoben; auch die konserviert bestimmte blinde Flecken: es fehlen u.a. die toten oder lebenslang geschädigten Zwangsarbeiter, die dem Effizienzwahn des Rüstungsministers geopfert wurden. Zu Recht musste sich nun Fest dem Vorwurf von ZEIT, SPIEGEL, SZ und auch von Reich-Ranicki aussetzen, dass er an dieser Legende vom „anständigen Nazi“ kräftig mitgestrickt und damit Tätern und Mitläufern eine Entschuldungs-Ikone geliefert habe. Das ist m. E. die eigentliche und beabsichtigte *geschichtspolitische* Pointe: wenn jemand aus der Spitze der Nazi-Hierarchie nichts von den schrecklichen Verbrechen gewusst hat, wie konnten wir, durchschnittliche Volksgenossen, davon Kenntnis haben? In dieser Perspektive ist der riesige Erfolg der „Erinnerungen“ kein Geheimnis mehr.

Dass die Auseinandersetzung mit der nationalsozialistischen Vergangenheit für Fest zum Lebensthema geworden ist, hat in den Anfängen sicher mit dem Schicksal seiner Familie in dieser Zeit zu tun: sein Vater, Mitglied der katholischen Zentrumspartei und des republikanischen Reichsbanner, bald aus dem Schuldienst entfernt, lehnte es ab, sich dem neuen Regime anzupassen. Ein Onkel zahlte Internat und Gymnasium für den Neffen. Die WELT macht in ihrem Nachruf zudem geltend, dass ihm als einem führenden Publizisten im Nachkriegsdeutschland eine andere Wahl praktisch verwehrt gewesen sei. Im Zentrum seiner Befassung steht dabei die Person Hitler. Das gebrochene Verhältnis der Deutschen zu ihrer Geschichte werde nirgends so deutlich wie im unsicheren Urteil über Hitler, so hatte Fest in einem seiner Leit-

artikel für die FAZ festgestellt. Doch welcher Hitler? Für Fest war der Führer „in einem wohl beispiellosen Grade alles aus sich und alles in einem“ gewesen, wie er zu Beginn seiner Hitler-Biographie (1973) feststellt – und zitiert bekräftigend Jacob Burckhardt: „Die Geschichte liebt es bisweilen, sich auf einmal in einem Menschen zu verdichten, welchem hierauf die Welt gehorcht.“ Hitler ist also „alles aus sich“ und nicht etwa als „Instrument fremder Zwecke“ aufgestiegen? Haben also nicht reaktionäre und demokratiefeindliche politische auf das Ende der Weimarer Republik und auf Hitler als Umsturzkanzler gesetzt, um ihn nach getanem Dienst abzuservieren – was sich allerdings als Fehleinschätzung ersten Ranges erweisen sollte? Die bewusste Abkoppelung von sozialen Bedingungen und Verstärkungen ist ja auch für die nachfolgende Speer-Biographie charakteristisch.

1986 eröffnete Fest ein weiteres Kapitel seines geschichtspolitischen oeuvres. Er verantwortete in der FAZ die Veröffentlichung eines Artikels von Ernst Nolte, Geschichtswissenschaftler in Berlin, zur *Vergangenheit, die nicht vergeben will*. Hitlers Krieg wird hier zum Präventivschlag gegen den Europa bedrohenden Bolschewismus stilisiert; der Holocaust und die anderen Verbrechen des Dritten Reichs avancieren zu einer Art Notwehr. Auschwitz muss nach Nolte womöglich als Tat Stalins verstanden werden, da doch sein „Gulag“ vorausging und die „asiatische“ Tat Hitlers irgendwie rechtfertigte. Nach einer energischen Replik von Habermas, in der ZEIT, entwickelte sich daraus der sog. *Historikerstreit*, der über die Fachwissenschaft hinaus in den Medien ein an-

haltendes Echo hatte. In einem SPIEGEL-Gespräch vom August vorigen Jahres, also zwanzig Jahre nach diesem Vorgang, erklärte Fest seine damalige Entscheidung – raffiniert – zu einer Verteidigung der Redefreiheit: „Ich habe Noltes Text veröffentlicht, weil in einer liberalen Gesellschaft ein solcher Debattenbeitrag erlaubt sein muss. Ich fand es unmöglich, dass ihm bei den Römerberggesprächen das Wort verboten worden war. Ich hielt Noltes Auffassung, dass der Faschismus nur eine Reaktion auf den Bolschewismus war, für falsch.“ Tatsächlich war Nolte von den Organisatoren gebeten worden, den *Titel* seines Beitrags zu verändern, da eben dieser Titel bereits für einen Vortrag von W. Mommsen angemeldet war. In den Lebenserinnerungen von Reich-Ranicki, damals Chef der Literaturredaktion der FAZ, findet man weitere Aufklärung: „Doch ob es mir gefällt oder nicht, ich habe an diesem fatalen Historikerstreit gelitten. Ich habe mich geschämt, denn er ging von der

Frankfurter Allgemeinen aus – und sie spielt in ihm keine rühmliche Rolle. Ich habe mich geschämt, denn er wurde von Joachim Fest inspiriert und zeitweise organisiert.“ Zu den letzten Veröffentlichungen von Joachim Fest gehören auch die Notizen über Gespräche mit Albert Speer zwischen 1966 und 1981, unter dem Titel: „Die unbeantwortbaren Fragen.“ (2006).

Unbeantwortbar wird sein Tod im September 2006 auch eine zentrale Frage an ihn selbst lassen, die nicht wenige Beobachter umtreibt: „Wenn jemand so wie Joachim Fest schon von Kindesbeinen an über die Lügen und Verbrechensgelüste der Nazis aufgeklärt wurde, wie konnte er dann ... einem Albert Speer und dessen Schwindeleien aufsitzen, wie konnte er einem Ernst Nolte das Manuskript zum Druck in der FAZ abnehmen, das gegen allen Augenschein der Welt einreden wollte, Hitler habe seine Verbrechen nur als angstvolle Reaktion auf Stalins Untaten begangen?“ (Robert Leicht in der ZEIT).

Daniel Vogel

Język a rozumienie historii

Metahistoryczne koncepcje Haydena White'a

Od czasów, kiedy historiografia zaczęła być traktowana jako dyscyplina akademicka, poddawana jest nieustannym próbom nadania jej statusu dziedziny naukowej. Proces ten przybrał swoją najintensywniejszą formę w okresie rozkwitu modernizmu – oprócz wielu innych dziedzin zafascynowanie nauką i technologią miało wpływ również na pisarstwo historyczne. W okresie tym doszło między innymi do rozwoju analitycznej filozofii historii, będącej częścią wpływowego nurtu filozofii analitycznej. Jej najważniejszą cechą charakterystyczną było zwrócenie większej uwagi na historyka tworzącego swoje dzieło oraz język, jakim się posługiwał. Sądono bowiem, że poprzez analizę tego języka uda się przedstawić dokładny charakter jego prac. Tak więc pomimo że starano się odchodzić od historiografii pozytywistycznej, ciągle pozostawała wiara w obiektywizm i „naukowość” historii.

Do rozwoju analitycznej filozofii historii przyczynił się z pewnością znany artykuł Carla Gustawa Hempela *The Function of General Laws in History*¹, w którym starał się on dowieść, że historia jest jedną z nauk empirycznych, podobnie jak

fizyka, geografia czy też biologia. Wobec takiego stanu rzeczy w historii możliwe jest formułowanie pewnych praw i uogólnień. Hempel, poprzez przedstawienie dedukcyjnego modelu wyjaśnienia, zapoczątkował burzliwą dyskusję w gronie historyków, metodologów i filozofów historii. Pomimo że wielu z nich odrzuciło koncepcje stosowania w historii uniwersalnych praw, poszczególni przedstawiciele analitycznej filozofii historii (tacy jak Arthur C. Danto czy też Patrick Gardiner) nadal starali się analizować różne aspekty dotyczące stawiania i uzasadniania hipotez, formułowania uogólnień historycznych, statusu faktów historycznych czy też prawdy w historii. Wierzyli oni, że w ten sposób będą w stanie określić dokładnie charakter badanych prac historycznych.

Analityczna filozofia historii, podejmująca próby unaukowania tej dyscypliny, nie była jedynym nurtem tego typu w historiografii modernistycznej. Oprócz niej istniała przecież szkoła Annales, historiografia marksistowska, Sozialgeschichte, New Economic History oraz wiele nurtów historiografii amerykańskiej, takich jak New Political History, New Social History czy też Ethnohistory. Pomimo istnienia wielu różnic szkoły te łączyły pewne wspólne cechy, do któ-

¹ C.G.Hempel, *The Function of General Laws in History*, „Journal of Philosophy”, t. 39, 1942.

rych możemy zaliczyć przekonanie o naukowości historii (podobieństwo historii do nauk społecznych), zainteresowanie społeczeństwami ludzkimi i zjawiskami masowymi, formułowanie uogólnień historycznych, dopuszczanie kulturowego i etycznego relatywizmu, podzielenie Kantowskiego poglądu, że wiedza ustanawia rzeczywistość, oraz interpretacja przeszłości według koncepcji postępu.

Szkoła *Annales*, która pojawiła się we Francji w późnych latach dwudziestych XX wieku i dotrwała do czasów dzisiejszych, była czymś znacznie więcej niż tylko zrzeszeniem badaczy zajmujących się historią ekonomiczną czy też społeczną. W gruncie rzeczy nie było to nawet zrzeszenie, ponieważ historycy należący do tej szkoły nie stosowali tej samej metodologii badań; ich głównym celem było poszerzenie zakresu historii, przez co wzbogacali ją niejednokrotnie o pionierskie na owe czasy dziedziny, takie jak historia porównawcza, historia mentalności czy historia kwantytatywna. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli annalistów, Fernand Braudel, w swoich pracach podkreślał też, że historia charakteryzuje się wielością czasów, które to mogą trwać zarówno ułamek sekundy (jak strzał, który zabił Kennedy'ego), jak i całe tysiąclecia (istnienie antycznego Egiptu): „Musimy się dobrze zrozumieć: nie ma czasu społecznego o jednym i prostym biegu, lecz czas społeczny o tysiącu szybkości, tysiącu powolności, które nie mają niemal nic wspólnego z dziennikarskim czasem kroniki i historii tradycyjnej”². Annaliści rzucali więc wyzwanie konwencjonalnym

² Fernand Braudel, *Historia i trwanie*, tłum. Bronisław Geremek, Czytelnik, Warszawa 1999, s. 30.

ideom periodyzacji, starając się rozpatrywać problemy historyczne z perspektywy „długiego trwania”, co było przeciwieństwem tzw. historiografii zdarzeniowej, opartej na analizie poszczególnych faktów. „Długie trwanie” stanowiło podstawy historiografii praktykowanej przez Fernanda Braudela:

[P]rzy pierwszym zetknięciu przeszłość jawi się jako mnóstwo drobnych faktów, z których jedne są efektowne, inne zaś potoczne i powtarzające się w nieskończoność [...] Ta masa faktów nie stanowi jednak całej rzeczywistości, całej materii historii, która może być terenem refleksji naukowej. Nauka społeczna żywi niemal wstręt do wydarzenia. Nie bez racji: czas krótki jest najbardziej kapryśną i najbardziej mylącą z form trwania³.

Szkoła *Annales* stała się bardzo ważnym paradygmatem współczesnej historiografii. Zaliczana do nurtu „historii nieklasycznej”⁴, była jedną z pierwszych

³ Tamże, s. 51.

⁴ Wojciech Wrzosek rozróżnia historiografię klasyczną czy też tradycyjną, i nieklasyczną, posiadającą dwie orientacje: modernistyczną i antropologię historyczną. Historia klasyczna stawia sobie za zadanie przedstawienie chronologicznego opisu wydarzeń, głównie ze sfery polityki rozumianej jako splot powiązanych ze sobą zdarzeń. Sprawcą owych zdarzeń jest jednostka lub też antropomorficznie ujęty inny fenomen. Historiografia nieklasyczna zrywa z głównymi wytycznymi historiografii tradycyjnej i reinterpretuje tradycyjne metafory historiograficzne (ideę genezy, koncepcję rozwoju i postępu, pojęcie czasu linearnego, związek przyczynowo-skutkowy). Proponuje ona także zupełnie odmienną wizję człowieka zanurzonego w historii oraz odmienną wizję świata. Światy widziane oczami historii „starej” (klasycznej) i „nowej” (nieklasycznej) są sobie zupełnie obce, nie dają się scalać. Konsekwencją tego jest powstawanie zupeł-

instytucji, jakie stały w opozycji do ciągle dominującej w latach dwudziestych XX wieku dyrektywy Leopolda Rankego (wyznającego, że zadaniem historyka jest po prostu przekazywanie, „jak to naprawdę było”), starając się odejść od historii państwa oraz narodu i skupić się na szerokich formach życia zbiorowego, systemach gospodarczych, instytucjach, strukturach społecznych i cywilizacjach. W tym sensie historia zbliża się bardzo do socjologii: historyk zajmuje się badaniem społeczeństw, bierze pod uwagę wszystkie aspekty życia i próbuje niejako zrekonstruować rzeczywistość.

Pomimo że Szkoła Annales zaliczana jest do nurtów modernistycznych, biorąc pod uwagę szeroki zakres działania jej przedstawicieli, ich ciągłe próby przekraczania barier dzielących historię od innych dyscyplin humanistyki, możemy zaryzykować stwierdzenie, że w pewnym sensie antycypowali oni (zwłaszcza ci spośród nich, którzy zajmowali się historią mentalności i historią kulturową) pojawienie się nurtów i koncepcji „postmodernistycznych”, które z definicji starały się stanąć w opozycji do swych modernistycznych poprzedników. Przykładem owych „rewolucyjnych” koncepcji może być teoria Thomasa Kuhna, w której wystąpił on przeciwko analitycznemu postrzeganiu nauki. W swojej pracy *The Structure of Scientific Revolutions*⁵ argumentował

nie odmiennych systemów wartości pozapoznawczych. Zob. Wojciech Wrzosek, *Metafory historiograficzne w pogoni za utudą prawdy*, [w:] Domańska, Wrzosek, Topolski, *Między modernizmem a postmodernizmem. Historiografia wobec zmian w filozofii historii*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1994, s. 5-15.

⁵ Thomas Kuhn, *The Structure of Scientific Revolutions*, University of Chicago Press, Chicago 1970.

on, że nauka nie może być postrzegana jako stałe, niezawodne kumulowanie wiedzy, lecz jako seria pokojowych interludów przerywanych gwałtownymi rewolucjami, po których jeden świat pojęciowy zastępowany jest przez inny. Kuhn rozpowszechnił też pojęcie paradygmatu, rozumianego jako zbiór podzielanych przez naukowców przekonań czy też wzorców dotyczących sposobów rozwiązywania poszczególnych problemów. Najważniejszym postulatem Kuhna jest stwierdzenie, że w typowym procesie rozwoju dojrzałej dziedziny nauki następuje sukcesywne przechodzenie od jednego paradygmatu do innego, co wiąże się z chwilowym kryzysem (zanim osiągnięte zostanie kolejne stadium „normalne”), ale także ze wzbogacaniem tej dziedziny o nowe fakty czy też teorie. Kuhn utrzymuje również, że typowi naukowcy nie są, wbrew powszechnemu przekonaniu, obiektywnymi i niezależnymi myślicielami. Są oni raczej konserwatywnymi jednostkami akceptującymi teorię i wiedzę, którą posiadli, starającymi się zastosować ją przy rozwiązywaniu problemów. Nauka jest więc konsekwencją określonych poglądów wyznawanych przez uczonych, które są historycznie zmienne.

Innym przykładem historiografii postmodernistycznej jest zwrócenie uwagi na język, co we współczesnej filozofii i humanistyce znane jest pod pojęciem „zwrotu lingwistycznego”. Zjawisko to podważyło „zwierciadlaną” koncepcję języka, będącą podstawowym elementem filozofii pozytywistycznej. Koncepcja ta związana była ze sposobem postrzegania przeszłości. Model pozytywistyczny zakładał, że stosunek do przeszłości wyznaczany był przez generalny schemat po-

znawczy. Do obiektywnie istniejących faktów badacz miał swobodny dostęp albo przez bezpośrednią obserwację, albo przez pewnych „pośredników”, umożliwiających mu dotarcie do rzeczywistości poprzez fakt, że zawierały ją one w sobie (w przypadku historyka „pośrednikami” były źródła historyczne). Odnalezioną w nich informację ujmował on w zdania, będące częstkami całokształtu historii lub przynajmniej jej części. Adekwatność historycznej rekonstrukcji przeszłości oceniana była według klasycznej teorii prawdy: jeżeli zdania były zgodne z „przeszłymi faktami”, to były one prawdziwe, tworząc tym samym prawdziwy tekst. „Zwrot lingwistyczny” spowodował, że przyjęto zupełnie nową postawę wobec narracji historycznej. Wcześniej dostrzegano tylko jej walory literackie, co miało drugorzędne znaczenie wobec głównego zadania, jakim było odzwierciedlenie przeszłości. Okazało się jednak, że narracja rządzi się swoimi własnymi prawami, nie tylko „ubarwia” przeszłe fakty, ale je modyfikuje. Konsekwencją tego było stwierdzenie, że historyk, poprzez konstruowanie w narracji pewnych faktów, nie różni się bardzo od pisarza. Założenia te doprowadziły do rozwoju narratywistycznej filozofii historii.

Fakt, że narracja historyczna i opowiadanie mają ze sobą wiele wspólnego, często wydaje się oczywiste. Jednak pomimo wspólnych implikacji językowych istnieją pomiędzy nimi dość zasadnicze różnice. Najważniejsze jest, by pamiętać o tym, że opowiadanie zawsze jest traktowane w kategoriach utworu literackiego, jest więc z założenia niehistoryczne. Narracja utworu historycznego nie ogranicza się wyłącznie do opisu wydarzeń, lecz ma za

zadanie ukazanie ciągu przyczynowo-skutkowego; czas rozgrywanych wydarzeń ma ten sam wymiar, co czas rzeczywisty, ponadto zarówno autor, czytelnik, jak i bohaterowie narracji historycznej zdają sobie sprawę z tego wymiaru, mają świadomość swojej własnej „historyczności”⁶. Historyk zakłada również, że jego narracja będzie w możliwie najbardziej wiarygodny sposób oddawała rzeczywistość, którą opisuje. To ostatnie często wiąże się z koniecznością dopuszczania do głosu ludzi, którzy z racji tego, że nie żyją, nie mogą przemówić sami. Jednak nawet wtedy, gdy historia ukazuje się nam w postaci dialogu z przeszłością, historyk nie jest bezpośrednim uczestnikiem zdarzeń, pozostaje on zawsze w sferze „pomiędzy”.

Powyższe porównanie opowiadania i narracji historycznej oparte jest ciągle na argumentach charakterystycznych dla filozofii analitycznej. Jak postaram się to pokazać dalej, zarówno prekursorzy, jak i mistrzowie narratywistycznej filozofii historii podeszli do problemu różnic pomiędzy historią a literaturą z nieco innej strony. Erwin Lee Klein zauważył, że rozwój tej filozofii w dziedzinie historii spowodowany był między innymi osiągnięciem pewnego impasu w stosowaniu modelu Hempla, głównie ze względu na niechęć filozofów do zaakceptowania faktu, że historycy tworzą pewnego rodzaju opowieści. Zainspirowany logiką Arthur Danto w swojej książce *Analytical Philoso-*

⁶ „Historyczność” (ang. *historicity*) według Eagletona oznacza świadomość bycia umiejscowionym w historii, świadomość przeszłości, teraźniejszości, a także przyszłości. Zob. Terry Eagleton, *Literary Theory: An Introduction*, Blackwell Publishers, Oxford 1996, s. 53-57.

*phy of History*⁷ podjął próbę udowodnienia, że model Hempla i narracyjny model wyjaśniania historii są równoważne. Narracja nie miała jednak być alternatywą wyjaśnienia naukowego, ponieważ obie formy mogły być konstruowane na tych samych zasadach logicznych, nawet pomimo możliwości wystąpienia pewnych pragmatycznych różnic związanych z epistemologią czasowych odniesień, które są w nich zawarte. Podstawową różnicą pragmatyczną było usytuowanie narratora w czasie w stosunku do opisywanych przez niego wydarzeń. Kluczem filozofii Danto były „zdania narracyjne”, definiowane jako zdania o co najmniej dwóch czasowo odmiennych wydarzeniach, w których wydarzenie wcześniejsze opisane jest w odniesieniu do wydarzenia następującego po nim, które jednak zrozumiałe jest tylko dla kogoś, kto jest współczesny wydarzeniu pierwszemu. Uważał on także, że istnieje obiektywna organizacja wydarzeń historii oraz rzeczywistość, która przedstawiana jest w formie narracji.

Francuski historyk Paul Veyne twierdził z kolei, że wydarzenia historyczne same w sobie nie konstytuują narracji historycznej, potrzebny jest do tego narrator, który porządkuje je w odpowiedni sposób i nadaje im formę opowieści. Opowieść ta oparta jest na pewnej fabule, będącej dla Veyne’a pewnego rodzaju ścieżką, jaką obiera historyk poprzez pole wydarzeń. Ścieżek tych może być bardzo wiele, nie wszystkie są jednak równie interesujące. Istotne jest to, że historyk nie jest w stanie przedstawić całego pola wy-

darzeń – podczas swojej drogi musi on dokonywać wyborów, nie może więc dotrzeć wszędzie⁸.

Podobną opinię zaprezentował Louis Mink. Wyszedł on z założenia, że poszczególne historie są bardziej „narracjami” niż naukowymi sprawozdaniami starającymi się zweryfikować bądź też odrzucić pewne hipotezy i w tym sensie różnią się one od nauk przyrodniczych. Mink postrzega narracje jako pewnego rodzaju konstrukty, niebędące jednak fabułą. Stosuje on pojęcie całościowego poglądu na istotne fakty, który polega na pojmowaniu wydarzeń poprzez akt ich osądzania, co wpływa z kolei na ich spójność. Podczas gdy Veyne widział historyka podążającego wytrwale obraną ścieżką w „polu wydarzeń”, Mink postrzega go stojącego ponad tym polem, patrzącego w dół na jedną z możliwych ścieżek.

Arthur Danto zaliczany jest obecnie do przedstawicieli „wczesnego narratywizmu”, który rozwinął się w latach sześćdziesiątych. Paul Veyne i Louis O. Mink reprezentują z kolei jego „dojrzałą” fazę, opartą w dużym stopniu na twierdzeniach Rolanda Barthes’a. Twierdzenia te obejmowały między innymi koncepcję dyskursu historycznego. W opublikowanym w 1967 roku artykule, analizując piśarstwo historyczne Herodota, Machiavellego, Bossueta i Micheleta oraz korzystając z filozofii Nietzschego, Barthes pisał, że:

W dyskursie historycznym naszej cywilizacji proces znaczenia zmierza do ‘wypełnienia’ sensu historii: historyk to

⁷ Arthur C. Danto, *Analytical Philosophy of History*, Cambridge University Press, 1965.

⁸ Paul Veyne, *Writing History: An Essay on Epistemology*, tłum. na ang. Mina Moore-Rivoluceri, Wesleyan University Press, 1984, s. 32-36.

ten, kto gromadzi nie tyle fakty, ile raczej *significants*, opowiada o nich, tzn. organizuje je, aby ustanowić sens pozytywny i wypełnić pustkę czystej formy⁹.

Wspomniany dyskurs historyczny jest w głównej mierze „przetworzeniem ideologicznym”, czy też precyzując to pojęcie, „przetworzeniem wyobrażeniowym”. W konsekwencji fakt, będący składnikiem dyskursu, egzystuje tylko i wyłącznie w formie lingwistycznej.

Potraktowanie historii jako swoistego dyskursu miało ogromny wpływ na sposób postrzegania przeszłości. Podążający tropem Barthes’a Hayden White, a wkrótce po nim także inni narratysty, zaczęli twierdzić, że przeszłość dostępna jest wyłącznie w formie tekstu. Przeszłość przedstawiana w formie narracji jest jednak tylko jedną z możliwych jej wersji. Oprócz tych założeń narratysty zaczęli włączać do swoich badań strukturalistyczne i poststrukturalistyczne idee wykorzystywane do analizy tekstów literackich, do których zaliczyć można, oprócz traktowania historii jako dyskursu i zastosowania strategii literackich, podkreślanie symboliczności dzieła historycznego (tekst historyczny, tak jak utwór literacki, może posiadać wiele znaczeń), jego głębokie odczytywanie (branie pod uwagę całości, włączając w to elementy takie jak umieszczone w nim zdjęcia, układ strony, podziękowania, motto itd.) czy też wreszcie rozumienie „historii” jako tego, co jest o niej napisane, nie zaś jako przeszłości samej w sobie¹⁰.

⁹ Roland Barthes, *Dyskurs historii*, tłum. Adam Rysiewicz, Zbigniew Koch, „Pamiętnik Literacki”, z. 3, 1984, s. 225.

¹⁰ Zob. Ewa Domańska, *Mikrohistorie*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1999, s. 81.

Od czasu wydania *Metahistory*¹¹, kultowego dzieła narratywizmu, upłynęło już 30 lat i chociaż sam autor przyznaje, że niektóre z przedstawionych tam założeń nie są już zbyt aktualne, pozycja ta z pewnością nadal inspiruje wielu czytelników zainteresowanych współczesną historią i historiografią. Podobnie jak działo się to w przypadku „wczesnych narratystów”, Hayden White nie zgadzał się z faktem, że dedukcyjny model wyjaśnienia naukowego Hempla jest jedynym słusznym wzorcem stosowanym w badaniu historii. W artykule *The Structure of Historical Narrative*¹², poprzedzającym wydanie *Metahistory*, White starał się udowodnić, że model dedukcyjny jest tylko jednym z możliwych sposobów wyjaśniania. Opierając się między innymi na koncepcji Frye’a, który, zakładając, że dzieła fikcji literackiej składają się częściowo z produktów sublimacji archetypowych struktur mitycznych, doszedł do wniosku, że każde dzieło literackie posiada zarówno aspekt fikcyjny (*mythoi*), jak i tematyczny (*dianoia*), White nabrał przekonania, że to, co Frye określa mianem „wypowiedzi dyskursywnej” (będącej formą bezpośredniego apelu), jest w istocie przekształceniem tekstu historiograficznego w pewnego rodzaju hybrydę pomiędzy historią a poezją. Tekst taki uzyskuje efekt wyjaśnienia, dzieje się to jednak po części na skutek „fabularyzacji” (*emplotment*)¹³.

¹¹ Hayden White, *Metahistory. The Historical Imagination in Nineteenth-Century Europe*, The Johns Hopkins University Press, Baltimore and London 1973.

¹² Hayden White, *The Structure of Historical Narrative*, „Clio”, vol. 1, nr 3, June 1972, s. 14-15.

¹³ Przez fabularyzację White rozumie „kodowanie faktów zawartych w kronice jako specyficznych rodzajów struktur fabularnych”. Zob. Hay-

Starając się pokazać narracyjny charakter dzieł historycznych, White przywołuje również postać Robina George'a Collinwooda, utrzymującego, że historyk jest przede wszystkim narratorem, którego wrażliwość historyczna umożliwia mu stworzenie wiarygodnej opowieści na podstawie zbioru „faktów”, nieprzedstawiających w swojej pierwotnej postaci większego sensu. Collingwood stwierdził również, że aby nadać owym faktom sens, historycy muszą odwoływać się do „wyobraźni konstruktywnej”, sugerującej w pewnym sensie określone rozwiązywanie historycznych zagadek. Historyk podchodzi więc do przeszłości obdarzony pewnym „wycuciem możliwych form” różnego rodzaju rozpoznawalnych sytuacji. Ostateczny kształt, jaki te formy przybiorą, zależy już wtedy tylko od tego, w jaki sposób historyk przedstawi nam swoją opowieść. Sposób konfiguracji danej sytuacji historycznej, co wiąże się z nadawaniem jej określonego znaczenia, jest z kolei operacją właściwą literaturze. White podkreśla jednak, że:

[N]azwanie jej [tej operacji] po imieniu w niczym nie umniejsza rangi narracji historycznej źródła określonej wiedzy, gdyż chodzi nie tylko o to, że liczba przedgatunkowych struktur fabularnych, za pomocą których zespoły wydarzeń przekształcać można w określonego rodzaju opowieści, jest ograniczona, jak twierdzi Frye i inni przedstawiciele orientacji archetypowej w krytyce, lecz również o to, iż kodowanie wydarzeń poprzez takie struktury jest jednym ze

sposobów, w jaki kultura nadaje sens indywidualnej i zbiorowej przeszłości¹⁴.

Wspomniane powyżej zespoły wydarzeń rozumiane być mogą na wiele sposobów; mogą one przybierać kształt przyczynowo-skutkowy (tak jak w wyjaśnieniach naukowych), mogą być kodowane za pomocą kategorii kulturowych (pojęcia metafizyczne, formy religijne, opowiadania), co w rezultacie powoduje przybliżenie „osobliwych” z początku (ze względu na dystans czasowy i inną od naszej formę życia) zdarzeń historycznych. Historyk, poprzez analizę określonego zespołu wydarzeń, dostrzega jedną z możliwych form narracyjnych, w którą wydarzenia te mogą się ułożyć. Poprzez wyjaśnienie, dlaczego wybrał właśnie taki, a nie inny kształt zespołu zdarzeń, dokonuje on fabularyzacji, dzięki której powstaje określony, znany czytelnikowi rodzaj opowieści: romans, tragedia, komedia, satyra, epos itd. Przedstawienie opowieści w sposób, który stanowi część świadomości kulturowej czytelnika, sprawia, że nie tylko jest on w stanie śledzić tok opisywanych wydarzeń, lecz także zrozumieć ich sens.

Przedstawiając powyższą argumentację, White miał na celu pokazanie, że w istocie rzeczy sposób, w jaki opowieść o przeszłości odbierana jest przez czytelnika, nie różni się zbyt wiele od sposobu, w jaki postrzega i rozumie on literaturę. Ważne jest tutaj jednak przypomnienie, że żaden z możliwych do skonstruowania zespołów wydarzeń nie układa się w kompletną opowieść, niezależnie od tego, czy jest to opowieść o życiu jednostki, dzie-

den White, *Tekst historiograficzny jako artefakt*, [w:] Hayden White, *Poetyka pisarstwa historycznego*, red. Ewa Domańska i Marek Wilczyński, Universitas, Kraków 2000, s. 82.

¹⁴ Hayden White, *Tekst historiograficzny jako artefakt*, s. 86.

jach instytucji czy też narodu. Według Lévi-Straussa historyk sam nakłada na badane źródła historyczne pewne „zwodnicze kontury”, bojąc się „cofania” w nieskończoność. Groźba ta obecna jest przy badaniu każdego większego zespołu „faktów historycznych”. Tak więc rozumiała opowieść o przeszłości może powstać jedynie wówczas, gdy zrezygnujemy z niektórych „obszarów faktograficznych”. W rezultacie to „wyłączanie” poszczególnych faktów i podkreślanie znaczenia innych, dostosowując je jednocześnie do wymogów formy narracyjnej, nadaje ostateczny kształt opowieści historycznej.

Owo „mityczne”, jak ujmuje to Lévi-Strauss, przedstawianie przeszłości umożliwia nam porównanie historii do rozbudowanej metafory. Historia bowiem nie obrazuje danego zdarzenia, lecz przywołuje je na myśl, dokładnie w taki sam sposób, jak czyni to metafora. Zagadnienie to przedstawione jest znacznie szerzej w *Metahistory*, książce, która sama w sobie zawiera podstawowe założenia programu badawczego narratywistycznej filozofii historii. W części poświęconej teorii tropów White, w oparciu o koncepcje Giambattisty Vica i Kennetha Burke’a, przedstawia nam cztery podstawowe tropy służące do analizy języka figuratywnego: metaforę, metonimię, synekdochę i ironię. Trzy pierwsze z nich (nazwane przez White’a „naiwnymi”, ze względu na to, iż zakładają możliwość ujęcia przez język istoty rzeczy w kategoriach figuratywnych) stanowią pewnego rodzaju „paradygmaty operacji, dostarczane przez sam język, poprzez które świadomość może prefigurować obszary doświadczeń, które są poznawczo problematyczne, tak, by mogły one zostać poddane analizie i wy-

jaśnione”¹⁵. Czwarty trop, ironia, stanowi niejako ich „sentymalny” (co w rozumieniu Shillera oznacza „samoświadomy”) odpowiednik. Różnica pomiędzy ironią a pozostałymi tropami polega na tym, że ironia jest w stanie zdystansować się od tego, co reprezentuje. Dzięki ironii oraz towarzyszącej jej aporii zaczynamy sobie zdawać sprawę, że język figuratywny może być błędnie wykorzystywany i odczytywany, o czym świadczy fakt sygnalizowania przez autora wypowiedzi braku wiary w jego własne słowa. Prowadzi to między innymi do sceptycznego nastawienia wobec historii określanej mianem „realistycznej”.

Analizując pisarstwo historyczne XIX wieku za pomocą teorii tropów, Hayden White zamierzał scharakteryzować różne sposoby myślenia historycznego tego okresu. Teoria ta pozwoliła mu również na ujawnienie „głębokiej struktury” wyobraźni historycznej, będącej pewnym zamkniętym cyklem. Każdy ze sposobów myślenia historycznego może być bowiem opisany jako pewna faza w rozwoju tego myślenia: od etapu metaforycznego, poprzez metonimiczne i synekdochiczne rozumienie świata historycznego aż po ironiczną obawę niedającego się zredukować relatywizmu całości wiedzy.

Faza pierwsza związana była według White’a z późnooświeceniowym kryzysem myślenia historycznego, w którym to filozofowie tacy jak Voltaire, Gibbon, Hume, Kant i Robertson zaczęli ostatecznie postrzegać historię w ujęciu ironicznym. Co prawda pisarze i myśliciele okresu wczesnego romantyzmu nie zgadzali

¹⁵ Hayden White, *Metahistory*, s. 36 (tłumaczenie własne).

się z ironiczną koncepcją historii, podzielali jednak niechęć do jej racjonalizmu. Rezultatem tej niechęci oraz wiary w „emпатиę”, będącą według nich właściwszą metodą badań historycznych, było powstanie licznych kontrowersji dotyczących określenia właściwego „podejścia”, którym należy się kierować w badaniach historycznych. Rozłam ten przyczynił się jednak do zainteresowania problematyką teorii historii. Rozwój w ciągu pierwszych trzydziestu lat XIX wieku trzech odrębnych „szkół” myślenia historycznego („romantycznej”, „idealistycznej” i „pozytywistycznej”) sprawił, że odrzucono podejście ironiczne na rzecz entuzjazmu wobec studiów historycznych poświęconych „metodologii” badań przeszłości.

Drugi etap, będący fazą określaną jako „dojrzała” czy też „klasyczna”, trwał od około 1830 do 1870 roku i charakteryzował się powstaniem dużej ilości dzieł opisujących przeszłe kultury i społeczeństwa. Był to również okres działalności czterech „mistrzów” dziewiętnastowiecznej historiografii: Micheleta, Rankego, Tocqueville’a i Burckhardta. Prawie wszyscy z nich podzielali nadzieję na stworzenie historii, która byłaby „tak ‘obiektywna’ jak nauki przyrodnicze i tak ‘realistyczna’ jak kierowanie losów narodu przez mężów stanu”. Powrót do historii „realistycznej” miał swój odpowiednik w literaturze, w tym samym okresie tworzyli bowiem Scott, Balzac, Stendhal czy też Flaubert. Pisarze ci przyczynili się do powstania, jak określa to White, „różnych gatunków realizmu” będących w pewnym sensie metaforycznym, metonimicznym czy też synekdochicznym odpowiednikami ironicznego realizmu oświecenia. Filozofia historii tego okresu koncentrowała się

głównie na atakowaniu systemu stworzonego przez Hegla, który zaproponował w pierwszej fazie postrzeganie historii jako synekdochy. Ataki te nie sprawiły jednak, że świadomość historyczna wyszła poza miejsce, w którym pozostawił ją Hegel. Wyjątkiem od tego stwierdzenia jest oczywiście Marks, który próbował połączyć strategię synekdochiczną Hegla z istniejącymi w owym czasie metonimicznymi strategiami ekonomii politycznej. Próby te miały na celu stworzenie pewnej wizji historycznej, która byłaby zarówno „dialektyczna”, jak i „materialistyczna”, innymi słowy, która byłaby jednocześnie „historyczna” i „mechanistyczna”.

Sukcesem historyków należących do „drugiej fazy” było pchnięcie świadomości historycznej w stronę ironicznego ujęcia „kryzysu historycyzmu”, co wiązało się głównie z istnieniem wielu wiarygodnych, lecz często wykluczających się wersji przedstawiania tych samych wydarzeń. Sytuacja taka doprowadziła do podważenia wiary w „obiektywizm”, „naukowość” i „realizm” historii. Przedstawicielem ostatniej, ironicznego fazy myśli historycznej XIX wieku jest bez wątpienia Nietzsche. Bardzo ważną rolę odegrał tu jednak również Benedetto Croce, który próbując „oczyścić” myślenie historyczne z ironii poprzez próbę odniesienia go do sztuki, zdołał co prawda ocalić je od sceptycyzmu, potwierdził jednak, że świadomość historyczna uwarunkowana jest strategią ironiczną. White podsumował swoją teorię tropów stwierdzeniem, że pomimo iż filozofia historii pod koniec XIX wieku powraca do swojej ironicznego postaci późnego Oświecenia, różni się jednak od tej ostatniej swoistym „wyrafinowaniem” oraz ilością literatury i my-

śli filozoficznej, które zostały jej poświęcone przez cały ten okres.

Oprócz teorii tropów, rozwiniętej w późniejszym dziele *Tropics of Discourse*¹⁶, wyłożona przez White'a poetyka historii zawiera również teorię wyjaśnienia historycznego i teorię stylów historiograficznych. W teorii wyjaśnienia historycznego, oprócz wspomnianej powyżej operacji określanej jako „fabularyzacja” (*emplotment*), której poświęcono najwięcej uwagi, opisane jest wyjaśnienie poprzez zastosowanie związków przyczynowych (*explanation by formal argument*) oraz wyjaśnienie poprzez implikację ideologiczną (*explanation by ideological implication*). Wyjaśnienie z zastosowaniem związków przyczynowych opiera się na koncepcji Stephena C. Peppera, za którym White wyszczególnił cztery strategie argumentacji: formizm (wyjaśnienie uważane jest za kompletne, kiedy dana grupa obiektów została właściwie zidentyfikowana oraz kiedy przypisano jej odpowiednią klasę, rodzaj, atrybuty, a także opatrzone plakietką stwierdzającą jej „szczegółność”), organicyzm (hołdujący metafizycznemu oddaniu paradygmatowi relacji pomiędzy mikro- a makrokosmosem), mechanicyzm (zwracający się w kierunku poszukiwań praw przyczynowych determinujących rezultaty procesów odkrywanych w dziedzinie historii) oraz kontekstualizm (wydarzenia mogą być wyjaśnione tylko poprzez umieszczenie ich w „kontekście”, w którym się pojawiają). Implikacja ideologiczna związana jest z kolei z czterema stanowiskami: anarchizmem, konserwaty-

zmem, radykalizmem i liberalizmem¹⁷. White podkreśla jednak, że terminy te reprezentują pewne ideologiczne preferencje, nie powinny być one rozumiane w odniesieniu do poszczególnych partii politycznych.

Ostatnią z części wchodzących w skład retoryki pisarstwa historycznego jest teoria stylów historiograficznych, zajmująca się problematyką rozpoznawania stylów charakterystycznych dla poszczególnych historyków czy też epok. W opinii White'a styl historiograficzny reprezentuje określoną kombinację metody fabularyzacji, argumentacji i ideologicznej implikacji. Jednakże poszczególne sposoby łączenia tych elementów nie mogą być całkiem dowolne. Istnieją bowiem pewne reguły, oparte na podobieństwach strukturalnych pomiędzy metodą fabularyzacji, argumentacją i implikacją ideologiczną. Romantycznej fabularyzacji odpowiada formistyczna argumentacja i anarchistyczna implikacja ideologiczna; tragedia łączy się z mechanistyczną argumentacją i radykalizmem; komedii odpowiada organicyzm i konserwatyzm; satyrze z kolei kontekstualizm i liberalizm. White zaznacza jednak, że związki te nie mogą być uważane za konieczne; zdarza się, że w pracach znanych historyków (Michelet, Tocqueville, Burckhard) występuje pewne napięcie dialektyczne wynikające z innej niż przedstawione powyżej metody łączenia fabularyzacji, argumentacji i implikacji ideologicznej. Pomimo to ilość kombinacji nadal jest ograniczo-

¹⁶ Hayden White, *Tropics of Discourse. Essays in Cultural Criticism*, The Johns Hopkins University Press, Baltimore and London 1978.

¹⁷ Stanowiska te oparte są na klasyfikacji Karla Mannheim'a. Zob. Karl Mannheim, *Ideology and Utopia: An Introduction to the Sociology of Knowledge*, tłum. na ang. Louis Wirth i Edward Shils, Harcourt, Brace & Co., New York 1946, s. 104 i dalej.

na, przedstawione powyżej reguły odpowiadają z kolei czterem podstawowym tropom języka poetyckiego.

Koncepcje zaproponowane przez Haydena White'a wywarły ogromny wpływ na uczonych zajmujących się analizowaniem wiedzy historycznej. Ukazały one przede wszystkim to, że źródłem owej wiedzy historycznej nie jest przeszłość sama w sobie, lecz interpretacje tejże dokonywane przez historyków. Histo-

rycy z kolei, zamieniając fakty w opowieści, nie różnią się zbyt od pisarzy. White'owi nieobce były oczywiście przedstawione powyżej różnice pomiędzy opowiadaniem a narracją historyczną, należy tu jednak podkreślić, że skupiał się on nie na technicznych aspektach związanych ze strukturą opowiadania czy też tekstu historycznego, a jedynie na językowych implikacjach obecnych w obu rodzajach pisarstwa.

Dossier

Jerzy Łukosz Kulturzeit

Zuerst war da die Stimme meiner Mutter. Es war weder Weinen noch Singen. Dann erzählte mein Vater und ich hörte, wie es ist auf dieser Welt. Schließlich erschien die Welt selbst, sprach zu mir über den Duft der Wiese, über das Schicksal der Menschen, über mich. An das alles erinnere ich mich, oder meine ich, mich zu erinnern.

Woran kann man sich erinnern aus der Zeit vor den Worten? An alles, und zwar schon in einer mit Namen bezeichneten Form. Doch auf diese Wahrheit musste ich Jahre warten.

Während des Philologiestudiums schien mir, dass die Welt der Literatur exakt die Welt ist, von der meine Professoren in schönem Deutsch erzählten. Denn das konnte weder die geweinte noch die gesungene Welt sein, am allerwenigsten aber jene vom Vater erzählte, den sie nicht interessierte. Keinen Moment zweifelte ich daran, dass jedoch das Schreiben eine Angelegenheit meiner Sprache sei. Weder Singen noch Weinen.

Erzählen. Das Deutsche, die erlernte Sprache, war steril, das Polnische aber in den Instinkten, wie ein kahler Baum, der auf Blätter, Blüten, Früchte wartet. Ich lernte beide, ausgehend von verschiedenen Punkten des Vertrautwerdens, die erste - um den Geist zu fordern, die zweite - um den Sinn fürs „Gärtnerische“ zu schulen.

Als mir eines Tages dämmerte, mit der Wucht einer Fehlgeburt, dass ich es vielleicht versuchen würde, war mir sofort klar, dass Schreiben eine ungeheuerliche Beschäftigung ist. Meißeln an der Sprache, dabei die eigene Hirnschale entflammen, in der vergeblichen Hoffnung, auch fremde zu erhitzen. Das war etwas von Grund auf anderes, Schwierigeres als die Operationen eines Lesers, durchgeführt an den idealen (was auch immer das damals für mich bedeuten mochte) Welten eines Goethe, Schiller, Thomas Mann. Woher die Kraft der Sprache nehmen? Sicher nicht aus der Philologie. Wenn ich die eigenen kraftlosen Worte ins Leere

schickte oder gegen die Wand drückte, fühlte ich, dass Worte eine Mauer keineswegs durchschlagen müssen, die Mauer wird danach stehen, wie sie gestanden hat, bewachsen mit dem Efeu steril gelesener Literatur. Ich aber bin unter dieser Mauer, im Leeren.

Nach dem Studium fuhr ich nach Regensburg. In der fremden Stadt wollte ich ein halbes Jahr leben, die Zeit aber (Mitte der 80-er Jahre) wählte nicht ich aus. Zur Halbzeit des Aufenthalts, um *Halloween*, überkam mich die Angst, dass ich doch nicht durchhalten würde: ich wohnte im Studentenwohnheim an der Vitusstraße, in einem Stockwerk, das „englisch“ genannt wurde, denn dort wohnten Studenten aus England und den Staaten. Voller Unruhe dachte ich: selbst wenn es mir gelingt zu überleben, werde ich die Aufgabe, nach der ich beurteilt werden sollte (schließlich: ein *Forschungsaufenthalt*), nicht erfüllen.

Ich bekam Briefe von Kolleginnen und Kollegen aus Polen, erfahrenen Stipendiaten, die Mitgefühl wegen der quälenden Einsamkeit ausdrückten, die angeblich jeder „Verbannte“ erfährt – besonders ein Sparsamer. Akkurat hierin wurde der Adressat irgendwie verwechselt. Mein Problem war gerade eine übermäßige gesellige Aktivität. Nicht dass mich das hiesige *High Life* genötigt hätte, ich nahm an ihm mit natürlicher Freude teil, selbstverständlich erst, nachdem ich mein, manchmal kaum rituelles, Pensum in der Präsenzbibliothek erledigt hatte. Schon am Nachmittag ging die Tür zu meinem Zimmer nicht mehr zu. Ich kehrte heim in dem Bewusstsein, Zeit und Geld vergeudet zu haben. Ich habe zwar viel erlebt – aber was ist dabei herausge-

kommen? Wo ist das Werk? Es gab kein Werk. Und wenn es eines gab, dann kaum so etwas wie einen Anfang, einen Vorteil, ein Vorgefühl. Glaube, dass etwas daraus wird? Wenig. Also: Niederlage! Was wird mein Doktorvater, Professor Norbert Honsza dazu sagen, der mich nach Regensburg hingeschickt hat?

Während der nächsten zwanzig Jahre rückte ich demütig von der Selbstanklage ab. Regensburg kehrte während dieser ganzen Zeit wie ein wunderschöner Traum zu mir zurück. Später wurde der Traum hässlich, gewann aber an Wirkung: Regensburg wurde Handlungsort meiner Erzählungen, Romane und Stücke. Die erste Auslandsreise hatte in mir ein neues Segment hinzugefügt. Es ist nicht ausgeschlossen, dass sie einige andere, schon existierende demontiert hat: Noch lange nach meiner Rückkehr behaupteten Böswillige, dass ich jetzt alles mit Regensburg verbinde. Ich wusste jedoch, dass es in der Kategorie der Städte meine zweite Liebe ist. Natürlich schmerzhaft wie jede wahre Liebe, worüber ich mich nicht auslassen werde. Mein fundamentaler Raum. Ich wusste, dass sich die Sache nicht für eine rationale Analyse eignete. Wie auch der Glaube, dass ich, sterbend, vielleicht ein stärkeres Gefühl für den Sinn von allem haben werde, was war: *Kann keine Trauer sein*, ich war in Regensburg.

Zurück zum Heute: eine monumentale Stadt, aber warm wie ein Haus. Die schönste Altstadt, die ich je gesehen habe, und mit der verglichen tausend Jahre alte Architekturdenkmäler dieses Typs in Europa junge Bauten darstellen (Regensburg ist doppelt so alt); der Palast des Fürstengeschlechts Thurn und Taxis, die Ba-

silika St. Emmeram, der Kneitinger Keller und in ihm der dunkle, schäumende Doppel-Bock; die bayrische Sprache – bis heute ist sie für mich eine faszinierende Musik, die ich verstehe, die ich aber nicht nachzuahmen wagen würde; das breite Wasser der Donau, in dem ich während eines halben Jahres schwamm, ohne an die später auf mich wartende reale Klau-surarbeit zu denken.

Weil die Disposition des Gedächtnis-ses infantil ist? Viel später, als ein Fern-sehteam, das mit meiner Beteiligung ein Filmmaterial drehte, mir die Wahl des Ortes für ein Gespräch über das Schrei-ben überließ, fuhren wir eben nach Re-gensburg. Es war mit der Zeit nicht nur nicht hässlich geworden, sondern noch schöner. Ist das nicht Liebe?

Kulturzeit, das ist auch Kulturort. Wenn du schreibst, dann ist es nur schein-bar deine Entscheidung, wo du die Hand-lung lokalisierst. Wo auch immer sie sich abspielt, sie spielt sich in dir ab, also ohne Zweifel dort, wo eine Batterie von Vorstel-lungen dich für diese konkrete Aufgabe anheizt. Für mich war das immer der Ort meiner Geburt gewesen, seit der Zeit die-ser meiner Reise – auch Regensburg. Über diesen bipolaren Raum hinaus bin ich nie-mals weggegangen, niemals weggefahren.

Noch einmal wurde die Zeit geboren, die mir damals farbig erschien, für mein Schreiben aber verloren. Die Zeit gebar den Raum, generierte den Ort, bewirkte eine Zeit-Raum-Translation und beide Dimensionen gebaren die Illusion, dass es mir gelänge, etwas Raumüberschrei-tendes (an Überzeitliches zu denken, wäre Größenwahn gewesen) herauszumeißeln.

In Regensburg habe ich zum ersten Mal die Sendung „Kulturzeit“ im Fern-

sehen gesehen, eine in dem glänzenden deutsch-österreichisch-schweizerischen Programm 3SAT ausgestrahlte Reihe. Was es dort nicht alles gab! Eine Inszenierung von „Emilia Galotti“, einen Zeichen-trickfilm nach Kafkas „Verwandlung“, Mann im Gespräch mit Einstein in des-sen kalifornischem Garten: *Weißt du, Berti, eine Pfeife ist doch nicht das Wahre*. Für mich, den frisch gebackenen Germanisten (der Sender war 1985 auch frisch gebacken), war das Sehen und Hören meines Elias Canetti, dessen Dr. Kien ich so gut ver-stand wie kaum einen anderen literari-schen Helden, oder Peter Handkes, des Idols meiner ersten literarischen Gehver-suche (ich hoffe, dass er den Nobelpreis bekommen und, seinem Stil entspre-chend, nicht annehmen wird), des in Po-len verbotenen Grass oder Biermann im Fernsehen – keine geringe Attraktion.

Ich versuchte, mir die Zeit der Sen-dung zu merken. In den gedruckten Fern-sehprogrammen war „Kulturzeit“ jedoch überhaupt nicht angezeigt. War also mit keiner bestimmten Zeit verbunden. Und selbst wenn sie es war, traf ich wie zufäl-lig auf sie, zu den unerwartesten Tageszei-ten. Es war kein bestimmter Zeitab-schnitt, keine Viertelstunde oder Stunde zwischen einem Bericht über Äußerun-gen des „ungeliebten“ Papstes oder des „bewunderten“ Gorbatschow und einer Afrika-Reportage. „Kulturzeit“ war ein-fach die ganze Zeit über. Es gab keine von der Kultur suspendierte Zeit. Eine solche Suspendierung wäre „toxisch“, wäre Gift gewesen. Gesendet wurden Berichte über Auftritte von Reagan (der in den Pausen während der Demontage des Reichs des Bösen bewirkte, dass „meine“ Amerika-ner, wenn sie den Dollar für fast fünf

Mark wechselten, Krösusse waren, während für mich diese Summe umgerechnet ein Haufen Geld bedeutete – ich war also ein noch größerer Krösus); Material über den Albtraum der Ermordung von Indira Gandhi und Pater Popiełuszko. Die Suspendierung von der Kultur wäre die Vergeudung einer gewissen Gnade, die uns der launische Herrgott schickt, damit die Welt nicht nur weint, sondern manchmal auch singt.

Die Zeit des zerzausten Lebens als Kulturzeit. Die Zeit des Trinkens eines Weizenbiers als Kulturzeit. Meine Plaudereien mit Cathy aus Colorado als Kulturzeit. Mein schläfriges Durchwandeln des Palastes von Fürst Johannes als Kulturzeit. Das Beäugen der einbalsamierten Leichname in den gläsernen Sarkophagen der Basilika des Hl. Emmeram, bei denen ich später in meiner wahren Fiktion sakrilegisch die „Einlage“ veränderte – alles: Kulturzeit.

Ich war überzeugt, dass Kulturzeit, wie ich sie verstand, an diesem Ort eine andere Topographie hat: dass sie das Theater ist (in Regensburg zu jener Zeit nicht das beste), der Verlag Pustet, der Lesesaal der Slavistik an der modernen Campus-Universität, die mich eingeladen hatte, die literarischen Cafés und Salons, schließlich mein weißes und nach sechs Monaten noch ebenso intensiv nach frischer Farbe riechendes Arbeitszimmer im Vitusheim. Mit dieser Kulturzeit konnte ich mich nicht anfreunden.

Zeitablauf und Topographie trafen zusammen in der Person von Heinz Kneip, meinem Begleiter durch die für mich neue Welt (als Ankömmling aus einem Polen im Kriegszustand erlebte ich auch den so genannten Zivilisationschock). Der glänzende Fachmann, Professor für Literatur an der dortigen Universität, der auch meine, die Breslauer Universität gut kannte, gehörte gleichzeitig zur Zeit wie auch zum Ort der Kultur.

Wenn ich mir überlege, wie ich zu der Erfahrung gelangt bin, die das Schreiben herausforderte, so denke ich, dass sie, wie gewöhnlich, nur eine Sprache hatte – außerhalb von Zeit und Ort der Kultur. Aber gleichzeitig auch innerhalb von Zeit und Ort der Kultur: Kneip und ich sprachen polnisch.

Dann auch die Gespräche mit den Angelsachsen, in einem Deutsch, das kein Bayer verstanden hätte, haben sich bei mir in Polnisch niedergeschrieben. Wurden von neuem geschrieben. Das Polnische trug mich von der Wahrheit zur Fiktion. Statt also Reiseberichte zu schreiben, schrieb ich eine Phantasie. Der Kulturort fand sich nicht dort, wo ich dachte, dass er sei, er fand sich in der Sprache. Wäre ich Mathematiker, so schriebe ich die Gleichung: Kulturort plus Kulturzeit ist gleich Sprache, meine Sprache, mein Regensburg, nicht das bayerische, sondern das, das ich in mir trage, auf Polnisch, nicht damals, sondern jetzt.

Übersetzung: Eleonore Kaiser

Felieton

Günter Franzen

Der Idiot der Familie

Über die Unlust der deutschen Männer

In der ZEIT vom 25. August 2006 plädieren 15 mehr oder weniger prominente Frauen für einen neuen Feminismus. Die Unterhaltungskünstlerin Anke Engelke, die Köchin Sarah Wiener und die Schülerin Florine Vollbrecht sehen sich der Allgegenwart eines sexistischen Rollendiktats ausgesetzt; die Nachrichtenmoderatorin Anne Will stellt fest, dass sich ihre Aufgabe aus der Perspektive der Fernsehgewaltigen darauf beschränkt, auf dem Bildschirm eine gute Figur zu machen; die Juristin Jutta Glock registriert eine Zunahme subtiler Formen der sexuellen Belästigung am Arbeitsplatz; die Schriftstellerin Karen Duve sieht im liberalen Feuilleton eine unverhohlene Frauenverachtung am Werk und findet das Buch ihrer Kollegin Eva Herman (*Das Eva-Prinzip*) zum Knochenkotzen; die *Grande Dame* der deutschen Psychoanalyse, Margarete Mitscherlich, empfiehlt ihren Schwestern zur Vollendung der weiblichen Emanzipation ein Quent-

chen Hass. Da sich die Mobilisierungskampagne der ZEIT an die weibliche Leserschaft richtet, kann man die Frage nach dem subjektiven Wahrheitsgehalt dieser kollektiven Sammelklage überspringen und sich als Mann erwartungsgemäß in jene Machtbastion zurückziehen, in der wir seit alters her unter uns sind: die Wirtschaft.

Im April des Jahres äußerte Helmut Schmidt, der große alte Klare aus dem Norden, in einer Rede vor deutschen Spitzenmanagern die Vermutung, dass der allseits beklagte massive Geburtenrückgang auf einen durch die Katastrophe des Zweiten Weltkriegs verursachten Vitalitätsverlust der Gesellschaft zurückzuführen sei. Was der ehemalige Wehrmachtsoffizier mit dieser Bemerkung gemeint haben könnte, wird durch eine Drohung erhellt, die Adolf Hitler nach dem Scheitern der Ardennenoffensive im Februar 1945 in Gegenwart seines Adjutanten Nicolaus von Below ausstieß: »Wir

kapitulieren nicht, niemals. Wir können untergehen. Aber wir werden eine Welt mitnehmen.« Zu diesem Zeitpunkt hatte das kalte, im Bunker der Reichskanzlei bis zuletzt mit lidloser Unerschrockenheit agierende Reptil aus Braunau den überwiegenden Teil seiner Versprechen bereits eingelöst und alles mitgenommen, was in Reichweite seines zügellosen Vernichtungswillens lag: das europäische Judentum, den Glauben an die zivilisatorische Selbstoptimierung der Menschheit, das mittelalterliche Weichbild der deutschen Städte und das Leben der auf ihn eingeschworenen 5 Millionen Soldaten, darunter 1,8 Millionen Familienväter und die kompletten Geburtsjahrgänge von 1920 bis 1925.

Neben dieser gänzlich unsystematischen und unvollständigen Schreckensbilanz nimmt sich eine weitere Verlustanzeige auf den ersten Blick vergleichsweise harmlos aus: Im Verlauf dieses von Deutschland ausgehenden Krieges löste sich das traditionelle Geschlechterverhältnis in Rauch und Asche auf, wurde der auf wechselseitiger Anerkennung und Anziehung der Geschlechter beruhenden biologischen Generativität der Boden entzogen, wartete fortan auf Mann und Frau nur noch das Unglück.

Nichts illustriert diesen düsteren Befund besser als ein Buch, das einem die Lektüre einer ganzen Bibliothek zeithistorischer und sozialpsychologischer Untersuchungen erspart. Zwölf Tage bevor das auf 1000 Jahre angelegte Großdeutsche Reich im Orkus der Geschichte verschwindet, am 26. April 1945, notiert eine Frau, die in einem Erdloch im Stadtzentrum Berlins voller Bangen auf die Ankunft der Roten Armee wartet, in ihrem

Tagebuch: »Als wir heraustraten, fuhr ein LKW vorbei; deutsche Truppen darauf, rote Spiegel, also FLAK. Sie fuhren in Richtung Stadt, von uns weg aufs Zentrum zu. Saßen stumm da und stierten vor sich hin. Eine Frau rief ihnen nach: Haut ihr ab? Sie bekam keine Antwort. Wir sahen uns achselzuckend an. Die Frau meinte: Sind auch bloß arme Schweine. Immer wieder bemerkte ich in diesen Tagen, dass sich mein Gefühl, das Gefühl aller Frauen den Männern gegenüber ändert. Sie tun uns leid, erscheinen uns so kümmerlich und kraftlos. Das schwächliche Geschlecht. Eine Art von Kollektiv-Enttäuschung bereitet sich unter der Oberfläche bei den Frauen vor. Die männerbeherrschte, den starken Mann verherrlichende Naziwelt wankt - und mit ihr der Mythos »Mann«. In früheren Kriegen konnten die Männer darauf pochen, dass ihnen das Privileg des Tötens und des Getötetwerdens fürs Vaterland zustand. Heute haben wir Frauen daran teil. Das formt uns um, macht uns krötig. Am Ende dieses Krieges steht neben vielen anderen Niederlagen auch die Niederlage der Männer als Geschlecht.«

Die Autorin, die in den nachfolgenden zwei Monaten zahllose Vergewaltigungen durch Angehörige der Roten Armee überlebt, ist von der Literaturkritik wegen ihrer Übersetzung der seinerzeit alltäglichen sexuellen Machtverhältnisse in eine ebenso nüchterne wie filigrane Sprache unisono gerühmt worden. Dennoch ist es nicht die intellektuelle und ästhetische Faszination, die die Aufzeichnungen der Anonyma in meiner privaten Lesart zu einem Schlüsseltext macht, sondern die Tatsache, dass er in beklemmender Weise exakt den Ton anschlägt

und trifft, der im Frauenhaus meiner Kindheit herrschte.

An einem Apriltag des Jahres 1955 trafen vier frisch entheiratete Frauen in der Diele der großelterlichen Wohnung in der niedersächsischen Provinz zusammen. Auf den aus groben Krüppelbirken zusammengenagelten Gartenstühlen kauerten meine Großmutter und ihre drei Töchter und hielten Gericht. An der Wand hingen die mit einem Trauerflor versehenen Rötelzeichnungen der drei gefallenen Brüder, auf dem Tisch lagen halbgeöffnete Zigarettenschachteln und die Urteile des örtlichen Scheidungsrichters, der die überlebenden Kriegsteilnehmer, die nach einer längeren oder kürzen Lazarettphase im Schoß der Familie das Weite gesucht hatten, in allen Punkten der Anklage schuldig sprach. Unter das Schluchzen der laut Urteil böswillig Verlassenen mischte sich das Klappern der Kaffeetassen und das saugende Geräusch der Lungenzüge. Die schwarzgebeizte Standuhr tickte von Ewigkeit zu Ewigkeit, bis endlich die Stimme der ältesten Schwester, meiner Mutter, die bis zur Decke aufgetürmten Rauchschwaden zerschnitt: »Alles Schweine, und dein sauberer Vater ist das größte.«

Mann denkt, Frau lenkt

Im Licht der Gegenwart erscheint mir diese bedrückende Szene, die sich so oder so ähnlich in vielen Restfamilien abgespielt haben mag, als eine von unzähligen Sternstunden des westdeutschen Patriarchats - einer subkutan sich ausbreitenden Herrschaftsform, die die von den westlichen Alliierten installierte und mit mehr oder weniger ehrenwertem männlichem

Führungspersonal ausgestattete junge Demokratie lautlos konterkarierte: Mann denkt, Frau lenkt. Unter den Produkten der Kulturindustrie, die diese stille Machtergreifung ins milde Licht des nostalgischen Behagens tauchen, nimmt Sönke Wortmanns Kassenschlager *Das Wunder von Bern* einen besonderen Rang ein. In die Rahmenhandlung der um den Gewinn der Fußball-Weltmeisterschaft von 1954 kreisenden Filmerzählung wird die Geschichte des Russland-Heimkehrers Richard Lubanski eingeflochten, eines gebrochenen Mannes, der in eine Welt zurückkehrt, die sich in den neun langen Jahren seiner Abwesenheit auch ohne ihn weitergedreht hat. Seine Frau betreibt im Kohlenpott mit Erfolg eine Gastwirtschaft; der ältere Sohn geht ihr zur Hand, und der jüngste hat sich in dem aufstrebenden Stürmerstar Helmut Rahn einen Ersatzvater erkoren, der den Jungen als einen Glücksbringer betrachtet, dessen Anwesenheit seinen sportlichen Erfolg sichert. Der Heimkehrer, verhärtet, verbittert, verstummt, sucht sich seiner verlorenen Position in der familiären Hierarchie durch einen autoritären Gewaltakt zu versichern, indem er das Haustier seines Kindes schlachtet, einen Stallhasen, den er der Familie als Sonntagsbraten vorsetzt. Den um den Küchentisch versammelten Angehörigen bleibt das Essen im Hals stecken, und nachdem sich die Mutter aus der Erstarrung gelöst hat, nimmt sie ihren Mann zur Seite und stellt ihm ein Ultimatum: Du änderst dich oder wir sind geschiedene Leute.

Im Film zeitigt diese Konfrontation eine kathartische Wirkung. Der geläuterte Lubanski zeigt sich einsichtig, und

nachdem er unter Qualen das Grauen des Krieges und der Gefangenschaft aus sich herausgewürgt hat, schließt er seine Frau in die Arme und bricht mit seinem Sprössling auf zum glücklichen Finale nach Bern. Der Krieg ist vorbei, alles wird gut und die Entzweiung der Geschlechter verschwindet unter einem Notverband aus frommen Lügen.

Was will das Weib? Da ich als Sohn eines in Ungnade gefallenen Versagers seit fünfzig Jahren vergrübelt auf dem Fußbänkchen in der großelterlichen Diele sitze und die bundesrepublikanische Hamletmaschine seit 1987 mit Fußnoten zum Thema füttere, hatte ich reichlich Gelegenheit, mich mit dieser von Sigmund Freud in Umlauf gebrachten Frage zu beschäftigen. Eine Frage, die bei Licht besehen gar keine Frage ist, sondern eine ohnmächtige, semantisch verkleidete Fluchtbewegung der deutschen Männer vor der ubiquitären, durch nichts und niemanden zu stillenden weiblichen Unzufriedenheit; einer, um mit der zitierten Anonyma zu reden, »verkröteten« Klagsamkeit, die sich von der Generation der Treckführerinnen, Trümmerfrauen und Wiederaufbauheroinen über Alice Schwarzers und Andrea Dworkins Pol-Pot-Strategie der weiblichen Emanzipation in den Siebzigern bis zu den eingangs zitierten Beschwerdeführerinnen eines zartbitteren Girlie-Feminismus durchzieht.

Sicher, auf dem Weg von der asymmetrischen Harmonie vergangener Tage zum Modell der kommunikativen Partnerschaft der Gegenwart haben sich die Männer bislang nicht mit Ruhm bekleckert. Sie taumeln zwischen der Unterwerfung unter das weibliche Rollendiktat

und kindischen Formen des passiven Widerstandes hin und her und führen sich in familiären Krisensituationen nicht selten auf wie die schwarzen Bewohner von Onkel Toms Hütte im Angesicht der weißen Herrin. Sie schlagen die Augen nieder, murmeln »Yes, Ma'am!«, um im nächsten unbewachten Augenblick den unsortierten Klumpen schmutziger Wäsche bei 90 Grad durch den Kochwaschgang zu jagen. Es bliebe von Seiten der Männer also noch einiges zu tun, um das Prädikat der allgemeinen Familienreife zu erwerben, aber ich bezweifle, dass die psychosoziale Runderneuerung des deutschen Mannes tatsächlich zur Entgiftung des Binnenklimas führen würde: Der Mann macht keine Fehler, er ist der Fehler, und solange dieses Dogma gilt, erleidet die störanfälligste und lebendigste Quelle des menschlichen Glücks, die gegengeschlechtliche Liebe und ihre biologischen Folgen als Objekt des grämlichen Feminismus das Schicksal des Hundes, den man im Urlaub einer Tierpräparatorin anvertraut.

Wenn ich meine nahezu sechzigjährige Karriere als Schwerträger der Frauenbewegung Revue passieren lasse, begann sie wohl damit, dass ich noch vor Beherrschung der elementaren Kulturtechniken die Fähigkeit ausbildete, der ersten Frau in meinem Leben jeden Wunsch von den Lippen abzulesen, an denen ich unbedingter Liebe hing. Als beflissener Interpret ihrer von Entbehrungen und Enttäuschungen gezeichneten Gesichtszüge fiel mir die Rolle eines kurzbeinigen, durch Drolligkeit und gute Manieren glänzenden Gemütsaufhellers zu, der auf die Wirkungslosigkeit seiner Therapie mit der Erhöhung der Dosis reagierte.

Während robuste und unbelehrbare Altersgenossen durch den Bau von Lastkränen und Panzern aus dem Stabilbaukasten bereits wieder der diskreditierten männlichen Technikversessenheit frönten, vertiefte ich mich in die Lektüre einer zerfledderten Kriegsausgabe von Dr. Oetkers Lehrkochbuch, um die hart arbeitende Familienernährerin nach ihrer Rückkehr mit Einbrennsuppen, Aufläufen und russischen Eiern zu überraschen.

Während meine weniger bekümmerten Schulkameraden mit Karl May aus dem Dunstkreis der Küche ins wilde Kurdistan flüchteten, zog ich mich mit der zehnbändigen Gesamtausgabe von Else Urys »Nesthäkchen« unter die Bettdecke zurück, um den Anschluss an die gute und heile Welt des weiblichen Denkens und Fühlens nicht zu verpassen. Wenn ich mich allerdings in unkontrollierten, von Sehnsucht aufgeweichten Momenten dazu hinreißen ließ, meinen Vater meinen Vater zu nennen oder gar Fragen nach seinem Verbleib zu stellen, drohte mir und dem mir tagsüber zur Erziehung unterstellten kleinen Bruder eine Art von familiärer Sonnenfinsternis. Die lichtblauen Augen unseres mütterlichen Zentralgestirns verengten sich in grenzenlosem Zorn, und wenn die Farbe zwischen zwei Wimpernschlägen ins Steingraue wechselte, hatte sich die Frage bereits im Ansatz erledigt.

Ich war achtzehn, als mein Vater, ein als Alkoholiker aus dem Balkanfeldzug heimgekehrter Unteroffizier der deutschen Wehrmacht, mich nach zehnjähriger Kontaktsperre zu einer Aussprache nach Köln, seiner vorletzten Lebensstation bat. Als ich auf dem Bahnhofsvorplatz auf ihn zugeing, wurde er in der An-

näherung nicht größer. Ein kleiner, unrasierter Mann, dessen hilfloser Umarmung ich mich peinlich berührt entzog. Nach einer kargen Mahlzeit in einem nahegelegenen Brauhaus türmte er mit zitternden Fingern Pfennige und Groschen aufeinander, um die Rechnung zu begleichen. Es gab nichts zu bereden. Ich hatte ihm lediglich zu übermitteln, dass er uns im Stich gelassen habe. Zwei Jahre später stürzte er sich vom Pfeiler der Deutzer Rheinbrücke in den Fluss, und ich mochte dem vorgezogenen Nachruf des weiblichen Familienoberhaupts nicht widersprechen: »Selbst das bringt er nicht zu Stande.«

Die friedfertige Frau

Der zweite Suizidversuch, im Sommer 1969, war erfolgreicher. Er starb in einer Absteige in Konstanz an einer Überdosis *Veronal*, dem Vergeltungsbedürfnis seiner Frau und der Feigheit seiner Söhne. Als ich geschlagene fünfunddreißig Jahre später endlich Anstalten machte, an den Bodensee zu reisen, um mich mit seinen zu Staub zerfallenen sterblichen Überresten zu konfrontieren, teilte mir die örtliche Friedhofsverwaltung mit, dass sein Grab bereits 1996 eingeebnet worden sei. Der Tod eines Handlungsreisenden. Das Ende eines Kriegsteilnehmers. Unter der Nachricht des freundlichen schwäbischen Kommunalbeamten hat manches gelitten, was der öffentlichen Rede nicht wert ist. Meine Selbstachtung, das Gefühl der Verbundenheit mit einer durch die 68er repräsentierten moralischen Elite der Nation, die in historisch beispielloser Kühnheit zum Sturz der kontaminierten Väter aufrief,

als diese schon längst am Boden lagen, vor allem aber der Glaube an jenes von der Psychoanalytikerin Margarete Mitscherlich zur anthropologischen Konstante erhobene höhere Wesen, das aus der Perspektive eines bis zur Lächerlichkeit feminisierten Mannes jeder Beschreibung spottet: Die friedfertige Frau.

In den von den Brüdern Grimm überlieferten deutschen Märchen wird man dieses über den Abgründen der menschlichen Niedertracht schwebende Fabelwesen vergebens suchen. Statt dessen enthält ihre Fabel vom willfähigen Fischer und seiner verbiesterten Frau den historischen Dreisatz, der für die Entschlüsselung der anhaltenden Vereisung des deutschen Geschlechterverhältnisses unerlässlich ist: Kränkung, Hybris, Absturz. Das modernisierte Märchen in einem Satz: Mit dem braunen Butt in schimmernder Wehr vom Pisspott über die Champs Elysées zum Elbrus nach Stalingrad und zurück. Die Fallhöhe, die ein liebendes, dem Traum vom Reich anhängendes Paar zwischen 1941 und 1945 zu durchmessen hatte, ist für den aus einer solchen Verbindung hervorgegangenen Nacherzähler ebenso unfassbar wie das Ausmaß der Verzweiflung, das sich ihrer nach der Vertreibung aus dem Paradies und dem Zusammenstoß mit der Realität bemächtigt haben mag. Weitaus greifbarer hingegen erscheint mir nach Sichtung der mir zugänglichen lebensgeschichtlichen und literarischen Quellen der Gedanke, dass die narzisstische Wut der enttäuschten Frauen beherrschender war als ihr Bedürfnis, im Augenblick des Zusammenbruchs einer kollektiven Allmachts-

fantasie so etwas wie einen seelischen Lastenausgleich mit ihren geschlagenen Männern zu suchen: Das »bisschen« Rauben, Morden und Brandschatzen hätten sie ihnen wohl verziehen, wären sie nur als Sieger heimgekommen.

Die Verlierer sind tot und die Sieger auch, aber die weibliche Unzufriedenheit mit dem anderen Geschlecht pflanzt sich, taumelnd zwischen Idealisierung und Abwertung, durch die postheroischen Generationen fort, als sei seit der alliierten Rückversetzung auf das zitierte Nachtgeschirr kein Tag vergangen, und der einzige Fortschritt besteht darin, dass die Tochter und Enkelinnen der Kriegsmütter in der märchenhaften Sammlung des literarischen Volksvermögens lediglich eine andere Seite aufgeblättert haben: Vom Fischer und seiner Frau zum König Drosselbart. Die Kandidaten sind entweder zu groß oder zu klein, zu jung oder zu alt, zu weich oder zu roh, zu kalt oder zu heiß, zu klebrig oder zu flüchtig, und wenn der letzte verprellte Freier im Galopp die Burg verlassen und die biologische Uhr das Ende der Fruchtbarkeit angezeigt hat, weint die Prinzessin in ihr goldenes Bidet und erinnert sich des bewährten Klassifikationsschemas ihrer Vorgängerin: Alles Schweine.

Wen wundert es, so frage ich mich, dass den Männern die Lust abhanden gekommen ist. Jetzt, so scheint mir, sind die Frauen am Zug.

Przedruk artykułu z czasopisma *Neue Gesellschaft*. Frankfurter Hefte, nr 1-2/2007, str. 82-86

Komunikacja interkulturowa

Helmut Hofbauer

Über Werner Wintersteiners Konzept einer interkulturellen Literaturdidaktik

Es ist sehr wichtig, dass Erziehung und Schule eine positive Einstellung zu Vielfalt und Differenz entwickeln. Das ist nicht selbstverständlich, denn schließlich war es lange Zeit die Hauptaufgabe der Schule, nationale und kulturelle Homogenität zu erzeugen.

(Poetik der Verschiedenheit, S. 97)

Dieser Artikel soll nicht einfach nur eine Rezension zu Werner Wintersteiners Buch *Poetik der Verschiedenheit. Literatur, Bildung, Globalisierung* (Drava Verlag, Klagenfurt 2006) sein, sondern ich möchte in diesem Beitrag Werner Wintersteiners Konzept einer interkulturellen Literaturdidaktik, die trotz bestimmter Kritikpunkte meine Sympathie gewonnen hat, vor- und zur Diskussion stellen. Man wird sehen, es handelt sich um eine sehr ungewöhnliche Konzeption, die im Falle, dass sie sich durchsetzen würde (was mir als sehr wenig wahrscheinlich er-

scheint), sehr viel verändern würde und zwar sowohl, was unser Verständnis von Literatur betrifft, als auch in Bezug auf die literaturpädagogische Praxis wie auch auf die Institutionen literaturwissenschaftlicher Sammlung und Aufarbeitung von Literatur.

1. Literatur an sich ist interkulturell

An sich würde man sich unter interkultureller Literaturdidaktik oder auch unter interkultureller Literaturwissenschaft vorstellen, dass man sich mit der

| |

Helmut Hofbauer: Über Werner Wintersteiners Konzept...

Literatur einer anderen Kultur befasst, sehr wahrscheinlich in einer Fremdsprache und vielleicht auch komparatistisch, also im Vergleich mit der Literatur des eigenen Landes. Für alle diejenigen, die so denken, beginnt Werner Wintersteiners Konzept einer interkulturellen Literaturdidaktik mit einem Paukenschlag: Für ihn ist es nämlich nicht erst dann interkulturelle Literaturdidaktik, wenn man sich mit der Literatur einer anderen Kultur beschäftigt, sondern er hält Literatur selber von Haus aus für interkulturell. Wintersteiners Konzept von der Interkulturalität der Literatur findet sich bereits in einem 2001 publizierten Sammelbandartikel mit dem Titel *Doppelte Fremdheit. Anmerkungen zum Begriff „Interkulturelle Literaturdidaktik“*

In Wirklichkeit ist bereits die Produktion eines literarischen Textes notwendig ein Akt der Kommunikation mit einem fremden Element. (...) Zuge-spitzt könnte man sagen, dass Literatur in jeder Sprache und jeder Kultur „interkulturell“ und „mehrsprachig“ ist. Interkulturalität ist also nicht erst die Leser-Text-Beziehung, die Rezeption, sondern eine Dimension, die bereits die Produktion des Textes bestimmt. Dies hängt eng mit der schon bei Bachmann anklingenden Funktionsweise der Kunst zusammen. Um einen neuen Gesichtspunkt einzunehmen, muss Literatur nicht bloß das bisherige Feld der Alltags-Sprache verlassen, sondern sich zugleich an den Rand der eigenen Kultur begeben. Sonst ist es unmöglich, etwas Neues zu sagen. Jegliches literarische Kunstwerk ist somit eine „Abweichung“ vom kulturell Gewohnten und Normierten, eine Abweichung, die aber wenn erfolgreich, den Kanon des Gewohnten und Normierten erweitert.

Deshalb der permanente Zwang zu neuen Ausdrucksformen, die – wie Ingeborg Bachmann nicht müde wird zu betonen – kein Selbstzweck sind...“

(Werner Wintersteiner, „Doppelte Fremdheit. Anmerkungen zum Begriff „Interkulturelle Literaturdidaktik“, S.170-171.)

Was ist hier wichtig? Alltägliches Wahrnehmen ist kein Erkennen, sondern ein bloßes Wiedererkennen. Die Literatur möchte uns zum wirklichen Wahrnehmen animieren, verleiten oder zwingen, dazu muss sie uns aus unserem Alltagstrott herausholen. Unser Alltagstrott, das ist unsere Kultur. Die Kultur ist dasjenige Element, das für uns das Normale, das Bekannte und Gewohnte schafft. Mit ihr kommt die Routine (oder durch sie wird die Routine eigentlich auch erst möglich, denn sie ist ja als Vereinfachung und Beschleunigung alltäglicher Verrichtungen auch eine Leistung der Kultur), die uns dazu bringt, unsere Wahrnehmung und unser Denken so zu automatisieren, dass wir Einzelnes gar nicht mehr wahrnehmen. Die Literatur hingegen wirkt gegen die Kultur – sie versucht, uns zu irritieren, das Dargestellte zu verfremden, uns zu schockieren und verfolgt mit alledem den Zweck, uns dazu zu bewegen, von Zeit zu Zeit innezuhalten, um uns ein einzelnes Ding bewusst anzuschauen, damit wir wieder zu Bewusstsein kommen und fähig werden zur Reflexion.

Ich wiederhole diesen ungewohnten Gedanken: Die Literatur wirkt der Kultur entgegen! Und zwar wirkt sie ihr in dem Sinn entgegen, dass ein Schriftsteller/eine Schriftstellerin unter Zuhilfenahme neuer Formen und aller sonstiger auffindbarer Mittel aus dem Gewohnten (aus der Kultur) heraustreten, eigentlich

ausbrechen, muss, um überhaupt in der Lage zu sein, etwas Neues und Interessantes zu sagen. Wintersteiner nennt dieses Phänomen den „implizit oder latent interkulturellen Charakter der Literatur.“

Jede Literatur der Fremdheit basiert, wie sich gezeigt hat, auf der Fremdheit der Literatur, d.h. auf ihrem implizit oder latent „interkulturellen Charakter“, aus ihrer grundsätzlichen Opposition zur Kultur des Mainstreams. Diese latente Interkulturalität von Literatur manifestiert sich in vierfacher Weise:

- von ihrer Perspektive her: als der „fremde Blick“ auf die Gesellschaft
- von ihrer Machart her: als von der Norm abweichender Umgang mit Sprache mit Hilfe fremder Elemente
- von ihrer Wirkung her: als Des-Automatisierung der (kulturell beeinflussten) Wahrnehmung
- von ihrem Kulturverständnis her: als Überschreiten der Kulturgrenzen (und ihre gleichzeitige Erweiterung).“

(Poetik der Verschiedenheit, S. 277)

Wenn Literatur verfremdet, mit neuen, noch fremden Formen experimentiert und uns aus dem Alltagswahrnehmen herausholt, dann hat sie, wenn man so will, gewissermaßen die Funktion, das Fremde in unser Leben hineinzubringen – und dann unterscheidet unsere eigene Literatur auch nicht mehr so viel von der fremden, haben sie doch beide dieselbe Funktion, nämlich die Fremdheit, das Befremden gegenüber ihrer eigenen Kultur zu verkörpern und darzustellen. Möglicherweise verwendet ein Schriftsteller/eine Schriftstellerin zum Zwecke der Verfremdung und des Ausbruchs aus der eigenen Kultur auch Elemente aus einer fremden Sprache oder Kultur (wofür es konkrete Beispiele gibt).

Ich möchte hier schon gestehen, dass Werner Wintersteiner mit diesem Konzept von der Literatur als etwas an sich Interkulturellem meine Sympathie gewonnen hat. Der Grund dafür liegt darin, dass Literatur in dieser Konzeption ausgehend vom einzelnen Schreiber (Schriftsteller) oder Leser aus betrachtet wird. Wintersteiner hat mit seiner Darstellung der Literatur als an sich interkultureller gut das getroffen, was der einzelne Schriftsteller/die einzelne Schriftstellerin mit seinem/i ihrem Schreiben erreichen will. Und auch von Seiten des Lesers her gesehen gibt es keinen größeren Gewinn zu verzeichnen, als aus der Alltagsroutine hinausgeworfen zu werden und die seltene und kostbare Gelegenheit zur Reflexion über diese oder jene einzelne Frage zu erhalten; das fühlt sich so an, wie wenn man aus einem langen, engen Tunnel für kurze Zeit ins Freie hinaustreten darf.

Das ist die eine Seite, die Seite der persönlichen Vorliebe. Ich lese und schreibe aus genau dem von Werner Wintersteiner beschriebenen Grund: Um aus dem Alltag hinaustreten zu können, um die Entfremdung und Selbstentfremdung zu überwinden und zur Reflexion angeregt zu werden, kurz: um zu Bewusstsein zu kommen. Die andere Seite dieser sehr persönlichen Bestimmung von Literatur ist die Frage, ob sie sich denn wissenschaftlich auch durchsetzen ließe? Literaturdidaktisch schon eher, besonders wenn man die Schüler/Schülerinnen und Studenten/Studentinnen als Individuen sieht, als individuelle Leser/Leserinnen, die durch die Lektüre zur persönlichen Reflexion angeregt werden sollen, was wiederum ihre geistige Selbstständigkeit

und persönliche Autonomie befördern soll. Aber was soll die Wissenschaft anfangen und zumal die Literaturwissenschaft mit einem solch persönlichen, fast schon philosophischem, weil gleichsam vom „Wesen“ der Literatur abgeleiteten, Literaturbegriff?

Ich möchte versuchen, diese Frage so zu formulieren, dass man über sie nachdenken kann: Es erscheint mir möglich und wahrscheinlich, dass Werner Wintersteiner diesen seinen Literaturbegriff von der „latent interkulturellen Literatur“ bei seiner stillen, einsamen Lektüre gefunden hat; ein wissenschaftlicher Literaturbegriff muss aber nicht nur die Prüfungen der stillen Lektüre bestehen, sondern vor allem die Belastungen des Wissenschaftsbetriebs aushalten. Kann der neue Begriff von Literatur als „latent interkultureller“, welcher von der Produktionsintention des einzelnen Schriftstellers und der Leseerfahrung des einzelnen Lesers her gedacht ist, diese Belastungen aushalten? Ich glaube nicht, dass er das kann.

Eine weitere Frage, die in diesem Zusammenhang zu klären wäre, wäre diese: Dieselbe Literatur, die vorher national war, soll also jetzt, nach Wintersteiners Bestimmung, an sich oder von Haus aus interkulturell sein – wie ist das möglich? Tatsache ist, dass Literatur seit ungefähr 200 Jahren vorzüglich dazu verwendet wird, um nationale Identität zu fördern – und nicht, um junge Menschen interkulturell zu bilden. Ja, man kann sogar sagen, dass die Literatur in diesen letzten zwei Jahrhunderten überhaupt nur deshalb so großen Erfolg gehabt und eine solche Verbreitung gefunden hat, wie es geschehen ist, weil sie eben diese Fähigkeit hat, als Nationalliteratur das natio-

nale Bewusstsein der Staatsbürger zu formen und zu stärken. Wintersteiner nimmt selbst im 2. Kapitel seines Buches *Die Poetik der Verschiedenheit* Bezug auf dieses Thema. Hier finden sich Unterkapitelüberschriften wie „Die Erfindung der Nation mittels Zeitung und Roman“. Freilich kann man sagen, wenn das so ist, dann habe die Literaturdidaktik Literatur bisher eben falsch gelehrt und nun möge man aufhören, die Literatur für die Nationenbildung zu missbrauchen und mittels einer interkulturellen Literaturdidaktik den veränderten Bedingungen einer globalisierten Welt gerecht werden. So ungefähr argumentiert Werner Wintersteiner nämlich. Aber – und das wäre nun mein Argument – wenn Literatur an sich selber schon interkulturell sein soll, dann zeigt die Tatsache, dass sie sich zwei Jahrhunderte lang für die Herausbildung und Bekräftigung des nationalen Bewusstseins verwenden hat lassen doch, dass diese Bestimmung nicht das Wesen der Literatur selber trifft, sondern nur eine Facette an ihr. Literatur ist an sich unter anderem auch interkulturell, weil sie das Feld des kulturell Gewohnten erweitert; aber nach dieser Erweiterung wird das neu Hinzugewonnene eingemeindet und wird selber zum Gewohnten, um das herum sich die Wir-Gruppe scharen kann.

2. Man sollte nicht in erster Linie eine andere Literatur lesen als bisher, sondern ein anderes Bild von Literatur vermitteln als bisher

Wenn Literatur an sich selber schon interkulturell ist, so wie es aus Werner Wintersteiners Konzeption hervorgeht,

was macht man dann eigentlich Besonders in der interkulturellen Literaturdidaktik? Liest man dann überhaupt noch Texte, die einer anderen, fremden Literatur entstammen? Oder ist dann das Lesen der literarischen Werke eigenkultureller Herkunft auch schon interkulturelle Literaturdidaktik? Man sieht, Werner Wintersteiners neuer Literaturbegriff wirft Fragen auf, die dann in weiterer Folge auch an anderen Orten nach neuen Bestimmungen verlangen. Die Antwort auf diese Frage konkret ist, dass man sich schon mit Literatur aus anderen Kulturen beschäftigen sollte und möglichst auch in mehreren Sprachen. Man soll sich auch, das ist für Wintersteiner ein wichtiges Anliegen, mit der Literatur von Migranten und Minderheiten beschäftigen. Der Hauptpunkt bei der Antwort auf die Frage, was denn nun genau interkulturelle Literaturdidaktik sei, im Anschluss an diese Neubestimmung der Literatur als an sich interkulturell, ist aber die: Um interkulturelle Literaturdidaktik zu praktizieren, ist es nicht so wichtig, andere Texte zu lesen als bisher, als ein anderes Bild von Literatur zu vermitteln als bisher.

Interkulturelle Literaturdidaktik besteht nicht einfach darin, andere Texte zu präsentieren, sondern zunächst darin, neue Kontexte bei der Beschäftigung mit Literatur herzustellen. Dies erfolgt auch durch die Konfrontation von bekannten und kanonischen Texten mit bisher marginalisierten Literaturen, die ein anderes Bild von Literatur vermitteln. Ein wichtiger Schritt ist die Einbeziehung der Literaturen der Minoritäten, der MigrantInnen, des Exils, des Dazwischen.

(Poetik der Verschiedenheit S. 277)

Interkulturelle Literaturdidaktik besteht natürlich auch darin, andere Literatur zu lesen, aber vor allem besteht sie, Werner Wintersteiners Argumentation zufolge, darin, ein anderes Bild von Literatur zu entwerfen. Dieses andere Bild von Literatur soll vor allem auf die von ihm in Anschluss an Franz Kafka so genannten „kleinen Literaturen“ fokussieren, das sind die Literaturen kleiner Völker und Volksgruppen, von Minderheiten und Migranten, und sie im Gegensatz zu den „großen Literaturen“, den Nationalliteraturen bevölkerungsreicher Staaten und großer sprachlicher Gruppen, besonders hervorheben. Diese besondere Hervorhebung der „kleinen Literaturen“, hat, so wie ich Werner Wintersteiner verstehe, zwei hauptsächliche Gründe. Der erste ist politisch und bezieht sich auf die gegenwärtige Entwicklung der Welt, auf die „Globalisierung“: In der heutigen Weltsituation werden Phänomene wie die weltweite Migration und das Vorhandensein von „Gastarbeitern“ in vielen Ländern des Westens immer stärker. „Kleine Literaturen“ drücken die Erfahrungen ebendieser entwurzelten und anderswo gestrandeten Menschen aus, und damit drücken sie Erfahrungen aus, die heutzutage von immer mehr Menschen gemacht werden. Kurz gesagt, ein wichtiger Grund, warum man interkulturelle Literaturdidaktik betreiben sollte, ist heute der, dass die Welt selber viel interkultureller geworden ist, weil viel mehr Menschen Migranten sind. Nun machen alle diese Menschen, die sich in einem fremden Land vorfinden, die Erfahrung, zu einer Minderheit zu gehören, zu einer Gruppe, die um vieles kleiner und schwächer ist als die Mehrheit und von dieser oft als

minderwertig betrachtet wird oder als etwas Fremdes, das nicht hier hergehört und wieder „nach Hause“ gehen sollte. Die Erfahrung, zu einer Minderheit zu gehören und eine gefährdete Identität zu haben, die man vor der Mehrheit verteidigen muss, ist also in unserer globalisierten Welt allgemein geworden. Deshalb können gerade die Erfahrungen von Minderheiten oder Migranten als prototypisch dafür genommen werden, wie Interkulturalität heutzutage am häufigsten passiert und erlebt wird.

Der zweite Grund dafür, warum die Literatur von Minderheiten und Migranten in Werner Wintersteiners Konzeption von interkultureller Literaturdidaktik so wichtig ist, scheint mir darin zu liegen, dass er um eine grundsätzliche Politisierung oder Repolitisierung der Literaturdidaktik bemüht ist. Die Schüler/Schülerinnen oder Studenten/Studentinnen sollen lernen, dass es nicht hauptsächlich oder gar ausschließlich um die eine Kultur versus die andere geht, sondern eher um das Große versus das Kleine, das Geschützte versus das Gefährdete. Große Kulturen unterdrücken kleine Kulturen allein durch ihre Größe und Ressourcen; nationale Literaturgeschichtsschreibungen unterdrücken die Literaturen von Minderheiten durch Nichtwahrnehmung und Nichterwähnung. Die Repolitisierung des Literaturunterrichts soll die Lernenden einerseits dafür sensibilisieren, dass sich hinter kulturellen Unterschieden oft Machtunterschiede und ökonomische Dominanz- und Abhängigkeitsverhältnisse verbergen; gleichzeitig sollen die kulturellen Unterschiede aber nicht in bloße Machtunterschiede aufgelöst werden, sondern es soll im Ge-

genteil darauf hingewiesen werden, wie wichtig es gerade für kleine Gruppen ist, dass auch sie Mittel zur literarischen und kulturellen Repräsentation finden.

Wiederum finde ich mich hier sehr ansprechenden und zum Teil auch sehr richtigen Grundgedanken gegenüber: Für sehr wichtig halte ich zum Beispiel den Gedanken, dass die Literaturdidaktik (endlich) zur Kenntnis nehmen sollte, dass sich die Welt heute durch weltweite Wanderungsbewegungen grundlegend geändert hat und dass das Interkulturelle in Form von Minderheiten, Migranten und Heimatlosen zwischen den Kulturen heute ubiquitär geworden ist; als wichtig für die Lernenden erscheint es mir, wenn sie durch konkrete literarische Beispiele von Minderheiten- oder Migrantenliteratur in ihrer Reflexionsfähigkeit eine andere Stufe erreichen, auf der sie in der Lage sind, gleichsam durch die (heute allgegenwärtige) Rede von den interkulturellen Unterschieden hindurch zu sehen auf das Gewebe aus, dem sie gemacht sind: auf diese Dynamik aus sozialen und ökonomischen Unterschieden und dem Kampf um Anerkennung und Repräsentation als Reaktion auf diese Unterschiede.

Das ist die eine Seite, die positive, die andere sieht wiederum so ähnlich aus wie im Falle des weiter oben schon kritisierten sehr persönlichen Literaturbegriffs: Werner Wintersteiners Konzeption scheint darauf hinauszulaufen, den Menschen beibringen zu wollen, das Kleine mehr als das Große zu ehren, sich umzuorientieren von der den großen Literaturen auf die kleinen – und das wiederum dürfte eine „Umwertung aller Werte“ darstellen, die mit den Menschen nicht leicht zu bewerkstelligen sein wird. Die Aufhe-

bung der Schwerkraft der Erde ist demgegenüber vielleicht das leichtere Kunststück. Ich kann mir gerade noch vorstellen, dass man einzelne Literaturlehrer dazu bringen kann, sich mit der Literatur von Minderheiten, Immigranten und Gastarbeitern zu beschäftigen und diese auch im Literaturunterricht zu vermitteln, aber die Literaturwissenschaft, das ist doch jenes kollektive Unternehmen, welches den Zweck hat, manches als groß herauszustellen und es eben deswegen breit darzustellen und sich daran zu erinnern. Das ist sozusagen die Dynamik der wissenschaftlichen Arbeitsweise: Selbst wenn ein unbekannter oder vergessener Autor wiederentdeckt wird, so nicht deswegen, weil er unbekannt oder „klein“ ist, sondern weil er so gut geschrieben hat, dass er, jedenfalls nach der Meinung seiner Wiederentdecker, ebenfalls das Recht haben sollte, oben auf dem Sockel neben den großen Literaten zu stehen.

Nun haben wir ohnehin schon durch die Aufteilung der Welt in viele Nationen das Kunststück zuwege gebracht, dass es viele verschiedene Systeme von großen Literaten geben kann, nämlich für jedes Land eines, was die Anzahl der großen und damit der wahrgenommenen Autoren beträchtlich vergrößert hat. Demgegenüber nun auch noch die kleinen Literaturen und die kleinen Literaten wahrnehmen zu sollen, wird die Zahl der Namen, die man kennen sollte, explodieren lassen und niemand wird mehr die Übersicht behalten können.

Das Hauptargument gegen eine solche Aufwertung der „kleinen Literaturen“, wie sie Werner Wintersteiner vorschlägt, scheint mir aber das zu sein, dass das diametral gegen die soziale Funk-

tionslogik des gesamten Literaturbetriebs und Literaturwissenschaftsbetriebs geht. In diesem „Betrieb“ werden Autoren deshalb untersucht, weil man sie für „groß“ oder „bedeutend“ hält, und auch der nächsten Generation werden gelehrt mit der Rechtfertigung, dass sie wirklich „große“ Dichter seien. Und wie soll das in Zukunft funktionieren?

3. Die derzeitige Situation: Erhaltung der Interkulturellen Kommunikation innerhalb des nationalen Paradigmas

Werner Wintersteiner kann allerdings für sein Konzept einer neuen interkulturellen Literaturdidaktik einen guten Grund, einen guten Rechtfertigungsgrund vorweisen, den ich insbesondere auf dem Gebiet der interkulturellen Kommunikation auch sehe. Dieser Grund kommt an ganz wenigen Stellen in der *Poetik der Verschiedenheit* explizit vor, an einer davon liest es sich so:

Die Tatsache, dass heute internationale Erziehung, Europa-Erziehung, interkulturelles Lernen, globales Lernen usw. propagiert (und bis zu einem geringen Grade auch wissenschaftlich betrieben) werden, reicht keineswegs aus. Sie sind eher ein Symptom dafür, dass im Zentrum für Pädagogik und Fachdidaktik das nationale Paradigma noch nicht überwunden ist.

(Poetik der Verschiedenheit S. 285)

Hier handelt es sich um ein äußerst ernstes Problem: Die Mode der interkulturellen Kommunikation, die wir jetzt haben und die sich in einer Masse an Büchern und Angeboten für interkulturelle Trainings äußert, scheint mir eigentlich eher nicht so sehr darauf hin-

zuweisen, dass wir jetzt unsere engen nationalen Sichtweisen überwinden und uns mehr interkulturelles Wissen und interkulturelle Sensibilität zulegen wollten; ganz im Gegenteil „sie sind eher ein Symptom dafür...“, wie Werner Wintersteiner sagt, dass wir am liebsten in unseren gewohnten stereotypischen, national verengten Sichtweisen verbleiben möchten.

Die Ausbildung einiger Spezialisten, die zwischen den Kulturen zu vermitteln verstehen und die Misstöne und Unstimmigkeiten beim Zusammenstoß divergierender Ansichten oder intoleranter Meinungen glätten, ermöglicht es den Übrigen, auch weiterhin intolerant und kulturunsensibel zu bleiben, weil es jemand anderen gibt, der ihre Fehler wieder ausbügelt. Wir lehren und lernen heute interkulturelle Fähigkeiten, ohne deswegen bereit zu sein, alle zusammen ein wenig interkultureller zu werden. Die Interkulturelle Kommunikation ist eine Reaktionsbildung auf eine zunehmend interkulturellere Welt, indem man versucht, mit dieser veränderten Situation so zurechtzukommen, dass möglichst wenig durch sie verändert wird.

Halbherzig, das könnte ein passendes Wort dafür, wie interkulturelle Kommunikation heute betrieben wird. Bei Werner Wintersteiner liest sich das etwas milder: das „nationale Paradigma“ sei noch nicht „überwunden“, aber gemeint ist im Grunde dasselbe. Auf Seite 103 zitiert Wintersteiner eine Definition interkultureller Kompetenz von Meyer und meint dann:

Dieses Konzept ist noch von der Ge-
genüberstellung Wir versus die Anderen
bestimmt. Hier dominiert die Sorge,

dass der kulturelle Kontakt möglichst zu keinen Veränderungen führen möge, wenn als Ziel angegeben wird „mit sich selbst und seiner kulturellen Herkunft identisch zu bleiben“. Transnationale Identitäten haben hier keinen Platz. Damit wird die Chance auf Entwicklung – was nicht identisch ist mit kritikloser Übernahme alles Neuen und Anderen – geleugnet und verstellt. Interkulturelle Bildung, so können wir zusammenfassen, bewegt sich im Dazwischen und ist selbst ein Faktor, der dieses Dazwischen schafft.

(Poetik der Verschiedenheit. S. 103)

Mit dem Faktor, der dieses Dazwischen auch schafft, ist natürlich gemeint, dass die interkulturelle Bildung und mithin auch die interkulturelle Literaturdidaktik solche transnationalen Identitäten schaffen soll, das sind Menschen, die sich weder ihrer Herkunftskultur noch der Zielkultur, in der sie jetzt leben, zugehörig fühlen, sondern die es sich im Dazwischen eingerichtet haben. Ich kann mir denken, dass diese Vorstellung sehr vielen Menschen nicht gefallen wird! Aber andererseits, wenn interkulturelle Kommunikation mehr sein soll als das bloß temporäre Überbrücken der Kluft zwischen zwei Kulturen in Einzelsituationen, wenn es wirklich auf Austausch und Verständigung hinauslaufen soll, wie kann man sie sich dann ohne die Schaffung solcher transnationaler, solcher interkultureller (zwischen den Kulturen angesiedelten) Menschen vorstellen?

Wintersteiner geht zwar nur an sehr wenigen Stellen seines Buches explizit auf dieses so wichtige Problem ein, aber sein ganzes Konzept einer interkulturellen Literaturdidaktik ist natürlich vor diesem Hintergrund aufgebaut. Deshalb will es

auch nicht das sein, wovon ich am Anfang gesagt habe, dass man es sich als Unbedarfter wohl unter dem Titel „interkulturelle Literaturdidaktik“ oder „interkultureller Literaturwissenschaft“ vorstellen würde, nämlich die Lektüre von Werken aus einer anderen Literatur, das ist: der einmalige Sprung über die Kluft, welche die eigene von der fremden Kultur trennt. Werner Wintersteiners interkulturelle Literaturdidaktik will mehr sein als das, viel mehr. Deswegen ist die *Poetik der Verschiedenheit* ein Plädoyer für eine globale Bildung, die aus den Menschen Kosmopoliten macht mit einem Verantwortungsgefühl für ihr „Heimatland Erde“ (vgl. S. 39). Mit dieser Zielvorstellung lässt Werner Wintersteiners die einzelnen Kulturen jedoch nicht einfach zugunsten eines weltumspannenden Universalismus hinter (oder unter) sich, denn sein Konzept basiert auf der Idee der „Glokalisierung“, durch welche die regionale Verankerung innerhalb eines globalen Denkens erhalten bleibt:

Nationale Kategorien werden durch Besinnung auf regionale Identitäten unterlaufen wie auch durch eine kosmopolitische Perspektive überwunden.

(*Poetik der Verschiedenheit*, S. 277)

Für mich liegt hier der größte Pluspunkt von Werner Wintersteiners Buch. Es ist das für mich das erste Mal gewesen, dass ich einmal erleben konnte, wie jemand den ganzen Fragehorizont des Themas Interkulturalität so weit öffnet, wie ich eigentlich meine, dass man das tun sollte – und wie ich es nie zuvor im Fach der Interkulturellen Kommunikation gesehen habe. Dort wird immer nur darüber verhandelt, wie man den inter-

kulturellen Kontakt so reibungslos wie möglich gestalten und Missverständnisse vermeiden könne, gerade so, als ob die Frage der Interkulturalität auf das Gelingen einzelner Situationen beschränkt wäre – und dann geht jeder wieder nach Hause und ist genauso wie vorher, unverändert!

4. Die Begründung der interkulturellen Literaturpädagogik durch politische Kategorien

Zugrunde liegt ihr [der interkulturellen Pädagogik] ein gesellschaftliches Konzept, das die Verschiedenheit in kultureller Hinsicht nicht als Hindernis für das Zusammenleben in einem demokratischen Staat betrachtet. Sie anerkennt die Tatsache der multikulturellen Gesellschaft und betrachtet diese nicht als notwendiges Übel, sondern als positiven Wert.

(*Poetik der Verschiedenheit*, S. 41)

Ein Ausdruck genügt, um zu zeigen, aus welcher politischen Ecke Werner Wintersteiner kommt: „multikulturelle Gesellschaft“. Aber es ist nun nicht so, dass ich persönlich etwas gegen die multikulturelle Gesellschaft hätte, nein, ich kenne nur die Einstellung meiner Landsleute, der Österreicher dazu und weiß, dass das in Österreich (und wahrscheinlich auch in den meisten anderen Ländern Europas) kein mehrheitsfähiges politisches Programm darstellt. Von diesem Gesichtspunkt aus halte ich es eigentlich für sehr unvorsichtig, wenn man seine theoretische Konzeption einer interkulturellen Literaturdidaktik, für die man gute Argumente hat, der Gefahr aussetzt, nicht beachtet zu werden, indem

man sie mit einer bestimmten gesellschaftspolitischen Zielvorstellung verbindet.

Postkolonialismus und Globalisierung als anhaltende Tendenzen erzeugen eine bis dato nie gekannte Verflochtenheit der Weltwirtschaft, Weltpolitik und Weltkultur. Aufgabe einer fortschrittlichen Pädagogik in dieser Situation ist die Neudefinition von Bildung als Beitrag zu einer solidarischen Weltgesellschaft.

(Poetik der Verschiedenheit. S. 80)

Aber ich halte diese Herangehensweise, dass man literarische Bildung definiert ausgehend von den Notwendigkeiten der veränderten politischen Weltlage nicht nur für unvorsichtig, nein, für mich ist das der große Minuspunkt dieses Buches. Auf zwei Punkte, die damit zusammenhängen, möchte ich genauer eingehen: Der erste betrifft den Zusammenhang von Politik und Wissenschaft, der zweite den von Politik und Literatur.

Was das Thema Politik und Wissenschaft betrifft, so bin ich der Meinung, aber ich denke an sich auch, dass das allgemein so gesehen wird, dass die Wissenschaft nur deshalb etwas behaupten sollte, weil es der Sache nach richtig ist und nicht weil es irgendwelchen politischen Zielvorstellungen entspricht. Vielleicht würden mir manche widersprechen und sagen, ja aber die *British Cultural Studies* seien doch auch politisch gewesen. Das stimmt freilich, die Gründungsväter der *British Cultural Studies* Richard Hoggart und Raymond Williams haben beispielsweise dazu beigetragen, dass der traditionelle Kulturbegriff, der auf die Hochkultur beschränkt war, erweitert wurde zu einem, der das gesamte gesellschaftliche

Leben aller Menschen und auch das Alltagsleben umfasst. Sie taten auch deswegen, weil sie aus der Arbeiterklasse stammten und wollten, dass die Kultur der Arbeiterklasse Großbritanniens die ihr entsprechende Würdigung finde. Gut, aber ich akzeptiere diese Erweiterung des traditionellen Kulturbegriffs ja nun nicht deshalb, weil sie politisch motiviert war (Aufwertung der Arbeiterklasse) und weil ich mit diesem politischen Ziel übereinstimme, sondern deshalb, weil ich meine, dass sie der Sache nach richtig ist. Überdies muss ich sagen, frappiert es mich, wie ungeniert politisch Wintersteiner in seinem Buch argumentiert. Täte ich das, würde ich längst schon erwarten, dass mir jemand mit „Herr Kollege, das ist aber unwissenschaftlich!“ über den Mund fährt.

Was das Thema Politik und Literatur betrifft, reagiere ich sogar noch gereizter auf Wintersteiners Zumutungen; nun aber nicht als jemand, der sich im wissenschaftlichen Feld bewegt und mit den Regeln der Wissenschaftlichkeit sein Auskommen hat finden müssen, sondern als Leser und Liebhaber von Literatur. Ich lasse mir auf keine Weise einreden, dass ich irgendeine bestimmte Literatur lesen sollte oder sie auf eine bestimmte Weise interpretieren sollte, weil das aus dieser Welt eine bessere Welt machen würde. Hier verschließt sich Werner Wintersteiner bei mir sogleich wieder jene Türen, die er sich mit seinem oben erläuterten latent interkulturellen Literaturbegriff geöffnet hatte. Ich wünsche mir keine Einflussnahme auf die Literatur durch eine politische Ideologie – und selbst wenn es sich um das Ziel einer toleranteren und friedlicheren Welt han-

delt, ist das noch immer eine solche politische Einflussnahme. Noch würde ich wollen, dass Literatur gelesen oder gelehrt wird zu dem Zweck, dass die Welt eine bessere werde. Das hat die Literatur nicht nötig! Will man mich davon überzeugen, dass Literatur auf diese oder jene Weise gelesen bzw. interpretiert werden sollte, so ist allein das Argument, dass diese Weise der Literatur angemessener ist, das richtige. Aus diesem Grund hat mich ja auch die Darstellung der Literatur als latent interkultureller angesprochen, denn das ist tatsächlich die Art, wie Literatur funktioniert, es ist die Weise, wie der Schriftsteller nach etwas sucht, das nicht schon oft geschrieben worden ist, aber es stellt auch den Grund dar, warum ich mich als Leser wieder einem Buch zuwende und diesem dann sehr dankbar ist, wenn es mich aus der Automatisierung der Wahrnehmung im Alltag herausholt.

Schluss

Diese persönliche (aber auf Argumenten beruhende) Auseinandersetzung mit Werner Wintersteiners Konzept einer interkulturellen Literaturdidaktik und insbesondere mit seinem Buch *Poetik der Verschiedenheit* soll eine Anregung zur Diskussion sein. Ich möchte nicht darauf vergessen zu erwähnen, dass dieses Buch auch eine Fülle an hochinteressanten li-

terarischen Beispielen enthält, die für einen Unterricht in interkultureller Literaturdidaktik brauchbar sein können (oder einfach den Gesichtskreis erweitern und spannend zu lesen sind) und es daher für alle möglichen Leser und Leserinnen interessant ist. Aber dieses Buch ist eben auch aus einer bestimmten politischen und weltanschaulichen Perspektive heraus verfasst, für die wohl auch die Namen der am häufigsten zitierten Autoren stehen mögen, wie z.B.: Édouard Glissant, Edgar Morin, Enrique Dussel, John Berger, Edward Said etc. (dieses Buch ist also Teil eines bereits existenten und etablierten Diskurses), und aus diesem Grund besteht die Wahrscheinlichkeit, dass es nur von solchen Menschen gelesen werden wird, die die ihm zugrunde liegenden weltanschaulichen Voraussetzungen teilen. Nichtsdestotrotz enthält es viele interessante Ideen und einige gute Ansätze für die interkulturelle Literaturdidaktik und mich würde interessieren, was man von ihm hält.

Werner Wintersteiner: *Poetik der Verschiedenheit. Literatur, Bildung, Globalisierung*. Drava Verlag, Klagenfurt 2006.

Werner Wintersteiner: „Doppelte Fremdheit. Anmerkungen zum Begriff „Interkulturelle Literaturdidaktik““, in: Sonja Kuri, Robert Saxer (Hg.): *Deutsch als Fremdsprache an der Schwelle zum 21. Jahrhundert*. Studienverlag, Innsbruck 2001. S. 162-180.

Podróże i spotkania

Matthias Kneip

Eine alte Fabrik in neuen Kleidern – Łódź

Während einem meiner Spaziergänge durch Lodz stoße ich im Süden der Stadt auf ein altes, halb verfallenes Fabrikgelände. Ein riesiger Schornstein aus roten Ziegeln mit zwei weißen Streifen an der Spitze hat mir den Weg gewiesen, mich in seinen Bann gezogen auf der Suche nach den Spuren aus alten Zeiten, fernab des kommerziellen Trubels auf der Piotrkowska-Straße. Die Fabrik liegt vor mir wie ein unbeerdigter, aber dennoch halbwegs konservierter Leichnam, der irgendwie übrig geblieben ist, unbeachtet und vergessen, ein stummer Zeuge vergangener Tage dieser Stadt, deren Größe es sich heutzutage leisten kann, hier und dort mal einen Flecken unbeachtet zu lassen.

Es fällt mir schwer zu glauben, dass vor zweihundert Jahren hier in Lodz gerade mal 200 Menschen lebten. Ein Dorf mit Stadtrechten sozusagen, bevor Anfang des 19. Jahrhunderts Tuchmacher und Weber aus dem Westen angeworben wurden, die dieses Dorf zu einem der

größten Textilimperien Europas ausbauten. Vor allem deutsche und jüdische Kaufleute trieben die industrielle Entwicklung voran. Innerhalb weniger Jahrzehnte entstand auf diesem Flecken Polens eine Textilfabrik und Weberei nach der anderen, bis sich alles irgendwann zu einer riesigen Stadt zusammenfügte, strukturierte, einem Geschwür gleich sich zu einem gigantischen Produktionshaufen entwickelte, der seine Ware in aller Herren Länder exportierte. Russland, Persien und China gehörten zu den Hauptkäufern, als Lodz Mitte des 19. Jahrhunderts bereits die zweitgrößte Stadt im russisch beherrschten Königreich Polen war. Doch das „Gelobte Land“ erwies sich als ein Paradies auf Zeit. Und letztere war schneller als die Entwicklungsmöglichkeiten der Textilindustrie. So ist heute nicht mehr viel übrig geblieben außer ein paar rostigen Rohren und eingeschlagenen Scheiben abseits der Hauptstraßen. Nur ein paar Paläste der

einst millionenschweren Fabrikbesitzer haben als Museen überlebt, die meisten der alten Fabriken hingegen sind längst neuen Industriekomplexen gewichen, modernen Einkaufsgalerien, Kinocentern oder Bürobauten.

Hier, am Eingang zu einer dieser Fabriken, spüre ich noch einen Hauch jener alten Zeiten. Und fast wundere ich mich, als ich an der Pforte tatsächlich noch einen lebenden Pförtner antreffe, anstelle der Spinnweben und Staubschichten, die ich beim Drücken der Türklinke eigentlich erwartet hatte. Als ich den Herrn frage, ob ich einen Blick in die Fabrik werfen dürfte, greift er zum Telefon und bittet einen Herrn Kubala an die Pforte. Als ich beim Pförtner nachfrage, was in der Fabrik heute noch produziert wird, zuckt er nur die Schultern. Dies und das. Mehr nicht. Dann kommt auch schon Herr Kubala.

Zu meiner großen Überraschung freut sich Herr Kubala, dass sich ein Deutscher für diese Fabrik interessiert. Noch auf dem Vorplatz erzählt er mir die Erfolgsgeschichte dieses großen Komplexes, der einst zu den bedeutendsten in Lodz zählte und dem Großindustriellen Karl Scheibler gehörte. Lodz wäre ohne Persönlichkeiten wie Scheibler, Ludwig Grohmann oder Izrael Poznański nicht Lodz, sagt Herr Kubala, und spricht die Namen so ehrfurchtsvoll aus wie Kinder heutzutage die Namen von Fußballstars. Und noch während wir in der Kälte auf dem Vorplatz stehen, erzählt er mir von den unterschiedlichen Charakteren dieser Textilgiganten, ihren Stärken und ihren Schwächen, ihren Marktstrategien und Charaktereigenschaften. Scheibler war Rationalist, immer auf Sparsamkeit

und Ökonomie bedacht, weshalb die Gebäude hier auf dem Gelände eng und platzsparend aneinander gebaut wurden. Kein Pomp, keine Verzierungen, allein der Pragmatismus entschied über die Art der Architektur und der Produktionsmechanismen. Ganz im Gegensatz zu den Fabriken des Konkurrenten Poznański, der als unorganisiert galt und auf Äußerlichkeiten bedacht war. Schon im Tonfall des Herrn Kubala kann ich spüren, dass Poznański der gegnerischen Mannschaft angehörte.

Nach einem kurzen Spaziergang über das Gelände führt mich Herr Kubala durch eine schwere Eisentür ins Innere der Fabrik. Zwei Fabrikarbeiter kommen uns entgegen mit einem Sackkarren voller Stoffballen, die in einen LKW verladen werden. Als ich Herrn Kubala frage, was in dieser Fabrik heute noch produziert wird, bekomme ich wieder die gleiche Antwort wie an der Pforte. Dies und das. Und er fügt hinzu, dass sich einige kleine Privatfirmen der hier noch existierenden Maschinen bedienen, um kleine Handel zu betreiben. Stoffe werden gebleicht oder gefärbt, Muster gedruckt und alles in kleinem Stil vertrieben. Obwohl angeblich noch knapp hundert Personen auf dem Gelände tätig sind, habe ich außer den beiden Arbeitern noch niemanden gesehen. Umso überraschter bin ich, als wir eine riesige Produktionshalle betreten, in der tatsächlich noch meterhohe, einer anderen Zeit entstammende Monstermaschinen Stoffe bearbeiten und färben. Ein Dinosaurier, fährt es mir durch den Kopf. Ein echter Dinosaurier. Für einen Moment verlasse ich mein Jahrhundert, fühle mich zurückgesetzt in eine andere Zeit, eine andere Welt. So muss es

hier ausgesehen haben, vor hundert Jahren vielleicht, oder zweihundert. Überall stehen alte Wannen herum, darin stinkende Flüssigkeiten, manchmal überdeckt mit einer Schicht aus Staub und Dreck. Ich kenne mich nicht aus mit Webmaschinen, mit Farben oder Bleichvorgängen. Aber es grenzt doch an ein Wunder, dass es hier zweifelsohne noch Strom gibt, auf den diese Monstermaschinen reagieren. Ob die zahllosen Anzeigen, Knöpfchen und Drehräder tatsächlich noch funktionieren, weiß ich nicht, hüte mich aber davor, irgendwo draufzudrücken. Ein endlos langer Stoffstreifen verschwindet nach und nach im Rachen einer Maschine, um zehn Meter weiter wieder in eine der großen Wannen ausgespuckt zu werden. Daneben sitzt ein Arbeiter auf einem Hocker und beobachtet, eine Zigarette rauchend, den Vorgang. Ob ich fotografieren darf, frage ich Herrn Kubala, doch er schüttelt den Kopf. Besser nicht. Und ich kann mir auch vorstellen, warum, sage aber nichts. Und fotografiere heimlich.

Was in diesen Hallen wirklich passiert, wird mir wohl immer ein Geheimnis bleiben. Ein schönes Geheimnis, denn dessen Lüftung wäre sicherlich mehr als banal. Aber diese Reise in eine andere, zweifelsohne viele, viele Jahre zurückliegende Zeit verursacht bei mir ein Kribbeln auf der Haut, ruft Nostalgiegefühle hervor. Und ich ertappe mich plötzlich dabei, dass mir die ganze Zeit, während Herr Kubala versucht, mir die Geräte zu erklären, der Mund offen steht. Eigentlich möchte ich gar nichts mehr wissen, nur zuschauen, und diese Luft atmen, die ebenfalls einem anderen Jahrhundert zu entstammen scheint.

Über eine überaus gewagte, da ziemlich haltlos montierte Treppe mit verrostetem Gitter steigen wir ein Stockwerk höher. Und erneut traue ich meinen Augen kaum. Zwischen uralten Dampfkesseln und anderen Maschinen erblicke ich Jungen und Mädchen mehrerer Schulklassen, die an montierten Kletterwänden ihr Können ausprobieren. Gesichert an Seilen erinnern sie mich an Spinnen, die über diesen Fabrikraum hergefallen sind, die Dampfkessel, Rohre und Apparaturen in Beschlag genommen haben. Neue Zeit frisst alte Zeit. Und das vor meinen Augen. Aus dem Augenwinkel sehe ich, wie Herr Kubala über mein erstauntes Gesicht schmunzelt. Natürlich wusste er, dass ich sowas nicht erwartet hatte. Aber warum eigentlich nicht? Er erzählt mir, dass ein Unternehmen diese Halle gemietet hat, um für Schulen und Firmen die Kletterwände für Sportunterricht oder Selbsterfahrungskurse anzubieten. Das Ambiente ist zweifelsohne einmalig und gibt dem Klettern seinen besonderen Reiz. Ich verkneife mir die Frage, ob schon mal jemand in einen der Kessel gefallen oder von einer der Apparaturen aufgespießt wurde. Das gehört sich nicht. Nicht hier, in diesem Moment. Also gebe ich mich der Faszination hin, bestaune die alten Fenster, die an einigen Stellen ausgetauscht scheinen, und den großen Kessel mit der Aufschrift AEG. Herr Kubala erzählt mir, dass das ganze Gelände und die Fabrik unter Denkmalschutz stehen und keine, auch noch so kleine Veränderung ohne Genehmigung vorgenommen werden darf. Nicht mal die Reparatur einer Fensterscheibe. Und so müssen diese beiden Welten miteinander auskommen. Die neue und die alte. Die

Podróże i spotkania

denkmalgeschützte, und die auf Fortschritt bedachte.

An keinem Ort Polens bin ich diesem Phänomen noch mal so nahe gekommen wie hier in dieser alten, so verlassenem und ihrer Zeit entrückten ehemaligen Textilfabrik, in deren Innerem sich ein moderner Kletterpark angesiedelt hat.

Ich verabschiede mich von Herrn Kubala, und verabschiede mich zugleich von diesem Ort, nicht ohne noch mal einen Blick auf das Schild am Eingang zu werfen. „Gelobtes Land“ steht darauf, und der Name bezeichnet keineswegs die Fabrik, sondern die Firma des Kletterparks. So ändern sich die Ziele.

Matthias Kneip, 1969 in Regensburg geboren, studierte Germanistik, Ostslawistik und Politologie an der Universität Regensburg. 1995/96 arbeitete er als Lektor für deutsche Sprache und Literatur an der Universität Oppeln, 1999 promovierte er an der Universität Regensburg. Seit März 2000 ist Kneip, dessen Eltern aus Oberschlesien stammen, als wissenschaftlicher Mitarbeiter am renommierten Deutschen Polen-Institut in Darmstadt tätig.

Kneips Erfahrungen mit Polen, aber auch seine kritisch-distanzierte Sicht auf die Verhältnisse in Deutschland spiegeln sich sowohl in seiner Lyrik als auch in seinen publizistischen Veröffentlichun-

gen wider. Zuletzt erschien sein Buch „Grundsteine im Gepäck. Begegnungen mit Polen“, ein Mosaik aus Gedichten und Prosastücken, in dem Kneip Szenen des polnischen Alltags ebenso feinfühlig und liebevoll beschreibt wie die Atmosphäre polnischer Städte. Seine Gedichte, die sich durch einen spielerischen Umgang mit Sprache sowie hintergründigen Humor auszeichnen, wurden u.a. ins Polnische, Russische und Japanische übersetzt. Für sein literarisches und publizistisches Schaffen erhielt er zahlreiche Preise, u.a. den Gedok-Literaturpreis 1997, den Kulturförderpreis der Stadt Regensburg 2001 und den Uslarer Literaturpreis 2002.

Regiony

Monika und Stephan Wolting

Dies ist Pommern

Literatur und Kunst zwischen Oder- und Weichselmündung

Wir sind sowohl die Pommersche Küste entlang als auch durch das Hinterland gefahren und haben versucht, dortige „symbolische“ Orte und Plätze mit den Augen der Künstler und Schriftsteller zu sehen und ihrem Erleben nachzuempfinden. Dabei erwies es sich, dass die über Jahrhunderte vorherrschende negative Färbung des Begriffs *Hinterpommern* die Universalität und Qualität der meisten Werke (etwa von Grosz, Heise, Schmidt-Rottluff, Pechstein, Feininger etc.) keinesfalls beeinträchtigt hat. Zum einen weil ein Motiv nie etwas mit der künstlerischen Umsetzung zu tun hat, vor allem aber, weil viele hier wirkende Künstler durch den „Ton“, um noch einmal mit Walser zu sprechen, oder das Gesicht dieser Landschaft erst zu einem besonderen Schaffen inspiriert wurden. Vor allem bot sich das Küstengebiet der künstlerischen Gestaltung geradezu an.

Nicht selten entstanden viele der hier erwähnten künstlerischen Zeugnisse aus einem Differenzempfinden zu den Stät-

ten und Städten der Moderne (oder Postmoderne) heraus, was beispielsweise an den Arbeiten der *Brücke*-Maler besonders deutlich wurde. Die einzelnen ihrer Hauptmotive wie der Strand, die Strandseen, das Leben der Fischer, Bauern, aber auch die Leitmotive der Märchen und Sagen verweisen, erstere auch durch ihre Verfremdung, auf eine sich zum Teil bis heute erhaltene, vorwiegend agrarisch strukturierte Welt. Nicht verschwiegen werden soll, dass in Ansätzen auch Werke erwähnt wurden, die den Landstrich manchmal etwas idyllisiert darstellten. Aufgrund der Tatsache, dass sich der hier vorliegende Reisebegleiter aber an Touristen wendet, die überwiegend in diese Gegend kommen, um sie ästhetisch zu genießen, weniger um hier zu leben, bot sich die vorliegende Auswahl, die im Hinblick auf die Bedeutsamkeit der Künstler relativ komplett ist, an.

Auf eine gewisse Weise „bekennen“ wir auch, an einem im weitesten Sinne humanistischen Kulturbegriff festgehal-

ten zu haben. Wir stellen die Berechtigung eines noch stärkeren Einbezugs eines interkulturellen perspektivischen Wechsels, und einer damit verbundenen größeren Berücksichtigung der Alltagskultur keineswegs in Frage. Unsere Absicht lag aber stärker in der Vorstellung dort entstandener künstlerischer Werke, natürlich auch in ihrer sozialhistorischen Kommunikabilität, weshalb sich dieser Reisebegleiter auf der anderen Seite auch von einem reinen „Kunstführer“ absetzt. Die Berechtigung für ein solches Modell eines Reisebegleiters neben anderen leiten wir nicht zuletzt von dem uns von der Berliner Kulturwissenschaftlerin Hannelore Scholz übermittelten Begriff des *Kulturdesigns* ab, der besagt, dass jeder Reisebegleiter letztlich auf die je besonderen und individuellen Bedürfnisse der Reisenden zuzuschneiden ist.

Dabei war es uns wichtig, nicht zuletzt durch die Darstellung einiger junger Autorinnen und Autoren (Maria Nurowska, Malin Schwerdtfeger), durchaus auch das Vorwärtsgewandte dieser Region in einem kommenden Europa zu betonen. Wenn dabei einige der mit Pommern stark verbundenen „Heimatschriftsteller“ wie etwa der spätere Hamburger Ohnsorg-Schauspieler Klaus Granzow etwas zu kurz gekommen sind, so liegt das in der oben genannten Vorgabe begründet.

Uns selbst hat nicht zuletzt eine relativ unvoreingenommene Begeisterung für diese Gegend an sich geleitet und der Wunsch, sie der Wahrnehmung vieler anderer Reisender näher zu bringen. Dass dies in einem größeren Kontext im Sinne einer *Literarisierung* bzw. künstlerischer *Verbildlichung* geschehen sollte, die über die

reine *Poetisierung* einer Landschaft hinausgeht, versteht sich von selbst. Hierin unterscheiden sich viele der von uns gesammelten Darstellungen auch von einer „Heimatliteratur“, die rein affirmativ nur behauptet, dass „es dort, wo wir gerade zufällig leben immer am schönsten ist“, um mit Konrad Beikircher zu sprechen.

Wir hoffen mit unserer Darstellung, der Forderung nach dem Wechsel von Nähe und Ferne, von identifikatorischen wie distanzierenden Bemerkungen und Zeugnissen, gerecht geworden zu sein. Die politische Ebene lässt sich dabei natürlich nicht ausklammern, wie allein die oft zweisprachig gebrauchten Ortsnamen belegen. Nicht zuletzt könnte man das von uns kulturell abgesteckte Gebiet historisch geographisch auch unter dem Titel *Zwischen Golm und Goya* zusammenfassen. Diese beiden Begriffe, als Bezeichnung für den mythischen Berg und zugleich einen der größten Kriegsgroßopferfriedhöfe nach dem verheerenden Bombenangriff auf Swinemünde am 12. März 1945 und dem Frachter, der am 16. April 1945 mit 7000 Flüchtlingen von der Halbinsel Hel in Richtung Swinemünde in See stach und von zwei russischen Torpedos versenkt wurde, stehen heute neben der durch Günter Grass' Werk *Im Krebsgang* wieder in Erinnerung gerufenen *Wilhelm Gustloff* und des Flüchtlings- und Verwundetentransporters *Steuben*, dessen Wrack erst im August 2003 auf dem Grund der Ostsee auf der Höhe von Stolpmünde gefunden wurde, symbolisch für zwei der größten Katastrophen des Zweiten Weltkriegs in dieser Gegend.

Trotzdem bzw. gerade deswegen haben wir uns ganz bewusst gegen eine ver-

stärkt historisch-gesellschaftspolitische Darstellung entschieden. Zum einen, weil hierzu schon jede Menge Literatur, zum Teil auf der Grundlage ergreifender Dokumentsammlungen existiert. Zum anderen aber auch, weil sich, um mit Aleida Assmann zu sprechen, das kulturelle Gedächtnis in seiner doppelten Weise, als Speicher und Funktionsweise, verändert hat und inzwischen Generationen herangewachsen sind, die etwa die Kriegsergebnisse und die damit verbundenen Vertreibungen nicht mehr selbst erlebt haben.

Das führt in Ansätzen schon, ohne die Geschichte zu vergessen, zu einer „anderen Unbefangenheit“ im Kennenlernen dieser noch vor einem guten halben Jahr-

hundert militärisch konkret wie später politisch verbal so heiß umkämpften Gebiete. Wir sind schon nicht mehr „die Letzten, die diese Dinge erlebt haben“, und vielleicht gerade deshalb in der Lage, wieder neu und zugleich durchaus an früheren kulturellen Zeugnissen und Erlebnisberichten der Zeitzeugen anknüpfend, die Bedeutung des konkret wie symbolisch Geschehenen und Gesehenen freizulegen. Damit ist die Hoffnung und die Zuversicht verknüpft auf diese Weise in einer die Vergangenheit nicht vergessenden, die Kulturen verbindenden Gegenwart „nach vorne“ zu leben, was Günter Grass im *Treffen in Telgte* so treffend in seinem schönen Wort von der *Vergegenkunft* zusammenfasste.

Silesiaca

Andreas Witko

Hedwig von Andechs – eine deutsch-polnische Heilige

In der sanften hügeligen Voralpenlandschaft des Ammerseegebietes liegt das Kloster Andechs, einst Sitz des gleichnamigen Grafengeschlechtes. Im späten 12. und frühen 13. Jahrhundert gehörten die Andechs-Meranier zu den mächtigsten Adelsgeschlechtern Bayerns. Aus der Familie der Andechser gingen Herzöge und Heilige hervor, Menschen, die die Geschichte ihres Landes und Europas mitprägten. Auch die Frauen hatten ihre Rolle im Machtgefüge der damaligen Zeit zu spielen und besonders sie waren es, die den Ruf der „frommen Familie“ rechtfertigten.

Wer aber war nun diese Hedwig aus dem Hause Andechs, daß die Erinnerung an Leben und Wirken noch lebendig ist und warum sehen wir sie heute als Mittlerin zwischen zwei Völkern? In dieser bedeutsamen Frauengestalt des Mittelalters personifiziert sich die enge Verbindung zwischen Deutschland und Polen, zwi-

schen Bayern und Schlesien: Hedwig, Tochter des bayerischen Grafen Berthold von Andechs-Meranien heiratete den Piastenfürsten Herzog Heinrich I. von Schlesien.

Als Mensch überwand Hedwig Höhen und Tiefen ihres Lebens mit starkem Glauben und demütigem Sinn, darüber hinaus ist sie aber in der Geschichte des deutschen und polnischen Volkes Mittlerin und Fürsprecherin der gegenseitigen Verständigung und Versöhnung.

Was sind die Quellen unseres Wissens?

Da gibt es einmal die von einem unbekanntem Priester relativ kurz nach ihrem Tode - um das Jahr 1300 verfasste „*Legenda maior de beata Hedwigi*“. Er stützte sich bei der Abfassung auf die Zeugenaussagen und die Protokolle des Kanonisierungsprozesses. Ein Auszug daraus ist die „*Legenda minor*“ - der Zisterzi-

ser Engelbert schrieb sie im Jahre 1262 nieder. Am bekanntesten und schönsten in der Ausführung ist aber wohl der sogenannte „Schlackenwerder Codex“ und er ist eine der wichtigsten Quellen der Hedwigsikonographie. In dieser 1353 erschienenen Bilderhandschrift sieht man Hedwig auf einer kunstvoll - von einem unbekanntem Meister ausgeführten Darstellung - nicht nur als weltabgewandte Büsserin. ...ohne Schuhe, doch umhüllt von einem prächtigen blauen, rot abgefütterten Mantel, den eine kostbare Spange mit Zierkordel zusammenfaßt. Über ihrem Haupt wölbt sich ein Prunkportal, doch sie ist barfuß und trägt ihre Schuhe mit langen Schäften über dem Arm. Das Gebetbuch in einer Hand haltend, drückt sie mit der anderen eine Marienstatue mit dem Jesuskind fest an ihr Herz.

Das genaue Geburtsjahr Hedwigs ist uns nicht bekannt, es dürfte aber zwischen den Jahren 1174 und 1178 liegen. Der Vater, Berthold VI. von Andechs war einer der mächtigen Männer seiner Zeit und die Familie verfügte über ausgedehnte Besitztümer im Südosten des damaligen deutschen Reiches. Seine Mannen bewachten die Straßen der Alpen, wodurch er in der Italienpolitik Kaiser Friedrich I. Barbarossa eine Rolle spielte, er diente dem Kaiser aber auch bei einem Kreuzzug als Heerführer und erwarb sich damit Kenntnisse und Erfahrungen fremder Länder. Hedwigs Mutter, Agnes von Groitsch wuchs an den Ufern der Mulde im Schloß Rochlitz an der Leipziger Tieflandbucht auf. Vielleicht führte später der Brautzug Hedwigs durch das Geburtsland ihrer Mutter „Sachsen“ und eine Rast auf der Burg Rochlitz könnte diese beschwerliche Reise unterbrochen haben.

Noch ist es aber nicht so weit. Das kleine Mädchen wird in die sichere Obhut eines Klosters in Kitzingen gegeben und lernt hier bei den Benediktinerinnen die Heilige Schrift kennen und lieben, später wird sie aus diesen Kenntnissen in schweren Lebenslagen Trost und Hoffnung schöpfen. Herangewachsen, und wahrscheinlich doch noch in einem für unsere Begriffe kindlichen Alter, muß sich Hedwig den dynastischen Wünschen und Vorstellungen ihrer Familie unterordnen. Durch die ihr bestimmte Ehe mit dem Sohn Herzog Boleslaus des Langen von Schlesien, heiratet sie in eines der ältesten Geschlechter Polens, dessen Geschichte eng mit der des polnischen Staates verbunden ist, ein. Die große Familie der Andechser mußte in den folgenden Jahren schwere Schicksalsschläge, die zum Niedergang des alten Geschlechtes führten, hinnehmen. Der Bruder Hedwigs, Otto I. Herzog von Meranien, Pfalzgraf von Burgund, nahm 1208 im Dom zu Bamberg - wo sein Bruder Egbert als Bischof residierte - die Nichte König Philipps von Schwaben, Beatrice, zur Frau. Es war kein glücklicher Tag für die Andechser; aus persönlicher Rachsucht erstach Otto von Wittelsbach den erst 32 Jahre alten König Philipp in der bischöflichen Residenz zu Bamberg. Eckbert und Heinrich - die Brüder Hedwigs mußten der Mitwisserschaft verdächtigt an den Hof ihrer Schwester Gertrud in Ungarn, fliehen. Hedwig traf diesen Mord noch auf eine besondere Weise, denn ihre Tochter Gertrud war Otto von Wittelsbach angelobt. Nach der Lösung dieses Gelöbnisses nahm Gertrud den Schleier und sollte als einziges der wahrscheinlich sieben Kinder Hedwigs, die Mutter überleben.

Auch die Ehe einer weiteren Schwester Hedwigs - Agnes, Königin von Frankreich - stand unter keinem guten Stern. Um Agnes heiraten zu können, ließ ihr Gemahl König Philipp II. Augustus von Frankreich seine zweite Ehe mit der ungeliebten Ingeborg von Dänemark für ungültig erklären. Die Trennung des Königs von Agnes sollte mit Gewalt erzwungen werden und zur Erreichung dieses Zieles verhängte Papst Innozenz III. das Interdikt über ganz Frankreich. In der Beziehung dieser beiden Menschen muß aber wohl mehr als nur dynastische Überlegung gesteckt haben, denn Agnes starb nach der Trennung sehr bald im Jahre 1201 in Poissy.

Alle diese Begebenheiten im familiären Umfeld haben uns ein wenig von der jungen Hedwig entfernt. Kehren wir zurück in das Jahr ihrer Hochzeit mit Herzog Heinrich I. Die *Legenda Maior* verkündet uns, dass Hedwig im Alter von zwölf Jahren von ihrer Heimat, den geliebten Menschen ihrer Umgebung und den vertrauten Gepflogenheiten Abschied nahm. War sie wirklich noch so jung? Auch die vermerkte Geburt ihres ersten Kindes mit vierzehn Jahren erweckt doch einige Zweifel zumal für das Mittelalter der Begriff für Zahlen ein Anderer war.

Bei der Ankunft nach einer langen beschwerlichen Reise regierte noch Hedwigs Schwiegervater Boleslaus bis zu seinem Tode im Jahre 1201. Für die junge Fürstin begann nun die Zeit der Gewöhnung an ein völlig fremdes Land; sie mußte sich - obwohl am Hof sicher auch Deutsch und Latein gesprochen wurde - mit der Landessprache vertraut machen, lernte es aber rasch, sich polnisch zu ver-

ständigen. Nach dem Tode des Vaters übernahm Hedwigs Gemahl, der tatkräftige und entschlossene Heinrich I. die Macht und konnte die Bemühungen um eine Hebung des allgemeinen Lebensstandards und der Kultur vertiefen. Seinem Ruf folgten Handwerker, Bauern, Kaufleute und Ordensleute. In diesem Sinne verstand wohl auch Hedwig ihre neue Aufgabe in einem Land heidnischer Tradition und ohne jegliche soziale Einrichtungen, sie konnte in der Erfüllung dieser Aufgaben die christlichen Anforderungen ihres Glaubens erkennen. Der jungen Herzogin boten sich sicher reichlich Gelegenheiten, Leid und Elend der Menschen ihrer neuen Heimat wahrzunehmen, denn dem Brauch entsprechend zog der Hof Heinrich I. von Burg zu Burg. Und Hedwig konnte die größte Not lindern. Sie tat es aus eigenen Einkünften selbständig verwalteter Güter, wobei ihr die Kanzlei ihres Mannes und ein eigener Hofstaat zur Verfügung standen. Leider geben uns die überkommenen Dokumente wenig Auskunft über Hedwigs politische Einflußnahme und über ihr Mitspracherecht in öffentlichen Angelegenheiten. Hatte sie überhaupt rechtliche Möglichkeiten dazu? Ein Hinweis auf Hedwigs Stellungnahme findet sich in der „*Legenda maior de beata Hedwigi*“. „Hedwig redete ihrem Gatten mit Rat und Ermahnung zu, aus eigenen Mitteln das Kloster Trebnitz zu erbauen.“ Auf diese Weise kam es im Jahre 1202 zur Gründung des ersten Frauenklosters der Zisterzienser - nämlich Trebnitz - in Schlesien. In Verbundenheit mit der alten Heimat beruft Hedwig als Äbtissin dieses ausdrücklich für den weiblichen Orden bestimmten Klosters ihre Lehrerin Pet-

rissa aus der Klosterzeit in Kitzingen. Aber auch die Not der Kranken ist ihr ein Anliegen und so stiftet das Herzogpaar um 1230 zur Linderung der körperlichen Not ein Aussätzigenhospital bei Neumarkt.

Hedwig war, wie wir aus ihrer Vita erfahren, eine Gott in Demut dienende Frau, die ihre ganze Lebensführung diesem Credo unterstellte, gleichwohl aber keine weltabgewandte Büsserin. So ging sie zwar zumeist barfuß, trug aber ihre Schuhe mit sich, damit sie diese bei der Begegnung mit höhergestellten Personen anziehen konnte. Sie versteht sich ganz als Herzogin und so wird sie auch im Schlackenwerder Codex aus dem Jahre 1353 dargestellt und sie ist Mutter, denn uns sind die Namen von sechs dem herzoglichen Paar geschenkten Kindern bekannt, die Hedwig alle - außer einer Tochter - zu Grabe tragen mußte. Bildliches Zeugnis ihrer tätigen Nächstenliebe ist eine in Andechs vorgestellte Federzeichnung aus der oberschwäbischen Hedwigs-vita, die wohl um das Jahr 1460 herum angefertigt wurde und das herzogliche Paar vor dem im Bau befindlichen Kloster Trebnitz darstellt. Die bedrückende Kunde vom zermürbenden Kampf der Andechser mit den Wittelsbachern erreichte Hedwig sicher mit größerer Zeitverzögerung, doch die Kämpfe im eigenen Lande forderten ihre ganze Tatkraft und ihr Durchsetzungsvermögen heraus. Durch friedliche Verhandlungen konnte sie 1229 ihren Mann aus kriegerischer Gewalt befreien, in die er - ursprünglich mit Konrad von Masowien verbündet - nun in Gegnerschaft - bei Auseinandersetzungen um das freigewordene Herzogtum Krakau, geriet. Sie handelte dabei

gegen den Willen ihres Sohnes - der kriegerisches Handeln für notwendig hielt - was durchaus ihre Eigenständigkeit unter Beweis stellte. Es verblieben dem herzoglichen Paar nur noch neun gemeinsame Jahre bis Heinrich I. am 19. März 1238 wahrscheinlich auf der Burg Krossen verstarb. Bei der Grablegung in Trebnitz tröstete Hedwig die trauernden Nonnen. Hedwig ist nun der Pflichten als Landesherrin ledig, die Schwiegertochter Anna tritt an ihre Stelle. Sie aber zieht sich - wie sie es schon zu Lebzeiten ihres Mannes von Zeit zu Zeit tat - in die Stille des Klosters Trebnitz zurück. Hier trifft sie eine Verfügung, die ihr die Rechte über ihren Besitz wahrt, denn sie legt die Gelübde nicht ab, überläßt aber der Tochter Gertrud, die als Äbtissin dem Kloster Trebnitz vorsteht, die Erträge des Gutes Schawoine. Erst nach dem Tode von Gertrud geht Schawoine in den Besitz der Nonnen über und soll zum Lebensunterhalt der Klosterinsassen beitragen. Noch vor ihrem Tode muß Hedwig einen schweren Schicksalsschlag ertragen. Heinrich II. ihr letzter, im Rufe von tiefer Frömmigkeit und Tapferkeit stehender Sohn, wird bei einem Tatareneinfall im Jahre 1241 vor den Toren von Liegnitz von den wilden Horden erschlagen. Drei Tage wandert sie mit ihrer Schwiegertochter Anna über das Schlachtfeld um Heinrichs Leichnam zu suchen. Am Grabe des Sohnes findet sie Worte, die uns ihre Frömmigkeit auf besondere Weise nahe bringen.

„... ich danke Dir, o Gott, daß Du mir einen solchen Sohn geschenkt hast, der mich, solange er lebte, stets geliebt und in Ehren gehalten und mich nie mit etwas betrübt hat. Obwohl ich ihn sehr ger-

ne bei mir noch auf Erden hätte, so gönne ich ihm von Herzen, daß er durch sein Martyrium mit Dir, seinem Schöpfer, nun schon vereinigt ist im Himmel. Seine Seele empfehle ich Dir, mein Gott und Herr, auf das innigste." Hedwig lebte nun bis zu ihrem Tode im Jahre 1243 ganz nach den Regeln des Ordens aber sie bewahrte sich ihre Selbständigkeit. Trotz der asketischen Lebensweise erreichte sie ein für damalige Verhältnisse hohes Lebensalter von 65 Jahren. Ob es eine schwere Krankheit oder einfach Erschöpfung war, die zum Tode führte, wir wissen es nicht. Man bahrte den in ein Bußgewand gehüllten Leichnam drei Tage in der Klosterkirche auf und es kamen wohl viele Menschen um von der inniggeliebten und hochverehrten Herzogin Abschied zu nehmen, bevor man sie in der Peterskapelle der Klosterkirche zur letzten Ruhe bettete. Aber auch nach ihrem Tode kamen Hilfe- und Trostbedürftige an das Grab Hedwigs um im Gebet ihren Beistand zu erbitten. Man sprach von geschehenen Wundern, deren Kunde bis nach Rom zum Stuhle des Papstes drang, der seine Kurie zur Berichterstattung aussandte. Nur 24 Jahre nach Hedwigs Tod - also in ungewöhnlich kurzer Zeit - stellte Papst Klemens IV. am 26. März 1267 die Heiligsprechungsbulle aus.

Die im Besitze des Staatsarchivs von Breslau befindliche Urkunde des Papstes zur Heiligsprechung Hedwigs wird erwähnt: Wir lesen, daß die Siegel in den Wirren der Zeit leider verloren gingen und auch die Textstellen teilweise verblassten. Wenn man allerdings bedenkt aus welcher Zeit dieses Zeugnis stammt, empfindet der zeitgeplagte Mensch unserer Tage, allein schon für die kunstvolle Anfertigung

solcher Handschriften hohe Bewunderung; Die Urkunde endet mit den Worten: „Auf den Rat unserer Brüder und der damals beim Heiligen Stuhl anwesenden Prälaten beschlossen wir, die Frau, die so gar keinen Wert gelegt hat auf ein prunkvolles Gefolge, die das Ansehen eines Hofes nicht geachtet, ja, höchste Machtansprüche mit Füßen getreten hat, um sich einen beschwerlichen Leben in einer armseligen Zelle aus Liebe zu Christus hinzugeben, und den anderen ein Beispiel der Demut zu geben, diese Frau in das Verzeichnis der Heiligen aufzunehmen, oder vielmehr, wir verkündigten, daß ihre Aufnahme bereits geschehen sei." Die Verehrung Hedwigs blieb nach ihrer Heiligsprechung erstaunlicherweise aber nicht nur begrenzt auf den Raum ihres Wirkens. Auch in den anderen Ländern Europas wurden Hedwigskirchen zu ihren Ehren gebaut. Es gab sie im Deutschordensstaat, auch in Ungarn, Böhmen und erst durch die Reformation, spätere staatliche Reformen und die Säkularisation verblasste das Bild der mittelalterlichen Heiligen.

Nun in unserer Zeit erinnert man sich wieder ihrer, einer Frauengestalt aus dem alten bayerischen Adelsgeschlecht der Andechser, die durch die Heirat mit Herzog Heinrich I. schon damals Brücken zwischen Polen und Deutschen schlug, obwohl sie sicher nicht in diesen Begriffen dachte. Erst im Jahre 1925 ließ der Fürstbischof von Breslau dem Haupte Hedwigs einen Knochen entnehmen und schenkte ihn in ein Reliquienkreuz gefaßt - dem Kloster Andechs. Auch Papst Pius XII. vernahm vom Anliegen vieler Menschen der Hedwigsverehrung besonderen Ausdruck zu verleihen und er erhob die

Klosterkirche in Trebnitz zur päpstlichen Basilika, ein Status der nur selten verliehen wird. Und nun bekamen auch die Worte, die Papst Klemens IV. anlässlich der Heiligsprechung Hedwigs sprach, wieder Gewicht.

„... alle Jahre sollte dieses Hedwigsfest in allen Bistümern und Städten Deutschlands, Polens und Böhmens von allen, Klerikern wie Laien, mit gebührender Andacht gefeiert werden.“ In Andechs, dem Ort ihrer Geburt, unterstreicht Abt Odilo Lechner die Mittlerrolle Hedwigs in unserer Zeit. Odilo Lechner „Für die Beziehungen zwischen Polen und Deutschland, die auf dem Konzil zwischen den katholischen Bischöfen Polens und denen

Deutschlands neu angeknüpft wurden, die unser jetziger Heiliger Vater in besonderer Weise pflegt, für diese Beziehung war immer die heilige Hedwig eine besondere Patronin. Das hoffen wir, daß es auch in Zukunft in verstärktem Maße sein kann, daß gerade die beiden Heiligtumsorte ihres Lebens - ihr Sterbeort Trebnitz und ihr Geburtsort Andechs - miteinander diese Beziehung und diese Freundschaft pflegen, daß ein großes Ziel, daß Europa, daß die Welt vom Geist der Versöhnung und des Evangeliums geprägt wird...“ Auch aus Trebnitz in Schlesien kommen heute Pilger nach Andechs, die Hedwig ihre Reverenz erweisen wollen.

Teksty

Wolfgang Bittner Grubenlicht

Er blickte nochmals zurück und sah sie am Zaun stehen, das Jüngste auf dem Arm, den kleinen Strauß mit den Veilchen, den er ihr im Garten gepflückt hatte, in der freien Hand. Inmitten der Veilchen und Anemonen und Margeriten stand sie, winkte ihm noch einmal zu, bevor sie hineinging, zurück an den Webstuhl. Veilchen, dunkelviolette Veilchen. Ihm war, als spüre er ihren Duft.

Bis in die Dämmerung wird sie da sitzen, sich abmühen, um das Pensum zu erreichen, und sich die Augen verderben, dachte er. Bis er abends zurückkommen würde. Die beiden Älteren halfen schon im Haushalt, passten auf das Jüngste auf und erledigten die notwendigen Besorgungen im Dorf. Für den Garten war er zuständig, frühmorgens, gleich nach dem Hellwerden, oder verstohlen am Sonntag nach dem Kirchengang, obwohl der Pfarrer verboten hatte, sonntags zu arbeiten. Was blieb ihnen anderes übrig.

Dass man aus diesem Teufelskreis nicht herauskommen kann, dachte er bit-

ter. Das bisschen Geld reichte gerade fürs Notdürftigste und die Steuern. Bergbau und Weberei, jetzt schon in der vierten oder fünften Generation. Die meisten starben an der Schwindsucht oder am Hunger, was auf dasselbe hinauslief. Und wieder war das Pensum erhöht worden.

Er kletterte den schmalen steinigen Pfad hinunter. Vielleicht sollte man auswandern, überlegte er. In Amerika, da soll es für jeden genug Land geben. Gutes Land, auf dem etwas gedeihen kann, das zu bebauen sich lohnt. Nicht wie hier, wo vor Steinen kaum etwas wächst. In Amerika, da könnte man sogar statt nach Erz nach Gold graben. Viele waren schon hinübergefahren. Da könne man ein freies Leben führen, wurde erzählt. Aber gefährlich sollte es dort sein. Von vielen Auswanderern hatte man nie wieder etwas gehört.

Die Sonne stand schon hoch am Himmel und er schritt kräftig aus. Man hätte es sich früher überlegen müssen, dachte er. Bevor die Kinder da waren. Immer

noch ging es bergab. Sein Schatten schritt vor ihm her. Ihm war, als zöge ihn der Schatten, und er fühlte sich jetzt leicht und gehoben. Der Bach sprühte seinen erfrischenden Hauch herauf. Es plätscherte und murmelte. Ihm schien es, als wolle sich der Bach mit ihm unterhalten, doch er verstand die murmelnde Sprache nicht.

Der Wald nahm ihn auf mit morgendlicher Stille. Helle Farbleckse bedeckten den weichen Boden, und die Sonne warf dunstige Strahlenbündel durch die lichte Kuppel des Blätterdachs. Als blicke er durch grüne Schleier. Man hätte früher etwas unternehmen sollen, dachte er, vor einigen Jahren. Jetzt ist es schon zu spät, um noch einmal von vorn anzufangen, sich sein Leben neu einzurichten. Man wird müde mit der Zeit, kraftlos und taub, fügt sich in sein Schicksal.

Ja, im Sommer, da konnte man im Wald Pilze und Beeren sammeln, sich aus dem Garten bedienen, manchmal heimlich ein Kaninchen fangen. Natürlich war das Schlingenlegen verboten; es galt als Wilderei und wurde streng bestraft. Fast alles war verboten, sogar zum Holz sammeln brauchte man einen Schein. Man musste sehen, wie man zurechtkam, noch die Ziege durchfüttern, damit sie etwas Milch für die Kinder gab. Die Winter waren lang und kaum zu überstehen, wunderschön und schrecklich. Oft lag der Schnee bis in den April hinein.

Aus dem Dämmerlicht des Waldes heraustretend, sah er im Tal die rußigen Klötze und Gestänge der Zeche vor sich, in der Ferne die Berge, ein Höhenzug hinter dem anderen in blauem Dunst. Wie immer lockten ihn diese fernen Wälder. Man müsste einmal hinüberwandern, dachte er, schon als Kind hatte es ihn

dorthin gezogen. Als ob da überhaupt keine Menschen mehr wohnten, als ob da alles besser wäre. Unten vor dem Eingang zur Grube erblickte er die flachen Kappen der anderen in ihrer dunklen Kleidung. Bald hatte er sie erreicht: „Glück auf!“ Rasch zogen sie sich um.

Dann ging es schon hinab in die Nacht. Immer und immer wieder legte sich dieses dumpfe Gefühl auf die Brust und das Atmen wurde ihm schwer. Nur für Sekunden, doch immer wieder, jedes Mal wenn es hinunterging. Eine Ahnung von undurchdringlicher Finsternis, von heimlicher Bedrohung, die melancholisch machte und andauerte, wenn der Korb die Sohle erreichte. Jedes Mal schlug es ihm auf das Gemüt. Und wenn es zurück an den Tag ging, schien es ihm als seien Jahre vergangen. Tagaus, tagein, außer sonntags; der Sonntag gehörte dem Pfarrer – und dem lieben Gott. Eigentlich müsste ich mich schon daran gewöhnt haben, dachte er, im Laufe der Jahre. Aber es war immer dasselbe.

Vielleicht ist es die Schwermut, ging es ihm durch den Kopf. Die Schwermut der anderen, Vorhergehenden. Ob sie sich vererben ließ, von der Mutter, die morgens hinter dem Gartenzaun stand? Vom Vater, der sich im Berg abrackerte? Von ihnen auf den Sohn, der in der nächsten Generation hinabsteigt, um in einem engen Stollen das Erz aus dem Felsen herauszuschlagen? Von einer kurzlebigen Generation auf die andere.

Er blickte in die Gesichter, helle und glatte, viele junge und auch alte dazwischen, und solche mit Falten und Runzeln, solche die fröhlich lachten, und andere, die sich verschlossen und nach innen kehrten. Doch alle etwas blass, vom

Grubenlicht geheimnisvoll umschattet. Man denkt zuviel dort unten, dachte er, man grübelt zuviel, man hat ja Zeit, sich mit sich selber zu beschäftigen. Und im Unterbewussten schwelte immer dieser Funken Angst.

Man muss lernen sich zu bescheiden, dachte er. Das sagte sonntags der Pfarrer und das hatte schon der Vater gesagt. Mehr hinnehmen sollte man, demütig sein und mehr vertrauen. Vertrauen auf Gott und auf die Welt. Darauf, dass einem nichts zustößt, dass man keine Witwe mit hungrigen Kindern zurücklässt. Vertrauen darauf, dass es mit den Arbeitsbedingungen und mit den Sicherheitsvorkehrungen besser würde, dass die Gesellschaft ihnen mehr Lohn zahlen würde. Man müsste viel demütiger sein, dachte er. Es nützt sowieso nichts, wenn man sich auflehnt.

Der Aufstand fiel ihm ein. Vor einigen Jahren, da hatten sie ihre Forderungen durchsetzen wollen, hatten sogar Zusagen erhalten. Aber dann war Militär aus der Kreisstadt gekommen und hinterher war alles genauso gewesen wie vorher. Nichts hatte sich geändert, nur einige der anderen waren nicht mehr da gewesen. Nichts war erreicht worden. Man muss eben sein Schicksal tragen, dachte er. Die Unzufriedenheit macht einen nur müde. Dieses Auflehnen gegen sich selbst und gegen andere, die im Schloss wohnen oder in einer Villa, und nicht wissen was Hunger heißt. Die noch nie in einem engen Stollen gehockt und Erz aus der Wand geschlagen haben. Die aber trotzdem besser leben, im Überfluss, nach Berlin fahren oder nach Paris.

Er verabschiedete sich von den Kumpeln und kroch in den Stollen hinein, den Karren mit dem Werkzeug vor sich

her schiebend. Heute war er allein. Karl, mit dem er sonst zusammenarbeitete, lag zu Hause mit Fieber, und Thomas würde erst mit dem nächsten Korb runterkommen. Später sollten noch einige Stempel gesetzt werden, aber bis dahin musste etwas geschafft werden, wenn man nicht gemäßregelt, womöglich entlassen werden wollte. In ein paar Stunden würde der Steiger seine Kontrolle vornehmen, der wollte etwas sehen.

Den flachen Wagen vor sich, kroch er weiter in die Dunkelheit, die nur wenige Meter vom schwachen Schein der Lampe erhellt wurde. Eng war es und still, unheimlich. Der Fels drückte. Immer mangelte es an Luft, das Blätterrauschen fehlte, der Himmel, das Geriesel des Baches. Doch ihm war heute, als spüre er den Duft von Gartenblumen, das betäubende Aroma dunkelvioletter Veilchen.

Er setzte sich aufrecht und begann seine Arbeit. Und jedes Mal, wenn er den Hammer sinken ließ, hörte er ein schwaches Klopfen im Berg. Das sind die anderen, dachte er und lauschte auf das monotone Klopfen. Das Geräusch aus dem Nachbarstollen beruhigte, es ließ einen nicht allein sein. Von Zeit zu Zeit horchte er auf dieses Pochen, minutenlang, und es beruhigte ihn. Gleich würde Thomas nachkommen, dann konnte einer am Berg arbeiten und der andere das gehauene Gut nach vorn schaffen.

Die Luft war stickig, voller Staub. Er atmete schwer, hustete, der Schweiß lief in Strömen. Es fehlte an ausreichender Bewetterung. Man musste vorsichtig brechen, damit es nicht so viel von diesem Staub gab, der sich auf die schweißnasse Haut legte, in die Poren eindrang, die Lunge nach und nach besetzte.

Aus der Ferne kam ein leises Grollen, als ob eine Kutsche dort fuhr, weit entfernt. Ein schwaches Geräusch nur, aber durch die Hammerschläge hindurch wahrnehmbar. Wie ganz weit entferntes Gewitter. Er hatte aufgehört zu arbeiten und horchte. Ein seltsames Flüstern war jetzt im Berg. Schritte, waren das Schritte? „Thomas!“, rief er. „Bist du da?“ Aber es kam nur das Echo seiner eigenen Stimme zurück aus dem engen Gang.

Er hockte sich wieder hin und arbeitete weiter, obwohl ihm nicht geheuer war. Die Geschichten vom Berggeist fielen ihm ein, der manchmal die Bergleute neckte, ihnen Angst machte, wie es hieß. Allerdings erzählte man sich auch, dass er verschüttete Bergleute gerettet, den Verzweifelten mit seinem Grubenlicht einen Ausweg gezeigt hatte.

Das Knistern im Berg hörte nicht auf. Es bereitete ihm Unbehagen. Während er noch lauschte, kam aus der Ferne wieder dieses seltsame Rollen wie von einer Kutsche. Ihm war, als käme die Kutsche näher, als führe sie direkt auf ihn zu. Sein Licht fing plötzlich an zu flackern, und das Grollen kam näher. Das Licht wurde unruhiger, immer unruhiger, flatternd bäumte es sich noch einmal auf, dann war es vollkommen dunkel. Dicker Staub lag in der Luft, es polterte auf einmal, krachte und dröhnte und legte sich ihm wie eine zentnerschwere Last auf die Brust, nahm ihm den Atem.

Danach war es wieder still, um ihn die Finsternis. Auch das Pochen im Nachbarstollen hatte aufgehört. Ich muss

nachsehen, was die anderen machen, durchfuhr es ihn. Als er sich erhob, fiel alles von ihm ab, hatte sich der Stollen geweitet. Da sah er das Licht. Ganz weit weg war es, nur ein schwacher Lichtschein wie von einer Grubenlampe. Er vergaß, dass er im Nachbarstollen nachsehen wollte und sah nur noch das Licht, weit vor sich, am Ende des Stollens.

Um ihn herum war völlige Dunkelheit, aber er empfand merkwürdigerweise keine Angst mehr, denn vor sich sah er das flimmernde Licht. Durch ein Gewirr von Balken, Stämmen und Steinbrocken kletterte er, zwischen geknickten Stempeln hindurch, von denen es immer zu wenig gab, weil das Holz teuer ist und den Profit schmälert. Das Licht schien näher zu kommen. Vielleicht sind das die anderen, dachte er, sie haben sich bestimmt gerettet und werden mich suchen. Er stolperte weiter durch den staubigen Dunst. An den Wänden rieselte es, knackende Geräusche waren wieder im Berg. Unheimliches Gewisper und Raunen, ein leises Rauschen.

Jetzt wurde das Licht etwas heller, der Boden ebener und auch die Luft wurde freier. Er atmete tief ein und lief schneller, dem Licht entgegen, das größer wurde, immer größer und heller, bis er die Augen schließen musste vor diesem Glanz. Er hatte keine Angst, ging hinein in dieses Licht, wie das Licht in ihn hineinging, ihn umgab und erfasste. Er tauchte in die Helligkeit ein, zerströmte in ihr und ging in ihr auf, wurde eins mit ihr.

Der Imperator und die Macht des Bösen

Ein modernes Märchen von Wolfgang Bittner

Alle Kameras richteten sich auf den großen Helikopter, der aus der Bläue des Himmels herabsank und sanft auf dem tiefgrünen englischen Rasen aufsetzte. Mehrere goldbetresste Lakaien schoben die mit dem eindrucksvollen Werbebanner einer bekannten Getränkemarkte verzierten Türen auf und einer legte sich als Tritt davor. Heraus stieg der Imperator mit seinen beiden Hunden und seiner Gattin.

Ein Lächeln um die Mundwinkel, schlenderte der Herrscher in der Pose eines überalterten Yale-Studenten, eine Hand in der Tasche seines Sportsakkos, den Mikrofonen entgegen. Vernehmbar entrang sich Hunderten von Kehlen bewunderndes Aufstöhnen. Siegessicher, selbstbewusst, schaute das Oberhaupt im Blitzlichtgewitter in die Menge der Reporter, die sich gleich darauf den beiden Hunden und der nach letztem Pariser Schick gekleideten, hektisch winkenden Gattin zuwandten.

„Meine lieben Landsleute“, begann der Imperator dann, „wir leben in schwerer Zeit, umgeben von Feinden, die uns den mühsam erarbeiteten Wohlstand neiden, ja streitig machen. Es gilt, auf der Hut zu sein, gerade jetzt in unserer Wachsamkeit und Abwehrbereitschaft nicht nachzulassen, um jeden Andersdenken-

den zur Strecke zu bringen.“ Applaus brandete auf, hier und da waren Hochrufe zu vernehmen.

Der Imperator winkte huldvoll, zog fast unbemerkt einen Zettel aus der Tasche und fuhr fort: „Wie ihr wisst und wie euch schon mein verehrter Vater nahe gebracht hat, führen wir einen immerwährenden Existenzkampf, einen Kreuzzug auf Leben und Tod, einen Krieg des Guten gegen das Böse. Wir, die wir die Zivilisation verkörpern, sind angetreten gegen die Barbarei, die uns bedroht. Wie immer, sind selbstverständlich Moral, Sitte und Anstand auf unserer Seite, und wir werden nicht, niemals, nachlassen in der Anstrengung, die Fahne der Freiheit hochzuhalten. Gott segne unsere Fahne! Gegen Kameltreiber, Weicheier und Kalaschnikows! Wir werden sie einsaften und verdampfen, alles plattmachen, keinen Stein auf dem andern lassen! Gott segne unser Land!“

Donnernder minutenlanges Beifall.

Nun trat ein ordengeschmückter vier-schrötiger General an die Mikrophone und räusperte sich. Nachdem der Beifall abgeebbt war, begrüßte er den Imperator mit einer Ehrenbezeugung und Handschlag. Er winkte einigen kleinen Mädchen, die seitwärts Aufstellung genom-

men hatten und rasch herbeiliefen, um dem Oberhaupt Blumensträuße zu überreichen. Erneuter Applaus übertönte ein paar Schüsse im Hintergrund, wo einer der Anwesenden missverständlich in die Tasche gegriffen und dadurch die Aufmerksamkeit der Bodyguards auf sich gezogen hatte.

„Liebe Landsleute, liebe Freunde, Kameraden!“, sprach jetzt der General mit fester Stimme. „Die Macht des Bösen, diese Verschwörung des Antichrist, muss gebrochen werden. Dazu stehen uns Dank der Unterstützung unseres Imperators und natürlich unserer Rüstungsindustrie sämtliche Mittel zur Verfügung. Wir werden die Frevler zur Rechenschaft ziehen, die Agitatoren des Terrors, diese Ausgeburten der Hölle, die unseren Wohlstand und unsere Freiheit bedrohen! Wir stehen für technisch-ausgereifte Industrieprodukte, für international verfügbare Konsumgüter und Genussmittel sowie für eine phantastische Unterhaltung. Heutzutage braucht niemand mehr im Sandkasten zu spielen oder auf einem Esel zu reiten, geschweige denn zu Fuß zu gehen. Wir werden das zu verhindern wissen!“

Spontaner Beifall unterbrach die Rede, Rufe wie „Es lebe die Freiheit!“

oder „Tod den Gottlosen!“ waren zu vernehmen.

„Wir eliminieren jeden, der sich uns in den Weg stellt!“, fuhr der General mit erhobener Stimme fort. „Neue Waffensysteme der Kategorien A bis Z sind in der Entwicklung und werden demnächst zum Einsatz gebracht. Dank gebührt besonders unseren heldenmütigen Soldaten, unseren Agenten, Spionen und Lockspitzeln – wir beten für sie –, die überall in der Welt für unsere Sache kämpfen, in unermüdlichem Einsatz zum Wohl unseres großen Volkes, unserer Wirtschaft und der Rüstungsindustrie!“

Ein dreifaches donnerndes Hoch folgte diesen ergreifenden Ausführungen. Danach legten alle ihre rechte Hand aufs Herz und lieblich klang die Nationalhymne durch den weitläufigen, von Panzerspähwagen und Flugabwehrgeschützen gesäumten Park.

Anschließend begaben sich der Imperator, seine beiden Hunde und seine Gattin wieder zum Helikopter, der sich mit ihnen in der Unendlichkeit des Himmels verlor, eskortiert von den Kondensstreifen der Abfangjäger. Und wenn der Imperator nicht vor Aufgeblasenheit geplatzt ist, dann leben er, seine beiden Hunde und seine Gattin noch heute.

Sprawozdania

Helmut Skowronek

Die Spinnerei Mysłakowice (Erdmannsdorf/Zillertal) als „Zwilling“ der Ravensberger Spinnerei in Bielefeld - eine wenig bekannte Verwandtschaft?

„Am 15. Januar 1857, 5 Minuten vor $\frac{1}{2}$ 6 Uhr abends, ging die große Maschine der Ravensberger Spinnerei in Bielefeld zum 1ten Mal“ – so notierte Ferdinand Kasselowsky, Erster Technischer Direktor der Spinnerei. Dieser Maschinenstart bedeutete einen großen Schritt im Prozess der Industrialisierung und der davon abhängigen Stadtentwicklung Bielefelds. Denn zwischen 1850 und 1880 wuchs die Einwohnerzahl Bielefelds von 10 Tsd auf 30 Tsd. Eine kleinere Maschinenspinnerei hatten schon 5 Jahre zuvor die aus Ungarn zugewanderten Brüder Bozi eröffnet. Die Mechanisierung des Webens folgte auf dem Fuße. Damit befreite sich die Spinnstoffindustrie aus ihrer schweren Strukturkrise, die sich seit etwa 1815 nicht

nur in Ostwestfalen, sondern, wenn auch unterschiedlich stark, in den verschiedenen Wirtschaftsregionen Preußens entwickelt hatte. Denn die europäische Konkurrenz, allen voran England, das die erste Spinnmaschine bereits Ende des 18. Jh aufgestellt hatte, produzierte längst zu geringeren Kosten und in gleichbleibender Qualität. Da zudem der preußische Staat, die neuen Ideen des Wirtschaftsliberalismus wörtlicher nehmend als die ausländische Konkurrenz, kaum Schutzzölle erhob, hatte die ohnehin übersetzte Spinnstoffindustrie einen denkbar schweren Stand. Das galt vor allem für Schlesien, wo gerade die Basis des Gewerbes, die Tausende Hausweber und –spinner mit ihren Familien, schwer an

den wirtschaftlichen Folgen jener Strukturkrise zu tragen hatte. Auf einen Hausweber übrigens rechnete man damals 5 Spinner. Typischerweise produzierten beide Berufe im Verlagssystem: Kaufleute lieferten die Ausgangsware – Flachsfaser bzw. Leinengarn – und nahmen ihnen das produzierte Garn bzw. Leinen ab. Die preiswerter, weil bereits mechanisch produzierende ausländische Konkurrenz erlaubte es den Verlegern, die heimischen Preise immer stärker zu drücken. Das Elend der schlesischen Spinner und Weber ist mit dem sog. „Weberaufstand“ 1844, in Peterswaldau (Pieszyce) und Langenbielau (Bielawa), und dessen literarischen Niederschlag, bei Heine, Herwegh, Wolff und vor allem Gerhart Hauptmann, in unser kollektives Gedächtnis eingegangen.

Zum Stifter der Verwandtschaft zwischen Mysłakowice (Erdmannsdorf-Zillertal) und Bielefeld konnte Ferdinand Kaselowsky werden, weil er für die längst überfällige Mechanisierung der preußischen Spinnstoffindustrie *der* Fachmann deutscher Zunge war. Denn was er für die sog. Ravensberger Spinnerei in Bielefeld seit 1854 betrieb, nämlich die bau- und maschinentechnische Planung, bis zur Einwerbung erfahrener Vorarbeiter, das hatte er mehr als ein Jahrzehnt zuvor bereits in Erdmannsdorf-Zillertal praktiziert! Mit anfangs 5200, zu besten Zeiten mit mehr als 25 000 Spindeln war diese Spinnerei das größte Unternehmen seiner Art auf dem Kontinent. Wenn man von der edlen Fassade im Tudorstil absieht, die den harten Broterwerb im Innern geradezu maskierte, erweist sich Bielefeld in den bautechnischen Grundlagen als der im Titel apostrophierte „Zwilling“ von Erdmannsdorf. An ein breites Trep-

penhaus schließt sich symmetrisch nach Norden und Süden jeweils ein dreigeschossiger Flügel; die im Erdgeschoß angelieferte Rohfaser wird bis zum dritten Geschoß in feines Leinengarn verwandelt. Die Bauplanung, mit einem gusseisernen Stütz- und Pfeilerwerk, in den geräumigen Maschinensälen heute noch sichtbar, kopiert vermutlich Modelle, deren Funktionalität Kaselowsky in seinen Lehr- und Wanderjahren in England kennengelernt hatte. Eine vergleichbare Tudorfassade findet sich übrigens auch in Mysłakowice, dort allerdings passender am 1840 restaurierten Königsschloss, in dem heute ein Gymnasium arbeitet.

Charakteristisch für die spät-merkantilistische Wirtschaftspolitik und Personalplanung Preußens, war der gelernte Schlosser Kaselowsky als Stipendiat des Königlichen Gewerbeinstituts in Berlin zum „Mechaniker“ – heute vergleichbar einem Maschinenbauingenieur – ausgebildet worden. Seine auffallenden technischen Talente trugen ihm Anfang 1839 - mit knapp 23 Jahren! - auf Initiative des für die wirtschaftliche Entwicklung Schlesiens zuständigen Ministers von Rother den staatlichen Auftrag ein, in Erdmannsdorf-Zillertal eben jene Flachsspinnerei zu gründen und einzurichten. Anders als in Bielefeld, wo führende Leinenkaufleute eine Aktiengesellschaft gründeten, handelte es sich in Schlesien um ein Staatsunternehmen, das als Musterbetrieb private Investoren zur Nachahmung anregen sollte. Im Herbst 1844 nahm die Erdmannsdorfer Spinnerei schließlich ihren Betrieb auf, und Ferdinand Kaselowsky blieb bis 1849 ihr erster Technischer Direktor (Fabrikdirigent und Mechanikus), übrigens in Personal-

union für eine zweite staatliche Maschinenspinnerei, die im benachbarten Landeshut (Kamienna Góra) seit 1841 produzierte. Auch später in Bielefeld hielt es Kaselowsky in der Direktorenposition nicht auf Dauer - offenbar ein Zeichen dafür, dass er sich eher als ein Mann des Neuanfangs, der technischen und organisatorischen Gestaltung verstand und bewährte.

Anders als der Zwilling in Myslakowice, der im Verbund mit einer Weberei und anderen Nebenbetrieben m.W. bis in die Gegenwart sehr ansehnliche Produkte, von Tischwäsche bis zu Herren- und Damenkonfektion, herstellt und in einem Fabrikladen anbietet, musste die Bielefelder Spinnerei, infolge der allgemeinen Strukturkrise der west-

deutschen Textilindustrie, kurz nach 1970 ihren Betrieb endgültig einstellen. Noch als ich 1971, an die neugegründete Universität berufen, auf dem Bielefelder Hauptbahnhof eintraf, kündigte sich die Stadt auf jedem Bahnsteig als „Leinenstadt“ an. Bei einem USA-Besuch zeigten mir Freunde in Seattle noch 1985 stolz die ererbte Damast-Tischwäsche aus Bielefelder Produktion. Tempora mutantur: bezeichnend für den Weg von der Industrie zur Wissensgesellschaft beherbergt das Fabrikschloss, das um 1970 eine Bürgerinitiative vor dem Abriss rettete, heute ein großes kommunales Erwachsenenbildungszentrum („Volkshochschule“), und in den zur alten Industrieanlage gehörigen Nebengebäuden finden sich weitere kulturelle Einrichtungen.



Barbara Sapała, Marek Podlasiak

Sprawozdanie z Międzynarodowej Konferencji Stowarzyszenia Germanistów Polskich

Texte – Gegenstände germanistischer Forschung und Lehre (Tekst jako przedmiot germanistycznych badań naukowych i pracy dydaktycznej)
(Toruń, 12-14.05.2006)

W 2006 r. Zjazd Stowarzyszenia Germanistów Polskich, połączony z międzynarodową konferencją, odbył się w Toruniu. Toruńska Katedra Filologii Germańskiej po raz pierwszy w swojej wieloletniej historii przejęła rolę współorganizatora i gospodarza – prestiżowego nie tylko w świecie germanistyki polskiej – kongresu. Doroczne spotkania SGP służą prezentacji najnowszego dorobku naukowego, dyskusji o kierunkach rozwoju polskiej germanistyki oraz pełnią również ważną rolę w integrowaniu polskiego środowiska germanistycznego.

Swój udział w tej edycji konferencji zgłosiło prawie 130 osób ze wszystkich ośrodków germanistycznych w kraju, w tym wielu młodych naukowców, od niedawna będących członkami Stowarzyszenia. Szczególną grupę stanowili zaproszeni goście z zagranicy, wśród których znaleźli się profesorowie z Instytutu Germanistyki na Uniwersytecie Georga Augusta w Getyndze, z którym toruńską Katedrę

łączy wieloletnia, intensywnie wspierana przez DAAD współpraca naukowo-dydaktyczna.

Zakrojone na szeroką skalę przygotowania do zjazdu i konferencji zakończyły się sukcesem dzięki doskonałej kooperacji Zarządu SGP na czele z jego Prezydentem, prof. dr. hab. Franciszkiem Gruczą, a kierownikiem Katedry Filologii Germańskiej, dr. hab. Włodzimierzem Zientarą, prof. UMK. Finanse stanowią wprawdzie nieco przyziemny aspekt całego przedsięwzięcia, ale niezbędnym warunkiem organizacji sympozjum było zgromadzenie wystarczających środków. Wagę wydarzenia docenił Komitet Badań Naukowych, a także Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, które przyznały dotacje pokrywającą większą część powstałych kosztów. Nie mniej ważne było wsparcie finansowe ze strony niezawodnego DAAD, a także Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i lokalnych toruńskich firm, takich jak Toruń–Pacific Sp. z o.o.

Walne Zebranie członków SGP, a także konferencyjne obrady odbywały się w uroczystych wnętrzach Sali Złotej w Pałacu Dąbskich. Ten należący dziś do Uniwersytetu barokowy budynek usytuowany jest w centrum toruńskiego Starego Miasta. Miejsce obrad nie było przypadkowe. Gospodarzom konferencji zależało bowiem na podkreśleniu ścisłego związku toruńskiej uczelni z miastem, które również miało swój udział w przyjęciu gości, zaopatrując ich w plany miasta i informatory turystyczne. Prezydent Miasta Torunia Michał Zaleski objął Zjazd SGP honorowym patronatem. Zjazd Germanistów wzbudził również zainteresowanie prasy i lokalnych rozgłośni radiowych, które nadały przedsięwzięciu charakter medialny.

Toruńską Konferencję SGP uświetnili swoją obecnością goście honorowi: prof. dr hab. Andrzej Radziwiński, Prorektor UMK, dr Heinz Peters – kierujący Działem Kultury Radca Ambasady Niemiec w Warszawie, dr Peter Hiller – Dyrektor Przedstawicielstwa DAAD w Warszawie, dr Walter Maria Stojan – Dyrektor Austriackiego Forum Kultury w Warszawie, a także pan Grzegorz Grabowski, reprezentujący Prezydenta Miasta Torunia, pana Michała Zaleskiego.

Temat konferencji: *Texte – Gegenstände germanistischer Forschung und Lehre* stworzył ramy szerokiego dyskursu naukowego obejmującego poszczególne dyscypliny germanistyczne. Pierwszy dzień sympozjum upłynął pod znakiem językoznawstwa. W trakcie sesji moderowanej przez prof. Józefa Darskiego (Poznań) wystąpił jako pierwszy prof. Zdzisław Wawrzyniak (Rzeszów), który podsumował rozwój

działu językoznawstwa zwanego Textlinguistik, prof. Jerzy Żmudzki (Lublin) zaś odniósł temat konferencji do zagadnień translatorycznych. Duże zainteresowanie wzbudziło wystąpienie prof. Hartmuta Eggerta (Berlin FU), którego referat pt. *Alte und neue Lesekompetenzen im elektronischen Zeitalter* uzupełniony był o interesujące nie tylko dla językoznawców komentarze o charakterze socjologicznym. Kolejny blok – tym razem pod przewodnictwem prof. Antoniego Dębskiego (Kraków) – rozpoczęła pani prof. Iwona Bartoszewicz (Wrocław) referatem pt. *Rhetorisch konnexe Texte, rhetorisch konnexe Diskurse*. Następnie prof. Heinz Vater (Kolonia) mówił o referencyjnych przesunięciach w tekstach, zaś prof. Dieter Cherubim (Getynga) skupił się na problemie dialogowości w tekście.

Pierwszy dzień obrad zakończył uroczysty bankiet, w trakcie którego Prezydent SGP, prof. Franciszek Grucza, ponownie, w mniej oficjalnym już tonie powitał uczestników konferencji, otwierając niejako blok zakulisowych, choć nie mniej fachowych dyskusji.

Drugi dzień sympozjum rozpoczął się panelem poświęconym porównaniom polskich i niemieckich tekstów fachowych. W dyskusji moderowanej przez dr. hab. Sambora Gruczę wzięli udział prof. Zofia Berdychowska (Kraków), prof. Norbert Fries (Berlin HU), Margot Heinemann (Görlitz/Zittau), prof. Burkhard Schäder (Siegen) oraz prof. Zenon Weigt (Łódź).

Następnie prof. Mirosława Czarnicka (Wrocław) poprowadziła blok, w którym problematyka tekstu jako przedmiotu badań naukowych połączyła języ-

koznawców z literaturoznawcami. Prof. Ernest Hess-Lüttich (Bern) mówił o pojęciach tekstu w literaturoznawstwie, językoznawstwie i medioznawstwie w czasach przełomu technicznego. Prof. Marek Cieszkowski przybliżył zaś słuchaczom wyniki swoich badań nad tekstami reklam, koncentrując się przy tym na problematyce semantyki medialnej. O ścisłym związku między tekstem a obrazem, czyli o wizualnym opowiadaniu traktował wykład prof. Rolfa Petera Janza (Berlin FU). Rozważania teoretyczne poparł on fragmentami z listów Rilkego poświęconymi dziełom Paula Cézanne'a.

Również kolejną sesję, prowadzoną przez prof. Lecha Kolago, zdominowały tematy literaturoznawcze. I tak prof. Peter Sprengel (Berlin FU) w swoim wystąpieniu mówił o powtórce z „moderny” u Wolfganga Koeppena. Natomiast prof. Gerard Lauer (Getynga) podjął rozważania z zakresu teorii literatury w wykładzie pt. *Das erzählte Gedicht. Über den Unterschied und den Zusammenhang zwischen erzähltem und wahrgenommenem Gedicht*. Reprezentująca również Uniwersytet w Getyndze prof. Claudia Stockinger podzieliła się ze słuchaczami swoimi przemyśleniami odnośnie do aktualności teorii immanentności dzieła Emila Staigera.

Sobotnie obrady zakończył blok kulturoznawczy, poprowadzony przez prof. Lucjana Meissnera (Łódź/Warszawa), a rozpoczęty wykładem prof. Karola Fiedora (Łódź) *Polen in der deutschen Presse und Rundfunkpropaganda 1919-1939*. Następnie dr hab. Maria Gierlak (Toruń) przedstawiła referat poświęcony kulturze Trzeciej Rzeszy w polskiej prasie codziennej w latach 1933-1939. Prof. Teodor Filipiak

(Warszawa) podjął zaś aktualny temat wartości uniwersalnych i narodowych w przełomowej kulturze politycznej Polski i Niemiec.

Ostatni dzień konferencji należał w całości do przedstawicieli toruńskiej germanistyki. Dr hab. Małgorzata Klentak-Zabłocka przedstawiła interesujący aspekt tekstu jako aktu emancypacji na podstawie *Listu do Ojca* Franza Kafki, a dr hab. Tomasz Waszak wygłosił referat pt. „*Die Bibel*” als Metapher individueller Kanonbildung.

Konferencje SGP tradycyjnie zamyka prezentacja jednostki goszczącej. O niełatwych początkach toruńskiej germanistyki barwnie opowiadał jej wieloletni kierownik, prof. Eugeniusz Klin, przytaczając anegdoty, jak chociażby o kompletowaniu pierwszej biblioteki KFG. Dziś księgozbiór biblioteki, liczący ok. 21 800 woluminów, obejmuje wiele cennych pozycji z literatury przedmiotu. Historia Katedry Filologii Germańskiej w Toruniu odzwierciedla trudności, z jakimi borykało się szkolnictwo wyższe, a zwłaszcza neofilologie, w powojennej Polsce.

Pierwsza Katedra Filologii Niemieckiej istniała na UMK w latach 1946-1952, jednak z powodu braku samodzielnych pracowników nauki pozostawała przez cały ten czas nieobsadzona. Funkcję kierownika pełnili zastępczo prof. Konrad Górski i prof. E. Słuszkiewicz. W 1952 roku germanistyka podzieliła losy innych neofilologii i została zlikwidowana.

W 1969 roku powstała nowa Katedra Filologii Germańskiej. Jej organizatorem i pierwszym kierownikiem był doc. dr hab. Eugeniusz Klin. Od 1979 do końca 2003, z kilkuletnią przerwą w latach osiemdziesiątych, w czasie której funkcję

kierownika Katedry sprawowała doc. dr hab. Weronika Jaworska, Katedrą kierował prof. dr hab. Karol Sauerland. W roku 2004 kierownictwo Katedry objął dr hab. Włodzimierz Zientara, prof. UMK.

Studia germanistyczne wznowiono w 1972 roku i od tego czasu filologia germańska cieszy się niezmiennie żywym zainteresowaniem wśród absolwentów szkół średnich, którzy decydują się kontynuować naukę na UMK w Toruniu. Program studiów obejmuje oprócz praktycznej nauki języka niemieckiego takie przedmioty jak: historia literatury niemieckojęzycznej, wybrane zagadnienia z filozofii i estetyki niemieckiej, wiedza o krajach niemieckiego obszaru językowego, historia Niemiec oraz zagadnienia językoznawcze. Wszechstronność oferty dydaktycznej wynika przy tym bezpośrednio z interdyscyplinarnych zainteresowań badawczych pracowników Katedry. Aktywność naukowa zespołu, który na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych tworzyli przede wszystkim młodzi asystenci i absolwenci, wyraża się w zakończonych pomyślnie przewodach doktorskich i kolokwium habilitacyjnych, czynnym uczestnictwie naszych pracowników w wielu konferencjach naukowych organizowanych w kraju i za granicą oraz licznych publikacjach.

W roku 1992 Katedra rozpoczęła proces reformowania programu studiów; korzystając z doświadczeń uniwersytetów niemieckich, wdrożono nowatorski system nauczania, pobudzający studentów do pracy indywidualnej oraz samokształcenia, wzmacniający motywację i promujący ich aktywność. W myśl tych założeń większości zajęć nadano charakter seminarium tematycznych. Umożliwia to

studentom samodzielny dobór szeregu treści programowych oraz świadome i odpowiedzialne kształtowanie i rozwijanie własnych zainteresowań, stosownie do planowanej specjalizacji magisterskiej. W systemie tym pracownicy naukowcy mogą w ramach zajęć dydaktycznych prezentować przebieg i wyniki swoich aktualnych badań, a studenci mogą w tych badaniach na bieżąco uczestniczyć. Jest to realizacja Humboldtowskiej zasady, wedle której student nie powinien być podporządkowany swemu nauczycielowi, lecz obaj powinni wspólnie poszukiwać najlepszych rozwiązań. Zmiany te szybko przyniosły wymierne efekty: w międzynarodowej konferencji naukowej *Kulturelle Grenzen – grenzüberschreitende Kulturen*, zorganizowanej przez Katedrę w maju 1994 r., po raz pierwszy aktywnie uczestniczyli również studenci, przedstawiając kilka interesujących referatów. Taki system studiów pozwala również słuchaczom dokonać wyboru interesujących ich seminariów. Pracownikom daje to natomiast możliwość zaprezentowania bogatszej oferty dydaktycznej, w większym stopniu zintegrowanej z kierunkiem prowadzonych przez nich aktualnie badań naukowych.

Główne nurty reprezentowane przez pracowników Katedry Filologii Germańskiej UMK w pracy naukowo-dydaktycznej to: historia literatury i kultury niemieckojęzycznej, zagadnienia metodologii badań literackich, historia polityczna Niemiec, Austrii i Szwajcarii (seminarium magisterskie z historii Niemiec prowadził w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych prof. Jerzy Serczyk, który intensywnie współpracował z Katedrą Germanistyki), problematyka stosunków

polsko-niemieckich oraz językoznawstwo kontrastywne polsko-niemieckie. W edukacji językowej studentów stałych pracowników od lat wspomagają lektorzy z Niemiec i z Austrii. Chętni studenci mogą zdobyć gruntowne przygotowanie pedagogiczne i metodyczne i uzyskać w ten sposób kwalifikacje zawodowe nauczyciela języka niemieckiego. Z początkiem roku akademickiego 1994/95 Katedra przystąpiła do realizacji programu Wyższego Studium Zawodowego na kierunku filologia, pozwalającego studentom innych kierunków uzyskać po trzyletniej edukacji tytuł licencjata.

Katedra prowadzi intensywną współpracę z wieloma zagranicznymi ośrodkami naukowymi. Ważnym forum wymiany myśli z kolegami z innych krajów były międzynarodowe konferencje w Bachotku, organizowane niemal corocznie od 1981 roku przez prof. Karola Sauerlanda. Miały one charakter interdyscyplinarny. Poza germanistami brali w nich udział także filozofowie, socjologowie i przedstawiciele świata kultury krajów niemieckojęzycznych. Przykładowe tematy tych sympozjów to: literatura ekspresjonizmu, filozofia Wittgensteina, prądy irracjonalne i mistyka na przełomie wieku XIX i XX w literaturze i kulturze niemieckiej, problem politycznego zaangażowania intelektualistów. Wyniki tych konferencji zostały opublikowane, częściowo także w wydawnictwach zachodnich. Tradycją stały się też gościnne wykłady i seminaria dla studentów prowadzone przez naukowców z krajów niemieckiego obszaru językowego, odwiedzających naszą Katedrę na mocy porozumień partnerskich z zagranicznymi placówkami naukowymi oraz współpracy z Austriackim Forum

Kultury w Warszawie. Corocznie odbywa się kilkanaście takich spotkań. W ramach finansowanego przez DAAD programu „Partnerstwo instytutów” Katedra współpracowała dziesięć lat (od 1994) z Instytutem Germanistyki Uniwersytetu w Getyndze. Każdego roku do Torunia przyjeżdżało 3-4 germanistów z Getyngi, którzy prowadzili zajęcia z toruńskimi studentami. Germaniści toruńscy mieli możliwość w ramach wymienionego programu odbywać kwerendy biblioteczne w uniwersyteckich bibliotekach w Getyndze. W 1996 roku Katedra Filologii Germańskiej nawiązała współpracę z Instytutem Germanistyki Uniwersytetu w Amiens we Francji.

W rodzimym wydawnictwie UMK ukazało się dotychczas w serii Filologia Germańska 26 zeszytów naukowych prezentujących wyniki badań pracowników Katedry; w ostatnich latach ukazało się kilka pozycji monograficznych oraz wiele artykułów, także w wydawnictwach zagranicznych. Pracownicy Katedry, a także w coraz większej liczbie studenci, korzystają ze stypendiów zagranicznych w Niemczech i Austrii. Stypendia dla studentów obejmują również kursy językowe oraz praktyki pedagogiczne w szkołach niemieckich. W roku 2003 Katedra zreorganizowała swoją strukturę, wyłaniając dwa Zakłady: Zakład Literatury i Kultury Dawnej (kierownik: dr hab. Włodzimierz Zientara, prof. UMK), Zakład Literatury i Kultury XIX i XX wieku (kierownik: dr hab. Leszek Żyliński, prof. UMK) oraz Pracownię Języka Niemieckiego (dr hab. Józef Grabarek, prof. UG, prof. UMK).

Obecnie, jak zaznaczył na koniec prezentacji toruńskiej germanistyki prof. Włodzimierz Zientara, wyzwaniem dla

Sprawozdania

Katedry, tak jak dla wszystkich polskich uczelni, jest Proces Boloński, którego dyrektywy muszą zostać wdrożone w proces dydaktyczny.

Doroczny Zjazd SGP połączony z międzynarodową konferencją naukową był dla toruńskich germanistów okazją do zaprezentowania – po raz pierwszy na tak szeroką skalę – zarówno kierunków

badania naukowych pracowników KFG, jak i nowatorskich metod wykorzystywanych w procesie dydaktycznym. Dziękując polskim i zagranicznym germanistom za aktywny udział w Kongresie SGP, wyrażamy nadzieję, iż naukowa atmosfera, a także walory naszego gotyckiego miasta skłonią ich do kolejnych wizyt w toruńskiej *Alma Mater*.

Recenzje

Jan Papiór

Über den vertrackten und mühevollen polnisch-deutschen Diskurs

Innerhalb einer Epoche gibt es keinen
Standpunkt, eine Epoche zu betrachten

(Goethe: Maximen und Reflexionen,
W. A. 42,2, S. 245)

Klaus Zernack: Niemcy-Polska – Z dziejów
trudnego dialogu historiograficznego;
Poznań 2006, s. 478.

Klaus Zernack ist einer der wenigen deutschen Historiker, der sich über Jahrzehnte mit der ostmitteleuropäischen Historiographie, und in der Konsequenz auch mit der Geschichte der deutsch-polnischen Beziehungen beschäftigt. Eine Anthologie seiner kürzeren und längeren Beiträge erschien in der «Poznańska Biblioteka Niemiecka» (als Band 23). Leider erschien der wichtige Band erst nach sieben Jahren ihrer Existenz und nicht gleich als einer ihrer ersten Titel. Der umfangreiche Band wurde von dem Poznaner Historiker Henryk Olszewski herausgegeben und ermöglicht mit der getroffenen Auswahl seiner Texte dem polnischen Leser erstmals einen zu-

sammenhängenden Einblick in die konsequente Forschungskonzeption des deutschen Historikers und dokumentiert zugleich auch eine Revision in der Erforschung des ostmitteleuropäischen Geschichtsbildes in der deutschen Historiographie. Es wäre jedoch einengend festzuhalten, dass Klaus Zernack mit vereinzelt älteren nur wenigen jüngeren deutschen Historikern diesem explannativen Forschungsmodell nachgeht. Die 26 Beiträge und Studien, in drei Gruppen gegliedert, stammen vorwiegend aus den achtziger und neunziger Jahren des 20. Jahrhunderts, obwohl der erste übersetzte Text von K. Zernack schon im Jahre 1976, und der letzte der übernommenen Texte im Jahre 2000 veröffentlicht wurde.

Hiermit soll eingangs auf die redaktionelle Seite der Anthologie verwiesen wer-

den. Der Herausgeber vermerkt einerseits, dass diese Anthologie ein seit Jahren dringendes Postulat der polnischen Humanistik gewesen sei (S. 49; in dieser Form wird auf entsprechende Stellen der Publikation verwiesen), andererseits, dass in die Sammlung nur die Untersuchungen aufgenommen wurden, die bisher nicht in polnischer Sprache veröffentlicht wurden. Es wäre darauf zu verweisen, dass das von H. Olszewski thematisierte „dringende Postulat“ vor allem die polnische Historiographie und Germanistik betrifft, weil diese Bereiche die Beziehungen untersuchen. Ein weiteres Postulat ist seit Jahrzehnten eine – dem heutigen Stand des Wissens entsprechende – Gesamtdarstellung dieser gegenseitigen polnisch-deutschen Verhältnisse, denn der durchschnittliche Leser, insbesondere der nicht erfahrene Leser und Student, kann sich durch das Dickicht historischer Tatsachen, unterschiedlicher und gegensätzlicher Interpretationen (unter denen auch völlig fehlgeschlagene zu finden sind) und ihrer Instrumentalisierung nur schwer durchringen. Sammelbände, wie der vorliegende von K. Zernack, sein früherer (aus dem Jahre 1991), oder der von G. Labuda (1996) können das Problem zwar lindern, uns dem zweiten Postulat näher bringen, lösen können sie es jedoch nicht.

Alles in allem ist K. Zernacks Postulat ein akzeptabler Grundsatz, der jedoch nur dann seine Funktion erfüllen könnte, wenn dem Sammelband ein Verzeichnis der in Polen schon veröffentlichten Publikationen des deutschen Historikers beigelegt worden wäre. Wenn dann noch vom polnischen Herausgeber im Schlusssatz der sehr umfangreichen Einführung (*Klaus Zernack i jego filozofia historii stosunków niemiecko-polskich* [Klaus Zernack und seine Philosophie der deutsch-polnischen Beziehungen]; S. 7-49), die eine quasi philosophische Einsicht in die Tätigkeit des deutschen Historikers bringt und sich mit Floskeln der Art

„O trudnym niemiecko-polskim dialogu historiograficznym“ (Vom schwierigen deutsch-polnischen historiographischen Dialog) befriedigt, auf sein 75. Jubiläum verweist, dann wäre zu erwarten, dass die Edition auch durch ein Gesamtverzeichnis seiner Forschungs- und Publikationsergebnisse ergänzt worden wäre, die doch für die deutsche Historiographie und das neue Verhältnis zwischen polnischen und deutschen Geschichtswissenschaftlern so wichtig sind. Erst aus dieser Perspektive wäre eine komplexe Einsicht in die Forschungen des Historikers möglich. Es ist sehr zu bedauern, dass der polnische Herausgeber diese Gelegenheit nicht wahrgenommen hat. Aber die Bedenken sind weit bedeutender, denn die Texte wurden in ihrer ursprünglichen Fassung übernommen, ohne Uneindeutigkeiten, dem Publikationsjahr entsprechende Kontexte und bibliographische Verweise zu revidieren und auf den neusten Stand zu bringen. So wird z. B. an einigen Stellen (S. 387, 403, und weitere sowohl frühere und spätere) darauf hingewiesen, dass eine Publikation zur Zeit der ersten Veröffentlichung noch nicht erschienen ist, aber doch wohl bis 2006 erschienen sein könnte, was leider nicht vermerkt wird. Neben den zahlreichen unerträglichen Druckfehlern (z. B. S. 121, 219, 362 mit Verweis auf 358, 163 A. 41, u. a. m.), wäre vor allem auf die an vielen Stellen fragwürdigen Übersetzungen hinzuweisen (S. 55, 58, 61, 65, 67, ... und passim), die die Lektüre nicht nur verunsichern, aber auch zu Missverständnissen führen. Ganz besonders irritiert der Terminus „westernizacja“ (S. 280, 310, 327), der ein besonderes Beispiel sprachlicher Fahrlässigkeit ist.

In jeder humanistischen – und auch historiographischen – Forschung scheint es unabdinglich zu sein, sich nicht nur auf Bezugsebenen beziehen zu können – wie dies schon J. W. Goethe und F. Schiller verstanden, sondern auch um einerseits dem Postulat der französischen *Annales* der

«longe durré» gerecht werden zu können, und zum anderen eine «Verwissenschaftlichung» der Forschungsgrundlage zu erreichen. Wenn auch K. Zernack von der Nation – im Gegensatz zu den noch heute gängigen Meinungen – schon im Mittelalter spricht, also auf sehr frühe Formen der Sozialisierung und Staatsorganisation zurückgreift, so scheint er jedoch dem Problem der Bezugsebene – im Zusammenhang mit der Beziehungsforschung – keine besondere Bedeutung zuzumessen. Die Frage steht im Kontext des Problems, warum das Deutsche Reich nach den «Straßburger Eiden» (842) und dem «Vertrag von Verdun» (843), sowie der Erneuerung des Reiches durch die ersten Ottonen nur in östliche Richtung expandierte? Im Kontext der Anthologie des deutschen Historikers, insbesondere im Kontext der polnisch-deutschen Beziehungen, oder noch allgemeiner: der germanisch-slawischen Beziehungen, wäre nach dieser Bezugsebene zu fragen. Die Frage ist auch deswegen so wichtig, weil sich Klaus Zernack diesen Beziehungen nicht nur als Forschungsproblem – insbesondere der deutschen Geschichtsschreibung – (S. 51-214), sondern auch im Mittelalter zuwendet (S. 215-319). Der Forscher braucht also unbedingt eine derartige Bezugsebene, um dem Problem in einer wissenschaftlichen Explannation überhaupt gerecht werden zu können, weil sonst die gesamte Interpretation in der Luft schwebt! Leider wird diesem Problem in den übersetzten Untersuchungen im Grunde keine Aufmerksamkeit gewidmet. Aus meiner Vision und Kenntnis der Beziehungen, zuerst der slawisch-germanischen, und seit dem 10. Jahrhundert der polnisch-deutschen Zwigigkeiten und auch Gemeinsamkeiten auf dem Hintergrund und als Teil des europäischen Geschichtsprozesses könnten die Ergebnisse der Völkerwanderung eine solche Bezugsebene bilden. Es wird nämlich durch die Völkerwanderung die Kolonisation des Römischen Imperi-

ums und auch die keltische Kultur in Europa zerstört und eine neue ethno-geographische Völker- und Länderstruktur geprägt: im Westen und Süden Europas finden die Romanen, im Zentrum und Norden die Germanen, im östlichen Zentrum, Osten und Südosten die Slawen ihre Heimat, die sich zwar erst mit der Zeit vollständig ausprägt, aber infolge dieser Neustrukturierung kommen Slawen und Germanen, Polen und Deutsche in einen dauernden Kontakt. Die Grenze dieser neuen Völkerstruktur waren der Rhein, die Donau und die Linie der Elbe und Saale. Dies ist eine – sehr oft übergangene – Trivialität der europäischen Geschichte! Indem aber – insbesondere in der Bestimmung des Forschungsproblems – diese Trivialitäten übergangen werden (bewusst oder unbewusst sei offen gelassen), schleicht sich in die Vision, oder wie dies H. Olszewski benennt: die Philosophie der nachbarlichen Beziehungen des deutschen Historikers eine Lücke ein.

Aus dem Forschungsproblem im Mittelalter, aus dem sich insgesamt nur wenige Dokumente und Quellen erhalten haben, sei auf noch ein Problem verwiesen. Es handelt sich um die Zu- und Einordnung der polnischen Kirche und Kirchenstruktur, sowie in der Konsequenz um die Königswürde des polnischen Herrschers. Die deutsche – wie im Grunde jede – politische Historiographie ist nur auf Rekonstruktion der faktographischen Struktur der Geschichte ausgerichtet und bezieht sich auf Thietmars von Merseburgs Darlegung der frühesten Beziehungen in seiner *Chronik*. Es wird damit, weil Thietmar das Dokument des polnischen Herrschers, das nur als Regest «dagome judex» in der Sammlung des Kardinals Deusdedit auf uns gekommen ist, übergeht, auch von der deutschen Historiographie die Tatsache übergangen, dass der polnische Herrscher sein Land, das in diesem Dokument ziemlich genau umschrieben ist und im Großen und Ganzen dem heutigen Polen ent-

spricht, dem Heiligen Stuhl als «Patrimonium Petri» überweist. Es wird hiermit der Anspruch der deutschen Kirche, insbesondere des Erzbistums Magdeburg auf Eingliederung der polnischen Kirche, vor allem des Bistums Poznań (jedoch nicht nur) unterbunden, aber von der deutschen Historiographie dennoch bis in die Gegenwart weiter tradiert. In den übersetzten Untersuchungen K. Zernacks kommt die gesamte Bedeutung und Funktion der Kirche für diese Beziehungen wesentlich zu kurz, zumal im Mittelalter «sacrum» und «profanum» im Grunde nicht zu trennen ist. In der Konsequenz wird auch die Rolle Otto III. – der in der deutschen Historiographie, wie immer bedeutend marginalisiert wird – wesentlich vermindert. Wie das interessante Buch von Johannes Fried (in der erweiterten polnischen Fassung aus dem Jahre 2000) dokumentarisch und ausführlich belegt, war die von der Kirche, und insbesondere von Papst Silvester II. entwickelte Konzeption des universalen «Orbis Christianum» mit den Teilreichen der Romania, Galia, Germania und Slavia (obwohl umfangreicher als nur Polen verstanden) der eigentliche Anfang des europäischen Universalismus. Der frühe Tod des Papstes und des jungen Kaisers, der doch nur die Konzeption seines Lehrers und der Kirche realisierte, machte diesem Universalismus ein jähes Ende, denn die Ottonen realisieren die Konzeption eines ethnischen Universalismus und dehnen zum ersten Mal in der europäischen Geschichte nach der Völkerwanderung die Expansion auf nichtgermanische Gebiete aus.

Eine parallele Lektüre der Texte von Klaus Zernack, die dem polnischen Leser zugänglich gemacht wurden, mit entsprechenden Texten polnischer Historiker (z. B. von Gerard Labuda), lässt den Eindruck entstehen, dass diese nur einen Diskurs, aber im Grunde keine Diskussion, sowie keinen Dialog prägen, dass diese sich – um es euphemistisch zu formulieren –

nur auf parallelen und sich nicht kreuzenden Bahnen bewegen. Gerard Labuda, der sich mit dieser Problematik seit Jahrzehnten beschäftigt, sprach seiner Zeit vom «Dialog der Tauben» (*Dialog głuchych*; in: *Gazeta Wyborcza* 2002, 151, S. 16). So lassen sich auch die Anthologien von Klaus Zernack (1991) und Gerard Labuda (1996) lesen. Man gewinnt den Eindruck, dass die Verständigung über fundamentale Tatsachen des Kulturprozesses (wie dies J. Topolski formulierte «dzieje», also dessen was geschah) so vertrackt und mühevoll ist, weil einerseits eine Bezugsebene fehlt, andererseits in die Explanaation und Darstellung der Erkenntnisse der Beziehungsgeschichte auch ihre Wertung – bewusst oder unbewusst, sei dahingestellt – einfließt, denn wir haben es mit Kulturprozessen zu tun. Im Klartext bedeutet dies, dass die Verflechtungen der ostmitteleuropäischen Geschichtsphänomene aus der deutschen oder österreichischen Perspektive einen anderen Stellenwert haben wird, als der polnischen oder tschechischen. Und es ist nicht nur ein Sprachspiel, wenn deutsche Forscher von deutsch-polnischen Beziehungen sprechen (denn es wird hiermit die in östliche Richtung erfolgende Verschiebung des deutschen Sprachraums mitthematisiert), die polnischen dagegen immer öfter und bewusster von polnisch-deutschen sprechen sollten (womit auch der polnische und slawische Einfluss in westliche Entwicklungsprozesse mitbedacht wird). Noch komplizierter wird diese Beziehungsgeschichte, weil diese noch in polnisch-preußische, polnisch-österreichische und polnisch-sächsische aufgliedert werden müssen. Im ersten Falle wird u. a. die langzeitige Richtung (west-ost) des Kulturprozesses mitberücksichtigt werden müssen, im zweiten die Bedeutung, die diese Beziehungen für die polnische Kultur haben. In den Veröffentlichungen von K. Zernack, kommt einerseits dieser fundamentale Grundsatz – im

Grunde – auf jeder Seite zum Ausdruck. Andererseits aber wird immer wieder darauf verwiesen, dass ohne die Berücksichtigung dieser Beziehungen, sowohl der polnische, wie auch der deutsche mit seinem Sonderteil des preußischen Geschichtsprozesses nicht nur zu erklären, sondern auch nicht zu verstehen ist. Der deutsche Historiker erinnert öfters daran, dass dies in seiner Heimat in der Vergangenheit nicht so war. Dieser Zustand ist nicht nur, sondern zum Teil doch auch auf mangelnde polnische Sprachkenntnisse deutscher Forscher zurückzuführen.

Es scheint mit den mangelnden Sprachkenntnissen bei deutschen Historikern etwas an der Sache zu sein. Als ich vor einigen Jahren in einer Gruppe deutscher Kollegen, mit denen wir an einer Konferenz in Warszawa teilnahmen, die Überzeugung ausdrückte, dass man zumindest ohne passive polnische Sprachkenntnisse sich nicht der polnisch-deutschen Beziehungsforschung zuwenden sollte, waren viele brüskiert und opponierten. Es ist zwar edelmütig, wenn sich deutsche Historiker (ihre Namen verschweigen wir an dieser Stelle, ergeben sich aber nicht nur aus den bibliographischen Verzeichnissen), die sich diesem Problem widmen, gestehen, sie kennen das Polnische nicht, aber hiermit wird eine Einseitigkeit wissenschaftlicher Forschungen so zu sagen vorprogrammiert. Mangelnde Sprachkenntnisse sind aber ein bedeutendes Kulturproblem, dass sich im Grunde auf die Tatsache zurückführen lässt, dass sich die europäische Geschichte angeblich auf dem ehemaligen Kolonisationsgebiet des «Imperium Romanum» realisiert und der Teil Europas, der östlich vom Rhein, später der Elbe und nördlich von der Donau liegt nur von dieser Kultur profitieren. Öfters wird von K. Zernack von der Notwendigkeit einer „Verwissenschaftlichung“ (z. B. S. 151) deutscher historischer Forschungen gesprochen, die sich – in allgemeinsten Per-

spektive – auch in der notwendigen und entsprechenden Berücksichtigung ostmitteleuropäischer Prozesse dokumentieren sollte. Aber auch Klaus Zernack kann sich nicht völlig von den schematisierten und stereotypisierten Darstellungen der deutschen Historiographie befreien, indem er seinen Forschungen keine Bezugsebene für die Beziehungsforschung zu Grunde legt, und indem er eine Reihe wichtiger historischer Tatsachen – so wie es der Anthologie zu entnehmen ist – übergeht. Besonders virulent scheint dies im Kontext seiner Untersuchungen über Th. Fontane und den Mythos Preußen zu sein. Zwar sind Vision und Haltung des deutschen Schriftstellers zu Preußen, wie es K. Zernack formuliert, dem „Staat zwischen den Nationen“ (z. B. S. 388, ob berechtigt sei dahingestellt, n. b. H. Olszewski spricht vom «Zwischenstaat» Sic!), prägnant und bedeutend, aber für die historiographische Vision im tausendjährigen Verlauf der polnisch-deutschen Beziehungen doch eher marginal. Dagegen werden des Bonifatius' und seiner Schüler Haltung zu den Slaven, auch Karls des Großen Verbot der Kontakte mit slawischen Kaufleuten übergangen. Es werden auch solche Staats- und Kirchendokumente (außer den schon erwähnten) übergangen, wie die zwei unterschiedlichen Viten des hl. Adalbert von Bruno von Querfurt, dessen Brief an Kaiser Heinrich, das seiner Zeit sehr populäre und jahrelang als Schulbuch gebrauchte historiosophische Epos *Ligurinus* des Gunther von Pairis (der in der Gunst des Kaiserhofes stand und wohl seine Meinung in das Werk einfließen lies), das Manifest des Magdeburger Bischofs Adalgot, die *Satire* des Dominikaners Johannes Falkenberg (die doch eine Auftragsarbeit war), die Dokumente (vor allem die unglaublich umfangreiche und bedeutende Briefsammlung) Albrecht Hohenzollers, des letzten Hochmeisters des Deutschen Ordens und zugleich ersten Fürsten im säkularisierten Preußen, die

entsprechende Auswertung der politischen Dokumente der Hohenzollern, insbesondere ihrer *Politischen Testamente*, u.s.w. Man kann die Überzeugung äußern, dass die Philosophie der Beziehungen, nach einer eingehenden Berücksichtigung der übergangenen Dokumente und Quellen doch andere bedeutende Akzente, wenn nicht eine modifizierte Darstellung erhalten würde!

Es ist leider nicht akzeptabel, wie dies H. Olszewski (und viele polnische Historiker) formuliert, das die Grenze zwischen Preußen und Polen «normal» war. Im Verhältnis zwischen Polen und dem Ordensstaat, sowie seinem rechtlichen Nachfolger Preußen war nichts «normal», mit der Einladung Konrads von Masovien und der durch Heinrich von Salza wohl mitgeprägten (im Klartext wäre zu sagen manipulierten) Bulle von Rimini beginnend. Es kann sich ja in historiographischen Forschungen nicht nur um eine Auflistung und Beschreibung der Tatsachen handeln, sondern man sollte versuchen zu erkennen, warum gewisse Tatsachen von den Akteuren des Kulturprozesses so und nicht anders geprägt wurden, oder zumindest so angestrebt wurden. Das Beispiel Albrecht Hohenzollerns ist eklatant: Er versucht erst dem Fürstentum Moskau einen Krieg gegen Polen für den Preis der Teilung anzubieten. Als dies nicht – aus welchen Umständen auch immer – gelingt, huldigt der dem polnischen König vordergründig, unterhält aber zugleich ein ganzes Regiment öffentlicher und geheimer Informanten, um ev. daraus und gegen Polen Profite für sein Haus und seine Nachfolger schlagen zu können. Klaus Zernack unternimmt den wichtigen Versuch, zwar nicht ein philosophisch, aber doch ein weitgehend historiographisch fundiertes Bild der Beziehungen zwischen Slawen und Germanen, Polen und Deutschen zu rekonstruieren. Bedeutend erfolgreicher wären seine wertvollen und weiter-

führenden Untersuchungen, wenn der kulturhistorische Kontext ihre Dominante und nicht nur eine Marginalie sein würde. In diesen Bemühungen unterscheidet er sich von vielen deutschen Historikern, auch von denen, auf die (z. B. H. Treitschke oder L. Ranke) er sich in seinen Untersuchungen bezieht, die man aber doch eher der Geschichte belassen sollte.

Es ist in Wirklichkeit so, dass sich polnische und deutsche Kulturhistoriker über viele Ereignisse des beziehungsgeschichtlichen Kulturprozesses nicht verständigen können. Die sich fast auf Buchveröffentlichungen beschränkenden Ergebnisse, also im Grunde im kulturhistorischen Leerlauf verlaufenden Schulbuchkonferenzen, oder der laufende Diskurs zwischen polnischen und deutschen Historikern belegt diesen Zustand. Aber es scheint aus unterschiedlichen Blickpunkten nützlich zu sein, dass polnischen Lesern diese Auswahl zugänglich gemacht wurde: Einerseits bekommen wir eine Einsicht in eine revidierende Richtung der deutschen Historiographie, die von Klaus Zernack vertreten wird; zum anderen erhalten wir eine kohärente Vision der Beziehungsforschung, die selbstverständlich ein Teil der europäischen Kulturgeschichte ist und die ohne diesen Teil bedeutend hinkt. Zudem wird von dem deutschen Historiker die interessante These vertreten, dass schon im Mittelalter Nationen diesen Prozess bestimmten, was auch für zeitgenössische Studien relevant ist. Es ist außerdem nicht bedeutungslos, dass sich aus seinen Texten auch eine Sympathie für die polnische Geschichte und die polnisch-deutschen Beziehungen ergibt. Klaus Zernack bringt uns mit seinen Forschungen einen bedeutenden Schritt weiter, aber das Forschungsproblem «polnisch-deutsche Beziehungen» ist weiterhin ein offenes und dringendes Postulat.

Stephan Wolting

„Wie kann man einem die Welt erklären, der nicht fernsieht?“

Bodo Kirchhoff: Die kleine Garbo. Frankfurter Verlagsanstalt 2006.

Nicht einmal seine schärfsten Kritiker würden ernsthaft bestreiten, dass die Werke Bodo Kirchhoffs mit zu den wichtigsten und anspruchsvollsten Werken der zeitgenössischen deutschsprachigen Literatur gehören. Werke wie *Infanta* (1990), *Der Sandmann* (1992, Filmbuch 2000) oder auch *Parlando* (2003), das er selbst als sein wichtigstes Buch bezeichnet, gehören zum Kanon der Werke deutschsprachiger Literatur, die man gelesen haben sollte.

In keiner Beziehung aber war Kirchhoff jemals ein „bequemer Autor“, wenn das nicht schon eine *contradictio in adjecto* sein sollte. Folgt man Hubert Winkels (der übrigens gerade den Alfred-Kerr-Literaturpreis vom Börsenverein des Deutschen Buchhandels erhalten hat) Einteilung in „emphatische“ und „agnostische“ Schriftsteller, so gehört Kirchhoff sicherlich zu den letzteren. Seine Werke sind keinesfalls unmittelbar eingängig und zum Teil immer auch Reflexionen über den Prozess des Schreibens, über die Literatur- oder Medienwelt selbst, wie etwa auch der Roman mit dem provokanten Titel *Schundroman* (Frankfurt 2002) näher legte. Diese Fährte wird auch in seinem im Dezember 2006 erschienen Roman *Die kleine Garbo* wieder aufgenommen. Kirchhoff gilt für viele Kritiker sogleich als genialischer wie auch als kontroverser, zum Teil polarisierender Schriftsteller.

Er hat selbst darauf hingewiesen, dass in diesem Werk zum ersten Mal die Erotik keine oder wenn dann nur eine eher untergeordnete Rolle spielen würde und nennt seinen Roman ein „Kammerspiel“. Nicht von ungefähr hat im Hörbuch seine Tochter Sophia den Part der kleinen Garbo übernommen. In einem Interview innerhalb der Sendung *Literatur im Foyer* anlässlich der Frankfurter Buchmesse verweist Kirchhoff auf die engen autobiographischen Bezüge zu seiner Tochter, die natürlich nicht vorschnell zu übertragen und deshalb falsch zu verstehen sind. Das Buch ist im Übrigen der Tochter auch gewidmet. Die Geschichte ist relativ schnell erzählt:

Die Geschichte spielt in einem verschneiten Wald- und Grenzgebiet (wahrscheinlich in der Lausitz) an der Grenze zu Polen. In diesem Gebiet sind wieder Wölfe angesiedelt worden, Wölfe, die in den Erzählungen der Menschen eher durch ihren Mythos als durch ihre reale Existenz auftauchen. So beginnt auch die Erzählung: „Nachts, getrieben von Hunger, ohne jede Idee, es könnte anderswo besser sein als in ihrer gewohnten Umgebung, waren sie über die Grenze gekommen, durch niederen Birkenwald, gescheckt wie ihr Fell, durch Kanäle und Flüsse, kaum den Kopf über Wasser, vielleicht auch auf Eisschollen, stehend ergeben, niemand konnte Genaueres sagen; nur daß sie hier wieder Fuß gefaßt hatten, war sicher.“ (*Garbo*, S.7)

In diesem Wald begegnen sich die „kleine Garbo“, Malu, in Wirklichkeit Luise März, die zusammen mit ihrem Hund

Lorca von ihrem Chauffeur zu Filmaufnahmen hierher gebracht wurde und der Altachtundsechziger Jakob „Giacomo“ Hoederer, der zuvor versucht hatte, eine Bank zu überfallen, dabei aus Versehen eine Frau erschießt und auf der Flucht durch besondere Umstände in einem Auto in einem „Winterwald“ der kleinen Malu begegnet. Dabei wird mehr oder weniger zufällig auch noch der Chauffeur durch einen Schuss getroffen und stirbt. Malu und Hoederer sind jetzt ganz allein im Wald. Hoederer verlangt vier Millionen Euro Lösegeld, Polizei und das Filmteam sind unterwegs, um die beiden zu finden. Hoederer wird zum Doppelmörder wie zum Entführer wider willen. Die erzählte Zeit des Romans umfasst etwa 12 Stunden, in denen die Kleine und Hoederer Dialoge führen.

Was an diesem Werk wieder einmal deutlich wird, ist Kirchhoffs Meisterschaft der Erzählkunst, die sich natürlich vom Sujet her oft auch am Rand des „Kitsch- oder Schundromans bewegen muss. Aber wie er selbst sagt: „Schnee, kleines Mädchen, Mann, Wölfe, da ist man dann schnell bei Weihnachten.“ Doch dieser Gefahr enträt der Autor à la Bonheur wie Sätze verraten wie: „Schräg und dicht kamen die Flocken aus der Dunkelheit, kein Gewirbel mehr, nichts Fröhliches, ein einziges weißes Heranjagen war das, ein Schneien, wie’s in kein Winterlied paßte und auch nicht in jedem Winter geschah, nur wenn plötzliche polare Strömung ganze Wolkenmassen aufmischte, bis sie ihre Last abwarfen, komplett über einer Region, und dieses Abwerfen in einem Wind, der alles noch kälter zu machen schien, besonders Metall an bloßer Hand.“ (*Garbo*, S. 247).

Herausgekommen ist ein ungeheuer spannendes Buch, durch einen ausgezeichneten personalen Erzähler, der sich ausgezeichnet in beide Hauptdarsteller einzufühlen weiß. Es ist eine fast dramatische Struktur – der (Anti-)Held, der unerschul-

det in Schuld gerät und bis zum Schluss weiß man nicht, wie die Geschichte ausgeht. Man bittet innerlich beinahe darum, es möge doch der Gerechtigkeit keine Gerechtigkeit widerfahren, weil man beide Personen, ihre Motive und Hintergründe, so gut kennen gelernt hat wie sie beide sich selbst kennen lernen. Das geschieht nicht zuletzt durch die intensiven Dialoge und die sentenzartigen Aussagen (zum großen Teil als personaler Erzähler den beiden Protagonisten in den Mund gelegt), von denen hier exemplarisch erwähnt werden soll: „Schreckliche Dinge brechen immer überraschend herein, überall und jeden Tag, ob durch Unachtsamkeit, wie bei der Katze und dem Lieferwagen, während die Vögel pfffen (und dem Radfahrer, der vor ein Auto kam, als ein Lüftchen wehte, und dessen Therapieplatz frei wurde), oder durch die physikalische Kür, bei der ein Querschläger ausgerechnet ins Auge einer Bankkundin geht, und natürlich durch Übermut, wie beim Spielen mit einer Waffe.“ (*Garbo*, S. 89).

In solchen Wendungen kommt nicht zuletzt die große suggestive Macht der Sprache Kirchhoffs zum Ausdruck, der natürlich auch Anteile „männlichen Schreibens“ im Hinblick auf Action- oder Abenteuerroman nicht verbergen kann.

Die Spannung wird auf den Höhepunkt getrieben, nicht dadurch, dass äußerlich unheimlich viel passieren würde, sondern dass dem Leser die Figuren innerlich immer vertrauter werden und die Grenzen zwischen den zunächst so starren Fronten verwischen.

Wie viele der Romane Kirchhoffs weist auch dieser eine polare Struktur auf, hier derjenige, der keinen Fernseher, dafür aber Bildung besitzt (der Name erinnert an Sartres Theaterstück *Die schmutzigen Hände* und den Revolutionär Hoederer), dort jene, die nur durch das Fernsehen zum Star wurde. Weitere Kontrapunkte wären das Thema von Alter und Jugend, also der unlösbare

Widerspruch in der Wahrnehmung derjenigen, die das Leben noch vor sich liegen haben und jenen, die damit schon abgeschlossen haben (Hoederer will sich immer wieder selbst umbringen). An diesem Hauptmotiv wird die Frage nach Erfolg und Versagen in der modernen Mediengesellschaft aufgeworfen, hier jener Jung- und Jugendstar der modernen Welt, dort scheinbar jener „Versager“, der nicht mal ein Fernsehen besitzt, von den Versuchungen der virtuellen Welt nichts wissen will und noch nicht mal das Zeug zu einem „wirklichen Bösewicht“ hat. Erwähnt sei hier en passant, dass Kirchhoff außerordentlich gut im Hinblick auf die Filmwelt recherchiert hat.

Letztendlich ist es auch die Frage des Austauschs von Erinnerungen über jenen zeitlichen Abstand hinweg, den Jugend und Alter voneinander trennt, weil sie eben keine oder kaum gemeinsame Erinnerungen mehr haben, was am Titel deutlich wird: er nennt sie die kleine Garbo und sie

weiß zunächst gar nicht, wer damit gemeint ist. Sie ist aber am Schluss des Buchs durchaus bereit, auf das von ihm vorgebrachte einzugehen: „Und diese Garbo, stieß sie hervor, die hat wirklich einfach Schluss gemacht mit ihren Filmen? Ja. Hat sie. Sie hat als schöne Frau aufgehört.“ (*Garbo*, S. 265). Am Schluss steht die Läuterung von Täter und Opfer, beide haben vom jeweils anderen etwas an- bzw. aufgenommen. Insofern lässt sich durchaus auch von Anteilen eines Entwicklungsromans (auch ex negationis) sprechen.

Natürlich kann man sich wie einige Kritiker die Frage stellen, ob dies genug Stoff für einen Roman bietet, aber selbst jene loben die handwerkliche Perfektion Kirchhoffs und das Jonglieren mit dem literarischen wie filmischen Genre, ja zum Teil auch mit den Gesetzmäßigkeiten der Trivilliteratur, was nicht zuletzt der oben zitierte Eingangssatz noch einmal deutlich macht: „Wie kann man einem die Welt erklären, der nicht fernsieht?“

Renata Czech

Niemiecko-Polskie Towarzystwo Uniwersytetu Wrocławskiego

Norbert Heisig, *Deutsch-Polnische Gesellschaft der Universität Wrocław (Breslau), Niemiecko-Polskie Towarzystwo Uniwersytetu Wrocławskiego*, Neisse Verlag, Wrocław–Dresden 2006, ss. 251.

Książka Norberta Heisiga *Deutsch-Polnische Gesellschaft der Universität Wrocław/ Niemiecko-Polskie Towarzystwo Uniwersytetu Wrocławskiego* powstała w pięćdziesiątą rocznicę utworzenia To-

warzystwa, dzięki finansowemu wsparciu Fundacji Alfrieda Kruppa von Bohlen und Halbach. Autor – współzałożyciel i prezes Towarzystwa – przedstawia, obok idei powstania, składu zarządu czy statusu i finansowania się Towarzystwa, przede wszystkim jego osiągnięcia w ciągu pięciu lat istnienia. Obecny rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. dr hab. Leszek Pacholski wskazuje w przedmowie na obszerne dokonania To-

warzystwa i jego wkład w proces pojednania polsko-niemieckiego. Na uwagę w tej bogato ilustrowanej książce zasługuje również jej dwujęzyczność, co przyczyni się do dalszego zbliżenia Polaków i Niemców. Publikację kończy lista obecnych i zmarłych członków zrzeszonych w Towarzystwie wraz z ich notkami personalnymi. Idea powołania Towarzystwa, mającego na celu aktywne wspieranie procesu integracji europejskiej i stworzenie pomostu między Polską a Niemcami, wyrosła na gruncie bardzo bogatej historii Uniwersytetu Wrocławskiego, kształtowanej przez trzy europejskie tradycje: jezuicko-katolicką tradycję habsburską, prusko-niemiecką tradycję opartą na wzorcach humboldtowskich i lwowską tradycję okresu powojennego. Stąd pielęgnacja ideałów otwartości, tolerancji i porozumienia między narodami.

Uniwersytet Wrocławski może poszczycić się wieloma osiągnięciami w różnych dziedzinach nauki od humanistyki po medycynę, chemię czy fizykę. Z tymże uniwersytetem związanych było aż dziesięciu śląskich i siedmiu żydowskich laureatów Nagrody Nobla. Jednym z powodów powołania do życia Niemiecko-Polskiego Towarzystwa Uniwersytetu Wrocławskiego była właśnie potrzeba przypomnienia historii i osiągnięć uczelni. Wszystkich członków Towarzystwa łączy sympatia do Wrocławia, chęć wspierania porozumienia między narodami i nawiązywania przyjacielskich kontaktów z naukowcami z Uniwersytetu Wrocławskiego, a także intensywne wspieranie młodej kadry naukowej. Dzięki zaangażowaniu i członkom-sponsorom w krótkim czasie istnienia Towarzystwo może pochwalić się szeregiem dokonań, takich jak restauracja barokowego portyku cesarskiego Uniwersytetu Wrocławskiego zniszczonego podczas działań wojennych, organizacja koncertu z okazji 125. rocznicy nadania Johannesowi Brahmsowi tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego i wydanie z tej okazji płyty, organi-

zacja uroczystości upamiętniającej pierwszy akt założenia uniwersytetu zainicjowany 500 lat temu przez Władysława II, króla Czech i Węgier, czy przekazanie dla galerii sławnych wrocławian marmurowego popiersia Alberta Neissera, pierwszego profesora dermatologii w Niemczech i założyciela Niemieckiego Towarzystwa Dermatologicznego. Przyczyniono się również do wmurowania tablic dla upamiętnienia zasług Maxa Borna – laureata Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki za przełomowe prace w zakresie fizyki atomu – oraz Ludwika Hirszfelda, pierwszego kierownika Katedry Mikrobiologii i Immunologii, wybitnego uczonego w dziedzinie badania grup krwi. Przy okazji wspomnieć można o darowiznach członków Towarzystwa, m.in. w postaci cennej kolekcji unikatowych map Śląska i Wrocławia, kopii dzieła graficznego Leonarda da Vinci oraz licznych księgozbiorów.

Towarzystwo, które utrzymuje się ze składek członkowskich i wsparcia ze strony sponsorów, finansuje projekty naukowe dotyczące między innymi badań nad historią Uniwersytetu Wrocławskiego, które zostały w omawianej książce przedstawione w formie krótkich recenzji. Wymienić można polskie wydanie monografii Carstena Rabe *Alma Mater Leopoldina – Kolegium i Uniwersytet Jezuicki we Wrocławiu 1638-1811*, która jest pierwszą tak obszerną i wnikliwie opracowaną prezentacją powikłanej historii Uniwersytetu w pierwszym stuleciu jego istnienia. Autor przedstawia próby utworzenia już w okresie humanizmu uniwersytetu na Śląsku i starania zakonu jezuitów zmierzające do rozwinięcia sieci filii z centrum we Wrocławiu. Za załączek uniwersytetu uważa się powstałą w 1638 r. szkołę jezuicką, która sukcesywnie była rozszerzana. Utworzenie uniwersytetu ze wszystkimi wydziałami nie było możliwe ze względu na ustalenia dotyczące ochrony wolności wyznania, gdyż Wrocław w owym czasie był protestancki. Dlatego uczelnia, która po-

wstała w 1702 r., przeznaczona była w pierwszych latach swojego istnienia dla katolickiej części ludności Śląska.

Niemieckie widzenie Śląska za panowania habsburskiego przybliżono czytelnikowi w cieszącej się dużym zainteresowaniem publikacji Norberta Conrada *Książęta i stany – historia Śląska 1469-1740*. Na uwagę zasługuje poruszenie tematów często pomijanych w dziełach historycznych, takich jak świadomość kryzysu przed wojną trzydziestoletnią i w jej trakcie czy rozwój szczególnej formy świadomości lokalnej. Śląsk z wrocławską metropolią jawił się jako kraina, która promieniuje na cały region. Analizie poddano również napięcia religijne i wyniki z nich problemy z utworzeniem uniwersytetu, co jednak wywarło pozytywny wpływ na formowanie się inteligencji śląskiej, gdyż studenci ze śląskim rodowodem stanowili znaczną grupę na prawie wszystkich uniwersytetach zagranicznych. Dlatego też życie duchowe Śląska kształtowane było przez elitę wykształconą w różnych częściach Europy. Mimo przybliżania się Śląska pod językowymi, politycznymi czy wyznaniowymi względami do Rzeszy Niemieckiej współzycie różnych języków i wyznań na tym terenie było zjawiskiem normalnym.

Zainicjowana w 2004 roku seria naukowa pod tytułem „Śląska Republika Uczonych”, której celem jest prezentowanie w dwuletnim cyklu w języku polskim, niemieckim i czeskim historii nauki i szkolnictwa na Śląsku, również finansowana jest przez Polsko-Niemieckie Towarzystwo Uniwersytetu Wrocławskiego. Badacze polscy i zagraniczni pragną obiektywnie przedstawić wszelkie kierunki badawcze i tendencje istniejące na Śląsku od ich początku po dzień dzisiejszy, jak również przyczynić się do porozumienia między narodami związanymi z kulturą tego regionu.

Najnowsze badania polskie, niemieckie i czeskie uwzględnione zostały w książce *Historia Ziemi Kłodzkiej od początku do współ-*

czesności napisanej przez Małgorzatę Ruchniewicz, historyka wrocławskiego, i Arno Herziga, hamburskiego historyka pochodzącego z tego regionu. Książka została wydana zarówno w języku polskim, jak i niemieckim. Historia rozpoczynająca się w roku 981 wraz z budową zamku Kładzko wzniesionym jako twierdza graniczna dla obrony przed Polakami jest zdominowana przez różne wpływy polityczne. Czeska kraina, która w połowie XV wieku podniesiona została do rangi hrabstwa, przeszła w 1742 roku po pierwszej wojnie śląskiej w posiadanie Prus i odtąd należała do Śląska. Już w XII i XIII wieku Niemcy koloniści mieszały się z ludnością słowiańską i wspólnie dzięki nowym technikom uprawy roli i nowym formom prawnym znacznie przyspieszyli rozwój kraju. Rozwój ten został wprawdzie zahamowany w drugiej połowie XX wieku, ale przemiany lat dziewięćdziesiątych stworzyły dogodne warunki dla dalszego rozwoju ziemi kłodzkiej.

Wymienić warto też monografię Waldemara Kozuschka o Janie Mikuliczu-Radeckim, współtwórcy nowoczesnej chirurgii, czy Ludwiku Hirsfeldzie, wybitnym uczyńnym, który wraz z Emilem von Dungernem odkrył dziedziczenie grup krwi, co umożliwiło wprowadzenie grup krwi do genetyki i medycyny sądowej.

Przeglądając listę członków, znajdziemy obok wielu znanych i szanowanych profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego laureata Nagrody Nobla Güntera Blobela, znanego tłumacza literatury polskiej Karla Dedeciusa, kardynała Henryka Gulbinowicza, wielu uczonych humanistów, fizyków, chemików czy prawników rozproszonych wprawdzie po całym świecie, ale jednak związanych duchowo z wrocławską *Alma Mater*.

Publikacja Norberta Heisiga z pewnością przybliży czytelnikowi szczytne idee i cele powstania Towarzystwa, które w ten sposób przedstawia się szerszej publiczności, z czym wiązać może się chęć przystą-

pienia do wspólnej pracy nad poznawaniem i analizą przeszłości, a także budowaniem owocnej przyszłości Uniwersytetu Wrocławskiego w myśl słów wypowiedzianych na tym Uniwersytecie w 1816 roku i przytoczonych przez prezesa na zebraniu

założycielskim: „Formy zewnętrzne zmieniają się, a tego, co doskonałe, nie ma w ludzkich rzeczach. Tylko to, co wsparte duchem, tylko to jedynie trwa wiecznie i swym błogosławieństwem darzy przez wszystkie czasy i kolejne pokolenia...”

Paweł Strózik

Most „Berlin–Wrocław” ma już 200 lat!

Wrocław–Berlin: Germanistischer Brückenschlag im deutsch-polnischen Dialog. II Kongress der Breslauer Germanistik, hrsg. von Franz Simmler und Eugeniusz Tomiczek, Atut, Wrocław, Neisse Verlag, Dresden 2006, ss. 306.

Berlin i Wrocław należą do pierwszych miast akademickich mogących się poszczycić udanym rozwojem filologii niemieckiej. Kamień węgielny pod budowę „germanistycznego imperium” we Wrocławiu położył jeden z berlińskich neofilologów Friedrich Heinrich von der Hagen w roku 1811, przybywając na ówczesną Alma Mater z propozycją utworzenia nowego kierunku kształcenia – germanistyki. Zaledwie sześć lat później berlińczyk został profesorem zwyczajnym na Uniwersytecie Wrocławskim i został odnotowany w księgach jako pierwszy ordynariusz w historii niemieckiej filologii. Od tego czasu drogi germanistów z Berlina i Wrocławia krzyżowały się wielokrotnie, i to z korzyścią dla obu stron, jak zapewniają autorzy przedmowy do publikacji: *Wrocław–Berlin. Germanistischer Brückenschlag im deutsch-polnischen Dialog*, Bernd Balzer i Marek Hałub. Współpraca Uniwersytetu Wrocławskiego i Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego liczyła w roku 2006 już 200

lat i dlatego powstała inicjatywa uhonorowania jubileuszu „II Kongresem Germanistyki Wrocławskiej”, który nie tylko wpisywał się w polsko-niemiecki rok 2005, ale także był okazją do świętowania uroczystości 60-lecia germanistyki polskiej na wrocławskiej uczelni. Zaproszenie na kongres przyjęli wybitni naukowcy z Niemiec, Polski, Czech i Francji, co pozwoliło na utworzenie wielostronnego i kompetentnego forum analizującego bilans dotychczasowych bogatych projektów badawczych oraz wskazującego „perspektywy dalszej szerokiej kooperacji w pojemnych obszarach nowoczesnej germanistyki, w celu zintensyfikowania i polepszenia wzajemnych stosunków polsko-niemieckich”, jak zapowiedział przy powitaniu gości dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej UW, Eugeniusz Tomiczek.

Kongres był znaczącym wydarzeniem i udanym przyczynkiem do osiągnięcia celów, jakie wyznaczyli sobie jego organizatorzy. Dzięki pomocy profesora Norberta Heisiga, dyrektora Towarzystwa Polsko-Niemieckiego, który umożliwił finansowanie publikacji, po kongresie wydano obszerną pozycję z 80 referatami germanistów, obejmującą cztery bogate w treść tomy,

istotnie wpływające na „poszerzenie horyzontu naukowych doświadczeń”¹.

Tom I: *Sprachwissenschaft* jest nie tylko retrospektywnym bilansem dotychczasowych dokonań w ramach kooperacji, ale również publikacją o szerokim spektrum dotyczącym *stricte* językoznawstwa. Referaty odnoszą się do analizy kontrastywnej obejmującej obszar fonetyczno-fonologiczno-grafetyczny, morfologiczny i leksykalny języka lub poszczególne aspekty tych zagadnień. Nie zapomniano o tekstowej płaszczyźnie języka i o komunikacji interkulturowej, a także o tematach (językowo-) politycznych.

Tom rozpoczyna interesujący i bardzo osobisty szkic Ulricha Engela na temat początków jego współpracy z germanistyką w Polsce. Engel opowiada o powstaniu i rozwoju projektu badawczego, w ramach którego wydano książkę *Deutsch-polnische kontrastive Grammatik*. O ustawicznym doskonaleniu naukowym kadry wrocławskiej germanistyki dowiadujemy się z referatu Eugeniusza Tomiczka, który szczegółowo wymienia osoby i uzyskane przez nie tytuły naukowe wraz z dziedzinami badań. W latach 1956-2005 w ramach lingwistyki i glotodydaktyki przeprowadzono 62 dysertacje pod opieką germanistów wrocławskich (Morcinca, Tomiczka, Prędoty, Lewickiego i innych) oraz 12 przewodów habilitacyjnych. W nurt porównywania języków sąsiadów po dwóch brzegach Odry wpisuje się praca Stanisława Prędoty dotycząca jednego z prekursorów badań kontrastywnych, Stanisława Jana Malczowskiego, którego

praca *Compendium oder: Kurtzer begrieff der Polnischen Sprache* ukazała się w Rydze w roku 1687. Omówienie uwzględnia założenia Malczowskiego w obszarze ortografii i morfologii.

Tom II: *Literaturgeschichte: 17. Jahrhundert* został w całości poświęcony epoce baroku. W taki sposób uhonorowano – jak czytamy w przedmowie Czarneckiej i Neubera – badaczy z Wrocławia, specjalizujących się w zakresie literatury i kultury śląskiego baroku. Ich dokonania wyróżniają się na tle polskich instytutów germanistyki; są znane i cenione również wśród zagranicznych germanistyk europejskich. Omówienie zagadnień dotyczących baroku miało na celu przeprowadzenie dyskusji na temat rozwoju badań w tym zakresie nie tylko w Berlinie i Wrocławiu, ale także – dzięki zaangażowaniu Knuta Kiesanta – w Poczdamie. Inicjatorzy wyraźnie wyartykułowali zamiar pozyskania większej ilości studentów dla badań literatury XVII wieku oraz chęć ujęcia tematu w perspektywie porównawczej. W tym celu do projektu zaproszono także przedstawicieli Instytutu Polonistyki, Annę Dąbrowską i Marcina Cieńskiego. Tom rozpoczyna referat Hansa-Gerta Roloffa poświęcony „śląskiemu poecie XVII wieku”, Christophowi Kölerowi². Roloff nie tylko konstatuje potrzebę przybliżenia postaci Kölera poprzez przygotowanie publikacji zawierającej interpretację jego dzieł, prezentującą tłumaczenia i obszerną korespondencję, ale idzie dalej, proponując formę i treść takiego opracowania. Interesujący artykuł, dotyczący mody i kosmetyków w literaturze baroku, napisała Mirosława Czarnecka. W swojej refleksji na temat: „ob das Schmincken eine erlaubte Suche sey” autorka prezentuje cytaty formułujące od-

¹ W ramach publikacji wystąpień wydano cztery tomy, z których każdy został zredagowany przez przedstawicieli germanistyki z Wrocławia i Berlina: 1. *Sprachwissenschaft*, red. Franz Simmler i Eugeniusz Tomiczek, 2. *Literaturgeschichte: 17. Jahrhundert*, red. Mirosława Czarnecka i Wolfgang Neuber, 3. *Literaturgeschichte: 18.-20. Jahrhundert*, red. Bernd Balzer i Wojciech Kunicki, 4. *Kulturwissenschaft*, red. Marek Hałub i Frank Stucke.

² Köler to nazwisko najczęściej używane w referacie. W tytule autor wskazuje na inne brzmienie nazwiska, wymieniając: *Colerus, Coler, Cöler, Koler, Köler, Köhler* (zob. *Brückenschlag...*, tom II, s. 9).

powieź myślicieli epoki baroku na tak postawione pytanie.

Tom III: *Literaturgeschichte: 18.-19. Jahrhundert* ukazuje różnorodne zakresy postrzegania relacji niemiecko-polskich i polsko-niemieckich w literaturze. Zawiera on cztery kompleksy tematyczne: „Polnisches aus deutscher Sicht”, „Deutsches aus polnischer Sicht”, „Deutsches und Polnisches” i „Erinnerung und Gedächtnis”. Podział ten umożliwił treściowe uporządkowanie referatów i ułatwił percepcję przekazywanych w nich informacji. Tom otwiera praca Uwe-K. Ketelsena poświęcona niemieckiej „kolonizacji wschodu”, która jest próbą definicji obszaru badawczego. Ketelsen uważa, że nie jest nim samo poszukiwanie literatury tematyzującej (jak to określa) „uzachodowienie” wschodu, ale próba skonceptualizowania tego procesu, czyli pokazania, w jaki sposób opowiada o nim literatura. Artykuł kończy się interesującą konkluzją, że *Ostkolonisation* wywarła znaczny wpływ na zdefiniowanie i umocnienie się samej niemieckości.

W tym kompleksie tematycznym głos zabiera także Anna Stroka, przedstawiając motyw Polski przewijający się – chociaż tylko na marginesie – przez całą twórczość beletrystyczną Teodora Fontane. Pisarz, który ciesząc się sławą jednego z najbardziej znaczących twórców swego czasu, był również aktywistą politycznym i znawcą historii, nigdy nie zachowywał się wrogo wobec Słowian, wręcz przeciwnie – podziwiał ich od wczesnego dzieciństwa. Postacie polskie są w jego utworach estetycznym przeciwieństwem Prusaków, co nie wynika z „polskości” ich charakteru, ale z nieudanej próby integracji przez zgermanizowanie, które autor *Effi Briest* świadomie odrzuca. Werbalizując swoje uznanie dla Polaków jako narodu uciśnionego, Fontane staje się orędownikiem wzajemnego zrozumienia polsko-niemieckiego.

Tom IV: *Kulturwissenschaft* realizuje w wartych w nim referatach cel, jaki ta dyscy-

plina postawiła sobie od początku rozwoju polskiej germanistyki. Jest nim założenie kulturowo-historyczne, polegające na pojmowaniu tej dziedziny jako rozwinięcia czy uzupełnienia literaturoznawstwa. Z powodu mnogości źródeł i szerokiego spektrum tematycznego opis kulturoznawczy porusza się w obszarach interdyscyplinarnych, także w tym tomie – jak dowiadujemy się ze wstępu Hałuba i Stuke – planowano zrealizować taki postulat. Organizatorom zależało na „możliwie wielowarstwowym” przedstawieniu stosunków polsko-niemieckich. Referaty zostały podzielone na dwie grupy tematyczne, pierwsza z nich dotyczy Śląska i historii jego kultury, część druga podejmuje temat niemiecko-polskich kontaktów kulturowych. Już pierwsze spojrzenie na znane nazwiska budzi przekonanie, że przedsięwzięcie musiało zakończyć się sukcesem, tym większym – jak podkreślają wydawcy tomu – że w dyskusji brali aktywny udział także młodzi „adepti nauki” oraz studenci. W dobie zalewającej nas kultury masowej z uznaniem należy odnotować taki przyczynek do zbliżenia między Niemcami a Polakami.

Tom otwiera Norbert Honsza referatem pt. „Schlesien und Europa als tägliche Aufgabe”, prezentującym uwarunkowania historyczne oraz szanse i zagrożenia kultury Śląska w czasach współczesnych. Autor eseju przypomina, że mimo tak wielu głosów postulujących jedność europejską Stary Kontynent charakteryzuje obecność spektakularnej wręcz mnogości języków, kultur i regionów. W pełnym przekonaniu tonie konstataje ważką pozycję Śląska w percepcji literackiej i politycznej, uzasadniając ją tym, że region ten był w ostatnich 20 latach bardzo często postrzegany w europejskim kontekście. Honsza stawia ważne pytania, pojawiające się zresztą w odniesieniu do szeroko pojętej europeizacji i konieczności redefiniowania takich pojęć, jak „tożsamość regionalna” czy „różnica kulturowa”. Po przełomie politycznym i społecznym

jakość Śląska stała się znakiem firmowym regionów europejskich. Wrocławski germanista cytuje słowa Hansa Heckera: „Europa jawi się dzisiaj [...] jako zadanie dla codzienności”, które Śląsk realizuje poprzez tysiące inicjatyw, usuwających dzielące rowy i bariery. Przedsięwzięcia te odbywają się w ramach transgranicznej współpracy w obszarze społecznym i kulturowym (wymiana młodzieży, partnerstwa miast, ratowanie i restauracja obiektów zabytkowych) oraz w formie komunikacji naukowej Uniwersytetu Wrocławskiego z uczelniami europejskimi.

Otwarty charakter pojęcia *Kulturwissenschaft* pozwala również na sięgnięcie po tematy związane z nauką o książce. Ciekawym artykułem w tym zakresie wsparł germanistów Krzysztof Migoń, prezentując na przykładzie księgarstwa teorię i historię książki, jako wspólne ogniwo łączące bibliologię i germanistykę. Na bazie informacji teoretycznych odnoszących się do księgoznawstwa Migoń wymienia cechy typowe dla śląskich druków zwartych, będące efektem badań naukowych przeprowadzonych dotychczas w tym zakresie. Autor artykułu podkreśla integracyjny charakter druków o Śląsku, określając je jako „miejsce spotkań germanistów niemieckich, polskich oraz księgoznawców” i kończy imperatywem: „Na tak powstałym fundamencie należy budować kolejne piętra budowli wiedzy o kulturze książki na Śląsku”.

Część drugą tomu, w której centrum znajdują się niemiecko-polskie relacje kulturowe, rozpoczyna referat Huberta Orłowskiego. Na bazie Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej i w oparciu o – jak to określa autor – kluczowe pytanie dla wszystkich dyscyplin humanistycznych, dotyczące tworzenia się paradygmatów, dokonuje autor analizy perspektyw dla semantyki historycznej w zakresie historii stosunków niemiecko-polskich. Wymieniając liczne opracowania na temat relacji między sąsiadami znad dwóch brzegów Odry i zapowiadając

kolejne prace w tym zakresie, germanista poznański zwraca uwagę na fakt, że tylko „znajomość autorefleksyjnych analiz i przemyśleń niemieckich intelektualistów pozwala nam na ukazanie przynajmniej ogólnych warunków okoliczności, które spowodowały, że nasi sąsiedzi zachowali się tak, a nie inaczej”.

Referat łączący w sobie elementy literatury i muzyki zaprezentował warszawski kulturoznawca Lech Kolago. Zgodnie z cytowaną w wprowadzeniu wypowiedzią Stevena Paula Schera istnieją trzy główne dziedziny w studium muzyczno-literackim: „literatura w muzyce, muzyka i literatura, muzyka w literaturze”³. Wskazując na afiliacje literacko-muzyczne, autor wybrał relację „słowo-ton” (literatura i muzyka) i skorzystał z przykładów dwóch osobowości, Karola Szymanowskiego i Richarda Dehmela. Z polotem i znanstwem analizuje autor muzykę Szymanowskiego napisaną do wierszy Dehmela, wskazując przy okazji na udane i mniej starannie przygotowane udźwiękowanie tej liryki. „Czasami muzyka Szymanowskiego jest tylko wehikułem, który transportuje tekst wiersza” – czytamy w podsumowaniu – „w kilku wierszach to muzyka wzmacnia treść za pomocą środków agogicznych, metrycznych, rytmicznych i dynamicznych”. W załączniku do referatu zostały opublikowane partytury i tekst w tłumaczeniu Marii Leśniewskiej.

Niniejsze omówienie jedynie zasygnalizowało wszechstronną treść referatów wygłoszonych na II Kongresie Wrocławskiej Germanistyki. Przyglądając się znakomitym nazwiskom, analizując teksty i biorąc pod uwagę ilość reprezentowanych uczelni, nie sposób nie dostrzec dynamiki germanistyki wrocławskiej, wysoko trzymającej sztandar nie tylko wśród germanistyk krajowych.

³ Steven Paul Scher, *Literatur und Musik. Ein Handbuch zur Theorie und Praxis eines komparatistischen Grenzgebietes*, Berlin 1984.

Katarzyna Grzywka

O życiu codziennym na średniowiecznym zamku

Manfred Reitz, *Das Leben auf der Burg. Alltag, Feiern und Turniere*, Jan Thorbecke Verlag, Ostfildern 2004, ss. 208.

Książka Manfreda Reitza *Das Leben auf der Burg. Alltag, Feiern und Turniere* to praca przeznaczona przede wszystkim dla czytelników zainteresowanych szeroko pojętą problematyką życia codziennego w średniowieczu. Bo choć w centrum uwagi jej autora stoi zasadniczo – zgodnie z tytułem – zamek i jego mieszkańcy, to sporo informacji można w niej znaleźć również na temat egzystencji średniowiecznych chłopów, kupców czy duchownych, co oznacza, że badacz rozszerza perspektywę swego oglądu także na średniowieczną wieś, miasto i klasztor. Tym samym zamek jawi się tu nie jako przestrzeń wyizolowana, lecz pulsująca życiem osadzonym w konkretnym, szerszym kontekście.

Książka składa się z dziewięciu zasadniczych części, podzielonych na dalsze jednostki tematyczne. Podczas gdy w części pierwszej autor koncentruje się na historii i funkcjach średniowiecznego zamku, część drugą poświęca charakterystyce średniowiecznego społeczeństwa, omówieniu zasad funkcjonowania systemu lennego oraz naszkicowaniu sytuacji mieszkańców wsi, miast i klasztorów. W centrum trzeciej części książki stoi rycerz, a w szczególności jego zadania, herb i wyposażenie. Punkt ciężkości czwartej części spoczywa na architekturze, technice budowania i możliwościach urządzania wnętrza średniowiecznego zamku, natomiast piątej – na jego mieszkań-

cach, przy uwzględnieniu m.in. takich aspektów problematyki, jak zaręczyny, wesele, rozwód, poród, chrzciny, wychowanie, opieka nad chorym, stosunek do śmierci. Część szósta recenzowanej publikacji ukazuje życie codzienne na zamku, omawiając m.in. średniowieczną modę, kulturę jedzenia, znaczenie polowań, życie kulturalne na zamku oraz stosunek do sportu i rozrywek. Część siódma przedstawia znaczenie, przebieg i skutki turniejów rycerskich, a ósma koncentruje się wokół zagadnień związanych z podróżami rycerzy, ich waśniami, pojedynkami, bitwami i wreszcie z oblężeniem samego zamku. Całość zamyka część ósma, wyjaśniająca przyczyny upadku średniowiecznych zamków, oraz spis literatury.

Publikacja *Das Leben auf der Burg* napisana jest przystępnym, klarownym językiem. Jej niewątpliwą zaletą stanowią zarówno liczne ilustracje, jak też cytaty z kronik i innych dokumentów historycznych w doskonałym sposobie komentujące opisywane fakty i zjawiska. Z książki Reitza dowiedzieć się można nie tylko, ile zamków znajdowało się w średniowieczu na niemieckim obszarze językowym, ale także m.in. co jadł średniowieczny chłop, kto był zmuszony spędzić życie w średniowiecznym klasztorze, jakie rodzaje kar preferowano, ile kosztowała zbroja rycerza, gdzie mieszkańcy zamku załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne, jak długie buty były w modzie i jak radzono sobie z problemem nieświeżego oddechu czy zbyt wczesnie utraconego dziewictwa. I to właśnie te informacje stanowią o wysokich walorach poznawczych

recenzowanej pracy. Ukazuje ona bowiem średniowiecznego mieszkańca niemieckojęzycznej części Europy nie jako odległego od współczesności analfabetę pogrążonego we wszechogarniających mrokach swojej epoki, lecz jako pomysłowego człowieka walczącego z przeciwnościami losu i obiek-

tywnymi ograniczeniami. Dzięki temu książka Reitza nie tylko miejscami zadziwia, zaskakuje, intryguje, ale także zmusza do refleksji i uświadamia, jak mało współczesny człowiek wie o swoim średniowiecznym przodku.

Paweł Strózik

Metropolia przemysłowa kolebką kultury

Katowice – polsko-niemiecka przestrzeń kulturowa w latach 1865–1939, red. Grażyna Barbara Szewczyk, Uniwersytet Śląski, Katowice 2006, ss. 238.

Prawa miejskie zostały Katowicom nadane w 1865 roku. Pierwszym przewodniczącym rady miejskiej (Stadtverordnetenenvorsteher) był Richard Holtze określany (za jego zasługi w rozwoju miejscowości) mianem „ojca miasta”. Sześć lat później powstała pierwsza monografia Katowic autorstwa Holtzego, dokumentująca rozwój miejscowości od samego początku jej powstania. Od tego czasu rozwój miasta był skrupulatnie obserwowany i odnotowywany przez badaczy, historyków i kronikarzy.

O powyższych faktach można dowiedzieć się z popularnonaukowej publikacji Uniwersytetu Śląskiego, przygotowanej i wydanej w ramach serii „Biblioteka Katowicka” przy finansowym współudziale Miasta Katowice. „Pragniemy zwrócić uwagę – jak czytamy we wstępie pióra Grażyny Barbary Szewczyk, redaktor tomu – na

mniej znane, niekiedy zapomniane, bądź nie przebadane zjawiska i problemy w kulturalnym rozwoju miasta”. Zamiary autorów zostały z powodzeniem zrealizowane w kilku aspektach tematycznych. Tom składa się z pięciu rozdziałów, z których każdy pozwala spojrzeć na dzisiejszą stolicę województwa śląskiego z innej perspektywy.

Sięgając do początków historii miasta w XIX wieku, autorzy prezentują obecność Katowic w piśmiennictwie niemieckim i polskim, przybliżają instytucje kulturalne, prasę, kino, teatr i radio, omawiają architekturę miasta i jego ulice. Ciekawy obraz rozwoju religijności katowiczian wyłania się w rozdziale „Religie w dialogu”, prezentującym rozkwit i wpływy konfesji katolickiej i ewangelickiej oraz wybitnych przedstawicieli tych religii na ewangelizację społeczeństwa miasta. Osobistych refleksji dostarcza rozdział: „Katowice w oczach świadków historii”, zawierający prywatne zapiski i wspomnienia prawników wybitnych katowiczian, Augusta Schneidera, burmistrza Katowic w latach 1890-1902, i sołtysa Casi-

mira Skiby, Górnoślązaka walczącego o prawa społeczności chłopskiej w przekształconej w miasto osadzie.

Tom rozpoczyna prezentacja kilku niemieckich i polskich monografii miasta, będących – jak konstatuje autor artykułu Piotr Chmiel – „niewyczerpanym źródłem informacji faktograficznych”, chociaż niepozbawionym akcentów o charakterze manipulacyjnym. Chmiel postuluje przygotowanie wolnego od kontrowersyjnych treści opracowania syntetycznego, ponieważ, jak konkluduje, tylko „na gruncie prawdy historycznej można budować wspólną przyszłość w europejskim duchu”.

Akcenty literackie dochodzą do głosu w analizie obecności tematu miasta Katowice w literackich czasopismach niemieckich „Kattowitzer Zeitung”, „Oberschlesien” oraz „Der Oberschlesier”. Ostatni periodyk, cieszący się dobrą opinią wiodącego pisma kulturalnego, zawierał szczegółową charakterystykę życia literackiego miasta, opisywał działalność tutejszych stowarzyszeń i związków, przybliżając czytelnikom twórczość związanych z Katowicami pisarzy i poetów. Podejmował także zagadnienia gospodarcze i ekonomiczne, relacjonując osiągnięcia niemieckiego przemysłu i techniki.

Na uwagę zasługuje analiza obrazu miasta wykreowanego w powieści Arnolda Ulitza *Der große Janja*. Autor powieści, który jako dziecko przybył do Katowic z Wrocławia, rósł wraz z tym miastem i doskonale uwiecznił jego rozwój. „Na tle kilkudziesięciu tekstów beletrystycznych o Katowicach [...] – czytamy w artykule pióra Grażyny Barbary Szewczyk – utwór ten wyróżnia się nie tylko rozmachem epickim, ale też i sposobem prowadzenia narracji, ukazywaniem zdarzeń z kilku perspektyw, budowaniem napięcia i drobiazgowością opisów”. W ten sposób powieść stała się dokumentem czasu, będącym kontaminacją zrekonstruowanych faktów i wydarzeń z wyobrazeniami

oraz utopijnymi wizjami pisarza. Interesująco i kompetentnie, w sposób udokumentowany cytatami z powieści, ukazuje autorka mocne strony utworu, wskazując na genialną wręcz umiejętność obserwacji i zdolność antycypacji autora, który przewidział, w jaki sposób i gdzie zostaną usytuowane poszczególne instytucje i budynki miasta. Szewczyk akcentuje również udane opisy szerokiego wachlarza społeczności miasta, a także zauważonej i uwiecznionej przez autora dzieła atmosfery minionej epoki oraz szczególnego klimatu tej „położonej nad Rawą, otoczonej lasami, kominami fabrycznymi i szybami kopalnianymi, rozwijającej się w »amerykańskim tempie« górnośląskiej metropolii”.

Aspekty wielkomiejskie dochodzą do głosu także w analizie prozy Brunona Arndta. Interpretując powieści *Der Ruf der Felder* (Zew pól) i *Missa solennis*, autorka artykułu Monika Mańczyk-Krygiel proponuje nowe spojrzenie na oba utwory, „łączące dyskurs wielkomiejski z dyskursem płci”. Po wnikliwej analizie zrealizowanej w ścisłej zgodzie z założonym celem czytamy w podsumowaniu, że dzięki powieściopisarzowi Arndtowi miasto Katowice zyskuje „poczesne miejsce wśród wielkich metropolii, takich jak Paryż, Londyn czy Warszawa” i staje się tym samym właściwym miejscem na nowoczesną i wszechstronną prezentację obrazów urbanistycznych – „zwłaszcza w odniesieniu do dyskursu płci”.

Przestrzeń kulturowa stwarza miejsce dla działalności naukowej i edukacyjnej, która istniała w Katowicach za sprawą Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku i była prowadzona od roku 1920 do wybuchu II wojny światowej. Rzeczywistym pomysłodawcą, organizatorem i wykonawcą wielu działań TPN był ks. dr Emil Szramek, którego działalność jako prezesa Towarzystwa należy uznać za wyjątkową i historyczną. W rozdziale poświęconym instytucjom kulturalnym, prasie, kinu, teatrowi i radiu znalazło się wiele interesujących analiz i wnio-

sków pozwalających na lepsze poznanie historii rynku wydawniczego, m.in. czasopisma „Die Gäste” z Katowic, roli kulturotwórczej tygodnika polsko-niemieckiego „Most”, początków samodzielnej działalności Teatru Polskiego w Katowicach czy polskiego Radia Katowice.

Autorzy tomu, rekrutujący się z przedstawicieli kilkunastu dziedzin nauki, interesująco zrealizowali swój cel, zwracając uwagę zarówno na „postacie ówczesnych działaczy i twórców zasłużonych dla rozwoju kultury lokalnej i kultur narodowych, jak

i na osiągnięcia towarzystw naukowych i artystycznych”. Dzięki publikacji przypomniano wiele, dzisiaj często zapomnianych, nazwisk działaczy, których aktywność i kreacja intelektualna pozostawiła ślady nie tylko w kulturze Górnego Śląska, ale także w kulturze europejskiej. Przestrzeń wielojęzyczna, wieloetniczna i wielowyznaniowa stała się dla nich obszarem twórczych inspiracji, a ruchliwość ich umysłów pozwoliła na aktywną percepcję bodźców, jakich dostarczała polsko-niemiecka przestrzeń kulturowa.

Lech Kolago Literarische Porträts

Norbert Honsza, *Deutsche Schriftsteller des 20. Jahrhunderts. Porträts und Texte. Teil I.* Częstochowa 2005, 249 s.

Vor kurzem erschien im Verlag der Jan-Długosz-Akademie in Częstochowa das Buch „Deutsche Schriftsteller des 20. Jahrhunderts. Porträts und Texte“ Teil 1, von dem Breslauer Germanisten Norbert Honsza (heute an der Hochschule für Internationale Studien in Łódź tätig). Es setzt sich aus 17 Texten zusammen, in denen folgende Autoren behandelt werden: Ingeborg Bachmann, Thomas Bernhard, Horst Bienek, Wolfgang Borchert, Heinrich Böll, Elias Canetti, Paul Celan, Friedrich Dürrenmatt, Hans Magnus Enzensberger, Erich Fried, Max Frisch, Günter Grass, Peter Handke, Elfriede Jelinek, Wolfgang Koeppen, Wolfdieter Schnurre und Peter Weiss. Im Vorwort schreibt der Autor, dass „Schriftsteller(innen) mit kurzen Bio-

grammen und ‚Horizontentwürfen‘ ihres Schaffens dargestellt“ werden. Die präsentierten Fragmente aus den Werken der zitierten Schriftsteller sollten dem Benutzer des Bandes helfen, den herausgehobenen Rang des jeweiligen Autors zu bestätigen und zu dokumentieren. Somit sei der erste Teil des Handbuches keine Literaturgeschichte im eigentlichen Sinne, sondern ein Hilfsmittel für Studenten und interessierte Leser. Der Verfasser betont, der vorliegende Band sei kein Lexikon, „denn bei vielen Porträts werden literaturgeschichtliche Zusammenhänge doch angedeutet und die Akzentsetzung des Verfassers hervorgehoben“. (S. 5) Die Auswahl der besprochenen Autoren sei selbstverständlich „ein subjektives Unternehmen“. Honsza ist sich dessen bewusst, dass diese Auswahl der Autoren ein Risiko für den Verfasser ist. Wenn der angekündigte zweite Band erscheint, werden es in beiden Bänden insgesamt 35

deutschsprachige Autoren sein. Es muss also „der eine oder andere Name, insbesondere was eine repräsentative Zahl jüngerer Autoren betrifft“, fehlen. Der Verfasser vertritt mit Recht die Auffassung, das sei leider unvermeidbar, wenn man einen Kanon zeitgenössischer Autoren zusammenstellen wolle.

Über die Darstellungsweise der biographischen Elemente und des Werkes einzelner Schriftsteller schreibt Honsza, die einzelnen Porträts seien in der Konvention einer wissenschaftlichen Essayistik verfasst worden und der Verzicht auf Anmerkungen sei daher legitim und selbstverständlich.

Honsza gab mit der Veröffentlichung *Deutsche Schriftsteller des 20. Jahrhunderts. Porträts*

und Text ein beachtliches, sehr informatives, erfrischendes und zum Nachdenken anregendes Buch heraus, an dem Philologen, Literaturwissenschaftler, Pädagogen, Kulturwissenschaftler und Vertreter manch anderer Disziplinen interessiert sein werden. Es ist ein begrüßenswertes und achtbares Unternehmen, das bestimmt einen festen Platz auf der germanistischen ‚Landkarte‘ behalten wird. Mit Sicherheit wird es bald als Standardwerk vor allem für Studenten gelten. Der Band wurde sorgfältig vorbereitet, seine Konstruktion und die Reihenfolge der Beiträge gründlich durchdacht. Ich wünsche diesem Buch, dass es viele Leser findet, die den von dem Autor vorgeschlagenen Weg der Erneuerung der philologischen Arbeit am Text beschreiten wollen.

Piotr Chmiel

„SILESIA. Schlesien im europäischen Bezugfeld“. Seria wydawnicza opolskiej germanistyki

Daniela Pelka, *Der deutsch-polnische Sprachkontakt in Oberschlesien am Beispiel der Gegend von Oberglogau* [= SILESIA. Schlesien im europäischen Bezugfeld. Quellen und Forschungen, Bd. 2], trafo, Berlin 2005, ss. 276.

Literaturgeschichtliche Schlüsseltexte zur Formung schlesischer Identität: kommentierte Studienausgabe [= SILESIA. Schlesien im europäischen Bezugfeld. Quellen und Forschungen, Bd. 3], hrsg. von Maria Katarzyna Lasatowicz, Andrea Rudolph, trafo, Berlin 2005, ss. 264.

Pod redakcją Marii Katarzyny Lastowicz i Andrei Rudolph ukazuje się od kilku lat w berlińskim wydawnictwie „trafo” interesujący cykl publikacji pod wspólnym hasłem *SILESIA. Schlesien im europäischen Bezugfeld. Quellen und Forschungen*. Przedmiotem niniejszej recenzji są dwa najnowsze tomy tej serii, a mianowicie: *Der deutsch-polnische Sprachkontakt in Oberschlesien am Beispiel der Gegend von Oberglogau* Daniela Pelki oraz tom *Literaturgeschichtliche Schlüsseltexte zur Formung schlesischer Identität. Kommentierte Studienausgabe*.

Obydwa tomy zasługują na uwagę szerokiego kręgu znawców historii kultury i języka na całym obszarze Śląska, jak również współczesnej sytuacji językowej w zachodniej części Górnego Śląska.

Obszerna i opatrzona bogatym aparatem naukowym praca Daniela Pelki poświęcona jest różnorodnym aspektom dwujęzyczności rodzimej ludności Górnego Śląska w kontekście historycznym i współczesnym. Na wstępie części teoretycznej autorka przedstawia historię polsko-niemieckich kontaktów językowych od okresu średniowiecznej kolonizacji niemieckiej, poprzez lata panowania czeskiego, habsburskiego i pruskiego aż do czasów najnowszych. W terminologii Pelka nawiązuje do nieodżałowanego kolońskiego sławisty rodem z Górnego Śląska Reinholda Olescha (1910-1990), który jako pierwszy wprowadził do języka fachowego bardzo trafne pojęcie „polnisch-deutscher Kontaktraum Oberschlesien”. Jako istotną cezurę Pelka przyjęła przemiany polityczne roku 1989, kiedy to po prawie 45 latach brutalnego przesładowania języka niemieckiego i wszelkich śladów niemieckiej przeszłości na Górnym Śląsku udało się przeforsować obowiązujące w cywilizowanym świecie standardy (wszakże nie bez oporów „patriotycznego” betonu i dzięki zdecydowanemu poparciu opolskiego biskupa Alfonsa Nossola). Język niemiecki odzyskał rangę odpowiadającą zapotrzebowaniu społecznemu w tym regionie i wielowiekowej dwujęzycznej tradycji. Zgodnie z prawdą historyczną autorka nie pominęła w swych wywodach również brutalnej polityki antypolskiej na Śląsku Opolskim w okresie III Rzeszy, gdy m.in. Kościół katolicki mimo sprzeciwu ówczesnego arcybiskupa wrocławskiego kardynała Adolfa Bertrama zmuszony został do zaprzestania używania języka polskiego w duszpasterstwie, a w latach 1934-1937 urzędowo ziemczono ponad 1000 starych słowiańskich nazw miejscowości, zastępując je różnymi „staroger-

mańsko” brzmiącymi dziwolągami językowymi (np. Schodnia – Ostdorf, Schewkowitz/Dziewkowice – Frauenfeld) lub nazwiskami nazistowskich dostojników (Kandrzin/Kędzierzyn – Heydebreck, czy też najbardziej drastyczny przykład: Szcedrzik – Hitlersee).

Bardzo cenny dla naukowego środowiska śląskoznawczego jest szczegółowo przedstawiony stan badań, ujmujący znaczną część literatury przedmiotu. Uzupełnienie tego rozdziału stanowi niezwykle starannie opracowana obszerna bibliografia, w której uwzględnione zostały również najnowsze niemieckie publikacje, nie zawsze łatwo dostępne w Polsce. Świadczy to o doskonałym rozeznaniu autorki w temacie i godnej uznania naukowej rzetelności.

W części empirycznej, stanowiącej zasadniczą część tej wartościowej publikacji, autorka przedstawia wyniki własnych badań naukowych. Na podstawowy korpus materiału empirycznego składają się głównie nagrane teksty pochodzące z licznych rozmów z ludnością niemiecką okolic Głogówka. Jest to w miarę homogeniczny obszar, na którym dla znacznej części społeczeństwa język niemiecki posiada rangę języka ojczystego. Na konkretnych przykładach autorka ukazuje ciekawe zjawisko interferencji języka polskiego, szczególnie w zakresie wymowy (określanej pojęciami „phonetische Transferenz” i „phonologische Transferenz”). Część tych tekstów przytoczona została w wersji oryginalnej.

Trzeci tom omawianej opolskiej serii wydawniczej stanowi krytyczna edycja dwóch historyczno-literackich i kulturoznawczych tekstów z lat trzydziestych XIX wieku. Obydwa ukazały się we Wrocławiu. Są to *Schlesiens Anteil an deutscher Poesie. Ein Beitrag zur Literaturgeschichte* Augusta Kahlerta (1835) i *Schlesien's Bedeutung im Entwicklungsgange der neuesten deutschen Kunst und schönwissenschaftlichen Literatur. Eine kunsthistorische und kunstphilosophische Skizze* Karla Eitnera (1837). Jak podkreślają we wstępie redaktorki na-

ukowe tomu, wymienione publikacje Kahlerta i Eitnera należą do kluczowych tekstów literackich i opracowań podejmujących problem kształtowania się tożsamości śląskiej, które „wpisują się w wieloletnią tradycję dziewiętnastowiecznej liberalnej historiografii idei”, ugruntowanej przez tak znane postacie jak Georg Gottfried Gervinius, Rudolf Haym i Kuno Fischer.

Szczególne znaczenie tych dwu dzieł wynika z tego, że zdaniem redakcji „należą one do kluczowych publikacji z pierwszej połowy XIX wieku, włączających się w dyskusję na temat roli regionu w literaturoznawstwie oraz pozycji literatury śląskiej wobec koncepcji literatury narodowej” w Niemczech. Na uwagę zasługuje fakt, iż teksty te są dziś niezwykle trudno dostępne zarówno w niemieckich, jak i w polskich bibliotekach.

Komentarze naukowe Marion George, Andrei Rudolph i Marii Katarzyny Lasatowicz stanowią sensowne uzupełnienie oryginalnych tekstów i ułatwiają znacznie ich interpretację.

Na jeden praktyczny aspekt językowy warto w tym miejscu w sposób krytyczny zwrócić uwagę: podczas gdy Daniela Pelka w sposób zgodny ze standardami językowymi konsekwentnie używa w niemieckoję-

zycznym tekście niemieckich nazw miejscowości na Śląsku, pokutuje w drugiej z omawianych publikacji zupełnie nieuzasadniony przeżytek, polegający na stosowaniu nazw polskich w niemieckim tekście (np. „Opole” zamiast „Oppeln”). Jest to swego rodzaju *political correctness* z czasów, które – jak się wydaje – należą od kilkunastu lat do niesławnej przeszłości. A przecież jeszcze przed przemianami politycznymi z roku 1989 uznane autorytety naukowe (Jan Miodek i Jan Łopuszański) zdecydowanie opowiedziały się za tym, aby w tej dziedzinie powrócić do językowej normalności (patrz: Jan Miodek, Jan Łopuszański *Dlaczego Breslau? Poradnik Językowy 7*, Warszawa 1986, s. 498-500).

Poprzez tę nową, godną uznania serię wydawniczą stosunkowo młoda jeszcze opolska germanistyka odważnie i bez kompleksów stara się dotrzymać kroku wiodącym ośrodkom krajowym. Jest ona wręcz w naturalny sposób predestynowana do rozwijania badań regionalnych, związanych z literaturą i językiem na Śląsku. Tę szansę Opole wykorzystuje z coraz większym powodzeniem, zdobywając uznanie wykraczające daleko poza granice regionu.

Dwa następne tomy omawianej serii są w przygotowaniu.

Przemysław Sznurkowski

Książka o nieśmiałym pisarzu

Erich Maletzke, *Siegfried Lenz. Eine biographische Annäherung*, Zu Klampen Verlag, Springe 2006, ss. 204.

Czytelnicy książek Siegfrieda Lenza znowu mogą poczuć się usatysfakcjonowani, i to nie ze względu na pojawienie się kolejnego bestsellerowego utworu tego znakomitego autora, którego dorobek literacki prezentuje się niezwykle imponująco zarówno pod względem objętości, jak i treści. W ubiegłym roku, gdy Siegfried Lenz obchodził swoje 80. urodziny, ukazała się na rynku księgarskim w Niemczech pozycja będąca swoistym rarytatem dla miłośników twórczości pisarza. O niespodziankę postarał się Erich Maletzke, który zaprezentował czytelnikom pierwszą (!) biografię tego autora. Może trudno w to uwierzyć, ale to właśnie dopiero Erichowi Maletzke udało się wejrzeć w tak starannie skrywaną przez Lenza prywatność. Dotychczasowe próby przybliżenia czytelnikowi sylwetki pisarza, jakich podejmowali się w swoich monografiach m.in. Hans Wagener, Winfried Baßmann czy Trudis Reber, opierały się głównie na dwudziestokilkustronicowym tekście autobiograficznym autora *Ich zum Beispiel. Kennzeichen eines Jahrgangs*, zawartym w opublikowanym w 1972 roku zbiorze esejów *Beziehungen. Ansichten und Bekenntnisse zur Literatur*, a także na kilku wywiadach, jakich Lenz udzielił prasie.

W przedmowie do swej książki Maletzke zwraca uwagę na to, iż informacje, jakie pisarz przekazał czytelnikom we wspomnianym tekście autobiograficznym, nie mogą uchodzić za kompletne, co więcej,

biograf zauważa nawet nieścisłości i niekonsekwencję Lenza w opisywaniu niektórych wydarzeń, m.in. dezercji pod koniec wojny. Książka Ericha Maletzke powstała w dużej mierze na podstawie rozmów, jakie autor przeprowadził z Siegfriedem Lenzem i jego żoną Liselotte, a także dzięki informacjom przekazanych przez przyjaciół i znajomych pisarza. Nie bez znaczenia dla ostatecznego kształtu biografii była analiza dzieł Siegfrieda Lenza oraz jego publikacji prasowych. Twórczość pisarza Erich Maletzke zawsze stara się odnosić do wydarzeń z jego życia, co pozwala czytelnikowi spojrzeć na utwory Lenza z zupełnie innej perspektywy.

Niezwykle barwnie i dokładnie Maletzke opisuje dzieciństwo i młodość Lenza w jego mazurskiej ojczyźnie. Udało mu się uzupełnić dotychczas przemilczane fakty z życia pisarza o informacje, które stanowić mogą ważną podstawę analizy jego utworów. Nie od wczoraj wiadomo, że Siegfried Lenz jest człowiekiem, który ceni swoją prywatność. Jak zauważa Maletzke, w przeciwieństwie do Grassa, Kunerta, Kempowskiego czy Rühmkorfa Lenz przez całe swe życie pozostawał milczkiem wobec swojej przeszłości. Autor biografii tłumaczy taką postawę traumatycznymi wydarzeniami z dzieciństwa, które spowodowane były rozpadem małżeństwa jego rodziców. Pisarz przyznaje, że nigdy nie miał dobrego kontaktu z ojcem. Otto Lenz, ełcki celnik, nie był blisko związany z rodziną, opuścił ją na początku lat 30. XX wieku. Matka, Luise Lenz, wyjechała krótko po tym z siostrą Siegfrieda do Braniewa (Braunsberg),

gdzie wstąpiła w nowy związek małżeński. Siegfried tymczasem pozostał w Elku z babką, która troszczyła się o wychowanie wnuczka. Można wnioskować, że rodzice pisarza tak naprawdę nie interesowali się losem swego syna. Zastanawiające jest to, że również Lenzowi nie bardzo zależało na tym, aby nawiązać jakikolwiek kontakt ze swą matką (ojciec prawdopodobnie umarł jeszcze przed wojną). Z informacji, jakie przekazuje Maletzke, wynika, że pisarz pozostawał po wojnie w bliskich relacjach jedynie ze swoją młodszą siostrą. O matce wie tylko tyle, iż uciekła do Niemiec Zachodnich. Uważny czytelnik książek Lenza niewątpliwie dostrzeże, iż motyw trudnych kontaktów syna z rodzicami jest częstym tematem utworów pisarza. Najwyraźniej problematyka ta widoczna jest w powieściach *Deutschstunde*, *Das Vorbild* czy w opowiadaniu *Das Feuerschiff*. Przypuszczalnie nieudane relacje z matką tłumaczyć mogą swoistą „oszczędność” pisarza w doborze literackich figur kobiecych. Lenz bardzo rzadko czyni kobietę bohaterką swoich utworów, a jeśli już, to nadaje jej status postaci drugoplanowej.

Opisując etapy edukacji młodego Siegfrieda Lenza, autor biografii zwraca uwagę na pewien fakt, który dotychczas był mało znany czytelnikom, a który niemal doprowadził Lenza do kłótni z przyjacielem, krytykiem literackim, Marcelem Reichem-Ranickim. Ten bowiem ogłosił publicznie w 2003 roku, iż niespełna 14-letni Siegfried Lenz był uczniem elitarniej szkoły nazistowskiej (Napola – Nationalpolitische Erziehungsanstalt), co – jak się wkrótce okazało – było totalną bzdurą. Ta niesprawdzona informacja uraziła, rzecz jasna, samego Lenza, interpretującego ten zarzut – zapewne w wielkiej złości – jako próbę zemsty krytyka na wydawnictwie Hoffmann und Campe, z którym Lenz związany jest od początku swojej działalności literackiej, a które przyznało nagrodę największemu wrogowi Reicha-Ranickiego – Martinowi Walserowi.

Wkrótce jednak naczelny krytyk odwołuje swoje zarzuty w otwartym liście, pozwalając sobie jednak na pewne uszczypliwości pod adresem Lenza, które, powiedzmy szczerze, nie były wcale bezpodstawne. Ranicki wytknął Lenzowi m.in. to, że uparcie milczy na temat swojej przeszłości, czego on nigdy nie pojmował, chociaż zawsze respektował („Ich habe diese hartnäckige Verschwiegenheit nie begriffen und immer respektiert. Das war ein Fehler”, s. 159). Wydarzenie to nie wpłynęło bynajmniej na dalszą przyjaźń pisarza i krytyka. Ich lojalność względem siebie trwa do dzisiaj: już od wielu lat Reich-Ranicki nie wypowiada się na temat publikowanych przez Lenza utworów – niezależnie od tego, czy książka Lenza wydaje się mu prawdziwą perłą, czy absolutnym niewypałem.

Sporo miejsca Erich Maletzke poświęca początkom działalności dziennikarskiej i literackiej Siegfrieda Lenza, jego współpracy z Walterem Hilperem, Willy Haasem i Benem Witterem. Efektownie wygląda próba przedstawienia czytelnikowi nieznanych dotąd okoliczności powstania licznych utworów Lenza, ich oddźwięku w społeczeństwie i świecie krytycznoliterackim. W sposób przekonujący i ciekawy Maletzke analizuje najbardziej znane książki pisarza, najczęściej odnosząc ich treść do wątków z jego życia. Cytuje też samego Lenza, który przyznaje w wywiadzie z Fritzem J. Raddatzem z 1982 r., że utożsamia się ze wszystkimi figurami swoich książek: „Ich bin in allen meinen Figuren. Jeder Schriftsteller lebt von der Selbstversetzung. Ich versuche, das, was ich bin, auf meine Figuren zu verteilen” (s. 67).

Maletzke udowadnia swoją książką, że również i o działalności politycznej można pisać w sposób porywający. Pod warunkiem oczywiście, że ową działalność prowadzą tacy ludzie jak Siegfried Lenz czy Günter Grass. I nie chodzi tu bynajmniej o napuszonych działaczy partyjnych, bo takimi ani Lenz, ani Grass nigdy nie byli.

Często jednak zgłaszali swoją gotowość do współpracy i zabierali głos w ważnych dla Niemiec i Europy debatach politycznych. Obaj wspierali socjaldemokratów niemieckich, a historycznym wydarzeniem była ich wizyta razem z Willy Brandtem w Warszawie w roku 1970, gdy podpisany został traktat o normalizacji stosunków między Polską a RFN i nienaruszalności granic na Odrze i Nysie. Wizyta w Warszawie stała się później dla Lenza inspiracją do napisania powieści *Heimatmuseum*. Maletzke przywołuje również mało znany fakt z roku 1979, gdy Günter Grass proponuje jako następcę Waltera Scheela na stanowisku prezydenta RFN właśnie... Siegfrieda Lenza. Autor biografii przypuszcza, że środowisko polityków bało się jednak ryzyka, jakie wiązało się z liberalnym pisarzem, i dlatego wołało wybrać jako głowę państwa konserwatystę Karla Carstensa.

Książka Ericha Maletzke odsłania wiele kulisów z życia Siegfrieda i Liselotty Lenzów. Po pewnym czasie czytelnik może nawet odnieść wrażenie, iż zna pisarza osobiście: poznaje jego pasje, marzenia, zagląda do pokoju, w którym autor pracuje, bez trudu może odnaleźć letni dom w Tetenhusen, gdzie pisarz spędza kilka miesięcy w roku, wie nawet, jakim samochodem jeździ i jakim jest kierowcą. A wszystko to dzięki kumoterskiemu wręcz sposobowi narracji. Zaznaczyć jednak należy bardzo stanowczo, że Erichowi Maletzke nie brakuje krytycznego dystansu do opisywanych wydarzeń. Obiektywnie i bez efekciarstwa udało się mu przybliżyć postać autora i jego twórczość, unikając przy tym naukowego zadęcia. Chciałoby się powiedzieć: pierwsze koty za płoty! Tylko patrzeć, gdy pojawią się następne biografie tego nieśmiałego pisarza.

Lidia Burakowska Lata wyjątkowe

Anna Górajek, *Wydarzenia społeczno-polityczne w Polsce w niemieckiej literaturze i publicystyce lat osiemdziesiątych (1980-1989)*, Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2006, ss. 574.

Nie odnotowano do tej pory w Polsce spójnej, opracowanej w wyczerpujący sposób monografii, która poświęcona byłaby analizie obrazu Polski i Polaków w literaturze i publicystyce drugiej połowy XX wieku. Obszar ten, ze względu na nieliczne opracowania, pozostaje wciąż interesującym

materiałem badawczym. Tym większą uwagę należy poświęcić nowatorskiej pod względem merytorycznym pracy warszawskiej germanistki Anny Górajek. Autorka pomyślnie wyszła naprzeciw potrzebom naukowym polskiej germanistyki, oddając czytelnikom wnikliwą analizę recepcji wydarzeń społeczno-politycznych w Polsce lat osiemdziesiątych minionego wieku. Wypełniła tym samym częściowo wyżej wspomnianą lukę tematyczną.

Rok 1989 i poprzedzająca go dekada to lata wyjątkowe w najnowszej historii, stano-

wiące fundament „nowego porządku”: odmiannę polskiej historii i życia politycznego, ale również mentalności narodowo-kulturowej.

Anna Górajek przedstawia natomiast ocenę znaczenia tych przeobrażeń w świadomości elit społeczeństwa niemieckiego. Zadaniem pracy była zatem analiza spektrum reakcji przedstawicieli środowiska literacko-publicystycznego obu państw niemieckich. Materiałem badawczym poddany badaniom były utwory literackie, ale również teksty z pogranicza literatury autorstwa pisarzy i publicystów niemieckich. Część analityczno-badawcza miała służyć udowodnieniu następujących tez:

- wydarzenia społeczno-polityczne w Polsce pozostawały na marginesie zainteresowań niemieckich środowisk twórczych,
- większość niemieckich pisarzy publicystów postrzegała powojenną Polskę jako element istniejącego ładu geopolitycznego,
- sposób postrzegania wydarzeń w Polsce był konsekwencją przekonań politycznych pisarzy,
- doświadczenia osobiste autorów niemieckich wywarły dominujący wpływ na percepcję wydarzeń polskich.

Książka jest przejrzysto zbudowana. Składa się z pięciu części: wstępu, trzech zasadniczych rozdziałów, zakończenia i bibliografii. Podział ten uwzględnia przede wszystkim racje merytoryczne. Wartość książki podnosi bogata bibliografia, na którą składa się wykaz literatury podmiotu i przedmiotu oraz spis artykułów tematycznych zamieszczonych w dziennikach, biuletynach i czasopismach społeczno-politycznych.

Rozdział pierwszy, mający charakter opisowy, zawiera wskazówki formalne, uwagi metodologiczne, jak również wprowadzenie w tematykę ze szczególnym uwzględnieniem uwarunkowań historycznych. Autorka przedstawia także wnikliwą analizę aktualnego stanu badań dotyczących problematyki percepcji polskiej

współczesnej rzeczywistości historycznej przez twórców niemieckich.

W rozdziale drugim uwagę poświęcono analizie stosunków polsko-niemieckich w latach 1980-1989. W celu lepszego zrozumienia rozwoju ówczesnej sytuacji politycznej Górajek prezentuje kolejno najważniejsze fakty dotyczące podłoża historycznego: od stosunku obu państw niemieckich do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, poprzez reakcje na kryzys lat 1980-1981, po stanowisko władz państw niemieckich wobec przełomu roku 1989. Dogłębna analiza postawionego problemu wymagała sięgnięcia do materiałów źródłowych oraz literatury i publicystyki historyczno-politycznej.

Rozdział trzeci to próba rekonstrukcji obrazu polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej na podstawie analizy tekstów publicystycznych NRD i RFN, z uwzględnieniem ówczesnej specyfiki obu państw. Autorka ponownie koncentruje uwagę na trzech punktach ciężkości, jakimi są: obraz Polski do 1981 roku, reakcja prasy na wprowadzenie stanu wojennego i publikacje powstałe do końca 1989 roku.

Kolejny rozdział poświęcony jest natomiast obrazowi Polski w literaturze pisarzy NRD i RFN, a w przypadku zachodnioniemieckich środowisk twórczych badaniom poddano także wypowiedzi publicystyczne. Analiza tekstów autorów wschodnioniemieckich dotyczy utworów publikowanych legalnie, a więc pod rygorem cenzury, jak również publikacji niezależnych wydawnictw artystyczno-literackich i tekstów niepublikowanych w NRD. Ciekawy ze względu na poznawczy jest także przegląd stanowisk czołowych związków i organizacji pisarzy, m.in. Związku Pisarzy NRD (Schriftstellerverband der DDR) i PEN-Clubu NRD. Rekonstrukcja obrazu Polski w wypowiedziach pisarzy zachodnioniemieckich skupia się zarówno na wypowiedziach publicystycznych, jak i literackich. Autorka przedstawia zamieszczane na łamach prasy głosy czołowych twórców RFN:

Güntera Grassa, Heinricha Bölla, Horsta Bienka, Martina Walsera. W drugiej części rozdziału omówiono wizerunek Polski w literaturze pięknej. Autorka zwraca uwagę na nikłe zainteresowanie ówczesnym obrazem kraju i ciągłą żywotność mitu „krajiny dzieciństwa”. Górajek omawia utwory literackie pisarzy najbardziej płodnych w omawianym kontekście: Wolfa Biermanna, Christiana von Krockowa, Dorothee Sölle, Reiner Kunze, Horsta Bienka czy Güntera Grassa.

Pracę kończą podsumowanie i wnioski, wynikające z przeprowadzonej analizy materiału badawczego.

Reasumując: mamy więc przed sobą 574 strony naukowo-analitycznego tekstu z licznymi konkluzjami i modelami badawczymi. Prezentowana pozycja to udane przedsięwzięcie Anny Górajek, zasługujące na szczególną uwagę ze względu na niesłychanie ciekawy aspekt merytoryczny. Temat wydarzeń XX wieku i ich roli w kształtowaniu samoświadomości narodowej zarówno Polaków, jak i Niemców to tematyka wciąż wymagająca kolejnych badań. Miejmy nadzieję, że omówiona publikacja będzie stanowić przełom w tym zakresie.

Zbigniew Wilkiewicz

Witold Gombrowicz

– neu gelesen und interpretiert

Andreas Lawaty, Marek Zybura (Hg.): Gombrowicz in Europa. Deutsch-polnische Versuche einer kulturellen Verortung. Harrassowitz Verlag, Wiesbaden 2006. 431 S.

Der vorliegende Sammelband stellt die Dokumentation eines Symposions dar, das vom 30. Juni bis 3. Juli 2004 im schlesischen Brzeg/Brieg stattfand und an dem Kenner und Übersetzer des Werks von Witold Gombrowicz aus Polen, Deutschland und der Schweiz teilnahmen. Den Anlass bildete das zu Ehren des hundertsten Geburtsjahres des Autors im Jahre 2004 in Polen ausgerufenen Gombrowicz-Jahr.

Das Buch ist mit einem Personen- und Autorenregister ausgestattet und gliedert sich in fünf übergreifende Kapitel. Das erste ist dem Verhältnis Gombrowiczs zur argentinischen Kultur und Literatur, seiner Wahrnehmung Berlins, in dem er sich Anfang der 1960er Jahre auf Einladung der Ford Foundation ein Jahr lang aufhielt sowie Fragen der kulturellen Identität des Autors und dem Auto-Image des polnischen Exils gewidmet. Die Autoren beschäftigen sich in ihren Beiträgen also ganz explizit mit der Stellung des polnischen Exilautors in Argentinien, Deutschland, in Polen und im polnischen Exil. Dabei wird

im ersten Beitrag von Dieter Reichardt „Gombrowicz vs. Borges“ deutlich, wie stark sich Gombrowicz in seiner argentinischen Zeit von den Hauptzentren der argentinischen Literatur abgrenzte und gegen arrivierte Literaten und einflussreiche Literaturmäzene anschrieb. Dass hier persönliche Kränkungen und ein verletztes Selbstwertgefühl eine nicht untergeordnete Rolle spielten, ist ebenso bemerkenswert, wie die Tatsache, dass Gombrowicz nur ein sehr oberflächliches Interesse an der Literatur seines Gastlandes entwickelte, obwohl er zu einigen jüngeren Autoren, die die Übersetzung von „Ferdynurke“ ins Spanische besorgten, recht enge Kontakte unterhielt.

Witold Kośny rekonstruiert in seinem Beitrag „Gombrowicz in Berlin – vierzig Jahre danach“ den politischen Kontext des Berlinaufenthalts von Gombrowicz (16. Mai 1963 bis 17. Mai 1964), schildert die gegen ihn gerichtete Pressekampagne in der Volksrepublik Polen und geht dann näher auf die in den „Berliner Notizen“ formulierte Kritik Gombrowiczs an Deutschland und den Deutschen ein. Der zentrale Vorwurf Gombrowiczs, dass sich die Deutschen um die Auseinandersetzung mit ihrer jüngsten Geschichte drücken, war – so Kośny – nach dem Frankfurter Auschwitz-Prozess und nach 1968 zwar nicht mehr haltbar, aber die seit den 1990er Jahren einsetzenden Veränderungen in der deutschen Erinnerungskultur sowie die auf Initiative des BdV entfachte Debatte um ein Zentrum gegen Vertreibungen mit dem Standort Berlin sorgen dafür, dass die „deutsche Gefahr“ auch noch nach vierzig Jahren in Polen eine starke Integrationskraft entwickeln könne. Befürchtet wird auf polnischer Seite eine Umdeutung der Geschichte. Dieser Sachverhalt korrespondiert allerdings auch nach vierzig Jahren – so Kośny – nicht mit der Kernaussage Gombrowiczs aus den „Berliner Notizen“, dem es neben seiner Kritik an den Deutschen in erster Linie

darum ging, den Einzelnen vom Druck des Kollektivs zu befreien und Schuld und Verstrickung nicht unbedingt national zu definieren.

Peter Langemeyer betont in seinem Artikel, dass sich Gombrowicz in seinen „Berliner Notizen“ nicht mit der Topographie der Stadt und der angespannten politischen Situation beschäftigt, sondern eine eigene Wirklichkeit kreiert, in der Dinge und Ereignisse zu Zeichen stilisiert werden, die eine verdeckte Bedeutung besitzen. Dabei wird immer wieder das Todesmotiv bemüht, denn Berlin ist für Gombrowicz eine Stadt „die Tod zugefügt und den Tod erhalten hatte“. Zur deutschen Jugend, die ihn einerseits faszinierte, andererseits aber auch verwirrte, entwickelte er ein ambivalentes Verhältnis. Ganz augenscheinlich – so Langemeyer – traf er auf eine Jugend, die die Vergangenheit zwar nicht ableugnete, die aber vorgab, mit ihr fertig zu sein, und die vor allem einen Neubeginn wünschte. (S. 51). Schließlich wird zusammenfassend konstatiert, dass die von Gombrowicz für die „Berliner Notizen“ intendierte Trennung von Privatem und Öffentlichem unter den Bedingungen des Kalten Krieges kaum möglich war. Insofern ist evident, dass die „Berliner Notizen“ nicht nur in der deutschen Presse, sondern auch in der Volksrepublik Polen massive Kritik ernteten.

Mit der Problematik kultureller Identität bei Witold Gombrowicz beschäftigt sich der Aufsatz von Hans-Christian Trepte. Im Mittelpunkt steht die Frage nach dem Stellenwert des Exils, das unterschiedlichen Denkrichtungen und Traditionen entsprechend als Fluch oder als Chance begriffen werden kann. Bekanntlich stellte Gombrowicz die Chance freiheitlichen Schaffens im Exil als absolutes Positivum heraus und schöpfte gerade aus der Position des marginal man sein Selbstbewusstsein. Besonders scharf grenzte er sich vom national-konservativen polnischen Exil in London ab, während er mit der liberalen Pariser

„Kultura“ über lange Jahre fruchtbar kooperierte. Durchgängig wandte er sich gegen den „martyrologischen Duktus“ der polnischen (Exil)literatur sowie gegen die Zwänge eines das Individuum erstickenden Nationalismus und propagierte folgerichtig die „Befreiung des Menschen vom Polen“. Gleichzeitig blieb er als Exilautor der polnischen Sprache treu und erwog keinen Sprachwechsel. Auch stellte er mit seinen Werken unter Beweis, dass das Exil nicht unbedingt zu einer sprachlichen Verarmung der eigenen Texte führen muss, da es auch im Exil die Möglichkeit einer Spracherneuerung gebe. Insofern ist Trepte beizupflichten, wenn er resümierend betont, dass Witold Gombrowicz zu jenen Autoren gehörte, die unter den Bedingungen des Exils zu einem Schriftsteller von Weltrang wurden (S.66).

Einem ähnlichen Thema widmet sich Dietrich Scholze, in dem er sich in seinem Beitrag mit dem Verhältnis Gombrowicz zu Polen und zum Polentum beschäftigt, wobei ihm das „Tagebuch“ und der Roman „Trans-Atlantyk“ als Quellen dienen. Im „Tagebuch“ bemühte sich Gombrowicz bereits seit den 1950er Jahren, die feststehenden nationalpolnischen Klischees und Stereotypen in Frage zu stellen und geriet damit immer wieder sowohl mit Repräsentanten der Volksrepublik Polen als auch mit Vertretern des polnischen Exils in London in Konflikt. Die Emigration bezeichnete er nach zwanzig Jahren Auslandsaufenthalt als großen „Blindgänger“, da sie die Chancen, die ihr der Westen geistig bot, nicht zu nutzen wusste. Den Intellektuellen in der Volksrepublik Polen gestand er immerhin zu, dass sie trotz oder gerade wegen der widrigen Umstände einen Reifeprozess durchmachten, der sie abgehärtet habe (S.75). Noch wesentlich radikaler karrierte Gombrowicz in „Trans-Atlantyk“ polnische Traditionen und polnisches Selbstverständnis, indem er sich in einer der Barockdichtung entlehnten Sprache

ironischer, satirischer und grotesker Stilmittel bediente. Ehrgeiziges Ziel war auch hier die Befreiung vom „polnischen Komplex“, von der „polnischen Form“.

Im zweiten Kapitel des Sammelbandes setzen sich die Autoren mit der Rezeption des Gombrowiczschen Werks in Deutschland auseinander, wobei die Dramen einen Schwerpunkt bilden. Zunächst schildert Heinrich Kunstmann am Beispiel der Anfänge der deutschen Rezeption die Rückkehr Gombrowicz nach Europa. Dabei hebt der Autor die großen Verdienste des Neske-Verlags und des Übersetzers Walter Tiel alias Rudolf Richter für die Popularisierung des polnischen Exilschriftstellers hervor. Auf Grundlage der ausgewerteten Korrespondenzen der involvierten Personen beleuchtet Kunstmann die Motive für die Edition der Werke Gombrowicz und für die Entscheidung, Rudolf Richter als Übersetzer auszuwählen. Auch beschreibt er in diesem Zusammenhang die wichtige Rolle von Alicja de Barca (Litka), die Gombrowicz zeitlebens unterstützte und den ersten Anstoß zur deutschen Übersetzung von „Ferdydurke“ gab. Sehr aufschlussreich sind auch die von Kunstmann rekonstruierten Verhandlungen zwischen den Verlegern Neske und Piper, in denen es um eine Übernahme der Herausgabe weiterer Werke Gombrowicz ging.

In seinem Aufsatz „Gombrowicz mit deutscher Presse. Zweiter Versuch“ hebt Rolf Fieguth, der maßgeblich an der zweiten Herausgabe der Werke Gombrowicz beim Hanser-Verlag beteiligt war, hervor, dass die im Neske-Verlag erfolgte erste Herausgabe des Gombrowiczschen Oeuvres den Vorteil hatte, auf einer ganzen „Welle“ polnischer Literatur, die zuvor ins Deutsche übersetzt worden war, getragen zu werden. Nach 1968 fanden die Schlagworte Gombrowicz dagegen keinen Eingang mehr in linken Theoriediskurs der deutschsprachigen tonangebenden Intelligenz (S.120).

Auch blieb die Wahrnehmung Gombrowiczs durch deutsche Schriftsteller eher Privatsache. Im Hinblick auf die Übersetzung von Tiel kritisiert der Autor deren Orientierung an der Ausgangssprache. Als dann berichtet Fieguth über das gemeinsam mit Fritz Arnold unternommene Projekt, eine neue Gesamtausgabe Gombrowiczs beim Hanser-Verlag zu veröffentlichen, was auch eine Überarbeitung der Tielschen Übersetzung implizierte. Fieguth räumt ein, dass dieser ehrgeizige und aufwändige Versuch nicht nur an widrigen Umständen scheiterte (Abklingen der erhofften neuen polnischen Welle im Zusammenhang mit der Papstwahl, dem Entstehen der *Solidarność* und der Verleihung des Nobelpreises für Literatur an Czesław Miłosz 1980), sondern ebenfalls am Desinteresse der deutschen Literaturkritik. Insofern erwies sich der zweite Versuch, Gombrowicz eine „deutsche Fresse“ zu verpassen, in der Tat als Misserfolg.

In dem sich anschließenden Beitrag erklärt Walter Schmitz, weshalb die Gombrowicz-Aufführungen Anfang der 1970er Jahre in der Bundesrepublik als nachgeholten Moderne eine ausgesprochene Surrogatfunktion hatten. Dabei weist der Autor zunächst nach, dass die Dramen Gombrowiczs für die deutsche Kritik mit einem klaren poetischen Profil ausgestattet sind. Typisch sei die Dekontextualisierung, die von der Aktualisierung bis hin zum feministischen Diskurs begleitet werde. Hervorgehoben wird ebenfalls die Sinnlichkeit des Gombrowiczschen Theaters, etwa in „Operette“. Leitthema bleibe die Poetisierung der Rebellion, der Übergang von Utopie in Terror und der Umschlag von Geschichte in Utopie. In besonderem Maße gehe es aber auch um die Demonstration von Modernität, denn die Modernität des Gombrowiczschen Theaters wird zum Maßstab der deutschen Kritik. Unter Berufung auf Herbert Gamper resümiert Schmitz demzufolge für das Jahr 1970, dass die Polen

(Gombrowicz, Mrozek) eine Moderne vorführten, die es in Deutschland so nicht gab: avantgardistisch und politisch engagiert. Insofern dienten polnische Dramaturgien als „Ersatz-Moderne“ für die deutsche Bühne (S.141).

Jürgen Joachimsthaler analysiert das provozierende Schweigen der Gombrowiczschen „Yvonne“ und bezeichnet die so entstehende Leere als Spiegel, der dem bei der deutschen Erstaufführung mit Unverständnis reagierenden Publikum (Dortmund 1965) vorgehalten wird. Der Autor zeichnet die deutsche Rezeptionsgeschichte des Stücks bis in die 1990er Jahre nach und erläutert, warum das Drama zu diesem Zeitpunkt seine Provokationskraft bereits verloren hatte. So in der Münchener Aufführung von 1998, in der jegliche Bedeutungssuche bereits beerdigt worden sei (S. 158).

Mit dem Bühnenbild ausgewählter Aufführungen der „Trauung“ beschäftigt sich Daniel Pietrek. Der Autor bespricht die beiden West-Berliner Aufführungen im Théâtre Récamier (1965) in der Regie von Jorge Lavalli und im Schiller-Theater (1968), wobei er hier besonders auf das von Schröder und Svoboda entworfene Bühnenbild abhebt. Schließlich widmet er sich der Ulmer Aufführung von Friedrich Beyer (1972). Pietrek kommt zum Ergebnis, dass das Bühnenbild in der „Trauung“ ganz besonders wichtig sei, da es den „formalen“ Rahmen für die Wiedergabe des sehr komplexen Wirklichkeitsbezuges schaffe. Er betont auch, dass sich aus dem sehr gelungenen Bühnenbild Schröders und Svobodas Innovationsimpulse für das damalige deutsche Theater ergaben (S. 169).

Im dritten Kapitel geht es um die philosophischen Ansichten Gombrowiczs, die er in seinem Werk zumeist in codierter literarischer Form formuliert hat, während sich in seinem Tagebuch und anderen Schriften auch diskursive Auseinandersetzungen mit der klassischen und zeitgenössischen Philosophie und den Ansichten

ihm besonders naher Denker finden lassen. In seinem Beitrag „Nietzsche und Gombrowicz – zwei Philosophen der Interpretation“ setzt sich Marian Bielecki mit den Ansichten beider Denker zur Interpretation auseinander, wobei er verdeutlicht, dass Gombrowiczs paradoxe Aussage zu Nietzsche, dass die Wirklichkeit nicht vor ihrer Interpretation existiere, im eigenen literarischen Werk Gombrowiczs eine konsequente Umsetzung erfahren habe. Die Texte Gombrowiczs sind immer offen und fragmentarisch, sie bleiben vielfach auslegbar. Wirklichkeit, Subjekt und Text haben stets einen antimetaphysischen, nicht-existenziellen Charakter, was sich am besten am Roman „Kosmos“ exemplifizieren lasse, in dem das Ich bewusst als Spektakel und performatives Spiel inszeniert werde.

Mit der Rezeption Nietzsches durch Gombrowicz beschäftigt sich in seinem Aufsatz „denn wir sind Tanz“ auch Alfred Gall, wobei er sich allerdings auf die Auswertung des Tagebuchs konzentriert. Gall zeigt auf, dass Gombrowiczs Formulierungen nietzscheanische Grundzüge aufweisen, wobei der zentrale Begriff des Tanzes nicht als ästhetische Disposition, sondern als existenzieller Modus verstanden werde. Das Ich sei dabei Ausdruck des wirkenden Willens. Der Tanz könne als stets neu ansetzender Akt der Selbsterschaffung gedeutet werden. Allerdings gehe es Gombrowicz dabei nicht wie bei Nietzsche um die Destruktion des Subjekts, sondern um eine „tanzende Individualität“.

Mit einer zentralen Kategorie im Werk Tadeusz Kantors befasst sich die Untersuchung von Uta Schorlemmer, in der sich die Autorin zwei verwandten ästhetischen Diskursen beider Autoren annähert. Sie vergleicht das Gombrowiczsche „Prinzip der Unreife“ mit Kantors „Realität niedrigsten Ranges“ und kommt zu dem interessanten Ergebnis, dass beide untersuchten ästhetischen Diskurse als Äquivalent dessen betrachtet werden können, was in

Deutschland als „Vergangenheitsbewältigung“ bezeichnet wird (S. 223).

In seinem Aufsatz „Fluchtlinien“ beschäftigt sich Hanjo Beressem mit den Ausführungen, die der bekannte französische Philosoph Gilles Deleuze zu den Grundaussagen des Gombrowiczschen Oeuvres gemacht hat. Der Autor rekonstruiert zunächst die Kontexte, in denen sich Deleuze auf Gombrowicz bezog und arbeitet dann bestimmte Gemeinsamkeiten zwischen beiden Autoren heraus. Am Beispiel der Deleuzeschen Interpretation des Romans „Kosmos“ erläutert Beressem das komplizierte Verhältnis von Zufall, Kausalität und Analogien, durch das in diesem komplexen Text Wirklichkeit als eine auf analogen Strukturen basierende Gegenrealität konstruiert wird. Das bedeutet, so die Schlussfolgerung, dass es sowohl bei Deleuze als auch bei Gombrowicz immer nur um Möglichkeiten gehe, oder in der Sprache von Deleuze um „die Auflösung molarer Strukturen zugunsten molekularer Arrangements“.

Einer ganz anderen Thematik ist der Beitrag von Wolfgang Schlott gewidmet. Hier geht es um die Rezeption Gombrowiczs durch den ungarischen Autor István Eörsi, die unter dem Eindruck des politischen Umbruchs von 1989 erfolgte. Am Beispiel des Buches „Tage mit Gombrowicz“ (1997) beschreibt Schlott, wie sich Eörsi mit der postkommunistischen Vergangenheit der mitteleuropäischen Literaturlite und ihrer Intellektuellen auseinandersetzt. Besonders hart kritisiert Eörsi dabei, dass man sich gewissenlos mit der Vergangenheit arrangiert habe. Hingegen hebt er den durchgängigen intellektuellen Widerstand des Exilautors Gombrowicz hervor, den dieser in erster Linie in den diskursiven Passagen seines Tagebuchs entwickelte. Dabei greift Eörsi auch ganz bewusst auf das von Gombrowicz entwickelte Prinzip der „Überlegenheit der Unreife“ zurück (S. 258).

Das vierte Kapitel des Buches ist wiederum stärker literarischen Fragestellungen gewidmet. So beschäftigt sich Włodzimierz Bolecki mit Gombrowiczs Aphorismen, wobei er davon ausgeht, dass die Modalität das entscheidende Element der Textpoesie bei Gombrowicz sei. Dabei spiele Gombrowicz mit widersprüchlichen Modalitäten, wobei der Sinn dieses Spiels allerdings nicht klar werde. Bolecki zeigt darüber hinaus auf, dass sich in „Ferdydurke“ zahlreiche Aussagen finden lassen, die Satzcharakter haben. Diese Sätze fügen sich zu den wichtigsten Themen im Gombrowiczschen Werk: Was ist der Mensch, was sind zwischenmenschliche Beziehungen, wie stellen sich die Beziehungen zwischen Mann und Frau dar, was ist das Leben in seinen verschiedenartigsten Emanationen? Die übergeordnete Maxime und zugleich grundlegende Modalität Gombrowiczs stamme freilich aus „Ferdydurke“ und laute: „Niemand wird mir jemals die Stimme wegnehmen“ (S.278).

Mit dem komplexen, uneindeutigen Ich-Begriff in den Werken Gombrowiczs beschäftigt sich Olaf Kühl. Auch der Ich-Begriff bleibe ambivalent, zum Beispiel im Sinne des das Ich verneinenden „man“ Heideggers oder entsprechend dem Postulat aus Slub, dass „nicht wir die Wörter sagen, sondern die Wörter uns sagen“. Dies impliziert, dass das Ich sowohl als Subjekt als auch als Objekt gedacht und modelliert werden kann und dass es von einer weiteren Zentralkategorie Gombrowiczs, der Form, die den Ausdruck des wahren Ichs verhindert, immer abhängig bleibt. Besonders deutlich wird dies im Roman „Kosmos“, in dem das Ich stets Maske bleibt. Die Dualität des Ichs als Körper und als Empfinden bleibe im Gesamtwerk Gombrowiczs erhalten, allerdings komme es paradigmatisch zu abrupten Wechseln von einem euphorisch übersteigerten Ich-Gefühl zu dessen Negation, wenn es in der „Trauung“ zum Beispiel heißt: „Nein,

nein, ich existiere nicht, Ich bin kein ich“ (S. 287).

In ihrem Aufsatz über die „interaktiven Strategien des schreibenden Ich“ analysiert Mirosława Zielińska die Konzeption Gombrowiczs hinsichtlich seines Tagebuchs. Sie arbeitet heraus, dass für Gombrowicz weder der westeuropäische Habitus des Intimisten noch der Habitus des für Polen typischen Chronisten in Frage gekommen sei. Für Gombrowicz bleibe Wirklichkeit immer nur private Wirklichkeit, wobei freilich auch im Tagebuch die Zentralkategorie der Offenheit eine wesentliche Rolle spiele, da sie erlaube, frühere Erfahrungen für ungültig zu erklären. Zudem werde neben dem zuweilen aufscheinenden Habitus des Chronisten, Zeugnis abzulegen, und dem des Intimisten, Bekenntnisse zu formulieren, eine dritte Option, die der Aufforderung an den Leser, eingeführt. So komme es zu einer Gleichrangigkeit von Autobiographischem und Fiktionalem. Hierzu gehöre auch der Gombrowiczsche Ansatz der „interaktiven Autokommunikation“, wodurch das Tagebuch zu einer Art Konzeptpapier werde, bei dem das Spiel mit sich selbst und mit dem Leser eine zentrale Bedeutung gewinne.

German Ritz geht in dem sich anschließenden Artikel Fragen von Körper, Geschlecht und Gender im „autobiographischen Projekt“ Gombrowiczs nach. Hierbei spiele das konstruierte Geschlecht als Mittel für die Entlarvung der „erstarrten Form“ eine entscheidende Rolle. Im Hinblick auf das Tagebuch bedeute dies, dass das Ich nur in seiner „kulturellen Maske“ auftrete und es auch zu keiner (zum Beispiel homosexuellen) Ich-Konfession komme. Zum Ausdruck gebracht werde die quasi außersexuelle Faszination durch die Jugend und die Erfahrung des Alters, sich vor dem Ausgeschlossen-Sein fürchten zu müssen. Hieraus erkläre sich der Versuch, eine dritte Position – jenseits der von Mann und Frau – einzunehmen, allerdings auch die

das Gesamtwerk Gombrowicz durchziehende Vorstellung, dass die Teilnahme an der Jugend an der Begegnung mit der Frau scheitere, weil sie das Ich in die Konvention des Mannes zwingt (S. 317).

Mit *Ślub* (Die Trauung) als Bewusstseins- und erkenntnistheoretischem Drama setzt sich Maria Maskala auseinander. Nach eingehender Analyse hebt sie hervor, dass man in dem Drama einige Anleihen aus dem deutschen Idealismus ausmachen könne. Hierzu gehöre unter anderem die Spaltung des Ichs in Subjekt und Objekt. Allerdings erweise sich Gombrowicz als Meister der Vieldeutigkeit und des Versteckens, die Kategorie der Offenheit und Unabgeschlossenheit bleibt also auch in seinen Dramen eine dominierende Konstante. Der Autor von *Ślub* – so Maskala – habe bereits 1946 Positionen vorweggenommen, die heute der Kommunikationsforscher Watzlawick vertritt und in denen Normalität als „halluzinatorische Konstruktion“ bezeichnet werde. Mit Zdzisław Łapiński kommt die Autorin schließlich zum Ergebnis, dass das Drama „Die Trauung“, bei der sich die gesamte Wirklichkeit auf den Intentionalakt eines sich auf der Bühne herauskristallisierenden Subjekts stützt, die Grundlagen der Ontologie in Frage stelle, die seit Jahrhunderten für das Drama galten (S. 346).

Brigitte Schulze beschäftigt sich im abschließenden Beitrag mit der Transformation des Stoffs des Bauernfürsten bei Gombrowicz. Dementsprechend steht das Drama „Iwona“ im Mittelpunkt ihrer Analyse, wobei sie intensiv auf die diesem Stoff eigene binäre Ordnung (Oben/Unten; Leben/Traum) eingeht. Die Autorin stellt eine Reihe von Bezügen zur internationa-

len und polnischen Literatur her (Cervantes, Don Quixote; Bohomolec) und analysiert eine Gruppe von Signalsetzungen, aus der sich die Fortschreibung des Stoffes ableiten lässt. Außergewöhnlich – so Schulze – sei allerdings, dass Gombrowicz die Hauptfigur des Bauernfürsten mit einer weiblichen Figur besetzt habe, was als Hinweis darauf gedeutet werden könne, dass der Stoff „zu Ende gebracht“ werden soll. Unabhängig davon stehe der für den Stoff des Bauernfürsten obligate Rollentausch in engem Bezug zu Gombrowicz anthropologischer Grundannahme von der fundamentalen Rollenhaftigkeit menschlicher Existenz. Insgesamt kommt Schulze allerdings am Ende ihrer akribischen Analyse zum Ergebnis, dass die Forschung hinsichtlich der Konkurrenz unterschiedlicher Textfolien bei Gombrowicz noch nicht genug wisse (S. 366).

Im abschließenden 5. Kapitel stellt Marek Zybura auf fast fünfzig Seiten Materialien zur deutschsprachigen Gombrowicz-Bibliographie vor. Diese sorgfältig zusammengestellte Bibliographie, die bis in die Gegenwart reicht, darf wohl durchaus den Anspruch erheben, weitgehend vollständig zu sein.

Nach intensiver Lektüre und Reflexion kann man die beiden Herausgeber zu diesem sorgfältig edierten und im Hinblick auf die Auswahl der Autoren und Inhalte gut abgestimmten Sammelband nur ausdrücklich beglückwünschen. Sicherlich handelt es sich bei diesen deutsch-polnischen Versuchen einer kulturellen Verortung um einen deutschsprachigen Meilenstein in der internationalen Gombrowicz-Forschung.

Irena Šebestová

Moderne österreichische Literatur

Renate Cornejo / Ekkehard W. Haring (Hg.): *Wende – Bruch – Kontinuum. Die moderne österreichische Literatur und ihre Paradigmen des Wandels*. Praesens Verlag Wien 2006, 504 S.

Die vorgelegte Publikation ist ein Sammelband von Beiträgen, in denen die Teilnehmer des Symposiums „Wende – Bruch – Kontinuum. Die moderne österreichische Literatur und ihre Paradigmen des Wandels“ ihre Forschungsergebnisse vorstellen. In ihren Erwägungen befassen sie sich mit den entscheidenden Wendepunkten (wie z.B. die Jahre 1900, 1918, 1938, 1945, 1989), die, bezogen auf das österreichische (bzw. ungarische) Milieu, eine Mannigfaltigkeit thematischer Möglichkeiten bei unterschiedlichen Autorengenerationen evozierten. Der Sammelband ist in vier thematische Blöcke eingeteilt, wobei jeder der vier mit einem Einleitungssessay eröffnet wird.

In seinem Beitrag „Schubumkehr?“ entwickelt Wendelin Schmidt-Dengler das Wende-Thema. Unter dieser von Niki Lauda, aus der Formel-1-Welt, entlehnten Metapher betrachtet Dengler den Roman gleichen Titels von Robert Menasse. Er bemerkt im Voraus, wie notwendig es ist, aus heutiger Perspektive, die politischen und historischen Hintergründe der Texte zwischen den Zeilen herauszulesen. Mit seinem Text eröffnet er den ersten thematischen Teil unter dem Titel – Politische Zeitwenden und Wendezeiten –, der ein breites

literarisches Spektrum im Kontext seiner Zeit erfasst.

Ludvík E. Václavek macht in seinem Beitrag auf die, in der Literaturgeschichte so genannten, „deutschen Autoren in Böhmen und Mähren“ aufmerksam, bei denen sich die Bezeichnung „deutsch“ auf die Sprache, nicht auf die Nationalität bezog. Die Lebensrealität dieser Autoren war österreichisch, auf die Kultur, Politik, Wirtschaft, Tradition oder Religion der Donaumonarchie ausgerichtet, und ihr literarisches Wirken orientierte sich auf dieses Milieu. Klaus Schuhmacher enthüllt in seinem Beitrag den Roman von Heimito Doderer „Ein Mord, den jeder begeht“ als eine Kriminalgeschichte, die im Grunde eine literarische Parallele zur politischen Auslöschung Österreichs zeichnet. Den in Österreich spielenden Roman „Treibeis“ der tschechischen Autorin Libuše Moníková kann man als eines ihrer Meisterwerke bezeichnen. Dana Pfeiferová zeigt, dass der Roman, im Rahmen des Gesamtwerks (Streichung), vor allem als Appell an das Gewissen des Volkes eine bedeutende Rolle spielt. Renata Cornejo analysiert, wie Elfriede Jelinek im Roman „Die Liebhaberinnen“ die Frauenproblematik im gesellschaftlichen Kontext darstellt. Der Roman bedeutet den Bruch mit der populären und gewaltfreien Darstellung der Frau, wie sie in der feministischen Literatur gängig war. Cornejo betont ästhetische Prinzipien und Radikalität der Sprache, mit denen die Autorin deutlich und in produktiver wie inspirierender Weise an die Tradition der

österreichischen Avantgarde der 50er und 60er Jahre anknüpft.

Den zweiten Teil des Sammelbandes - Literarischer Exkurs - führt Evelyn Grill mit ihrem Beitrag „Familientreffen“ ein, der als eine Allegorie auf die österreichische Gegenwart zu sehen ist, in der sich das Erforschen der eigenen Herkunft nicht immer lohnt. Die Autorin eröffnet aus verschiedenen Blickwinkeln neue Ansichten auf das Thema „Wende und biographisches Schreiben“.

So kann man aus dem Beitrag von Jiri Munzar erfahren, dass sich Max Brod, wengleich mehr als 20 Jahre rechtsgültig österreichisch-ungarischer Bürger, aktiv am politischen und kulturellen Leben der Tschechoslowakei beteiligte. Das tschechische Milieu und insbesondere Prag spielen in seinem Gesamtwerk eine nicht zu vernachlässigende Rolle. Hans Höller zeigt, dass für das Schaffen von Peter Handke die enge Verbindung von Leben und Schreiben charakteristisch ist. Jedes der Handke'schen Werke spiegelt für sich eine (biographische) Wende und bringt neue Sichtweisen ins Spiel. Die den Jugoslawien-Texten gewidmete Passage gibt, wenn auch verdeckt, einige Anlässe zu Nachdenklichkeit. In seiner Interpretation von Christoph Ransmayrs „Morbus Kitahara“, ein Versuch, die österreichische Geschichte von der Stunde Null zu rekonstruieren, muss Thomas Stahl feststellen, dass Ransmayr vor allem in der Nachkriegszeit nichts positiv oder optimistisch Stimmendes zu finden vermag, das zu einer Renaissance Österreichs beitragen könnte.

Kritisch, mit einem Schuss Polemik, befasst sich Sigrud Löffler mit dem gegenwärtigen Literaturbetrieb im Beitrag „Buchmarkt und literarische Moden im deutschsprachigen Raum. Wie in der heutigen Literatur Wandel erzeugt wird“. Die renommierte Literaturkritikerin beschreibt die neuen literarischen Trends. Aus ihrer Sicht ist die Literaturproduktion viel zu umfang-

reich; auf einen nicht sehr aufnahmefähigen Markt werden ununterbrochen Neuererscheinungen geworfen.

Ausbruch und Ende des 1. Weltkrieges sind die Zeitmarken, welche die tragischen Ereignisse der politisch-sozialen Katastrophe Österreichs eingrenzen. Der Titel dieses dritten Teils - Ein-Bruch Krieg: Ende oder Anfang? – spiegelt die Ratlosigkeit und Düsternis dieser Zeit.

Edit Kiraly stellt in ihrem Beitrag Überlegungen der Kulturhistoriker Egon Friedell, Hans Sassmann und Friedrich Heer zum Ersten Weltkrieg vor, die dessen Ausbruch als Ende der Neuzeit sehen. Den proklamierten Zerfall der großen Ideen belegt sie mit Texten von Hofmannstahl, Doderer und Musil. Wie schon erwähnt, bedeutet dieser Krieg eine radikale Wende in allen Lebensbereichen. Eine entschiedene Antikriegshaltung entwickelten auch die Literaten der Prager deutschen Dichtung. Ekkehard W. Haring interpretiert in diesem Sinne die Gedichte von Friedrich Adler, Martin Buber oder Franz Werfel. Marcela Požárek untersucht die Erzählung „Unter Mördern und Irren“ von Ingeborg Bachmann, sowie Thomas Bernhards Dramolett „DER DEUTSCHE MITTAGSTISCH“. Die beiden Werke sind Ausgangspunkt für Reflexionen zur deutsch-österreichischen Nachkriegsgeschichte, am Stammtisch einer Wirthausgesellschaft diskutiert.

Ein eigenes Unterkapitel des Sammelbandes bildet der Text von Eva Kolářova, in dem sie sich mit der deutschsprachigen Dichtung im Konzentrationslager Theresienstadt befasst. Sie sucht die Frage zu beantworten, ob man die elende Lagerexistenz als Wende, Bruch oder Kontinuität im Leben und Schaffen der Häftlinge verstehen kann. Sie stellt die deutsch geschriebenen Texte vor, die in Theresienstadt geschrieben wurden. Es sind Zeugnisse der Überlebenskunst, die im Angesicht des täglich drohenden Todes Mut und Kraft spendeten.

Den Sammelband beschließt unter dem Titel „Dis-Kontinuitäten im Diskurs“ sein umfangreichster Teil, der sich mit dem weiten Spektrum von Brüchen und Diskrepanzen zwischen politischer und künstlerischer Verantwortung des Schriftstellers befasst.

Karin S. Wozoning versucht in ihrem Beitrag zu zeigen, wie die Literaturwissenschaft von der Adaption chaostheoretischer Konzepte profitieren kann und wie der chaostheoretische Begriff der Bifurkation helfen kann, Wende-Ereignisse zu erfassen und darzustellen. Filip Charvát fragt nach der Mystik in der tschechischen und deutschsprachigen Literatur um 1918; er liefert einen kurzen Überblick über den tatsächlichen Einfluss der Mystik auf die Erzählliteratur dieser Zeit. Die Prostituierte Božena nimmt unter den Figuren des Romans „Die Verwirrungen des Zöglings Törleß“ (von Musil) eine Außenseiterposition ein. Gleichwohl trägt sie, in den Betrachtungen von Klaus Johann, aufgrund ihres Geschlechtes, ihrer Nationali-

tät und ihrer gesellschaftlichen Position die Probleme der realen Welt in den Roman. Die kontraproduktiven Beziehungen zwischen offiziellem Österreich und Literatur behandelt Martin Heinz in seinen Erörterungen zur österreichischen Wende 1990. Seiner Meinung nach denunzierte die österreichische Literatur ihr Land und das wiederum ging gegen jene Kritiker soweit es das Wesen der Demokratie zuließ. Als Beispiel erwähnt er die literarischen Texte von Elfriede Jelinek, deren Werke gleichzeitig auch als beste politische Analysen gelten könnten. Nicht vergessen werden sollen aber auch die Vertreter der jüngeren Schriftstellergeneration wie Robert Menasse oder Robert Schindel.

Der Sammelband „Wende – Bruch – Kontinuum. Die moderne österreichische Literatur und ihre Paradigmen des Wandels“ spricht ein breites Spektrum interessanter Themen an, die viele Leser inspirieren und zu weiterführenden Diskussionen anregen dürften.

Sonia Ciupke

Historia wielkiej przyjaźni

Hermann Hesse, Tomasz Mann, *Korespondencja*, oprac. Anni Carlsson i Volker Michels, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2006, ss. 304.

„W krainie ducha nasze drogi w ogóle biegną osobno, jedna daleko od drugiej, a jednak biegną tak samo – w jakimś sensie podążamy tą samą drogą i jesteśmy braćmi”

(181). Tak pisał Tomasz Mann w swoim liście gratulacyjnym do Hermanna Hessego z okazji jego siedemdziesiątych urodzin i tak też pojmował sens ich długoletniej przyjaźni, której fundament tkwi zarówno w podobieństwach, jak i w tym, co sprawia, że byli pod niektórymi względami osobami skrajnie różnymi.

Skądinąd wiemy, iż wśród cech charakteru Manna przede wszystkim zwraca uwa-

gę skrajny egocentryzm i hipochondria. Był on człowiekiem wyniosłym, pragnącym, żeby go zestawiano z Goethem, co sam wielokrotnie czynił, przekonany o tym, iż obdarzony został jakimś książęcym talentem do reprezentowania, nieskłonny do męczeństwa, zdystansowany obserwator. Hesse, który w akcie protestu przeciwko władzy w Berlinie w 1912 roku opuścił Niemcy, udając się do rodzimej Szwajcarii, reprezentował całkiem odmienną osobowość introvertyka pozbawionego próżności, dalekiego od ambicji pokazywania się, uciekającego od metropolii, niedostępnego dla pokus rywalizacji w przemyśle kultury i stroniącego od publicznych występów.

Czy jednak słuszna jest kwalifikacja osobowości tego typu jako niespójnych, pełnych sprzeczności i odpychających się? Odpowiedź na to pytanie tkwi zarówno we wzajemnym uzupełnianiu się antagonizmów, które mogą być nie tylko źródłem konfliktów, ale także inspiracji, jak również w szeregu podobieństw, takich jak: przynależność do tej samej generacji, nadrabianie braków w wykształceniu, głębokie zakorzenie w duchowej historii, wspólna płaszczyzna odniesienia w relacji pomiędzy moralnością i duchem, etyką i estetyką.

Obaj koryfeusze niemieckiej literatury, którzy poznali się osobiście na początku kwietnia 1904 roku w Monachium z inicjatywą ich wspólnego wydawcy Samuela Fischera, nie od razu zapałali do siebie sympatią. To w 1903 roku Hesse wykonał pierwszy krok w pełnych napięcia stosunkach koleżeńskich, rekomendując zbiór nowel Tomasza Manna pt. *Tristan*. Do prawdziwego przełomu w relacjach między nimi jednak jeszcze nie doszło. Nie szczędzili sobie krytycznych uwag i komentarzy, nierzadko przesiąkniętych ironią, a nawet zjadliwością. Hesse nazywał Manna „szelmowskim kpiarzem”, a Mann odzwajemniał się porównaniem, w którym określał Hessego mianem słowika wśród rozlicznych kanarków w klatkach niemieckiego wyrobu.

Istotnym elementem tożsamości obu autorów było ich zakorzenie w duchu humanizmu, którego źródłem inspiracji są wartości ponadczasowe. Pozostali wierni Fryderykowi Nietzschemu, którego wielbili i za którym zgodnie powtarzali: „Królestwo za jedno mądre słowo”, oraz dewizie Wolfganga Goethego: „Wciąż zmieniał poglądy, ale przekonań nigdy”. Etos pisarza nakazywał im najpierw stawiać wymagania wobec siebie, zanim miały one osiągnąć innych. Oczekiwali przy tym zgodnie, że ich partnerzy przyjmą podobnie surowe kryteria oceny własnej postawy.

Bezwzględna szczerłość i otwartość, na które stać tylko bardzo dobrych przyjaciół, były gwarantem ich długoletniego, niezachwianego przymierza, budowanego na wzajemnej lojalności. Owe atrybuty sprawiły, że darzyli się ogromnym szacunkiem i zaufaniem. Z wdzięcznością przyjmowali wyważoną, obiektywną i zarazem konstruktywną krytykę pod własnym adresem, wiedząc, iż nie służy ona ani przypodobaniu się, ani zwalczaniu konkurencji. Szczególnego znaczenia nabiera ta zdolność w okresie reżimu narodowosocjalistycznego, kiedy to Mann konstatawał: „zna Pan poziom niemieckiej krytyki literackiej, która teraz ostatecznie już zesłała na psy” (79).

Jako mistrzowie rzemiosła wypowiadałi się w sposób wyrazisty i niepozostawiający wątpliwości co do swoich intencji, czego przykładem są słowa Hessego: „Walka to piękna rzecz, ale łatwo psuje charakter” (111). Równocześnie nie brak im także poczucia humoru i artystycznego polotu, co w dobitny sposób ujął Mann: „Miłością otaczam też człowieka, jego pogodnie zamysłony, dobrotliwy i szelmowski sposób bycia, głębokie, piękne spojrzenie chorych, niestety, oczu, których błękit rozświetla wychudłe i ostro pobrużdżone oblicze staroego szwabskiego wieśniaka” (133).

Różnice w sposobie reagowania, zapartywania się na wydarzenia polityczne, uwykuplają pewne ambiwalencje, które nie wy-

nikają z reprezentowania przez autorów zasadniczo odmiennych poglądów, ale wynikają z perspektywy, z jakiej przyszło im je oceniać. Treść korespondencji pozwala sądzić, iż Hesse swą trafną interpretacją, krytyczną oceną I wojny światowej, a także nieufnym podejściem do Republiki Weimarskiej, którą był rozczarowany, znacznie wyprzedził swojego przyjaciela. Poglądy Hessego przekładały się na jego czyny. W 1926 roku, po namowach Manna, przyjął członkostwo w Pruskiej Akademii Języka i Literatury, aby cztery lata później ją opuścić, na co Mann zdobył się znacznie później, bo dopiero w 1933 roku.

Treść listów pokazuje stanowczość i konsekwencję w działaniu Hessego, który nie uległ namowom Manna, przekonanego, iż członkostwo w Akademii jest ich obowiązkiem społecznym. Na emigracji od 1933 roku Mann nie mógł już sobie pozwolić na pozycję obserwatora, stał się jednym z aktorów wydarzeń. Rok później tak komentował swoją decyzję: „Zginałbym w tej atmosferze kłamstwa, masowego zgiełku, kadzidlanych dymów na własną cześć i skrywanej zbrodni” (84). Fakt ten jeszcze bardziej zbliżył obu pisarzy, którzy w sprawach Niemiec zdali się teraz mówić jednym głosem. Nie szczędzili krytyki pod adresem popleczników reżimu i intuicyjnie przepowiadali zbliżającą się wojnę. Hesse wyraził to pisząc: „Widzę dla Pana i dla nas jedną drogę wyjścia, tę, która wyprowadza z niemieckości i wiedzie do Europy, od spraw aktualnych ku ponadczasowemu” (64).

Zarówno w okresie przedwojennym, podczas wojny, jak i po jej zakończeniu, dzielą los pisarzy, którzy stali się celem zacieklej ataków ze strony niektórych pisarzy emigracyjnych, krytyków, jak również powojennej prasy niemieckiej, co wywołało u nich daleko idącą niechęć do nowego państwa niemieckiego, którą najlepiej oddaje Mann wyznając: „Jeśli wszystkie znaki na niebie i ziemi nie mylą, będzie to raz jesz-

cze poroniona budowla i lepiej nie brać za nią odpowiedzialności” (165).

Publikacja przybliży czytelnikowi skomplikowane położenie i burzliwe koleje losu, jakie stały się udziałem berlińskiego wydawnictwa S. Fischer Verlag, z którym obaj pisarze byli związani. Zarówno Hesse, jak i Mann sprzeciwiali się ich upolitycznieniu, angażując się w przeniesienie wydawnictwa poza granice Rzeszy. Mann związany z G. Bermannem Fischerem, zmuszonym do emigracji i wydającym za granicą, był wciąż rozdarty między chęcią a niemożnością powrotu do Niemiec, między wydawaniem tam swoich książek i tym samym ustrzeżeniem się przed utratą rodzimego czytelnika a przeniesieniem się do wydawnictwa emigracyjnego, mającego dość wąski krąg odbiorców. Hesse również po 1936 roku związany z macierzystą firmą berlińską, którą w 1943 roku pod przymusem przemianowano na Suhrkamp Verlag, bez wznowień krytycznych dla reżimu tytułów i w rezultacie ze znikomymi dochodami, czynił bezskuteczne starania o wykupienie praw do swoich książek, aby uwolnić się od sytuacji narzuconej mu przez III Rzeszę.

Treść listów nie rysuje sylwetek dwóch dominujących postaci niemieckiej literatury w sposób tak wyrazisty, jak ma to miejsce w dziennikach, pamiętnikach czy wspomnieniach, lecz umożliwia ich poznanie z innej perspektywy, opierającej się na własnych relacjach oraz refleksjach adresata korespondencji. Dwie bratnie dusze, dla których wzajemne kontakty były pokrzepieniem, dzielą się spostrzeżeniami odnośnie do rzeczy wielkich i ważnych, nie stroniąc od informowania o prozie życia codziennego, jak donosi Hesse: „Po wielu godzinach pracy w ogrodzie wracam do domu, cuchnący jak węglarz, usmolony, z palcami pokłutymi przez kasztanowe kolce” (98).

Obaj, często w towarzystwie swoich żon, spotykali się wielokrotnie, co w przypadku Hessego, który bardzo rzadko odwiedzał z własnej inicjatywy kolegów pisarzy, jest

wyrazem wyjątkowej uwagi i sympatii. Uporządkowana korespondencja potwierdza tezę, iż prawdziwa przyjaźń wymaga po obu stronach ustawicznego wysiłku i zaangażowania, co zaowocowało jej subtelnym, ale nieprzerwanym pogłębianiem się.

Charakterystyczne dla ich przyjaźni było zaangażowanie Manna w przyznanie Hessemu Nagrody Nobla. Mann jako laureat Nagrody z 1929 roku już rok później skorzystał z prawa do zgłaszania własnych kandydatów do tego wyróżnienia, podając kandydaturę Hessego, którą do 1946 roku wielokrotnie ponawiał. Jeszcze w 1945 roku Mann komentował rozgoryczony decyzję o przyznaniu Nagrody chilijskiej poetce Gabrieli Mistral: „Oto co się zowie szukać daleko, podczas gdy skarb znajduje się o wiele bliżej. Doprawdy zamierzam niebawem poczuć się urażony, skoro tak się lekceważy moje rady” (165).

Zgromadzona korespondencja, sprawnie przełożona na język polski, powstała między 1 kwietnia 1910 a 13 sierpnia 1955 roku i zawiera 141 tekstów wraz z załącznikami, a wśród nich listy, w tym gratulacyjne i okólne, wiadomości przesyłane na kartkach pocztowych oraz telegramy. Teksty w początkowym okresie prawie wyłącznie należą do pióra Manna, gdyż cała korespondencja znajdująca się w monachijskim mieszkaniu Mannów została po 1933 roku zarekwirowana przez władze narodowosocjalistyczne, wiele dokumentów zaginęło też wskutek częstych zmian miejsca pobytu w okresie emigracji. Wśród koresponden-

cji, której adresatami są obaj autorzy, znajduje się jeden list adresowany do żony Hermannu Hessego, Ninon, a także jeden list, który po śmierci męża od jego przyjaciela otrzymała Katia Mann. Całość poprzedzona jest przedmową autorstwa Volkera Michelsa, która jest spójną syntezą informacji zawartych w korespondencji i przypisach. W posłowniu Anni Carlsson dokonuje analizy twórczości literackiej obu pisarzy na bazie wybranych utworów.

Lektura książki nie wymaga od czytelnika wcześniejszego zaznajomienia się z biografią autorów, gdyż autorzy opracowania uzupełnili zamieszczoną korespondencję o przypisy, które umożliwiają identyfikację osób, o których mowa w listach, oraz zrozumienie opisywanych wydarzeń. Przypisy wraz z aneksem uwzględniają również niektóre utwory lub fragmenty utworów Manna i Hessego, recenzje, cytaty z dzieł innych autorów i opracowań, wybraną korespondencję autorów z innymi osobami oraz listy osób trzecich. Z myślą o polskim czytelniku uwzględniono także informacje o publikacjach wzmiankowanych tytułów w języku polskim.

Reasumując, trzeba podkreślić, że zebrana korespondencja, mimo iż niepełna, ze względu na staranne opracowanie zasługuje na wysoką ocenę. To ciekawa publikacja, która może wzbudzić zainteresowanie nie tylko wśród zajmujących się badaniem biografii autorów, ale także wśród licznego grona czytelników, jakie obydwoj autorzy mają na polskim rynku księgarskim.

Lidia Burakowska

Literacka przestrzeń mentalna

Krzysztof Krasuski, *Krainy utracone i pozyskane. Problem w literaturach Europy Środkowej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2005, ss. 275.

Termin *Mittleuropa* pojawił się u schyłku XIX wieku. Zakładał on istnienie strefy buforowej między dzikim wschodem a cywilizacją zachodnią. Owa przestrzeń pomiędzy Adriatykiem i Bałtykiem oraz Odrą i Dnieprem do dziś jest kluczowym punktem odniesienia dla zrozumienia wspólnej europejskiej historii oraz istoty dwudziestowiecznych przeobrażeń tożsamości kulturowej. Specyfika regionu wynika nie tylko z kluczowego położenia geopolitycznego, ale przede wszystkim z licznych więzi, wzajemnych relacji kultur „narodów środka” oraz historii gwałtownych wydarzeń historyczno-polityczno-kulturowych. Bez świadomości wagi tych aspektów nie sposób zrozumieć i przeanalizować stanu europejskiej świadomości, bowiem Europa do dziś żyje oddechem wspólnej niedalekiej historii, która rozegrała się właśnie w przestrzeni *Mittleurop*y niespełna siedemdziesiąt lat temu.

Zanim skupimy się na merytorycznych wartościach prezentowanej publikacji, prześledźmy aspekty ściśle formalne. 275 stron tekstu zawiera 16 rozpraw naukowych, skupionych tematycznie wokół terminów: wędrówki, pogranicza kultur, ojczyzny i tożsamości jednostki. Pozycja publikowana jest w wersji polskojęzycznej, jednak uwienieczeniem każdego artykułu są krótkie podsumowania w języku angielskim i niemieckim, co z pewnością wpływa

na szerszą recepcję książki. Służyć może ona zatem jako impuls do dalszych badań, nie tylko na gruncie rodzimym, ale również ogólnoeuropejskim.

Doskonałym wprowadzeniem w tematykę jest wstęp Krzysztofa Krasuskiego, który znakomicie wyjaśnia cele, jakie postawili sobie autorzy omawianego tomu. Zaprezentowane konteksty badawcze mają zatem wyjaśnić i zasygnalizować czytelnikowi odmienną przedstawianego regionu. Jawi się on jako trwały element bogactwa kulturowego Europy, który współtworzą literatura, nauka, sztuka i filozofia. Idąc tym tropem, literatura funkcjonuje nie tylko jako wierny rejestrator świadomości europejskiej, lecz zyskuje wymiar czynnika tworzącego ową świadomość. Przyjrzyjmy się zatem treści przewodnika po literackiej mentalności środkowoeuropejskiej.

Tom otwiera krytyczna wizja programu badań – tak można by w skrócie określić artykuł Aleksandra Fiuta *Polonizacja? Kolonizacja?* Autor wskazuje na konieczność nowego, świeżego spojrzenia na historię Polski i Europy w oparciu o formy kultury postkolonialnej. Postuluje on podjęcie badań nad literaturą Europy Środkowej i Wschodniej w nowym ujęciu – jako nad zapisem świadectw doświadczeń i następstw kolonializmu. Intencją autora jest zatem upowszechnienie i podkreślenie użyteczności instrumentów krytyki postkolonialnej do badań nad rodzajami i przejawami kulturowych zależności, które zachodzą w wyniku dominacji kultury narodu nad kulturami lokalnymi.

Fundamentem dla zrozumienia wspomnianej specyfiki omawianego regionu jest rozprawa *Historyczne znaczenie środkowoeuropejskich emigracji*. Artykuł rozpoczynają historyograficzne przemyślenia na temat znaczenia i interpretacji terminu „Europa Środkowa”. Krzysztof Dybciak analizuje teorie i koncepcje pojmowania „regionu środka” oraz dokonuje przeglądu nowszej historii zjawiska wychodźstwa, w oparciu o dzieje formacji emigracyjnych sprzed 1945 roku i po II wojnie światowej.

Doskonałym uzupełnieniem są artykuły Leonarda Neugera *Europa Środkowa jako źródło cierpień* oraz Ewy Kosowskiej i Eugeniusza Jaworskiego *Europa Środkowa. Przeszłość pełnego złudzenia*. Neuger prowadzi rozważania na temat sformułowania pojęcia Mitteleuropy i próbuje odnaleźć korzenie jego powstania. Łączy między innymi koncepcję umiejscowioną w dyskursie kolonialnym z teorią oświeceniowego podziału świata na cywilizowany i dziki. Jednak po wnikliwej analizie formuły z przeszłości dotychczasowa definicja okazuje się zdezaktualizowana i nieprawomocna. Kosowska i Jaworski nawiązują celnie do artykułu Neugera, momentami polemizując z jego wywodami. W swoich badaniach sięgają do wczesnych stadiów formowania się struktur osadnictwa i obserwują ewolucję ich stopni rozwojowych oraz interpretacji semantycznych.

Nie mogło w tej pracy zabraknąć również eseju poświęconego problemowi pogranicza – miejsca przenikania się kultur, ale też – jak historia pokazuje – impulsu gwałtownych przemian historycznych. Bożena Tokarz kreśli zręczny szkic tożsamości każdej jednostki społecznej, nazywając ją przestrzenią mentalną. Opiera się ona na sferze geograficznej, antropologicznej i kulturowej. Tokarz, badając zależności między tymi czynnikami, wyróżnia dwie specyficzne sytuacje, jakimi są emigracja i okupacja. W przypadku pierwszej autorka mówi o ruchomej sferze geograficznej, dru-

ga natomiast niesie ze sobą nową obcą mentalność w nieruchomej przestrzeni geograficznej. Pluralizm elementów składowych tożsamości duchowej wytwarza z kolei odrębną formę mentalną kultury, tak charakterystyczną dla regionów pogranicza. Wszystkie te ogniwa świadczą o tym, czym naprawdę jest kompleksowa kultura słowiańska. Rozprawa stanowi zatem wnikliwą analizę dialogu kultur oraz ich współistnienia w oparciu o teorię kultury.

Rozprawą absolutnie wyjątkową jest szkic Krystyny Kralkowskiej-Gątkowskiej, poświęcony hermeneutyce twórczości Eliasa Canettiego. Niepowtarzalność referatu determinuje sama osoba pisarza, w przypadku którego wskazanie „ojczyzny” wydaje się niemal niemożliwe ze względu na przynależność do kilku pograniczy kulturowych. Artykuł jest wnikliwym studium badawczym rozwoju tożsamości pisarza w oparciu o jego korelacje rodzinne i pisarskie zwierzenia.

Kolejne teksty koncentrują się na analizie literackiej rekonstrukcji utraconych krajin: „litewskiego raj”, „polskiej ojczystej gleby”, „nostalgicznej Jugosławii”, które dla wielu pisarzy do dziś pozostają legendarną ziemią utraconą.

W dobie renesansu idei lokalności i regionalności temat tożsamości kulturowej jest istotnym, a być może i niezbędnym faktorem dla samookreślenia mentalnego każdej jednostki społecznej. Prezentowany zbiór esejów miał na celu zilustrowanie idei mobilności i różnorodności kulturowych, tak charakterystycznej dla tradycji środkowoeuropejskiej. Książka jest przede wszystkim istotnym przyczynkiem do dyskusji nad stanem europejskiej świadomości i publikacją kluczową do pełnego zrozumienia realiów Europy Środkowej, ujętych przez pryzmat literatury w oparciu o tło historyczno-polityczne. Przelano więc na papier ważne i niebanalne treści, które w istotny sposób wpływają na studia nad regionalną twórczością i wzbogacają je, a

zarazem stanowią znakomity klucz otwierający horyzont dla dalszych tego typu refleksji. Przedstawioną pracę należy polecić szerokiemu kręgowi odbiorców: studen-

tom i naukowcom, którzy być może odnajdą w niej inspirację do wszechstronnych badań w zakresie ‘utraconych i pozyskanych krain’.

Aleksandra Mazurek

Czy Europa może być? – Być może...

Nach Derrida. Dekonstruktion in zeitgenössischen Diskursen, hrsg. von Peter Zeillinger, Dominik Portune, Verlag TURIA + KANT, Wien 2006, ss. 237.

Jedność wielości. Tożsamość w różnorodności. Europa.

W ciągu ostatnich kilku lat szczególnie mocno na sile przybrała dyskusja dotycząca po pierwsze europejskiej tożsamości, a po drugie końcowego kształtu ustrojowego, czyli „finalności”, Unii Europejskiej. Jest to związane w dużej mierze z fiaskiem wprowadzenia w życie traktatu ustanawiającego konstytucję dla Europy, jednak kwestia ta ma charakter wielowymiarowy. Chodzi bowiem o określenie – na tyle, na ile to dziś możliwe – zarówno geograficznych, kulturowych, jak i religijnych oraz politycznych granic Starego Kontynentu.

Teorii jest wiele. Politolodzy, filozofowie, socjologowie – starają się znaleźć tę, która w największym stopniu odpowiadałaby rzeczywistości i najatrakcyjniej (choć to pojęcie względne z perspektywy poszczególnych państw) przedstawiała przyszłą wizję wspólnoty. Do kwestii, wobec których UE musi zająć stanowisko, należą m.in. zakres kompetencji krajowych i ponadnarodowych, wprowadzenie i efektywność wspólnej polityki zagranicznej, bezpieczeń-

stwa i obrony, a co za tym idzie – powołanie „euroarmii” czy ministra spraw zagranicznych UE, problemy związane z emigrantami. Niejednokrotnie, podczas naukowych i politycznych debat dotyczących Europy, dochodzi do polemik i zaciętych intelektualnych sporów. Jedni głoszą bowiem poglądy, z którymi wręcz trudno się nie zgodzić. Inni natomiast są do tego stopnia nowatorscy, że często stają się obiektem ostrej krytyki. Z przykładem tej drugiej sytuacji mamy do czynienia w przypadku teorii Jacques’a Derridy, francuskiego filozofa, jednego z głównych przedstawicieli postmodernizmu.

Gdy urodzony w 1930 roku niedaleko Algieru młody filozof rozpoczął naukową działalność, analizując pisma Husserla, a potem Heideggera, nic nie wskazywało, że już po kilkunastu latach, jeszcze za jego życia, nazwisko-hasło: Derrida wywoływać będzie zarówno głosy najwyższego uznania, jak i falę krytyki. Jego badawcze spojrzenie na fenomenologiczne rozumienie znaku wywołało burzę zwłaszcza wśród akademickich środowisk w Stanach Zjednoczonych, gdzie wygłaszał odczyty i brał udział w konferencjach. Oskarżany był przede wszystkim o „zamach” na tradycyjną filozofię metafizyczną i „karnawalizację” języka. Filozof-artysta czy filozof-błazen? Intelktu-

alny szczyt czy filozoficzne dno? Kim jest Derrida i czym jest jego teoria? Do dziś szczególnie często te pytania zadaje sobie niemal cały świat, są one bowiem niezwykle aktualne, zwłaszcza w kontekście współczesnej kondycji Europy.

Z tych to właśnie względów w dniach 17-18 czerwca 2005 roku odbyła się w Wiedniu z inicjatywy Hugh J. Silvermana oraz Petera Zeilingera międzynarodowa konferencja pod hasłem *Ereignis Derrida* (Wydarzenie Derrida). W ramach jej podsumowania opracowana została i wydana w 2006 roku książka pod tytułem *Nach Derrida. Dekonstruktion in zeitgenössischen Diskursen* (Według Derridy. Dekonstrukcja we współczesnych dyskursach¹) pod redakcją P. Zeilingera i D. Portune'a. Pozycja ta jest o tyle ciekawa, że jej autorzy nie analizują krok po kroku samej teorii francuskiego filozofa, lecz skupiają się na spuściznie dekonstrukcji, na konsekwencjach, które wpływają lub mogą wpłynąć na sposób współczesnego myślenia o polityce, filozofii oraz na sposób postrzegania świata w ogóle.

Zawartość książki podzielono na dwie części, które tworzą osobne bloki tematyczne: *Konkretyzacja polityki dekonstrukcji* (cz. I) oraz *Dekonstruktynna analiza* (cz. II). W pierwszej części czytelnik zapozna się z następującymi artykułami-wykładami: *Portret dekonstrukcji jako filozofii socjologii* (Artur R. Boelderl), *Europa, być może. Zapiski o geopolityce bezsiły* (Marc Crepon), *Dekonstrukcja i polityka światowa* (Thomas Frank), *Performacje i polityki. J. Derrida, J. Butler i przyszłość suwerenności po 9/11* (Birgit Langenberger), *Dlaczego nie wolno nam czytać w łóżku. Spostrzeżenia dotyczące struktury prawa u Derridy, Benjamina i Amgabena* (Martin G. Weiß), *Respekt dla filozofii: postrzeżenie Kartezjusza u Derridy* (Katherine Rudolph). Część druga zawiera prace: *Przypadek daru i przyszłość dekonstrukcji* (Hans-Die-

¹ Tłumaczenia wszystkich pojawiających się w tekście cytatów pochodzących z omawianej pozycji dokonała autorka recenzji.

ter Gondek), *Korzenie i krypty. Lacan, Derrida i klinika* (Michael Turnheim), *Zadania tłumaczeniowe. Pojęcie „Anasemii” w dziele Nicolasa Abrahama i Marii Torok – dialog między psychoanalizą i dekonstrukcją* (Klaus Ebner), *Wydarzenie jako symptom. Zbliżenie do rozstrzygającego horyzontu myślenia* (Peter Zeillinger), *„Zamaskowane rozszerzenie” Perspektywizacja różnic płci* (Anna Babka), *„La imaginación es libre; el hombre no”*. Luis Buñuel w rozmowie z J. Derridą (Monika Leisch-Kiesl). Na końcu książki znajdują się krótkie informacje biograficzne o autorach.

Przyjrzyjmy się dwóm pierwszym wykładom. Pierwszy z nich, autorstwa Artura R. Boelderla, nosi tytuł *Portret dekonstrukcji jako filozofii socjologii*. Filozof zastanawia się w nim, jaki wpływ może mieć filozofia Jacques'a Derridy oraz Jeana-Luca Nancy'ego – według niego dwóch „ojców” dekonstrukcji – na relacje między ludźmi w społeczeństwie. Zauważa on, że w każdym społeczeństwie istnieje wspólnota (*Gemeinschaft*), charakteryzująca się ko-egzystencją jej członków. Autor nawiązuje tu do poglądów Kanta, który proponował, by egoizmowi przeciwstawić myślenie w kategoriach pluralistycznych. A.R. Boelderl wyjaśnia jednocześnie, że Derrida i Nancy przez pojęcie „śmierci Boga” oznaczali zjawisko, kiedy człowiek przekracza samego siebie (*Selbstüberstieg des Menschen*, s.15). Antropologię należy zatem nierozłącznie wiązać z metafizyką, ponieważ człowiek, odkrywając swoje „ja”, dostrzega jednocześnie własne granice i odnajduje siebie w społeczeństwie, we wspólnocie. Kant zatem, a po nim m.in. Derrida właśnie, dostrzegł heterogeniczność wspólnoty, jej transcendencję i zarazem jej niezbędność dla prawidłowego rozwoju ludzi. Człowiek skazany jest przez to już nie tylko na egzystencję, lecz na ko-egzystencję, czyli współ-bycie, na wspól-notę. Ta wspólnota natomiast jest wielokulturowa, akceptuje różnice etniczne, religijne, filozoficzne. Należać do niej powinni nie ludzie epoki Oświecenia, lecz tacy, którzy

porzucają bezwzględną dominację rozumu i scjentyzmu na rzecz szeroko rozumianej tolerancji, myślenia aktywnego, dynamicznego i twórczego. Stąd też często pojawiający się w filozofii Derridy apel do ponowoczesnego społeczeństwa, by pozbyło się złudzeń o wykorzystaniu racjonalnych zdobyczy Oświecenia.

Marc Crepon jest autorem drugiego wykładu, zatytułowanego: *Europa, być może. Zapiski o geopolityce bez-siły*. Autor przedstawia poglądy Derridy w ostatnich latach jego życia, a więc przede wszystkim te, które odnoszą się do jego oceny sytuacji społeczno-politycznej w Europie. Charakterystyczny dla myśli francuskiego filozofa jest motyw nadziei. On sam zadaje pytanie: „Czego można i czego należy oczekiwać od Europy?” (s. 35). Pytanie to dotyczy tożsamości Starego Kontynentu oraz jego granic. Derrida jest jednak w tych kwestiach na tyle ostrożny, że, przykładowo, zapytany o rolę Europy po 11 września 2001 roku, stwierdził: „Niczego nie jestem pewien. Przede wszystkim jeśli chodzi o egzystencję Europy albo Wspólnoty Europejskiej i tego, jak się zapowiada” (s. 34). Jednocześnie w 2003 roku, na krótko przed swoją śmiercią, Derrida razem z Jürgenem Habermasem, w jednej z rozmów, proponuje między innymi, aby wśród elementów składających się na europejską tożsamość – obok chrześcijaństwa, kapitalizmu, prawa rzymskiego, mieszczańskiego sposobu życia, rezygnacji z kary śmierci, demokracji i praw człowieka – znalazło się miejsce także na „uznawanie różnic – wzajemne uznawanie tego, co inne”. Jako najświeższe przykłady filozof przywołuje sposób samoograniczania su-

werenności państwowej w ramach UE oraz łagodzenie sprzeczności klasowych. Jednocześnie Derrida przestrzega przed szufladkowaniem i instrumentalizacją pojęcia tożsamości. W jego filozofii, jak pisze Crepon, kluczową rolę odgrywa dynamiczna perspektywa ujęta w kategoriach warunkowych. Nic nie jest dla Derridy bardziej nie pewne niż Europa, a jednocześnie ta niepewność wpisuje się w istotę Starego Kontynentu. To, jak napisał w swojej książce Zygmunt Bauman, „niedokończona przygoda”, zapowiedź i obietnica lub – gdyby posłużyć się językiem dekonstrukcji – możliwość niemożliwego. „»Europa, być może« to Europa, która mogłaby nadejść; to to, co mogą i powinny obiecywać pojęcie i idea Europy” (s. 39).

Wróćmy do pytań stawianych na początku. Po krótkim omówieniu kilku zagadnień dekonstrukcja przedstawia się jako próba zrozumienia tego, czym jest filozofia, byt, prawda. Wszystko to postrzegane jest nie z perspektywy logiki i racjonalizmu, lecz z perspektywy wydarzenia – a zatem czegoś dynamicznego i nieskończonego. Jakie nowe spojrzenie na życie polityczne i społeczne daje dekonstrukcja? Otóż globalny wiek XXI uprzywilejował teraźniejszość. Jest to znacznie wygodniejsze niż pytanie o tożsamość i tradycję. Tak jak wojna jest prawdopodobnie łatwiejsza niż pokój. I, jak się wydaje, negowanie teorii Derridy jest prostsze niż jej dogłębna analiza. Być może warto jednak zastanowić się nad tym, co naprawdę kryje w sobie postulat francuskiego filozofa dotyczący realizacji niemożliwego. A zatem: Derrida? – Być może...

Vorankündigung

Im Frühjahr 2007 erscheint im Ossolineum-Verlag in Wrocław, verfasst von Norbert Honsza und Stephan Wolting, das erste „biographische Werk“ in polnischer Sprache über den berühmten Literaturkritiker, manche nennen ihn den „Literaturpapst“, Marcel Reich-Ranicki, der 1920 in Włocławek an der Weichsel geboren wurde, 1958 Polen in Richtung Bundesrepublik Deutschland verließ und seit dieser Zeit nie wieder nach Polen zurückgekehrt ist, nicht mal zu einem Besuch.

Diese Tatsache allein erweckt schon Verwunderung, doch damit nicht genug: Ranicki spricht mit seiner Frau Theophila weiterhin zu Hause auf Polnisch, er war selbst sehr an der Herausgabe des ersten Werks über ihn in polnischer Sprache beteiligt und hat den Autoren mit Rat und Tat und auch konkret mit der Vermittlung rarer Fotos aus seinem Leben beiseite gestanden.

Es soll also in erster Linie ein Buch für den polnischen Leser sein, dabei keinesfalls nur für den gebildeten: Dieses so reiche Leben soll wenn möglich einer breiteren Schicht zugänglich gemacht werden, um somit das „Exemplarische“ dieser wie jeder Biographie heraus zu filtern.

Die Autoren greifen zum Teil auf bislang noch nicht veröffentlichte Dokumente, Anregungen, Gedanken MRRs zurück und entwickeln, insbesondere

auch auf seine kommunikative und mediale Präsenz hin einen neuen Ansatz. Selbstverständlich kommen dabei auch Äußerungen MRRs oder Äußerungen über ihn nicht zu kurz. MRR gilt inzwischen in der Bundesrepublik Deutschland als „Promi erster Klasse“, der unglaublich viel für die Vermittlung der (nicht nur deutschsprachigen) Literatur an den zum Teil nicht nur hoch gebildeten Leser getan hat. In diesem Sinne versucht diese kleine Biographie auch kongenial in seinem Sinne zu sein.

Dass neben vielen affirmativen Bemerkungen und Überlegungen auch kritische Töne politischer wie literaturästhetischer Art nicht zu kurz kommen, dafür glauben die Autoren gesorgt zu haben. Das Buch stellt somit ein Muss für jeden dar, der sich für Literaturkritik in Bezug auf die deutschsprachige Literatur interessiert.

Insofern wird MRR wie für Heine die Literatur zu seinem „portablen Vaterland“, im Sinne der Kompensation dessen, was er selbst nie besessen hatte. Angeknüpft wird dabei an seine Autobiographie *Mein Leben*, die auch in polnischer Übersetzung erschienen ist. Man vermerkt über 200 Positionen, was die Veröffentlichungen von Marcel Reich-Ranicki selbst betrifft, Literatur über ihn bleibt jedoch bis auf einige wenige, in Deutschland erschienene biographische

Vorankündigung

Werke wie von Anz oder Wittstock eher die Ausnahme. Und trotz seiner vielen Doktorwürden – die letzte wurde am 16.02.2007 von der HU Berlin vergeben, die ihm 1938 das Studium verbot und die er seither ebenfalls nie mehr betreten hatte – ist Reich-Ranickis Wunsch verständlich, dass endlich einmal ein germanistisches Buch über ihn erscheinen sollte. Ganz konnten die Autoren diesem, seinem Wunsch nicht nachkommen, weil es in erster Linie ein lesbares, nicht zu theorielastiges Buch werden sollte und auch geworden ist.

Es könnte aber nicht zuletzt auch damit zusammen hängen, dass Marcel Reich-Ranicki in erster Linie im positiven Sinne für die Popularisierung der Li-

teratur steht. Und in dieser Hinsicht hat er Unglaubliches erreicht und geleistet, nicht zuletzt durch seine mediale Präsenz, in Zeitungen oder in Funk und Fernsehen bis ins hohe Alter. Repräsentativ sei hier die populärste Literatursendung des deutschen Fernsehens *Das Literarische Quartett* erwähnt.

Nicht verschwiegen werden sollen natürlich auch seine „existentiellen Zeiten“, etwa die Zeit im Warschauer Ghetto, als ihm seine Frau das Leben rettete. Auf diese Weise rundet sich das Bild eines Mannes ab, der das Leben in Europa und insbesondere das literarische und gesellschaftliche Leben in der Bundesrepublik Deutschland in den letzten 50 Jahren wie kaum ein zweiter geprägt hat.

Przemysław Sznurkowski

Redakcja poleca:

- Balzer, B., Kunicki, W.: *Germanistischer Brückenschlag im deutsch-polnischen Dialog – Literaturgeschichte 18. – 20. Jahrhundert*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław – Dresden 2006.
- Czarnecka, M., Neuber, W.: *Germanistischer Brückenschlag im deutsch-polnischen Dialog – Literaturgeschichte 17. Jahrhundert*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław – Dresden 2006.
- Fiedor, K.: *Polska i Polacy w polityce Trzeciej Rzeszy 1933-39*, Wyższa Szkoła Studiów Międzynarodowych, Łódź 2006.
- Grass, G.: *Przy obieraniu cebuli*, Wydawnictwo Oskar, Gdańsk 2007, tłum.: Sławomir Błaut.
- Hałub, M., Stucke, F.: *Germanistischer Brückenschlag im deutsch-polnischen Dialog – Kulturwissenschaft*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław – Dresden 2006.
- Jańska, M.: *Interkulturelles Lernen in der bilingualen deutsch-polnischen Erziehung*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2006.
- Karolak, Cz., Kunicki, W., Orłowski, H.: *Dzieje kultury niemieckiej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007.
- Kompetencja międzykulturowa w kształceniu nauczycieli języków obcych na potrzeby edukacji wczesnoszkolnej*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2006.
- Kopij, M., Kunicki, W., Schulz, T. (red.): *Wrocław literacki*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2007
- Kucharska, D.: *Gerda Leber-Hagenau – austriacka popularyzatorka kultury polskiej*. Wyższa Szkoła Studiów Międzynarodowych, Łódź 2005.
- Małyżek T.: *Literatura niemiecka w teorii i praktyce*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2007.
- Omanowski / Omansen W., *Gdańsk nocą, Danzig zur Nacht*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław – Dresden 2007.
- Simmler, F., Tomiczek, E.: *Germanistischer Brückenschlag im deutsch-polnischen Dialog – Sprachwissenschaft*, Oficyna Wydawnicza Atut – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław - Dresden 2006.
- Skoczek, T. (red.): *Historia literatury światowej w dziesięciu tomach, t. IV-VIII*, Wydawnictwo SMS, Bochnia – Kraków – Warszawa 2003-2007.
- Światłowska, I.: *Klaus Mann – Europejczyk, pisarz, bojownik antyfaszystowski*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2007.
- Wilk, M., Królikowska-Dyszlewska, A., Miernik, B.: *Jan Paweł II - Wielki Dyplomata i Polityk*, Wyższa Szkoła Studiów Międzynarodowych, Łódź 2006.
- Wilk, M.: *Petersburg – historia stara i nowa*, Wyższa Szkoła Studiów Międzynarodowych, Łódź 2003.

zestawił: Paweł Stróziak